PIOTR de COULEVAIN

NA GAŁĘZI

PRZEŁOŻYŁA Z FRANCUZKIEGO

FELICYA POPŁAWSKA

LWÓW
NAKŁADEM SŁOWA POLSKIEGO
1905.

LP II 4 d 2

491114
II

k.777/12874
28.11.30/-

Śląska Biblioteka

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO.

I.

Paryż, Hotel de Castiglione.

Nareszcie doszłam do kresu mej drogi... długiej drogi... pięćdziesiąt siedm lat!...

Pięćdziesiąt siedm lat już mój mózg pracuje, moje serce bije, moje nogi chodzą. I dotąd nie zauważyłam żadnego śladu zużycia. Doprawdy, organizm mój, to doskonała, mocna maszyna.

Jestem skazana na przebywanie samotne tego ostatniego etapu. Pewnego dnia na czystym horyzoncie mojego życia wybuchnęła straszliwa burza, która w jednej chwili pozbawiła mnie męża, rodziny i ogniska domowego. Odtąd mieszkam w hotelu „na gałęzi".

Dla kobiety, znajdującej się w takiem położeniu jak ja, jest to najpraktyczniejsze i najlepsze wyjście. Bo czyż nie byłoby powolnem konaniem błąkać się po pustych apartamentach, siadać samotnie do stołu, który dawniej otaczały drogie twarze, podczas długich wieczorów zimowych przysłuchiwać się trzeszczeniu mebli, widzieć, jak przyjaciele odwiedzają coraz rzadziej i mieć stosunki z ludźmi tylko przez dzienniki? Opatrzność uchroniła mnie od tego i nie przestaję jej za to dziękować.

Duch mój, wyzwolony z codziennych, drobiazgowych trosk materyalnych, nabrał nowego polotu, stał się silniejszym i bardziej subtelnym. I oto w wieku, w którym każdy czuje pewien upadek, ja, przeciwnie, jestem w pełni rozwoju i śmiało zejść mogę na swój „ostatni statek". Prawdopodobnie nie jestem pod tym względem wyjątkiem.

Corot powiada, że chcąc uchwycić piękno, chcąc poznać duszę jakiegoś krajobrazu, trzeba „umieć usiąść" — sądzę, że

udało mi się znaleźć odpowiednie miejsce do przyglądania się życiu. Z tego punktu, na którym po wielu wahaniach zatrzymałam się, wydaje mi się ono pięknem i dobrem... Patrzę na człowieka nie jak ślepy, wypuszczony na wolność, lecz jak współpracownik boskiego dzieła, nieśmiertelny jak ono samo. Widzę go, idącym w nieskończoność, zdążającym do celów wielkich, pełnych chwały, i to nowe widzenie jest dla mnie źródłem cennych wskazówek, źródłem pociechy i bezbrzeżnych nadziei. Dlaczegoż bym innym, potrzebującym, nie miała trochę tych skarbów udzielić? Dlaczego bym nie miała myśleć za tych, którzy sami myśleć nie mają czasu? Dlaczego nie mam patrzeć za tych, którzy patrzeć nie umieją? Siedząc na gałęzi, widzi sie wszystko z góry i dalej, o! znacznie dalej!...

Paryż.

Jeden pokój z małą gotowalnią na czwartem piętrze w pierwszorzędnym hotelu, w dzielnicy cudzoziemskiej — oto moje „u siebie", a zawartość trzech waliz podróżnych — to całe moje bogactwo ziemskie. Ani wspaniałem, ani zbytkownem nie jest to „decorum" mego piątego aktu, lecz takie, jak jest — zadawalnia mnie najzupełniej.

Okno moje wychodzi na jednę z bardziej eleganckich ulic, gdzie mogę obserwować wszelkie objawy życia istot ludzkich, zaciekawiających mnie swą różnorodnością, swym sposobem bycia i postawą. Z balkonu widzę wązki, lecz bardzo rozległy pas panoramy Paryża — od św. Klotyldy do Sacré-Coeur, od ogrodu Tuilleries do bulwarów włoskich, a zachodzące słońce cudownie oświetla ten skrawek nieba, który jest dostępny oczom moim. Te kilka metrów kwadratowych, po których stąpam, są nieprawdopodobnie zastawione ogromną ilością przeróżnych sprzętów — łóżko, szezlong, dwa stoły, dwa fotele i waliza. Na postumencie, udrapowanym staroświecką materyą, wiszą portrety moich ostatnich przyjaciół, na drugim zaś — tych znajomych, którzy w życiu mem zostawili przyjemne wspomnienie. Dalej idą fotografie ulubionych psów: Blanszetty, Ślicznotki, Bobo i Jacka — chowam je dla tego pro-

myka psiej czułości, którą za pomocą światła udało się w ich oczach pochwycić.

Po prawej stronie kominka wisi półka z ulubionemi książkami: biblia, Homer, Dante, Szekspir, Moliére, Diderot, Don Kiszot, Manon Lescaut. Nad nią „Prawda“ Lefevre'a, a pod nią „Św. Augustyn i Św. Monika“ Ary Schefer'a. Naprzeciwko drzwi wchodowych „Zwycięztwo“ Samothrace'a, a nad łóżkiem piękna grawiura Willette'a: w przestrzeń ciemnego, przeszywanego błyskawicami nieba wystrzela wielki krzyż, a na nim przybita jakaś postać ludzka o rysach twardych, niekształtnych — to twarz łotra. Kona... wiatr burzliwy rozwiał mu włosy... Lecz nie jest tu sam. Jakaś kobieta z ludu zarzuciła mu ręce na szyję i ustami przylgnęła do jego ust. Ażeby dostać tak wysoko, stanęła na grzbiecie osła, trzymanego za uzdę przez dziecko, które, jakby zawstydzone, stoi oparte o drzewo krzyża. Czy to jest miłość Monmartre'a, lub św. Łazarza? nie wiem. Lecz w tym pocałunku, w tem, wyciągniętem ku ukrzyżowanemu ciele kobiety tkwi jakaś siła macierzyńskiego uczucia, która każe wierzyć w przebaczenie...

Wszystkie te przedmioty wypełniają moją samotność, tłoczą się do mózgu, do serca i obudzają myśli i wspomnienia. A kiedy czasem, prócz tego, mam jeszcze kwiaty i jasny ogień — pokój mój wydaje mi się wesołym i cudownie miłym. Zdawałoby się, że dla kobiety, przyzwyczajonej do obszernych pokoi, do wysokich sufitów, do drogich materyj i przedmiotów artystycznych, pieszczących oko i serce, dla kobiety, lubiącej piękne obrazy, takie mieszkanie będzie jedną wielką torturą. Lecz nie — przyzwyczaiłam się do tych otaczających mnie przedmiotów i przywiązałam się nawet może właśnie siłą ich brzydoty. Ta zegarowa pasterka w okrągłym kapeluszu, z gołębiem na ramieniu i batem w ręku, ten leżący u jej stóp baranek i sam zegar, który niegdyś przyprawiał mnie o zgrzyt zębów — dziś stał mi się drogim. Ale najwięcej kocham moją podróżną walizę, z monogramem na wierzchu, oklejaną rozmaitemi etykietami, przypominającemi mi, że należę do „koczowników“. Pakuję ją i rozpakowuję z równą przyjemnością. Oną mieści w sobie wszystko, co mi jest niezbędnem w mem tu-

łaczem życiu. W jednej z jej przedziałek znajduje się nawet moja suknia śmiertelna i trzewiki, które mają mi włożyć po śmierci.

Kochana waliza!

Umierając, będę jej żałować więcej, niż bym żałowała pałacu, a myśl, że kiedyś ludzie obcy będą w niej grzebać, jest mi niewymownie przykrą.

Wczoraj, wodząc oczami dokoła siebie, nie mogłam się wstrzymać od śmiechu. Na kominku figurka św. Antoniego z Padwy — podarunek jakiejś nabożnej przyjaciółki — na ścianie wisi podkowa, gałązka choinki z ostatniego Bożego Narodzenia, palma wielkanocna — jakieś symbole i fetysze, zupełnie jak w jaskini człowieka pierwotnego — to zabawne! Wiem, że nie przyniosą mi one szczęścia, że nie uchronia od złego, ale niech sobie będą.

Hotel, w którym mieszkam, jak zresztą wszystkie domy tej dzielnicy, pochodzi z czasów pierwszego Cesarstwa.

Trzeba było wielkiego sprytu, ażeby potrafić puścić w ruch wszystkie sprężyny nowoczesnego życia w budynku z innej epoki. Byłam obecna przy tej ewolucyi mieszkania ludzkiego — interesowała mnie bardzo. Po ewolucyi materyalnej przyszła ewolucya ducha. Oba te procesy są uderzająco do siebie podobne. Tu robotnik natrafia na mur zanadto gruby, na spojenia zbyt ciężkie, na belki przegniłe, tam — wiedza rozbija się o odwieczne przesądy, o stare wierzenia, o dusze słabe. Trzeba wszystko niszczyć, przerabiać, przebudowywać z największą ostrożnością, wprowadzić nowe sprężyny i do budowy i do mózgu. Drzewo i kamienie trzeszczą — umysł ludzki protestuje, lecz nieuniknione dzieło spełnia się: łazienki, windy, tuby, elektryczność, znajdują miejsce w starych, odwiecznych murach — nowe ideały biora w posiadanie myśl ludzką i świat idzie dalej..

Byłam świadkiem, jak z hotelu wyrzucano stary gazometr i dawne światło zastąpiono nowem, elektrycznem. Serce mi się ścisnęło, kiedym patrzyła, jak „to“ zabiło „tamto“. Cóż chcecie! sama należę już do tamtych...

Paryż.

Znajomość trzech języków zrobiła ze mnie kosmopolitkę, co często bywa szczęściem i nieszczęściem jednocześnie. W sercu wyradza się jakaś nieufność do swoich współziomków, ich zacofane poglądy, ich przesądy zaczynają razić, przestajemy się rozumieć i czujemy się wśród nich obco.

Ale ażeby można było zapłodnić swą duszę kosmopolityzmem, mieszkając gdzieś w małem, prowincyonalnem miasteczku, to prawie nie do uwierzenia, a jednak tak było. Często Opatrzność zdaleka sprowadza pierwiastki, potrzebne do spełnienia się przeznaczenia człowieka.

Na horyzoncie miasteczka Bourg, gdzie mieszkali moi rodzice, zjawiła się pewnego dnia Angielka. Była to żona młodego doktora. Ożenił się z nią wbrew woli jej rodziców i odtąd żyli zupełnie odosobnieni. Matka moja uwielbiała Byrona, Shelleya, Waltera Scotta, nic więc dziwnego, że zapałała miłością dla ich rodaczki i zaprzyjaźniła się bardzo z panią André, mieszkającą w sąsiednim domu.

Miłość ta miała ogromny wpływ na moje wychowanie fizyczne. Jak tylko przyszłam na świat, zaczęto stosować do mnie metodę angielską: nie krępowano mi niczem członków, nie przykrywano głowy, przyzwyczajano do powietrza i do zimnej wody. Później ubierano mnie w bardzo krótkie sukienki, a nogi i ramiona były zawsze obnażone i głowa odkryta na wiatr. Ganiono wielce moją matkę za te innowacye. Towarzysze i towarzyszki wyśmiewali się ze mnie, przezywając mnie „English". Pani André mówiła do mnie, jak do swego synka, po angielsku i ani się spostrzegłam, jak nauczyłam się tego języka.

Niestety! nostalgia i ciągłe cierpienie z powodu zerwania stosunków z rodziną zrujnowały jej zdrowie. Rozwinęła się gwałtowna choroba piersiowa, która w przeciągu kilkunastu dni zabrała ją ze świata. Mąż jej ze swym synkiem, a moim towarzyszem, opuścił kraj nasz na zawsze.

Zdawałoby się, że odtąd pierwiastek cudzoziemski zostanie na zawsze wykreślony z mego życia, lecz było inaczej. W pięć lat

potem, kiedym już była dwunastoletnią dziewczynką, do naszego miasta przyjechał znów jakiś Anglik i zamieszkał na przedmieściu u wdowy Permet, która wynajmowała pokoje profesorom i urzędnikom. Dobra z natury, zainteresowała się ona szczerze cudzoziemcem, i, chcąc mu dopomódz, wyszukiwała lekcyi, a ja naturalnie byłam najpierwszą z uczniów.

Biedny pan Gray! Myślę, że nikt na świecie nie zachował o nim pamięci i obraz jego pozostał wyrytym tylko w moim mózgu.

I dlaczego wyrył się tak głęboko? Chyba siłą tej wielkiej boleści, jaka była główną jego cechą. Widzę wyraźnie tę chudą sylwetkę, tę wysoką, przygarbioną postać, kredową bladość twarzy i smutne oczy. I, rzecz dziwna, prawie nie do uwierzenia, czuję wyraźnie chłód, jaki wiał od tego ciała, z którego życie powoli uchodziło. Byłam względem niego niezwykle uważna i posłuszna. Uczył mnie swego języka według gramatyki Robertsona i nie wiem, czy dzięki dobrej metodzie, czy wrodzonym mym zdolnościom — robiłam szalone postępy. Zresztą nie ma w tem nic dziwnego — w tym czasie bowiem, kiedy dzieci nasze skazane były na czytanie „Wieczorów na zamku", „Wygnańców Syberyi" i „Opowiadań" Berquin'a, a wszelkie późniejsze różowe i niebieskie wydawnictwa majdowały się jeszcze w granicach myśli niektórych mózgów kobiecych — dziecięca literatura angielska była już w pełnym rozkwicie. W książkach ich nie spotykało się wzorów mądrości, niepodobnych do naśladowania, lecz miało się „prawdziwych" chłopaków, „prawdziwe" dziewczęta; miało się całą arkę Noego zwierząt, jednem słowem „prawdziwe" życie. To mi się podobało. Nie czując zmęczenia, słówko po słówku wyszukiwałam w słowniku. Uczyłam się tych dziwnie łatwych a melodyjnych piosenek, do których akompaniament wygrywa się jednym palcem, przy fortepianie i wszystko to razem zakorzeniło głęboko znajomość języka angielskiego w moim mózgu.

Podczas gdy ja szłam coraz dalej naprzód w gramatyce Robertsona, pan Gray posuwał się szybko w księdze swojego żywota. Twarz jego stawała się coraz bledsza, ruchy powolniejsze, nos się zaostrzył, nadając mu wygląd suchotnika. Na każdej lekcyi matka moja zmuszała go do wypicia szklaneczki wina burgundz-

kiego, wtedy na policzki jego występowały lekkie rumieńce, co mnie sprawiało niewymowną radość. Nagle opadł z sił zupełnie i żył jeszcze w agonii trzy tygodnie. Na trzy dni przed śmiercią przyjechał brat jego. Był to mężczyzna znacznie starszy z postawą człowieka, należącego do wyższej sfery społeczeństwa. Jakież nieszczęścia, czy błędy, były przyczyną ruiny i zagrzebania się w Bourg pana Gray? Nikt się o tem nie dowiedział nigdy.

Uczniowie, ich rodzice i gospodyni odprowadzili na cmentarz zwłoki „Anglika“, jak go pospolicie nazywano, a brat jego odczytał kilka modlitw nad otwartym grobem. I nie wiem, czy przypadek zrządził, że pochowano go obok pani André, jego rodaczki. Grób jego otoczono później żelaznemi sztachetami, a na kamieniu wyryto trzy inicyały: A. G. C. — i te słowa z biblii:

„All hiss waves and billows have gone over me“. Wszystkie jego fale i wszystkie bałwany przepłynęły po mnie...

Dopóki mieszkaliśmy w Bourg, upiększałam grób wygnańca wieńcami i kwiatami. Myśl o tem biednem ciele, spoczywającem tam, w zimnym grobie, przez długi czas nie dawała mi spokoju i wywoływała serdeczne łkania, kiedy wieczorem znalazłam się w swem ciepłem łóżku.

Następnego roku oddano mnie do Sacré-Coeur i tam brałam lekcye angielskiego od pewnej nabożnej Irlandki. Pomiędzy „matkami“ była jedna Piemontka cudownej piękności. Chcąc wejść z nią w bliższe stosunki, zaczęłam uczyć się po włosku. Później, spędzając jedno lato u wuja mego w Alzacyi, zapragnęłam poznać niemiecki i znowu dostałam profesora. Wszystko to razem — angielski, włoski, niemiecki — złożyło się na zachmurzenie moich myśli, na to, aby droga mego życia była taką, jaką była.

Paryż.

Od piętnastu lat jestem wykolejoną.

Śmierć pana Myeres, mego męża, i zupełna ruina majątkowa, która była jej następstwem, wyrwały mnie brutalnie z rodzinnego zamku w Chavigny w Chez i z pięknych apartamentów w pałacu

przy placu Franciszka I. w Paryżu. Przeleciał nad moją głową straszliwy huragan i oto znalazłam się „na gałęzi" w hotelu.

Ocalała tylko osobista moja własność i to daje mi możność szukać zapomnienia w podróżowaniu. Podróżuję więc...

W przeciągu tych wielu lat przeszłam wzdłuż i wszerz wszystkie drogi, po których kroczą zwykle ludzie wolni od zajęć. W końcu uczułam się zmęczoną tem ciągłem oglądaniem muzeów, kościołów, pomników i ruin. Zresztą bankier mój począł nawoływać do zmniejszenia moich peregrynacyj i dlatego obecnie spędzam więcej czasu w Paryżu w charakterze niezależnej cudzoziemki.

Po jakimś czasie próżnowanie zaczęło mi ciężyć. Uczułam potrzebę stworzenia sobie jakiegoś zajęcia — lecz jakiego?

Chciałam się oddać sprawom dobra publicznego, ale nie przychodził mi do głowy żaden projekt, zdawało mi się, że nikt mnie nie potrzebuje.

A tymczasem zima mojego życia dawała się często uczuwać w sposób nieprzyjemny. Upały i blaski młodości znikały zbyt widocznie.

Pewnemu pochlebcy, który chciał przekonać panią Récamier, że jest jeszcze piękną, ta odpowiedziała:

— Nie, nie! nie mam już żadnych złudzeń — kominiarze nawet nie patrzą na mnie.

Co do mnie nie przyglądali mi się nigdy, posiadałam jednak ów fluid tajemniczy, który przyciąga ku nam to wzrok, to sympatyę czyjąś, i który jest naszą największą pychą. Doskonale pamiętam chwilę, w której on mnie opuścił.

Było to w teatrze. Doznałam nagle uczucia dziwnej samotności — sala wydała mi się pustą, i wstrząsnął mną dreszcz, jakby pod powiewem silnego wiatru. Poczułam się raptownie starą.

Wszystkie kobiety znają, albo poznają kiedyś bolesność tej operacyi natury.

Wstrząśnienie moralne, które następuje zwykle po fizycznem, u mnie objawiło się w sposób dziwny — czułam, że w tej samej chwili spływa na mnie dar odrodzenia umysłowego.

Jeszcze będąc dzieckiem, w wyobraźni swej tworzyłam różne historye, których często sama nie umiałam odróżnić od rzeczywi-

stości. Później jakaś siła zewnętrzna, czy wewnętrzna, pchała mnie do pisania. Czułam moc tej siły po przez zmartwienia i radości życia. Nie mogłam nigdy usnąć — i dziś także nie mogę — żebym nie ułożyła w myśli jakiejś powieści, lub dramatu. Natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki rozpoczyna się akcya, wynurzają się osoby i słyszę niemalże ich głosy. Potem, jakby to wszystko było tylko dla wywołania snu rzeczywistego, zasypiam, nie mogąc nigdy dojść do rozwiązania.

Będąc młodą, byłam zapaloną lektorką. Sława George Sand obudzała we mnie zazdrość, chociaż sądzę, że pełne swobody życia i męzki sposób ubierania się tej kobiety pociągały mnie jeszcze bardziej. Matka, widząc z przerażeniem upodobania moje, starała się ośmieszyć w mych oczach wszystkie „sawantki". Dzięki memu lenistwu i wrodzonej wesołości nie potrzebowała zadawać sobie zbyt wiele trudu w tym kierunku. Wkrótce i życie samo zrobiło wszystko, co mogło, ażeby zabić we mnie te zdolności twórcze, jeżeli zgoła zabić je można. Przez wiele lat czułam je w sobie jak coś żywego, drogiego, jakby jakiś skarb, z którego nie korzystam, lecz który daje mi szczęście.

I oto w starości lat moich natchnienie wróciło... wróciło z taką siłą, że nie mogłam pokonać go i... uległam.

Pamiętam ten dzień, tę chwilę, odkąd stałam się jego narzędziem, jego rzeczą, i pomimo wszelkich wysiłków nie mogłam mu się oprzeć.

Myśli moje, lepiej odżywiane, nabrały nowej mocy i wydały na świat istotę, która dotąd przebywała w ukryciu w jakiejś komórce mego mózgu — wydały jednem słowem „powieściopisarza", zjawieniem się swojem zmieniającego zmierzch mego życia w cudowną zorzę poranną...

Amerykanki po odkryciu w sobie jakiegoś talentu, lub nowego upodobania, wykrzykują zwykle:

„I know why, I... am born" —wiem, na co się urodziłam, wiem, po co żyję.

O! ten pierwszy utwór!

Najpierw przyszły mi na myśl tytuł, punkt kulminacyjny i zakończenie, i nad tą trójką myśl moja pracowała całe dwa lata.

I ku wielkiemu memu zdziwieniu zrozumiałam, że mózg mój od dawna już przygotowywał się do stworzenia tego dzieła. Nie wiedziałam o tem, że dawno już gromadził potrzebne materyały i dokumenty. Głęboka znajomość życia, nabyta własnem, smutnem doświadczeniem, moje własne cierpienie, moje wykolejenie, podróże bez wyraźnego celu i miliony wrażeń, które nagromadziłam — wszystko okazało mi się niezbędnem. Im dalej posuwałam się w robocie, tem więcej podziwiałam pracę, która się już oddawna we mnie rozpoczęła. Młodzieńczość moja na polu tego nowego dla mnie zajęcia bywała czasem śmieszną. Często, czekając napróżno na natchnienie, wkładałam kapelusz i szłam zasmucona na przechadzkę; innym znów razem, kiedy gorąca, pełna życia fala jego uderzyła mi do mózgu, z radości uciekałam znowu z domu i siedziałam godzinami na tarasie w Tuilleries.

Ach ten pierwszy rękopis!

Ileż ja go wytrzęsłam w moich walizach, w ilu hotelach go pisałam!

Pewnej nocy w Rheimfelden des Bains wszczęła się straszliwa burza. Piorun uderzył w jeden z pawilonów w ogrodzie. Nikt nie kładł się spać i wszyscy, przygotowani do ucieczki, siedzieliśmy zebrani w jednej sali. Niektóre kobiety miały przy sobie dzieci, inne — pieski, a każka trzymała w ręku torebkę z pieniędzmi i kosztownościami. Co do mnie wzięłam w ręce tylko swój manuskrypt — to był mój najdroższy skarb.

Jeden z obecnych panów, alzatczyk, zapytał mnie z drwiącym uśmiechem, co zawiera ten pakiet.

— Zaczętą powieść — odpowiedziałam.

Po twarzy alzatczyka przemknęła ironia, która mnie ukłóła w serce.

Po wyjściu z druku pierwszego tomu, posłałam mu go z dedykacyą i przypomnieniem o pożarze.

— Miała pani słuszność, chroniąc go od zniszczenia — odpisał mi po przeczytaniu.

Z wyjątkiem łatwych robót szydełkowych, które robiłam zwykle dla biednych, żadnej innej nie mogłam nigdy dokończyć. Sądziłam, że to samo będzie z powieścią, lecz już od pierwszej chwili

rozpoczęcia pracy uczułam się jakby przykutą do biurka i, kiedy czasem zmuszona byłam oderwać się na dłużej, wracałam potem z większym jeszcze zapałem. Zresztą Opatrzność zesłała mi pomoc w tej robocie w osobie pewnej Francuzki, mieszkającej w sąsiedztwie na placu Vendome. Znałyśmy się od dziecka. Biedna kobieta, złożona obecnie ciężką chorobą, była jak uwięzioną. Najwyższą i jedyną prawie jej rozrywkę stanowiło czytanie książek. Szlachetność jej charakteru obudzała we mnie cześć, na którą, niestety, dość rzadko w życiu zdobyć się mogłam. Z nią jedną mówiłam o swojej pracy i widziałam w niej zainteresowanie się. Ileż to razy ona leżała na kanapie, a ja, siedząc przy małym stoliczku, na którym stała filiżanka doskonałej herbaty, odczytywałam jej ostatnie rozdziały swojej powieści. Słuchała z natężoną uwagą. To wzruszenie w jej pięknych czarnych oczach było dla mnie nową rozkoszą. Jej obecność, jej słowa, działały na mnie podniecająco, po każdej bytności wracałam do domu z myślami, rozgrzanemi jej sympatyą. I jestem najmocniej przekonaną, że bez niej mój pierwszy utwór spotkałby los, podobny do losu tych niedokończonych haftów, rysunków, koronek.

Dzięki jej skończyłam go zwycięzko i podpisałam:

Jan Noël.

Jan Noël! dlaczego tak, a nie inaczej? Tak. Miano to dźwięczy jakoś radośnie i mieści w sobie jakby dobrą wróżbę.

Dziecko się narodziło, lecz co z niem począć?

I znowu ta sama przyjaciółka zaopatrzyła mnie w list rekomendacyjny do redaktora jednego z najpoczytniejszych naszych pism.

Zdecydowałam się na ten krok z wielką trudnością, bo czyż nie jest śmiesznem i wprost wstrętnem, kiedy nieznana, pięćdziesięcioletnia kobieta zjawia się ze swym pierwszym rękopisem?.... Czułam to i, wchodząc do redakcyi, byłam wzruszona jak młoda naiwna.

Biura redakcyjne zrobiły na mnie wrażenie arcyniemiłe — czuć tu było w powietrzu jakąś szorstkość, jakieś mieszczaństwo.

Redaktor pan P. przyjął mnie grzecznie, ale z tą grzecznością niemiłą, która wymownie świadczy o pochodzeniu. Wziął rękopis w rękę, rzucił go na stół i powiedział:

— Dobrze, pani, przeczytamy to.

To! Zrobiło mi się zimno.

Mówić „to" o rzeczy, która była moją pracą przez długie lata, która była życiem mojem!

Nie rozumiał tego.

Nie, wydawcy i redaktorowie XX. wieku nie wiedzą jeszcze, co to jest rękopis; gdyby wiedzieli, uważaliby go za świętość.

Z tem wszystkiem powieść moja była przeczytaną — a mogła nie być — i wydrukowaną w feljetonie, a potem w odbitce książkowej.

Powodzenie, jakiego doznałam, przekonało mnie, że Jan Noël może doskonale przedłużyć życie pani Myères.

Co do mnie zresztą, nie widzę, żeby to było potrzebnem, lecz Opatrzność sądzi widać inaczej.

Napisałam drugi romans.

Pochlebna ocena pierwszego, napisana przez jednego z członków Akademii, miłującego literatów bezinteresownie, lubiącego oceniać dzieła według ich zasług, otworzyła mi łamy jednego z najpoczytniejszych naszych Przeglądów.

Przyjaciółka moja umarła przed ukazaniem się drugiego mego utworu.

W dniu wyjścia z druku pierwszych kartek stało się coś dziwnego.

Był koniec cichego, pogodnego dnia kwietniowego, kiedym poszła odwiedzić matkę nieboszczki.

Siedziałyśmy w tym samym pokoju, w którym tyle chwil spędziłyśmy na wspólnej pogadance.

Przywoływałam pamięcią tę piękną twarz madonny z czarnemi oczyma i czułam żal serdeczny, że już jej między nami nie było. Nagle, bez najmniejszego poruszenia liści na drzewach, rosnących pod otwartem oknem, przeleciał jakiś lekki podmuch, musnął mnie po twarzy i zniknął.

Drgnęłam. Serce zabiło mi gwałtownie. Czułam ją przy sobie i to wrażenie pozostało mi na zawsze.

Kto wie! ach! kto wie!

Kończę trzecią powieść.

Przez pięć lat studyowałam życie innych, obecnie przyszła mi ochota przestudyować własne. Może to nierozsądnie. Może Bóg wie jakie komórki mózgu i serca myśl moja przy tem otworzy.

Czy potrafię ominąć dziedzinę najboleśniejszych tajemnic? Będę nad tem czuwać, bo i umarli czasem nie są zupełnie umarłymi.....

II

Cannes, Hotel Riche.

Nie ma chyba stworzenia, które by się bardziej odemnie łudziło swoją wolnością. Najlepszym dowodem tego jest nadzwyczaj łatwe poddawanie się wszelkim suggestyom. Zdarza mi się naprzykład, że schodzę na obiad, nie mając najmniejszej chęci do wyjścia gdzieś dalej. Tymczasem w sali spotykam kilka osób, wybierających się do teatru, i natychmiast bierze mnie ochota do tego i idę także. Jeżeli widzę, jak któraś z mych znajomych pakuje się do drogi, muszę użyć całej siły woli, ażeby nie pójść w jej ślady. Nie macie pojęcia, co to znaczy potrząsać człowiekiem „na gałęzi".

Słysząc ciągle dokoła: jadę do Nizzy, jadę do Cannes, jadę do Monte Carlo — nabrałam chęci zwiedzenia południa.

Jedyną miejscowością na Rivierze, której jeszcze nie znałam, było Cannes — jakby fatum jakieś stawało mi zawsze na przeszkodzie do poznania tej miejscowości, i dla tego pociągała mnie ona jeszcze bardziej.

Pojechałam i oto jestem.

Ogromnie lubię przyjechać w nocy do jakiejś nowej miejscowości, a potem rano otworzyć okno na zupełnie nieznany horyzont i błądzić po nieznanych ulicach. Obecność czyjakolwiek psułaby mi wrażenie. Jest to chwila porozumiewania się mego z duszą okolicy — z rasą jej mieszkańców, z architekturą domów, z klimatem i mnóstwem rzeczy widocznych i niewidocznych. Czuję tę

duszę zupełnie wyraźnie, przyczem doznaję wesołego lub smutnego wrażenia, które pozostaje w pamięci na zawsze.

Po poznaniu się z okolicą, pozostaje druga przyjemność: zaznajomienie się z hotelem. Zewnętrznie są one wszystkie do siebie podobne: długie korytarze z drzwiami na prawo i lewo, jak w klasztorze albo więzieniu, sala jadalna z stołami czworokątnymi lub okrągłymi, przykrytymi obrusem, dalej czytelnia z pismami i książkami, pełnemi reklam, w końcu salon, urządzony często zbytkownie, lecz zawsze tak mało pociągający, jak ulica.

Pomimo jednak wspólnej wszystkim banalności, każdy hotel posiada właściwą sobie atmosferę, która może być sympatyczną, lub nie, wesołą, lub ponurą — to zależy od charakteru właścicieli i zebranych gości, wreszcie od rozkładu pokoi. Atmosfera olbrzymich karawanserajów, utrzymywanych przez towarzystwa, jest zwykle mrożącą — nie wytrzymałabym tam długo.

Hotel Riche, w którym obecnie mieszkam, położony jest w prześlicznym parku o dziesięć minut drogi od miasta. Fizyognomia jego podoba mi się. Mam ładny pokój na czwartem piętrze, a z balkonu cudowny widok. Przy pomocy kwiatów, książek, fotografii, piór, kałamarzy i papieru listowego umiem wszędzie zrobić niby swoje „u siebie“. Przybycie do nowego hotelu bawi mnie. Zdaje mi się, że nieznajomi, z którymi mam wejść w stosunki, przeznaczeni są do odświeżenia mego życia, do urozmaicenia go, a ja ze swej strony mam wywierać na nich pewien wpływ. To podnieca ogromnie moją ciekawość. W nowem otoczeniu czuję wyraźnie działanie fluidu, którym każdy człowiek jest obdarzony. Osoba nasza wywiera na jednych wrażenie przyjemne, na innych przykre, a jeszcze inni pozostają obojętnymi. Wśród różnorodności stopnia wykształcenia, uczuć i inteligencyi zawsze odnajdziemy odpowiadający naszym wymaganiom poziom.

Hotel Riche jest trochę zacofany — prócz ogólnego *table d' hôte'u* nie posiada oddzielnych stolików — jest to może mniej szykownie, ale za to rozwija towarzyskość.

Pierwszy obiad wywarł na mnie wrażenie dodatnie. Dużo kwiatów, panie w toaletach strojnych, panowie w smokingach —

wszystko to nadawało sali pozór elegancyi. Rozmowa była wesoła i zajmująca.

Zauważyłam kilka twarzy bardzo sympatycznych. Anglicy i Amerykanie stanowią przewagę — to dobrze, bo oni umieją nadać towarzystwu pewien ton czystości i poprawności. Zresztą dla rozgrzania tej grupy ludzkiej jest dosyć Francuzów, Hiszpanów i Rosyan.

Zdaje mi się, że nie będę się nudzić.

Cannes.

Podróż i zmiana otoczenia wywołują zwykle pewien zastój w umyśle, jakby nagłe zatrzymanie się jego pracy i, zależnie od środowiska, w którem się znajdziemy, trzeba krótszego lub dłuższego czasu, ażeby odnaleźć przerwaną nić myśli. Powoli wszystko wraca do zwykłego porządku.

Co do mnie czuję się już zupełnie zaaklimatyzowaną i widzę że ta nowa droga, po której toczy się moje życie, jest dość przyjemna.

O siódmej przynoszą mi herbatę — piję ją przy otwartem oknie, pisząc przy tem coś na kolanie. Świeże, ranne powietrze działa na mnie cudownie. Czasami wzrok mój zatrzymuje się na górach i morzu... wtedy kładę pióro i wpadam w stan dziwnego upojenia. Zdaje mi się, że wkraczam w krainę piękna i światła, że jestem pochłonięta czemś wielkiem, że jestem tam... wysoko... bosko szczęśliwa. Od niedawna dopiero zaczęłam doświadczać tych wrażeń. Niestety! trwa to zbyt krótko i znowu powracam do swego pisania, do śniadania i drobiazgów życia.

Po zrobieniu toalety wychodzę do miasta. Miasto, jako zbiorowisko domów, ludzi i sklepów, olśniewa do pewnego stopnia każdego, a stare Cannes wyjątkowo mnie pociąga. Idę na rynek kwiatowy, wstępuję do księgarni i robię tysiąc kroków na „Croisette".

Po śniadaniu i krótkiej rozmowie przy kawie wracam do siebie, kładę się na szezlongu i czytam dzienniki, a potem na parę chwil zasypiam. Ta codzienna siesta odświeża mnie doskonale.

Po południu samotnie, albo w towarzystwie, udaję się na dłuższy spacer, który kończy się zwykle szklanką herbaty u Baum-

pelmayera. Po powrocie piszę do obiadu. Wieczorami grywamy w karty, w bilard, w domino, albo w ruletkę. Wszystkie te gry zajmują mnie i bawią. Kiedy gram, naprzykład, w wista, nie istnieje dla mnie wówczas nic, prócz przeróżnych kombinacyj kart i to jest doskonałym dowodem atawizmu, ponieważ jestem wnuczką i córką znakomitych graczy. Zresztą rozrywka ta jest najlepszym wypoczynkiem dla mego mózgu. Przy zielonym stoliku znikają wszystkie osoby powieści lub dramatu, rozpraszają się ciężkie, filozoficzne myśli, za to po powrocie do zwykłej samotności zmartwychwstają z większą jeszcze siłą i często zmuszona jestem pisać do późna w nocy.

W ten sposób nie mam ani chwili czasu do rozpamiętywania lat przeszłych albo zastanawiania się nad okropnością zbliżającej się starości.

Życie hotelowe zmusza do większej staranności w ubiorze, każe być miłą i uprzejmą, wyrabiać w sobie równość usposobienia, ukrywać swe zgryzoty lub zmęczenie, jednem słowem chroni mnie od fizycznej i moralnej zgrzybiałości.

Cannes.

Kiedy wieczorem przyglądam się wszystkim osobom, należącym do przeróżnych ras, zebranym w tym oto salonie hotelowym, nie mogę uwierzyć, ażeby takie wspólne zejście się pod jednym dachem było tylko rzeczą przypadku. Niektórzy przybyli tu z bardzo daleka, z Chili, z San Francisko, czyżby tylko dla tych gier i niewinnej rozmowy? Stanowczo nie.

Musi tam na dnie leżeć jakiś powód inny, jakiś początek rzeczy, jakaś przemiana życia, potrzebna do ogólnego postępu.

Wszystkie te osoby należą pozornie do jednego świata, do jednej cywilizacyi, a jednak tworzą wiele odmiennych stopni wychowania moralnego.

W towarzystwie naszem można odróżnić trzy wyraźne koła: angielskie, amerykańskie i francuzkie.

Angielki zajmują się przeważnie robieniem szydełkiem pończoch dla sportsmenów, albo rękawiczek dla rybaków z Nowej Ziemi. Twarze ich są zawsze poważne, zimne, oczy łagodne. Mó-

mią głosem monotonnym. Jeżeli oddają się jakiejś grze, to robią to w wielkiem skupieniu i z doskonałą karnością.

W kole francuzkiem jest więcej światła, więcej życia. Damy wyrabiają różne drobnostki o barwach jaskrawych. Przedmiot rozmowy nie zawsze bywa tam poważny, ale za to toczy się ona gładko, bez utykania. W gry bawią się wesoło, przy akompaniamencie pustych żartów.

Wśród Amerykanów wreszcie jest najwięcej piękna, elegancyi i młodzieńczości. Ich kobiety w ogromnych kapeluszach z małemi torebkami ze złotego drutu na palcach, gawędzą bez przerwy. Grają przeważnie w „Pokera", a robią to z takiem przejęciem się, że wszystkie dostają rumieńców na twarzy. Zdarzają się między niemi cudowne, egzotyczne zjawiska.

Co za prześliczna rasa!

Oprawa ich oczu zachwyca mnie. W delikatnych, drobnych rysach odbija się dusza dobra, dziecięca.

Co innego Rosyanie i Polacy.

Twarze ich znamionują wielkie zdolności, ale w tem środowisku nowoczesnem oni ze swą wyrazistością rysów i wiecznym entuzyazmem, robią wrażenie wyszłych z mody.

Z przyjemnością powracam zawsze do Amerykanek.

Kiedy rozmawiają po francuzku, tracą one zwykłą swą pewność, głos ich i wyrażenia stają się mniej śmiałe i wieje od nich wtedy jakaś naiwność dziecięca, która zdaje się w gruncie rzeczy jest podstawą ich duszy.

Ich pracowitość niejednokrotnie pokonała moje lenistwo. W nich czuję wrzące życie ich ojczyzny.

U kobiet tej klasy, którą nazwałam „młodą Ameryką", zauważyłam potęgującą się coraz bardziej nerwowość, jakieś zmęczenie i zdegustowanie nawet do pieniędzy. Jedna z nich mówiła do mnie po spędzeniu zimy w Neapolu:

— Jakże odświeżającem jest spotkać ludzi niezamożnych a dobrze urodzonych!

Te damy światowe mają wzrok niepewny i wyglądają na istoty prześladowane.

Przyjeżdżają odpocząć w wolniejszem tempie naszego życia,

potem wracają znowu w wir swej szalonej swobody, aż wreszcie zakończą zupełnym rozstrojem nerwowym.

Patrząc na nie, nie dziwię się tej wielkiej ilości rozwodów i różnych skandal, o jakich piszą dzienniki. Ale to wszystko dzieje się tylko na powierzchni i na niewielkiej przestrzeni. Po za tą klasą istnieje w Stanach Zjednoczonych inna, godna podziwu, jakiej podobnej nie znamy i nie mamy u siebie.

Surowe zasady moralne i niezachwiana wiara emigrantów, przybywających z Anglii i Holandyi, wniosły do Świata Nowego wraz ze swą biblią rodzaj cementu moralnego. Dzięki temu cementowi dzieło ich, jako założycieli, oparło się wpływom rozmaitych awanturników i opiera się dotąd parciu zgłodniałej rzeszy, chciwej na pieniądze.

Ta purytańska dusza ojców-pielgrzymów nie opanowała li tylko swych następców w prostej linii, lecz przeniknęła cały kraj na północ, zachód i wschód — ona panuje od Bostonu do Filadelfii i stworzyła podstawę moralną, która rodzi ludzi poważnych o charakterze wzniosłym.

Doszedłszy do trzeciego pokolenia, ludzie ci stają się tem, co jankesy nazywają: „our best people" — nasza najlepsza klasa — a co ja nazywam „Starą Ameryką".

W starej Ameryce rozwody bywają rzadkim wypadkiem. Kobiety niechętnie opuszczają swój dom, a do Europy przyjeżdżają tylko w celu kształcenia się i po większej części posiadają wysoką kulturę.

Purytańskie zasady wycisnęły na nich piętno pewnej ciasnoty, pewnej mieszczańskiej surowości, ujawniającej się w braku dobrego gustu i w abnegacyi stroju. Nie posiadają one wdzięku ani błyskotliwości, lecz bije od nich czystość i szczerość.

I nie wiem, czy naturze brak sił do nadania blasku tym istotom wielkiej wartości, czy robić tego nie chce.

Ogromnie lubię zetknąć Francuzki z Amerykankami tego typu — w najbardziej nieznaczącej rozmowie uwydatniają się różnice ich charakteru.

Pewnego dnia przedstawiłam taką „Starą Amerykę" jednej

Francuzce z prowincyi.

— Czy pani ma dzieci? — zapytała ta ostatnia.

Twarz Amerykanki rozjaśniła się.

— Czworo — odrzekła — a dwanaścioro wnucząt.

— Czworo dzieci! dwanaścioro wnucząt i pani siedzi tu, w Europie!

— Oni nie potrzebują mnie wcale.

— Nie... być może... ale ja na miejscu pani potrzebowałabym ich sama.

— Po co?

To „po co?“ niemile dotknęło panią B.

— Każdego wieczora piszę do moich dzieci — mówiła dalej pani Wilson. — Opowiadam im, co robię i co widzę. Co środa wysyłam list, a każdy kuryer przynosi mi wiadomość od któregoś z nich. Komunikujemy się bezustanku. Bóg obdarzył mnie doskonałem zdrowiem, powinnam więc z tego korzystać. Tyle rzeczy jeszcze mam do zobaczenia!

— Jakich rzeczy?

— Szwecyę, Norwegię — pojadę tam tego lata. Widziałam Japonię w porze kwitnienia chryzantemów, muszę ją jeszcze zobaczyć i w porze rozkwitu wiśni.

No, trzeba było widzieć minę pani B.!

Kobieta pięćdziesięcioletnia, babka dwanaściorga wnucząt, pragnie wrócić do Japonii, ażeby przyjrzeć się kwitnieniu wiśni!

Norwegia! Szwecya! Japonia! to są chyba kpiny!

Śmiałam się długo.

Francuzka, jak każda kobieta z szczepu łacińskiego, cała jest jeszcze pochłonięta miłością dla męża i dzieci i z chwilą, kiedy ta ją opuszcza, nie widzi dla siebie nic na tym padole. Kiedy dzieci się pożenią, czepia się ich, starając się odebrać napowrót syna lub córkę i niszczy nieraz młode gniazdo, albo szuka pociechy w praktykach religijnych i uczynkach miłosiernych.

Wszystkie starzeją się bardzo prędko.

Ach! gdyby można było się nie starzeć!

Amerykanki posiadły ten sekret i, jako warunek do osiągnięcia go, radzą nie przestawać nigdy zajmować się życiem, prze-

ciwnie wszelkiemi siłami podążać za jego prądem, uczyć się ciągle i nigdy swych lat nie rachować. Mają najzupełniejszą słuszność.

Prawdziwe źródło młodości tkwi w naszych mózgach. Jeżeli potrafimy utrzymać zdolność działania ich komórek, one pobudzą krążenie krwi, życiodajnego fluidu, dodadzą blasku oczom, giętkości ciału i oddalą choroby, starość, a nawet i śmierć samą.

Daj Boże, żebyśmy kiedyś we Francyi mieli takie babki, co jak dzielne pszczoły zdolne są iść daleko szukać wrażeń, obrazów... szukać miodu dla swych wnucząt!

Cannes.

Nigdy nie lubiłam tego, co tak pretensyonalnie nazywa się „Brzegiem lazurowym“ i nowa próba nie przekonała mnie wcale.

Nienaturalny upał, oślepiające światło, w powietrzu powiew minstralu zmiata wszelką mgłę, wyiskrza koloryt nieba i morza do barwy indyga i wszystkim przedmiotom nadaje twarde nieprzyjemne kontury.

Zieloność, kwiaty, cisza zimy i ani odrobiny świergotu ptaków, które są zabijane dzięki ciemnocie i chciwości wieśniaków.

Zachody słońca cudowne, lecz zdradliwe. Chciałoby się pozostać na dworze jak najdłużej, ażeby nie stracić nic z tych przepysznych odcieni światła, przechodzących w złotawy fiolet, którego żaden pendzel malarski nie zdoła odtworzyć, tymczasem trzeba uciekać, bo dziwna wilgoć przenika do szpiku kości i wywołuje śmiertelne dreszcze w plecach.

Powietrze napełnia się widomymi i niewidomymi wrogami: złe komary, ci skrzydlaci trucicіele, owiani szałem miłości, rozpoczynają swój taniec rozmnażania się i zdobywają może nowy zapas potrzebnej im trucizny.

Doprawdy, szczerze mówiąc, wolę nasze poczciwe zachody słońca w Paryżu.

Nie lubię południa, lecz kocham wszystkich tych cudzoziemców, których się tam spotyka.

Pomiędzy światowcami widzimy też istoty, szukające zapomnienia, fizycznego zdrowia lub moralnego ciepła, w których duszach działo się coś, albo dzieje się obecnie.

Tydzień temu przybył do naszego hotelu jakiś Anglik, który

mnie odrazu zainteresował. Jest to człowiek pięćdziesięciu pięciu, może sześćdziesięciu lat. Wysoka postawa robi go trochę niezgrabnym, a ziemista bladość twarzy, ostre rysy i wilgotne oczy zdradzają pracę zniszczenia, która się dokonywa w tej wspaniałej na pozór budowie.

Przeczytałam na liście lokatorów jego nazwisko: sir William Randolphe.

Jest tu z żoną.

Pomimo że widocznie trzymał się na uboczu, byłam pewna, że się zbliży do mnie.

Wieczorem, grając w „bridge", widziałam kilka razy wzrok jego, pełen zdziwienia, utkwiony we mnie, a na ustach dostrzegłam irytujący mnie uśmiech ironiczny, właściwy Anglikom.

Dziś rano, siedząc na werandzie po powrocie ze spaceru, ujrzałam go idącego z parku. Sympatya moja bezwiednie szła ku niemu i dotknęła go widać w sposób niewidzialny, bo nagle przyśpieszył kroku i zbliżył się do mnie.

— Nie wiem, czy wypada tak bez żadnych wstępów przedstawiać się autorce, której utwór zrobił nam wielką przyjemność.

— Może nie wypada, ale jest to bardzo miłe — odrzekłam, rozbawiona tem oryginalnem zaczęciem rozmowy. Poprosiłam go usiąść.

— Lubi pan romanse? — zapytałam.

— Jeżeli są dobre — tak. Lubię je, jak lubię dobre cygara, a ponieważ te ostatnie są mi wzbronione, więc chwytam się literatury pięknej. Czy nie znajduje pani dziwnem, że ludzie pożądają powieści, teatru, mając prawdziwe życie przed oczami?

— Nie, bo to nie daje nam możności poznania życia całkowicie. Powieść i teatr nie są zwierciadłem życia, lecz są życiem w zwierciedle i tam tylko możemy je widzieć ze wszystkich stron, a prócz tego mamy zupełne zadowolenie naszych pragnień, bo widzimy zakończenie całej rzeczy.

Sir Willam popatrzył na mnie zdziwiony.

— Sądzę, że pani trafiła w sedno — powiedział. — Tłómaczenie pani wydaje się bardzo prawdopodobnem.

— Ale w jaki sposób wpadły panu w ręce moje bazgroty? — zapytałam.

— Przypadek chciał, że wydawca dzieł pani, Hutchison, jest moim dostarczycielem literatury i przysłał mi do Algieru oba utwory pani. Przyznam się, że brałem je w rękę z nieufnością.

— Zapewne dlatego, że autor francuzki?

— Tak. Wasi powieściopisarze mają często wielki talent, ale piszą o rzeczach odpychających. Na to uskarżają się nietylko hipokryci Anglicy — dodał z odcieniem złośliwości — ale wszyscy porządni ludzie z całego świata.

— Niech mi pan wierzy, że nigdy nie pisze się romansu tak, jakby się chciało. Mojem marzeniem, naprzykład, było napisać powieść, której bohaterami byłyby jednostki z ludu i zwierzęta. Chciałam przedstawić życie skromne, ale mocne. I cóż? widział pan, co zrobiłam.

— Nie umiałbym tego żałować. Książki pani zawierają dużo myśli i prawdziwe studya nad charakterami, które mnie wprost zainteresowały, jakkolwiek nie żywię wielkiej sympatyi dla moich kuzynek amerykańskich.

— Pociągnęło mnie przeciwieństwo — odrzekłam, uśmiechając się.

— Nie mam względem nich żadnego uprzedzenia, niech mi pani wierzy. Ale wady ich rażą mnie, a wychowanie moje nie pozwala mi zachwycać się ich nowoczesnemi zaletami. Bo proszę. Są one zdolne w każdej chwili porzucić dom, męża, dzieci, a potem bawić się i być szczęśliwemi.

— To prawda. Ale czy nie sądzi pan, że gdyby w ich państwie związki małżeńskie były tak samo nierozerwalne, jak u nas, to powstrzymałoby i opóźniło postęp ludzkości? Czy nie są one czynnikami, potrzebnymi do wymiany pomiędzy Starym i Nowym Światem? bezwiednemi wehikułami, rozwożącemi idee i wrażenia?

— Nie... nie posiadam bujnej imaginacyi powieściopisarza.

— Nie ma w tem wcale imaginacyi. Jest to fakt naukowo pewny.

Sir William patrzył na mnie przez chwilę, a potem rzekł:

— Pani mnie zadziwia coraz bardziej. Kiedy mi żona powiedziała, że jesteś pani Janem Noël, nie chciałem temu wierzyć.

— Zapewne wydałam się panu za starą na młodego autora?

— Bynajmniej. Tylko nie mogłem uwierzyć, ażeby osoba,

poruszająca w swych dziełach kwestye niezmiernej wagi, mogła z takiem zajęciem tasować karty, albo oddawać się grze tak obrzydliwej jak „bridge“.

— Ależ to zupełnie co innego — wykrzyknęłam z całą szczerością — tamto jest pani Myères, osoba lekkomyślna, która oddałaby życie za bezika. Jan Noël przybył na świat dopiero pięć lat temu, a przez długi czas nie miał żadnej swobody.

— A więc to dlatego jest on obecnie tak pełen energii, co zresztą mnie niewymownie cieszy, bo mam zamiar stoczyć z nim niejednę walkę na wielu punktach.

— Ale spodziewam się, że nie jesteś pan nieprzyjacielem Francuzów?

— Bynajmniej. Mam nawet dla nich wiele sympatyi, tylko nie zawsze ich rozumiem. Nie rozumiem, kiedy po każdem niepowodzeniu wykrzykują: „jesteśmy zdradzeni!“ Nie rozumiem, kiedy po przegranej bitwie, zamiast skupić się koło rządu i iść ręka w rękę, kłócą się i wzajemnie sobie szkodzą. Z nami Napoleon pomściłby Waterloo, a wy wysłaliście go na wyspę św. Heleny.

— Ma pan słuszność.

— Nie rozumiem Francuzów w ich sposobie traktowania Ferry'ego, ani w sprawie Boulanger'a, ani tem mniej Dreyfusa. Ich stanowisko w naszej wojnie z Boerami sprawiło mi przykrość i nie tylko mnie, lecz i wielu innym. Byliśmy zaatakowani — musieliśmy się bronić. Zresztą każdy wielki naród ma na swem sumieniu grzechy pewnych zwycięstw, jeżeli grzechem nazwać to można. A wy, czy nie więziliście pewnej małej królowej Madagaskaru?

— I wy i my spełniliśmy dzieło, które nam było przeznaczone — oto wszystko. Ale czy życzy pan sobie, abym mu dała klucz do poznania naszego charakteru?

— O, zrobi mi pani tem wielką przyjemność.

— Otóż proszę. Rasy saksońskie, teutońskie i im pokrewne są rodzaju męskiego; łacińskie, celtyckie i słowiańskie — rodzaju żeńskiego. W duszy Francuzów góruje pierwiastek kobiecy. Czytaj pan naszą historyę, literaturę, a odnajdziesz go tam ze wszystkiemi wadami i zaletami.

Twarz sir Williama rozjaśniła się.

— „Upon my word!" na honor! to musi być tak — wykrzyknął.

— Odwiedzałam często Anglię i mocno żałuję, że jesteśmy zawsze obcymi jedni dla drugich — powiedziałam.

— A jednak w książkach swoich wykluczyła pani zupełnie Brytańczyków z pola swoich obserwacyj.

— Niech pan będzie cierpliwy, właśnie przygotowuję tom o waszym kraju.

— O! to dopiero będzie dla mnie interesującem!

— Sto razy obróciłam pióro, zanim zdecydowałam się swój sąd o was wypowiedzieć. Mam punkt honoru, ażeby nie być niesprawiedliwą lub stronniczą. Jednocześnie też starałam się przedstawić cechy naszego charakteru ze strony prawdziwej. Ale jestem pewna, że pan, naprzykład, nie przestąpił nigdy progu domu francuzkiego?

— Owszem. Będzie temu trzy lata ja i lady Randolphe poznaliśmy tu, w tym samym hotelu, małżeństwo Lusson i ich śliczną siedmnastoletnią córeczkę. Pewnego dnia w rozmowie żona moja, która jest Irlandką, powiedziała, że jedna z jej kuzynek ze strony matki, wyszła za Francuza nazwiskiem La Reynie. I cóż się okazało? oto owa kuzynka była rodzoniutęńką babką pani Lusson.

— Tak, życie robi nam czasem miłe niespodzianki.

— Częściej jednak mniej przyjemne. Odkrycie to zacisnęło jeszcze bardziej węzły naszej przyjaźni. Później państwo Lusson spędzili cały miesiąc u nas w Simley Halle w Staffordshire. My ze swej strony rewizytowaliśmy ich potem w Turenii. Tam to poznałem bliżej Francuzów i oceniłem ich dobre strony. Posiadłość państwa Lusson Rouziers znajduje się o kilkanaście kilometrów od Tours.

— Rouziers! — wykrzyknęłam — ależ znam tę miejscowość doskonale.

— Tak?

— Prześliczna posiadłość w stylu Ludwika XIII.

— Tak, tak!

— Od dziesięciu lat spędzam październik u moich znajomych w Vouvray, tam to podczas jednej wycieczki pokazano mi ją.

— To ciekawe — powiedział sir William — skończy się na tem, że i my z panią odnajdziemy jakichś wspólnych krewnych.

— Nie dziwiłabym się temu. Najczęściej spotkania tutaj bywają ułożone z góry.

W tej chwili odezwał się dzwonek, wzywający na śniadanie. Podałam rękę swemu towarzyszowi.

— Do zobaczenia, wszak prawda?

— Jeżeli pani pozwoli, przedstawię jej lady Randolphe dziś po południu.

— Z przyjemnością, ale czy chce ją pan zapoznać z panią Myères, czy z Janem Noël?

Sir William chwilkę się zawahał i odrzekł tonem żartobliwym:

— Z panią Myères, bo ona gra w „bridge“ i w domino. Jana Noël zachowam dla siebie, jeżeli pani pozwoli.

— „All right!“

Z temi słowy pożegnaliśmy się.

Wróciłam do siebie dziwnie wzruszona, jak to bywa zwykle ze mną, kiedy coś się stało, lub ma się stać. Czyżbym dla zetknięcia się z tym człowiekiem była posłana do Cannes?...

Cannes.

A więc państwo Randolphe i ja jesteśmy w blizkich stosunkach.

Co za piękne zjawisko natury to łączenie się istot ludzkich! Często przez długie lata kroczą innemi drogami, nagle schodzą się w jednym punkcie i spotykają się.

Spojrzenia krzyżują się, zwracają ku sobie i biorą się wzajemnie. Tysiące okoliczności zbliża ich ze znamienną stanowczością. Mózgi ich komunikują się fotograficznem odbijaniem obrazów i wrażeń, każdy daje cząstkę swej duszy, wystarczającą zupełnie dla wywołania mniej lub więcej głębokich wibracyj.

Randolphe'owie, o istnieniu których przed dwoma tygodniami nie wiedziałam, obecnie znają moją matkę, tę jasną postać, blaskiem swym oświecającą mi życie, znają mego ojca, moich nieboszczyków, moich przyjaciół. Opowiedziałam im o mojem dzieciń-

Śląska Biblioteka

stwie, o młodości, no i naturalnie o małżeństwie. Z przedziwną intuicyą natur subtelnych odczuli, że ten ostatni rozdział zawiera dla mnie coś bolesnego i nie poruszali go wcale. Czuję, że odtąd wszystko, co mnie spotka, szczęście czy nieszczęście — nie będzie dla nich obojętnem.

Jest to przyjemne i przykre równocześnie, bo jestem bardzo zazdrosna o swą niezależność, o swą samotność.

Oni ze swej strony wtajemniczyli mnie w swoje życie. Opowiadali o najstarszym synie, który umarł w Indyach, o zamężnej córce, o trojgu małych wnucząt, o młodszym synie Klaudyuszu i o Simley Hall, ich starej siedzibie rodzinnej. Znam imiona wszystkich ich psów.

Sir William stoi na czele wielkiego towarzystwa górniczego i posiada własne kopalnie węgla w Staffordshire. Mało ludzi może mi zaimponować taką siłą woli, jak ten człowiek. Zdaje się, że rozsadza ona jego piersi. Kiedy idę obok, czuję wyraźnie jego opiekę nad sobą. Musiał być zawsze despotycznym panem i władcą dla żony i całego otoczenia i tylko nieszczęsna choroba serca, która go pożera, wpłynęła na utemperowanie i złagodzenie jego charakteru. Obecnie czasem tylko głośniejsze sapnięcie nosem, lub surowy zarys ust świadczą o srogości. W ogóle robi on na mnie wrażenie konającego lwa. Posiada on umysłowość, właściwą Anglikom, wykarmioną na biblii i różniącą się zasadniczo od subtelnej czułostkowości Francuzów, która tak często wtrąca nas do klasztoru albo pogrąża w dewocyi.

Sir William po nad wszystko kocha naturę — kwiaty, zwierzęta i gwiazdy. Najulubieńszą jego nauką jest astronomia i nawet ma w swym parku obserwatoryum do badań w tym kierunku. Wieczorem, kiedy przechadzamy się po werendzie, wzrok jego zwraca się zawsze ku niebu.

Jeżeli się nie mylę, jest coś tragicznego w śmierci starszego syna — niezwykłym ciężarem przygniata ona jego umysł.

Przedwczoraj, nie wiem z jakiego powodu, zawołałam, jak mi się to często zdarza:

— Życie jest pięknem!

— Życie piękne? — wykrzyknął sir William — piękne z temi

wiecznemi męczarniami. z temi nieuniknionemi, nieprzewidzianemi zmartwieniami? Często uważać należy za bohaterstwo, że go nie przeklinamy. Za cóż je pani ma?

— Mam je za zbiorowisko cudownych sił, które razem tworzą dzieło wszechświatowe. Zresztą nie mamy prawa wydawać o niem sądu, nie znając ani początku jego, ani końca. Kiedy oko moje spotyka jakąś szpetotę, staram się przenieść je na coś pięknego i mówię sobie: to przerodzi się w tamto. Piękno i brzydota, cnota i występek dopełniają się wzajemnie, a jaką drogą — wie o tem tylko natura.

— A więc, sądzę, że wszyscy posiadamy instynkty istot bezrozumnych i przeciwko nim powinniśmy staczać silną walkę, w czem, przyznaję, jest nawet pewna przyjemność.

— Oto jest prawdziwie angielskie rozwiązanie kwestyi.

— A czyż pani może uwielbiać człowieka, tak pierwszego lepszego?

— Najzupełniej. Bez względu na to, czy będzie on piastował berło, czy miotłę, zawsze będę w nim widzieć tylko narzędzie Boga. I sądzę, że najmarniejszy twór ludzki jest tak samo potrzebny jak i ja. Przecież jeżeli raz już człowiek stanął na szczeblu życia ludzkiego, nie może być z niego strąconym. Może nawet pośliznąć się i upaść na sam dół, lecz przyjdzie czas, że się podniesie znowu i dojdzie do doskonałości i szczęścia.

— Kto pani tak pięknie to wyłożył?

— Wiedza.

— Wiedza! o piękną jest wiedza!

— Tak, panie. Ona mi otworzyła oczy na nieskończone horyzonty. I dziś wierzę święcie w obietnicę tych błogosławionych, którzy rozproszyli moje nieuctwo. Wierzę, że sprawdzą się słowa: Ci, którzy łakną, będą nasyceni".

— Amen! — dokończył mój towarzysz, głęboko wzdychając.

Sir William posiada dar przedrwiwania, które dziwnie razi i odrazu odkrywa śmieszną stronę rzeczy.

Lubi też bardzo przekomarzanie się — „chaffing" — po angielsku, a ponieważ jest to i moją specyalnością, więc nie ustępujemy sobie wzajemnie.

Moja zdolność przechodzenia w rozmowie od tematów błahych do najbardziej poważnych jest przedmiotem jego wiecznego podziwu. Jestem pierwszą Francuzką, z którą, jak powiada, może wymieniać swe myśli, i widzę, że coraz bardziej czuje się pobitym.

Wczoraj rano przyszedł na werendę i zajął miejsce obok mnie.

— Założę się, że pani jest przesądna — powiedział, jakby wyzywając mnie do walki.

— Ogromnie.

— Nie lubi pani, naprzykład, zobaczyć na nowiu księżyc przez szybę?

— O, nie! nie!

— I wierzy pani w złe oczy?

— Wierzę, że zetknięcie się z pewnemi osobami przynosi nam szczęście, z innemi — nieszczęście. Czyż nie jesteśmy wszyscy dla siebie narzędziami radości lub smutku? zwiastunami złej lub dobrej doli?

— Temperamenty, skłonne do przesądów, mieszczą się na dwóch przeciwległych krańcach drabiny ludzkiej — są one wybitną cechą tych, którymi zawładnęły najbardziej poziome instynkty i tych — których strona uczuciowa jest bardzo rozwinięta.

— Ja zaraziłam się tą chorobą we Włoszech, gdzie na każdym kroku słyszałam te słowa: to przyniesie szczęście, to — nieszczęście. W końcu musiałam stać się wrażliwą. A pan, czy nie wierzy w przeczucia?

— Niestety! wierzyć w nie muszę. Kiedy najstarszy syn mój odjeżdżał do Indyi, ściskając rękę jego na pożegnanie, czułem, że go więcej nie zobaczę. A on sam, będąc już na statku, prosił matkę, żeby mu zaśpiewała piosenkę, którą mu w dzieciństwie nuciła.

— Ze mną także był kiedyś dziwny wypadek — powiedziałam. — Podczas jednego z pobytów moich w Krymie, jeszcze za życia pana Myères, mego męża, poszłam zwiedzić kaplicę św. Jana de Latran gdzie znajduje się niezapomniana „Pietá“. Przedstawia ona niejakąś nadludzką dziewicę, lecz zwykłą kobietę, trzymającą na kolanach ciało

złamanego życiem, umarłego człowieka, którego kochała, a może nawet, któremu dała życie. Dzięki reflektorom światło pada tylko na tę grupę, pozostawiając całą kryptę w cieniu. Boleść na twarzy kobiety, uwydatniająca się dzięki oświetleniu, magnetycznie udzieliła się i mnie, chociaż nie byłam ani wierzącą, ani matką. Nagle, ku wielkiemu zdziwieniu innych odwiedzających, wybuchnęłam głośnym płaczem. W sześć miesięcy potem — mąż mój nie żył, a kiedy ubierałam go na śmierć, grupa z kaplicy Corsini stanęła mi przed oczyma, tylko na miejscu tamtej kobiety ujrzałam siebie. Wy Anglicy macie dobre przysłowie: „Nieszczęście rzuca często swój cień naprzód".

— To z pewnością.

— A czyż nie jest to dowodem, że nasze przeznaczenie jest z góry zakreślone?

— Dowodem... tak. Ale może być także złudzeniem — odrzekł sir William i nagle zwracając się ku mnie, dodał:

— Najsilniejszym dowodem tego było to, co pani w swej książce utrzymuje, że miłość jest naprawdę fluidem. Kiedyś... czuliśmy go oboje i ja, i pani — dziś chciałbym go zobaczyć.

— Zobaczyć? — wykrzyknęłam — czyż można widzieć takie rzeczy, tu na tym padole?... Czyż widział pan kiedy myśl-uczucie?

Twarz sir Williama przybrała wyraz jakby chwilowego szaleństwa.

— „By Jove no!" — na Boga nie! i nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego.

— A jednak ci wielcy niewidzialni prowadzą nas. Oni to kierują światem, dają nam życie i pobudzają do czynu.

— Czy to pomiędzy dwiema partyami „bridge" dowiedziała się pani o tem?

— Może... w każdym razie nie podczas gry.

— Sądzę. Ale żart na bok, musiała pani dużo w życiu zastanawiać się.

— A cóż robić innego, siedząc „na gałęzi"? Jan Noël zdobył tę mądrość, którą wy przypisujecie starej sowie: „He has beeome as wise as an ohl owl."

Jakby nie dość było tych codziennych pogadanek, państwo Randolphe'owie zabierają mnie każdego popołudnia do swego powozu i jedziemy na przechadzkę. W ten sposób poznaliśmy już wszystkie okolice Cannes.

Wiosna rozpoczęła się na dobre.

Niebieskie tony łagodnieją, z każdym dniem coraz więcej złota w fioletach zachodu. Ptaki, którym udało się uniknąć bezrozumnego morderstwa, i inne, powracające z oddali, rozpoczynają swoją pieśń miłosną.

Wczoraj, schodząc z pagórka, doznałam wrażenia, że zstępuję w jakąś kąpiel z lazuru i drżących świateł.

Prawdziwą porą roku Riviery powinno być lato, bo wymagając czy to od ludzi, czy od rzeczy nieprawdopodobieństw, jesteśmy zawsze narażeni na zawód.

Po spacerze dostajemy zwykle od pani Randolphe po filiżaneczce doskonałej herbaty. Chory wypoczywa trochę, a potem do obiadu gramy w pikietę.

Pani Randolphe jest typową żoną angielską, pełną słodyczy i łagodności. Ze wzruszającą pokorą uznaje wyższość swego męża i jest zachwycona, że towarzystwo moje sprawia mu przyjemność.

I oto ci moi nowi przyjaciele, którzy mnie tak przygarnęli, odjeżdżają jutro!

Sprawia mi to wielką przykrość.

Chciałam wyjechać razem z nimi, lecz mój pokój w hotelu Castiglione będzie wolny dopiero za tydzień.

Dziś wieczorem, kiedy po raz ostatni przechadzaliśmy się po werandzie, sir William zapytał mię, czy mogłabym przyjechać do Anglii w czerwcu.

— O, nie! — odrzekłam — muszę zobaczyć wiosnę w Turenii, mam już tę fantazyę oddawna.

— Czy nie byłabyś pani zdolną zrobić z niej poświęcenia dla mnie? Żona moja chce prosić panią, abyś spędziła kilka tygodni u nas w Simley Hall.

— Na przyszły rok, jeżeli państwo pozwolą.

Sir William zatrzymał się i, zwróciwszy się wprost ku mnie, powiedział tonem szorstkim:

— Czy wyglądam na człowieka, który pożyje jeszcze rok?

Serce moje przeczuwało co innego, lecz opanowując wzruszenie, odrzekłam:

— Ma pan organizm, zdolny jeszcze przez długie lata walczyć z chorobą a nawet ją pokonać.

— Tak pani sądzi! — westchnął mój towarzysz z bolesną ironią. — Nie podzielam tego zdania i dlatego mam prawo być despotycznym. Chciałbym pani pokazać Simley Hall, jego stare drzewa i moje ulubione gwiazdy. Niech mi pani zrobi tę przyjemność i przyjedzie do nas w czerwcu.

Jakaś siła wewnętrzna zmusiła mnie ustąpić.

— A więc niech będzie w czerwcu — odrzekłam. — Widzi pan, nie każę się długo prosić.

Radość rozjaśniła twarz mego towarzysza.

— Pani jest bardzo dobra — powiedział łagodnie. — Przejeżdżając przez Paryż, zaprosimy państwa Lusson — chciałbym, żeby pani przyjemnie było u nas. Będą i młodzi: nasz syn, córka, zięć, wnuki. Pani Myères będzie miała partnerów do „bridge“, a Jan Noël przestudyuje doskonale rodzinę angielską starej daty, — są one już na wymarciu. Zresztą dołożymy wszelkich starań, żeby pani było przyjemnie.

— Nie wątpię w to i jestem nawet pewna, że będę się tam czuć szczęśliwą.

— A więc możemy liczyć na panią?

— Najzupełniej.

— Dziękuję. Francuz pocałowałby za to w rękę — dodał z figlarnym uśmiechem — ale są rzeczy, których John Bull robić nie potrafi...

A więc jestem związana z Anglią...

Pobyt w Cannes zmienił zupełnie moje plany. Czyż by takim był jego cel?.....

Cannes.

Czuję się bardzo samotną.

Sezon kończy się — codziennie ktoś odjeżdża. Fizyognomia stołu zmienia się ciągle — jak tylko ktoś ubędzie, szeregi się ścieśniają i znowu niby tak jak było, tylko dziwne, że brak je-

dnych sprawia nam ogromną przykrość — a braku innych nie odczuwamy wcale. Fakt banalny, a jednak ciekawy, świadczący, według mnie, o istnieniu fluidu osobowego. Dzięki temu możemy przechodzić przez tłum, nie łącząc się z nim wcale. — Inaczej spadalibyśmy jedni na drugich, całowalibyśmy się, albo wydrapywali sobie oczy. I cóż by z nas pozostało bez tej nieocenionej przegrody? Sądzę, że wszystkie stworzenia na świecie są ugrupowane według pewnego systemu.

Podróż koleją jest bardzo męcząca dzięki swej nieubłaganej, jak zły duch, konieczności. I żaden krzyk ludzki nie powstrzyma szalonego pędu pociągu. Uwozi on jakgdyby bezpowrotnie tych, których zabiera.

Inaczej dzieje się z podróżą powozem — wtedy pozostaje nam zawsze nadzieja, możliwość powrotu... Kiedy pod koniec sezonu słyszę, jak ludzie mówią o powrocie „do domu", uczuwam silniej swoje osamotnienie. Doznaję przykrego wrażenia jakby strachu i upokorzenia. Tak samo dzieje się podczas świąt uroczystych — czuję brak ogniska, brak ciepła rodzinnego i drżę wewnętrznie, ale gdy chwile te przeminą, znowu jest mi dobrze „na gałęzi",

III.

Paryż, Hotel de Castiglione.

Na dworcu nikogo... ani rodziny, ani służących. Żółty omnibus Tow. Śródziemnomorskiego, a potem hotel — to mieszkanie dla wszystkich i w nim pokój, który wczoraj należał do kogo innego.

Kochany pokój!

Chciałabym go zamknąć przed innymi, ale nie mogę. To nic, przerobię go wkrótce na „swój".

Ciekawe! przez tyle miesięcy zamieszkiwali go obcy, a jednak z chwilą, gdy weń wchodzę, staje się on jakby moim rodzinnym. Tyle w nim wspomnień... tyle w nim przemyślałam...

Stół, jakby jakiś sprzęt czarodziejski, zachęca do pracy, i doprawdy nigdzie mózg mój nie jest tak czynnym, nigdzie tak żywo nie czuję natchnienia. Tu, w tym pokoju, spełnię zapewne swe obowiązki chwil ostatnich. Ha! podążajmy ku nim wesoło!

Zawsze wracam do Paryża z radością — jest on tą cząstką naszej planety, której najbardziej żałować będę. Kocham go jak istotę żyjącą. Ktoś kiedyś powiedział: „bywają krajobrazy, które chciałoby się uścisnąć“. Pewnego wieczora w Tuilleries, patrząc na wspaniałą aleję, ciągnącą się od Pól Elizejskich do Łuku Tryumfalnego, oświetloną promieniami zachodzącego słońca, czułam, jak ramiona moje roztwierały się pod wpływem niepokonanej czułości. Według mego zdania piękno Paryża mieści się nie tylko w jego topografii, ładnych, równych ulicach, pomnikach i elegancyi, ale także w jego niebie i powietrzu, w jego duszy.

Niebo nasze ma zawsze delikatne tony, nigdy nie jest ani za nizkie, ani za twarde, atmosfera jest lekką, chmurki niebieskie, a mgły popielatawo-białawe.

Dusza Paryża jest młoda, wesoła, entuzyastyczna, swobodna i namiętna.

I nie wiem, czy jest miasto, którego by bardziej nie znano, i tak niesłusznie czerniono, jak Paryż.

Pieniądz, rzucony do pewnego kinematografu, wywołuje panoramę Moulin Rouge, lub coś podobnego — tak samo w większości mózgów cudzoziemców słowo Paryż rysuje postać półnagiej kobiety z podniesioną do góry nogą, albo wnętrze jakiejś podejrzanej kawiarni. U kobiet — wyraz ten jest równoznaczny z przeróżnymi gałgankami, strojami, ozdobami i wogóle owocami zakazanymi.

Nie przez kinematograf trzeba mu się przyglądać, a wtedy ujrzymy jego życie wyższe, które jest doskonale intensywnem.

Jeżeli w Paryżu bawią się więcej niż gdzieindziej, za to umieją także kochać goręcej i pracować szczerzej.

Kiedyś miasto to bawiło mnie, obecnie — zaciekawia i interesuje niezmiernie.

W grudniu i styczniu pomiędzy piątą a szóstą po południu przechadzam się z przyjemnością po ulicy La Paix — są to godziny załatwiania spraw pieniężnych i miłosnych.

Wzdłuż połyskujących światłem szyb sklepowych przechadzają się tu osobniki z „życia paryskiego“, ci od Lavedana, dbający przedewszystkiem o piękno fizyczne — istne lalki wyciete

z żurnalu. Można je poznać po kapeluszach, po pończochach, po dolnem ubraniu.

Ogromnie zabawny widok.

Dalej światowcy i damy ze świata i z półświatka. Ciekawe typy! Nie brak im brawury, chociaż nieraz cierpią tak samo jak my. Małe ich dusze pożerane są uczuciem zazdrości, chciwości, doznają częstych ukłuć szpilki, co jest zawsze bolesnem. Widziałam na tych twarzach wyraz rozpaczy i cierpienia, który momentalnie przechodził w uśmiech.

Każdego wieczora zbierają się oni tu w tym zakątku Paryża, jakby przyciągani ogniem brylantów i drogich kamieni, a w sercach ich budzi się zawiść, pragnienie, po ustach przelatują uśmiechy, żarty lub gorycz.

Ten rój motyli ludzkich przypomina mi zawsze taniec moskitów.

Wszystko to trwa godzinę, poczem ulica przybiera swój zwykły charakter — scena odegrana.....

O dwadzieścia kroków dalej dzieją się rzeczy naprawdę wielkie i wspaniałe.

Pomiędzy bulwarem Magdaleny i ulicą Drouot o godzinie zmierzchu rozpoczyoa się „five o'klok“ bulwarowców.

Jak na znak umówiony zbierają się tłumy z czterech stron stolicy. Ręce szukają się i ściskają wzajemnie. Prąd uczuć, myśli i zdań przelewa się z jednych do drugich.

Obrabiają się tu interesy, przygotowuje się bogactwo dla jednych, ruinę dla drugich. Wymawiają się wyrazy, które często mają nieobliczalne następstwa złego, lub dobrego. Pochłaniają się zarodki śmierci albo życia. Miłość, nienawiść, zazdrość, krzyżują się.

I to wszystko trwa najwyżej godzinę i nie jedno dzieło spełniło się...

Jestem pełna podziwu dla tej potężnej siły, która kieruje tą falą ludzi, zna najtajniejsze myśli ich mózgów, każde drgnienie ich ciała. Czasem, przechodząc przez ten tłum, dojrzałam nagle jakby przy blasku błyskawicy spełnienie się jakiegoś czynu, od którego uciekałam z przerażeniem.

W całym wszechświecie jest nieustające wrzenie. Zależnie od miejsca i pory w Paryżu jest ono odmienne, kościoły wrą idealizmem, uniwersytety i pracownie naukowe — myślą; parlament... wre czem?... niestety! nie uczuciem patryotycznem, lecz namiętnościami politycznemi, ambicyą, zawiścią. W Moulin Rouge i miejscowościach jemu podobnych kipi życie poziome, zmysłowe. W dzielnicach ludowych wre siła materyalna, odwaga, miłość i nienawiść, a przedewszystkiem — cierpienie, które jest najdłużej trwającem.

Doprawdy zdaje mi się, że umiejętnie wybrałam miejsce dla przyglądania się życiu, bo widzę je pięknem i potężnem. O, tak potężnem, że chwilami doznaję uczucia strachu, lecz i ufności zarazem.

Paryż.

Stykając się z możnymi tego świata, czuje się niechęć do ludzkości, lecz zbliżywszy się do maluczkich, godzimy się z nią zupełnie. Są to refleksye, do których doszłam przedwczoraj.

„Figaro“ ogłosił wentę w sali hotelu D.....

Sprzedający i sprzedające, wybrani z najwyższej arystokracyi, mieli przywdziać na siebie ubiory naszych najstarszych prowincyj. Był to najbardziej pociągający punkt programu. Ta sielankowość w ramach starożytnego budynku z XVIII. wieku pociągała mnie ogromnie.

Udałam się na ulicę Varennes.

Zaraz przy wejściu, zamkniętem ruchomym krzyżem, markiz A. w szerokim kapeluszu, haftowanej kamizelce, krótkiej, aksamitnej kurtce i wysokich trzewikach odebrał odemnie kwotę dwóch franków, przyczem obdarzył mnie miłym uśmiechem.

Wieśniak-dżentelman, to także coś warte!

Minęłam przedsionek i cały szereg salonów. Przez drzwi otwarte do starego ogrodu, jaki daje się jeszcze spotykać tylko w Saint Germain, widać w głębi olbrzymie drzewa, stare mury, obrośnięte powojami, dzikie trawniki ze zbitemi masami rododendronów, lilij i innych kwiatów, i wysypane piaskiem dróżki.

Tu porozrzucano kioski, pourządzano sklepy, przygrywa orkiestra, złożona z pseudo-cyganów. Malownicze grupy kobiet

w jasnych toaletach odbijają jaskrawo przy czarnych sukniach zakonnic i sutannach księży. Pomiędzy wszystkimi wyróżniają się młode panny i młodzi panowie w strojach narodowych prowincyj: Brétagne, Anjou i Poitou. Przechadzają się tam i napowrót z widoczną chęcią pokazania siebie ze wszystkich stron.

Poprosiłam pannę C.... o filiżankę herbaty — podała mi ją z ogromnym wdziękiem.

W mleczarni umieszczono wspaniałą krowę, której sierść, wyszczotkowana na tę uroczystość, połyskuje lepiej, niż kapelusz modnisia. Biedne stworzenie stało, jakby zahypnotyzowane tem arystokratycznem otoczeniem, w którem się znalazło. Bo pomyślcie tylko: ma dawać mleko w Saint Germain! Cóż to za honor!

Ale i zwierzę umie przystosować się do otoczenia. Stoi oto nieruchoma, poważna, nie żuje, zapatrzona w tych fałszywych chłopów i chłopki wzrokiem tak zdziwionym i niespokojnym, że nie mogłam się wstrzymać od śmiechu. Nie zdziwiłabym się, gdyby jej ze wzruszenia wyschło mleko w wymionach.

Przechadzałam się w tłumie dość długo. Pomiędzy młodzieńcami w ogromnych kapeluszach bretońskich i wandejskich widziałam dużo twarzy interesujących. Były to doskonale wykończone typy starożytne, tylko na żadnej nie dostrzegłam wyrazu siły. Ich fizyognomie zgaszone i miękkie ruchy zdradzały brak żywotności, niezbędnej do walki.

O, bezwątpienia, inni ludzie, nie ci, potrzebni byli do kierowania sterem Francyi w tych nurtach nowoczesnych. I dziś lepiej niż kiedykolwiek zrozumiałam, dlaczego władza została im z rąk wytrąconą.

Nie wątpię, że w chwili niebezpieczeństwa w tych oczach szarych i niebieskich zabłyśnie promień bohaterstwa, że delikatne ich ręce, z właściwą rasie brawurą walczyć będą w obronie kraju, lecz nie umieją oni żyć dla tego kraju i tu, w tym starożytnym ogrodzie mają wygląd marnych, niedołężnych figur.

Z młodzieńców przeniosłam wzrok na panny.

Tu więcej dystynkcyi niż piękna. Żadnej indywidualności, tylko w oczach marzenia anemiczne. Żadnej świeżości, żadnego

światła w twarzach — całość ma w sobie coś starczego, jak kwiaty klasztorne.

Przykrzejszy widok jeszcze stanowią kobiety starsze. Grube, zdeformowane, ubrane niezgrabnie, świadczą o zupełnem zapoznaniu najpierwszych zasad hygieny. Tylko głowy ich jeszcze piękne i melancholijne, lecz pełen arystokratycznej wyższości wyraz twarzy nie pozwalał ani na chwilę brać ich za zwykłe mieszczki.

Szukałam wzrokiem hrabin i markiz amerykańskich. Sądziłam, że powinny odbijać życiem w tem środowisku przeżycia i zniszczenia, lecz zawiodłam się — zmieszały się one z niem zupełnie i przybrały jego ton, jego maniery, jego przesądy. Przez snobizm i suggestyę oddały się na usługi jego bogom, a nie potrafiły przyswoić sobie jego wdzięku. Są rubaszne, nadęte i tworzą istne przeciwieństwo.

Myślę jednak, że przybyły one do Starego Świata nietylko w celu zadowolenia swojej próżności, lecz także ażeby wnieść nam pierwiastek ewolucyi.

Praca Opatrzności jest tak nieskończenie głęboką!...

Najkomiczniejszą stroną tej zabawy było to, że nikt właściwie nie zajmował się tem, czem był powinien. Przełożone kościelnych instytucyj zajęte były rozmową z swymi rektorami. Młodzi ludzie oddawali się flirtowi. Sprzedające i sprzedający nie pilnowali ściśle swego i bez ceremonii opuszczali sklepy dla rozmowy z tym lub owym. Prawdopodobnie dochód musiał na tem ucierpieć, bo same pieniądze rzadko wpadają do kasy biedaków. W jednym tylko kącie gorliwie sprzedawano jakieś osobliwości, nawołując kupujących głośnymi okrzykami.

Kilka pań z wysokiej burżuazyi robiło hałas w tym starożytnym ogrodzie. Obwieszone mnóstwem klejnotów, przechadzały się po alejach śmiejąc się i rozmawiając głośno, i przyglądały się wszystkiemu z ciekawością i szyderstwem.

Ostentacyjnie kupowały różne przedmioty na prawo i na lewo, poczem zniknęły, unosząc z sobą to przekonanie, że „u nich" lepiej było.

Lepiej — może, ale nie zupełnie dobrze chyba!

Jakaś ekscelencya uświetniła festyn swem przybyciem. Oto-

czono ją honorami — młodzież eskortuje, czarno ubrane zakonnice składają dworskie ukłony. Zdawało się, że jesteśmy w czasach Ludwika Filipa, a może jeszcze dalej.

Panowie przy ukłonach podnosili swe chłopskie kapelusze ruchem ręki, który odziedziczyli po swych przodkach, noszących pióropusze. Całowali damy w ręce i przyklękali na jedno kolano, podając której z nich bilet loteryjny.

Całe popołudnie napawałam się temi wrażeniami starożytności i to było mi tak miłe, tak nieskończenie uspokajające.

Wieczorem, przy obiedzie, sala jadalna w Castiglione przepełniona była Amerykankami. Jedne z nich wracały z Wersalu, z Fontainebleau, inne z wyścigów, lub szły na operę.

Mężowie ich naturalnie pozostali w Ameryce, a one z całą świadomością swych praw do swobody i przyjemności, spędzały czas wesoło „a goode time", jak się dziecinnie wyrażały. Czy były bardziej szczęśliwe od swych sióstr i markiz z Saint Germain?

Kto wie! Szale szczęścia ludzkiego spoczywają w ręku Boga.

Porównywałam w myśli obraz tego, com widziała przy ulicy Varennes, z tem, na co w tej chwili patrzały oczy moje, i przyznałam wyższość pierwszemu.

Trzeba było całych wieków, ażeby wytworzyć harmonię tamtego. Drugi — to akwarela, dająca wrażenie życia i młodości.

W każdym z nich można wykryć myśl zasadniczą, rozpoznać rękę kierującą, lecz ażeby dojść do tej możności, trzeba tak jak ja siedzieć „na gałęzi".

Paryż.

Od czasu powrotu do Paryża czuję, że koło mojego życia zacieśniło się bardzo.

Zajęta nadmiernie wykańczaniem ostatniego romansu, odmawiałam stale wszelkim zaproszeniom, nie odpowiadałam na listy, zaniedbywałam wizyty, jednem słowem opuściłam się we wszystkich obowiązkach światowych. Ruchliwość fizyczna zmniejszyła się we mnie także. Obiady w restauracyach, teatr, wycieczki do Lasku, pociągają mnie coraz mniej, a nawet Salon Sztuki pierwszy raz w życiu stał mi się obojętnym.

Czyżby to już była starość?

Życie paryskie jest tak intensywne, że się je odczuwa, nie przyjmując w niem udziału. Fale jego przypływają do mego pokoju i przynoszą wrażenia wszelkich uczt światowych i artystycznych.

Wiem o zebraniach w Auteuil, w Bagatelle, widzę postacie kobiet, ich jasne toalety, odcinające się na zielonych gazonach z taką wyrazistością, że to mnie zadawalnia i dodaje ducha memu lenistwu.

Żyję, że tak powiem, zapachem rzeczy.

Ten nowy stan duszy wywołał straszną pustkę dokoła mnie. Czuję jakiś smutek — to takie podobne do końca!....

Pani Myères stała się obcą w swym własnym kraju, a Jan Noël żyje zdala od świata literackiego i oboje nie posiadają żadnego stanowiska, jakiem się cieszy każdy sklepikarz nawet.

Ale od kilku lat zauważyłam, że Opatrzność bierze udział w mych codziennych sprawach. Zawsze, kiedy jestem zmęczona, lub czuję się bardziej osamotnioną, zjawia się ktoś, albo coś, co mnie ożywia i pobudza energię. Czasem były to słowa zachęty jakiegoś nieznanego czytelnika — jedno „brawo“ dostałam aż z Alaski — czasem ukazanie się jakiejś przyjaznej osoby, czasem przysłanie przez kogoś kwiatów.

W jednym z takich złych momentów, kiedyśmy siedzieli przy obiedzie, oczy moje spotkały się z pełnemi inteligencyi i słodyczy oczami dwóch Amerykanek, które przybyły dnia poprzedniego. Prąd sympatyi zjawił się natychmiast między nami. Za pomocą telegrafu bez drutów, który każdy z nas posiada w swej głowie, weszłyśmy z sobą w porozumienie, zamieniłyśmy uśmiechy, potem słowa, i został zawarty związek szczerej przyjaźni, która rozgrzała mi życie.

A teraz znowu to zaproszenie Randolphe'ów przyszło w samą porę. Czuję potrzebę odpocząć trochę z życia hotelowego, „zejść z gałęzi“ i zdaje mi się, że mam jakieś kurcze w członkach i w sercu. Pragnę zobaczyć dzieci, głaskać zwierzęta, usłyszeć śpiew ptaków, miauczenie kota, pooddychać trochę wonią kwiatów. A nadewszystko uczuwam potrzebę świeżego powietrza i wolnej przestrzeni i cieszę się na samą myśl o tem.

Jutro opuszczam Paryż.

To niesłychane jednak, ażeby wyekwipowanie takiej małej łodzi jak moja wymagało tyle zachodu! Dziwi mnie zawsze to mnóstwo rupieci, które się gromadzą u jednego człowieka: papiery, kartki, notatki, gałganki, koronki i wstążki mnożą się z niesłychaną szybkością. Wiele z tego już spaliłam lub podarłam, jednak dużo jeszcze pozostało, ażeby mi towarzyszyć w podróży. Dawniej miałam pięć waliz; obecnie posiadam tylko trzy: jedna nierozłączna ze mną, a dwie pozostają zawsze w hotelu. Wszelkie uproszczenia zachwycają mnie, to też doznaję wielkiej przyjemności w wyrzucaniu rzeczy niepotrzebnych — jestem więcej konikiem polnym, niż mrówką.

Podziwiam Amerykanki, które, wykolejone jak ja — a jest ich mnóstwo — bez domu, bez dzieci, skupują podczas swej samotnej podróży wszystko: kość słoniową, drogie kamienie, biżuterye, napełniają niemi szkatułkę za szkatułką i najczęściej, nie odsyłając do domu, pozostawiają na przechowaniu u swoich bankierów.

Gromadzą to nie dla siebie, te nabyte przedmioty mają ucieszyć inne oczy — czyje? wywołać wrażenie w innych mózgach — w czyich?

Ciekawem by było módz śledzić dalej pracę ludzką. Piszę to wszystko nie dla siebie — myśli moje z męką i powoli wykluwają się pod mą czaszką, a początek ich kto wie z jak daleka pochodzi! I co się wyłoni z tych kawałków mojego życia?

Nie wiem. Lecz czuję to wyraźnie, że nigdy nie umrę, i że żyję już od dawna.

Że też są ludzie, którzy świat ten znajdują głupim! Zaiste mają oni oczy, lecz nie umieją patrzeć. Co do mnie, nabyłam tego daru późno po długich i ciężkich operacyach. Lecz nie skarżę się na nie — warto było trudzić się i cierpieć...

IV.

Staffordshire Simley Hall.

Sir William Randolphe przyjechał umyślnie do Londynu na moje spotkanie — czekał na mnie w „Charing Cross".

Straszna choroba nie zatrzymała się w swoim biegu! Rysy

jego zaostrzyły się jeszcze bardziej, ciało wychudło. Musiałam użyć całej siły panowania nad sobą, ażeby nie dać mu poznać przykrego wrażenia.

Przyjazd mój widocznie go ucieszył, a gorący uścisk dłoni jakiśmy zamienili, dał wyraz naszej serdecznej przyjaźni.

Sir William odwiózł mnie do hotelu „Great Western", skąd dopiero nazajutrz wyjechaliśmy do Staffordshire. Simley Hall znajduje się o trzynaście kwadransów drogi od Londynu, niedaleko Wolverhampton, w pasie zieleni, w sercu tego, co Anglicy pospolicie nazywają „the black country" — krainą czarną, krainą hut i kopalń.

Za Oxfordem mgła gęstnieje znacznie, a w Birmingham jest zupełnie żółtą od zdradzieckich blasków, wyrzucanych przez piece hutnicze.

W dolinie, usianej nędznemi chałupkami i kupami gnojowisk, jakiś chłopak usiłował puścić latawca. Zabawka podlatywała parę metrów ponad ziemię, lecz nie mogła wznieść się wyżej; był to widok przykry i sir William rzekł, wskazując nań ręką:

— Jest to doskonały obraz nas, Anglików. Widzi pani, nie tak to łatwo unosić się w górę w tem naszem ciężkiem powietrzu.

— Trzeba rozwijać w sobie więcej dar szybowania niż rozpraszania się po powierzchni — odrzekłam, lubiąc przekomarzać się.

— Ostrożnie! — zawołał mój towarzysz — to pani sama wznieca angielsko-francuzką nienawiść.

W miarę zbliżania się do Wolver... jak familiarnie nazywają Anglicy, powietrze stawało się coraz czystsze, coraz jaśniejsze.

Na dworcu znaleźliśmy lekki powozik, zaprzężony parą dzielnych koni, które rączym, miarowym krokiem szybko przebiegły obramowaną płotami i wysadzaną bukami aleję i dowiozły nas do Simley.

Lady Randolphe, jej syn, córka, zięć, troje wnucząt, dwa jamniki i oswojony jastrząb spotkali nas na ganku. Wkrótce potem zasiedliśmy do stołu w dużej altanie, gdzie właśnie podano herbatę. Od razu czułam się jakby członkiem rodziny.

Simley Hall jest to stara siedziba angielska, z domem o liniach gotyckich, tylko dla wpuszczenia więcej światła i powietrza

okna ma znacznie rozszerzone. Cały prawie obrośnięty powojem otoczony cedrami, dokoła aksamitne trawniki, kwiaty, jednem słowem olbrzymi park. Jest to gniazdo, w którem jedna i ta sama rodzina, ciągle się odnawiająca, przeżyła przeszło dwieście lat.

I oto mnie tu zrobiono miejsce, mnie nieznajomej, spotkanej w hotelu!... Stanowczo jest w tem jakiś cel Opatrzności, jeszcze daleki, niewidzialny, ale jest z pewnością.

Urządzenie wewnętrzne domu łączy w sobie bogactwo z prostotą. Meble ze starego mahoniu, lub dębu, kryte utrechtem albo dywanami, obrazy flamandzkie, piękne. Biblioteka ze swemi mocnemi srebrnemi okuciami robi wrażenie czegoś solidnego, poważnego.

Są tu długie korytarze, okna z wentylatorami, głębokie framugi i miłe kąciki.

Choroba ojca i śmierć starszego syna położyły jakiś cień smutku na ten ciepły dom. Pod portretem tego ostatniego, znajdującym się w gabinecie sir Williama, wisi szabla, której już nie chwyci ręka przedwcześnie zmarłego...

W głębi parku znajduje się obserwatoryum mego gospodarza, gdzie spędza on większą część jasnych nocy, nie tylko na obliczeniach matematycznych, lecz także — jestem tego pewna — na rozmyślaniach, jako poeta i filozof.

Stajnie w Simley są po magnacku zaopatrzone w konie, są także kuce i osły dla dzieci. Psiarnia dowodzi doskonałej znajomości ras i gatunków psów. W parku na trawnikach pasą się małe krówki z Jersey, a w głębi wśród zieleni i kwiatów widać domek starej fermy.

W jednym kącie starego ogrodu pokazały mi dzieci cmentarz zwierząt — są tam pochowane psy, koty i ptaki. Każde z nich ma swój kamień z wypisanem imieniem i kilkoma słowy w dowód pamięci. To jest zupełnie słuszne, bo dlaczegoż zapominać mamy o tych dobrych stworzeniach, które nas kochały i rozweselały nam dom? Wszystko w Simley daje obraz życia prostego, zdrowego, i widokiem swym raduje oko i serce.

Choroba sir Williama przymusowo zmniejszyła gościnność domu w Hall.

Ku wielkiemu zmartwieniu moich gospodarzy, państwo Lus-

son przyjechać nie mogli — za to zarządzono przybycie córki, pani Loftus, na czas mego pobytu. Jest to prawdziwa piękność angielska — niezbyt delikatna, nie dekadencka, lecz zdrowa i pełna życia. Uwielbia wieś, sporty, zwierzęta. Tak samo jak w ojcu, czuć w niej ukrytą siłę.

Pan Loftus jest typem młodego „squire“ pięknej rasy — blondyn, różowy, dobrze zbudowany, w ośmdziesiątym roku życia będzie miał gęstą, białą czuprynę i, zawsze prosty na swem siodle, spadnie z niego tylko wysadzony przez śmierć.

Klaudyusz Randolphe od razu podbił moje serce. Przeczułam w nim sympatyę do Francuzów. Nie będzie on nigdy ani myślicielem, ani filozofem, ale posiędzie „rozum“ życia — cenię to ponad wszystko. Tęgo zbudowany, jest z natury tak wesoły, że czasem staje się zabawnym. Jako rzadkość też, coraz bardziej znikającą u nowoczesnej młodzieży, należy zauważyć, że nie rozmawia on nigdy z kobietami, trzymając ręce w kieszeniach, a w razie potrzeby zadaje sobie trud otwierania im drzwi. W duszy oddałam za to pochwałę pani Randolphe, bo dobre. lub złe wychowanie młodego człowieka jest zawsze zasługą, lub winą, matki.

W Simley panuje „stara moda“ — jak się wyraził sir William. Odprawiają się tu rano i wieczorem wspólne modlitwy i czytanie biblii, a pani sama kraje mięso przy stole.

Co do mnie, wchodzę z wielką łatwością w tryb życia rodziny angielskiej, a to dzięki prostocie i swobodzie, jaka tam zwykle panuje.

O pół do ósmej rano fertyczna pokojowa, ze spuszczonemi według etykiety oczami, przynosi mi herbatę. O dziewiątej jemy wspólne śmadanie, składające się z jaj, zimnego mięsa, ryb, smażonej słoninki, doskonale zaostrzającej apetyt, kawy i herbaty. Jest to uczta bardzo miła — podczas niej odczytują się listy, dzienniki, komunikują się wzajemnie nowiny i układa się program dnia. Później gospodarze zajmują się swemi interesami, a goście gromadzą się w salonie porannym — „morning room“ — albo idą na przechadzkę. Ja udaję się zwykle do parku i tam bawię się z dziećmi i zwierzętami, bo jednych i drugich jestem wielką przyjaciółką.

Urządzono mi gabinet do pracy w małym domku w parku. Stoi tam mocny stół i sofa z czerwonemi poduszkami.

Przez okna dookoła ścian widzę łąki i pasące się na nich krowy, których mlekiem raczę się codziennie. Jak tylko pozostawię drzwi otwarte, cała gromada wróbli, jemiołuch, przepiórek, a nawet koropatw, zbliża się do mnie i przyglądając się ciekawie, zdaje się mówi: Kto ty jesteś? Przemawiam do nich i widzę, że są wzruszone moim głosem. W zimie ta zgłodniała rzesza otrzymuje pewien zasiłek dla wyżywienia się, za to latem buduje mnóstwo gniazd w parku i za gościnność płaci swym dobroczyńcom ptasią monetą: cudownym, nieustającym śpiewem. Ogromną przyjemność sprawiają mi te wizyty.

O jedenastej służący wnosi filiżankę „Bengar Food" — jest to jeden z tych specyfików zdrowiodajnych, właściwych tylko Anglii.

O pół do pierwszej przychodzi sir William i idziemy z nim do ogrodu warzywnego lub do cieplarni, gdzie dojrzewają winogrona, brzoskwinie i morele.

Po śniadaniu, o wpół do drugiej, każdy udaje się na spoczynek, dłuższy lub krótszy, zależnie od tego, jak ma spędzić popołudnie. Jedni przejeżdżają się powozem, dla innych jest „golf", „tenis", „foot ball" albo „garden parties".

O piątej podają herbatę w „hali", albo w ogrodzie wśród kwiatów. Po herbacie, która się zwykle przeciąga dość długo, każdy wraca „do siebie", ażeby z uderzeniem dzwonka zejść znowu na obiad. Wieczorem dobierają się partye wista, bilardu lub innej gry jakiejś, ale nawet do zabawy nikt nigdy nie bywa zmuszanym. Czuję tylko wyraźnie ciągłą opiekę nad sobą i zdaje mi się, że jestem niesiona jakąś dobrą falą. Dano mi najlepszy z gościnnych pokoi z cudownym widokiem na park i na dalekie góry. Klasyczne angielskie łóżko ze słupkami i starożytne meble nadają mu wygląd poważny, a jednak dziwnie ciepły i rodzinny.

Sir William nie zapomniał o tem, co mu mówiłam w Cannes, że los obdarza mnie zawsze trzęsącym się stołem do pisania — tutaj znalazłam duży, szeroki i mocny, a w dniu mego przyjazdu stał na nim bukiet róż, noszących miano mej ojczyzny.

Zdumiona byłam, ujrzawszy w rozmaitych miejscach w biblio-

tece, na korytarzach, na schodach, różne wypisy z biblii — dawniej znajdowały się one na wszystkich stacyach angielskich.

Nad mojem łóżkiem mam następującą sentencyę: „Walk while you have the light that the darknes overtake you not“ — idź, dopóki posiadasz światło, ażebyś nagle nie pozostał w ciemności. A między dwoma oknami: „Blassed are they that have not seen and believed“ — błogosławieni są ci, którzy nie widząc wierzyli. Nad etażerką z książkami znów: „To the Jews first“ — żydom najpierw. Co? czy słowo Boże? czy dobrą nowinę?... Ależ tak! przecież Jezus był semitą i naprzód pamiętał o swych braciach. Zapominamy zwykle o jego pochodzeniu i wobec każdego przypomnienia o tem stajemy zdziwieni.

Uśmiechałam się ironicznie, spostrzegłszy po raz pierwszy te kartony z napisami, a jednak czuję, że słowa — „idź, dopóki posiadasz światło“ — działają na mnie. Ruchy moje stały się tak szybkiemi, tak gwałtownie prędkiemi, jak gdybym istotnie obawiała się pozostać w ciemności.

To dało mi powód do rozmyślań, których konkluzyą było, że... nic nie wiemy... nic jeszcze...

Simley Hall.

Jak na przekorę dla mnie te jasne zwykle angielskie noce obecnie od tygodnia są zupełnie ciemne. I właśnie teraz, kiedy mam do rozporządzenia doskonałą lunetę, gwiazd na niebie nie ma. Sir William i ja martwimy się tem bardzo.

Pomiędzy dwiema ulewami oprowadzono mnie po okolicy — jest prześliczna. Anglia posiada całą gamę zielonych tonów. W ciemnozielonem tle Staffordshire jest także dużo żółtego — odcień ten daje się zauważyć nawet przy świetle, przynajmniej takie mam wrażenie.

Małe, sąsiednie miasteczko Wolverhampton rozwój swój zawdzięcza fabrykacyi bicyklów. Budynki fabryczne z czerwonej cegły, wzniesione w ciągu ostatnich lat czterdziestu, zmieniły zupełnie jego panoramę, nadając całej okolicy więcej ciepła i życia. Dokoła miasteczka w różnych kierunkach rozchodzą się drogi, upstrzone domkami lub willami wśród kwiatów, a gdzieniegdzie

stoi odosobniony piękny dom, otoczony parkiem ze stuletniemi, roztaczającemi swój majestat drzewami.

Na pochyłości wzgórza, na którem znajduje się Simley, pobudowaną jest wioska — idealny twór sir Williama. W środku stoi kościół bardzo stary z cmentarzem, dalej idą nowe, małe domki ze staroświeckiemi dachami, z dużemi oknami, a każdy otoczony ogródkiem, uwieńczony zielenią — nawet szkoła, poczta i posterunek policyi ukwiecone. „Club house“ — dom zebrań, miejsce, gdzie zchodzą się dla rozrywki fermierzy i robotnicy, cały obrośnięty pnącemi roślinami. Sir William zaopatrzył każdy z tych domków w to wszystko, co jest niezbędne dla fizycznego i moralnego zdrowia ich mieszkańców.

Dzieci tutejsze wydały mi się promieniejące zdrowiem. Dzieci posiada ich Anglia całe legiony. Wszystkie rowy przydrożne przepełnione są niemi. A zawsze same, bez matek — czteroletni braciszek czuwa i opiekuje się młodszą siostrą, i zdrową i całą przyprowadza do domu. Jakim cudem? o tem wie tylko matka-natura. Ta wielka mnogość dzieci wpływa bez wątpienia dodatnio na wyrabianie się ich charakterów. I czy uwierzycie? nie widziałam w Anglii dzieci brzydkich, a niektóre są wprost śliczne i, gdyby ta piękność przechowywała się — rasa angielska byłaby uprzywilejowaną, lecz, niestety, więdnie ona jak kwiat. Pomiędzy czternastym a ośmnastym rokiem życia młodzieńca dokonywa się zwykle fatalna przemiana, usta robią się niekształtne, rysy zatracają swą czystość, cera ciemnieje. Przypisują to wpływowi klimatu.

Pewien lekarz angielski powiedział mi kiedyś: „Dampness spoils everithing“ — wilgoć psuje wszystko. Jestto najświętsza prawda — w słabych, młodych organizmach, nie posiadających jeszcze dostatecznej siły oporu, wilgoć niszczy tkanki skóry, kości, czy ja wiem zresztą co — niszczy wszystko. Środkiem przeciwdziałającym temu są bezwątpienia sporty. Widziałam też tutaj wzorowo urządzone i porządnie utrzymane „krokiety“, „footballe“, „tenisy“ i po raz tysiączny żałowałam, że dokoła naszych miasteczek prowincyonalnych, naszych wiosek, nie ma takich miejsc zamkniętych, gdzieby młodzież mogła rozwijać swe siły fizyczne.

Przyjdzie to kiedyś może!...

Oddaję się zabawom, rozrywkom, wypoczywam i zdaje mi się, że śnię jakiś cudowny sen.

Lubię czasem wejść w życie innych, a potem z przyjemnością je opuszczam. Tęsknota do samotności, do swobody, powraca prędzej lub później — zależnie od środowiska. Sądzę, że nie będzie mi zbyt śpieszno pożegnać się z dzisiejszem mem otoczeniem, mieszczącem w sobie tyle ciepła, przyjaźni i sympatyi.

Simley Hall.

Wczoraj wieczorem popełniłam rzecz, którą jeszcze dziś rano uważałabym za niemożliwą. Człowiekowi obcemu, pierwszemu z pomiędzy wszystkich ludzi, sir Williamowi opowiedziałam o największem zmartwieniu, jakie mnie spotkało w życiu.

Jak do tego przyszło, nie umiem sobie nawet wytłómaczyć.

Przecież zerwałam z przyjaciółmi, ażeby się przed nimi ze swym bólem nie zdradzić, przez piętnaście lat chowałam tę tajemnicę i oto nagle, bez żadnych pytań z jego strony, nie zastanawiając się nad tem, czy robię źle, czy dobrze, opowiedziałam mu wszystko z całą szczerością i to zupełnie naturalnie.

Doświadczałam przytem zabawnej przyjemności w odtwarzaniu siebie dawnej, którą już miałam za umarłą, w wymawianiu pewnych imion, w przywoływaniu na pamięć pewnych twarzy.

Kto pchnął mnie do wywnętrzania się? — zapewne ta siła, którą można nazwać Istotą Istot. Wkłada ona często w nasze usta słowa, które wyraźnie słyszymy i które mają potem nieobliczalne następstwa. To zjawisko dwoistości powtarza się na każdym kroku. Zdaję sobie dokładnie sprawę, a jednak poddaję się temu całkowicie.

Wczorajsza noc była czysta i jasna.

Jak ziarnek piasku na wybrzeżu morskiem, tyle gwiazd ukazało się na niebie.

Sir William i ja, w towarzystwie psa „Freddy“, udaliśmy się po dziesiątej do obserwatoryum.

Mój gospodarz zapewnia, że pies ten zajmuje się ogromnie astronomią i często przygląda się niebu, jakby chciał znaleźć to, czego pan jego szuka — sądzę, że taki jamnik zdolny jest do tego.

Obserwatoryum w Simley jest okrągłym budynkiem, składa-

jącym się z dwóch pawilonów: gabinetu do pracy i saloniku. Oba mają okna i balkony wychodzące na ogród.

W gabinecie leżące na długim stole mapy nieba, arkusze, zapisane cyframi, książki treści astronomicznej i różne instrumenty fizyczne świadczą wymownie o długich godzinach pracy.

Mały salonik z wygodną otomaną, krytą materyą wschodnią, i małemi mebelkami, przeznaczony jest do wypoczynku i rozmyślań.

Sir William, pałający niecierpliwością, ażeby mi jak najprędzej pokazać swoje ulubione planety i gwiazdy, pociągnął nogą jakiś sznurek, przyczem ku memu przerażeniu dach się przekręcił, potem wdrapał się na platformę, nastawił lunetę i zawołał:

— Oto jest.

Dotąd obserwatoryum mojem były place Vendome lub Zgody, nic więc dziwnego, że teraz, przy użyciu doskonałych instrumentów, obudził się we mnie prawdziwy zachwyt na widok tego, co się ukazało oczom moim.

Doznałam wrażenia nieskończoności i jakiejś cudownej harmonii, a jednocześnie ciszy i spokoju ponad ziemią.

Konstellacya Bliźniąt zachwyciła mnie.

— Cóż za cudowne zjawisko te dwie gwiazdy siostry! — zawołałam.

— I jedyne w swojem rodzaju — powiedział mój towarzysz — wydają się tak blizko siebie, a są oddalone ogromną przestrzenią.

— Muszą jednak mieć ciągłą łączność ze sobą, bo mają zupełnie takie same światło niebieskie, mocne, żywe i, wie pan, czy nie są one ogniskiem elektryczności?

— Możliwe.

Długo jeszcze przyglądałam się iskrzącemu się niebu, gdy nagle, jakby rozjaśniło się w mych myślach, zawołałam zdziwiona:

— Więc i nasza ziemia jest tam, wysoko!

— Naturalnie.

— I kroczy pospołu z temi wszystkiemi gwiazdami i miesza swoje światło z ich blaskiem. To cudowne!

Mówiąc to, zeszłam z platformy, olśniona niemal poczuciem swojej wielkości.

Sir William, ubawiony moją naiwnością, zaprowadził mnie do

saloniku. Rzuciłam się na fotel pod otwartem oknem, on usiadł naprzeciw mnie. Freddy skoczył mu na kolana i zwinął się w kłębek.

— Towarzysz moich medytacyj — powiedział sir William, głaszcząc psa. — Przyzwyczaiłem się bawić jego uszami, oddając się rozmyślaniom, a czasem pod wpływem jakichś myśli irytujących zdarzało mi się uszczypnąć go boleśnie; protestuje wtedy, ale nie ucieka. Freddy jest także tam, wysoko.

— Niech pan nie drwi — powiedziałam poważnie. — Widzi pan, może Opatrzność sprowadziła mnie tutaj umyślnie, ażeby zmienić punkt mego widzenia, ażeby dać mi wrażenia prawdziwe. Do czego one posłużą, nie wiem, lecz jestem przekonaną, że nie są na darmo.

— Nie znam osoby, którąby tak silnie, jak pani, była przeświadczona o swej nieśmiertelności i którąby tak bezwzględnie miała siebie za narzędzie Opatrzności.

— W tem leży źródło mojej dumy i moich nadziei — odrzekłam. — Z chwilą, kiedy uznaję siebie za integralną cząstkę Boga, nie mogę zginąć.

— Pani jest logiczną, zadziwiająco logiczną, jak na kobietę.

— Dziękuję... Dwadzieścia razy na dzień człowiek manifestuje swoją wolną wolę, nawet częściej, a kiedy stanie wobec faktów, nad któremi nie posiada żadnej mocy, wtedy przeklina swoje przeznaczenie. Czy nie zauważył pan, że wszelką pomyślność przypisujemy zwykle swej własnej mądrości, a niepowodzenie fatalizmowi.

— Tak, tak!

— A więc, co do mnie, przypisuję wszystko Opatrzności. Przyszłam do przekonania, że tylko ona ma tutaj władzę.

— Ale wierzyć w siebie, to przecież potężna siła — zawołał z ożywieniem sir William.

— Ależ ja wierzę w siebie, ponieważ wierzę w Boga, a wierzę w Boga, ponieważ wierzę, w siebie.

Lekkie westchnienie podniosło pierś mego towarzysza.

— Wielebym oddał za to, gdybym mógł podzielać przekonania pani. One uwolniłyby mnie od gorzkiego wyrzutu, jaki ciąży na mojem sumieniu. Mój starszy syn zakochał się w młodej dziewczynie, którą uważałem za niegodną go i z tej racyi nie dałem

pozwolenia na małżeństwo. Biedak pojechał do Indyi, i tam, wkrótce po swojem przybyciu, został zabity w jakiejś potyczce. Gdybym mógł być pewnym, że to nie ja, lecz sam Bóg posłał go na tę śmierć niechybną!

— Bóg, niech pan będzie pewny, przecież pan nie mógł przewidzieć, co go tam czeka, a zresztą kto wie, może ta śmierć przedwczesna była wielkiem miłosierdziem dla niego.

— Co pani dało taką wiarę bezgraniczną?

— Moje własne życie.

— Pani życie?

Przyszło mi na myśl w tej chwili, że jestem właściwie zupełnie nieznaną moim zacnym gospodarzom.

Zarumieniłam się.

— Prawda! zaprosiliście mnie do Simley, przyjęliście mnie tak serdecznie do swego kółka rodzinnego, a nic jeszcze o mnie nie wiecie.

— „I know a lady when I see one" — poznaję damę, kiedy ją widzę — odrzekł z uśmiechem sir William.

Skłoniłam się uprzejmie.

— Dziwię się, że nie obudziła się w was nieufność ku mnie, skoro wam było wiadomem, że we własnym kraju mieszkam w hotelu.

— Ani na jednę chwilę — odrzekł sir William — a teraz kiedy panią znam bliżej, jej samotne życie sprawia mi wielką przykrość. Wczoraj na przechadzce zdawało mi się, że patrzyła pani z zazdrością na te małe domki w naszej wiosce. Czy się mylę?

— Nie. Od czasu do czasu uczuwam rzeczywiście nostalgię za swym „własnym" domem, ale to bywa rzadko i trwa krótko. Proszę pana, trzeba bardzo silnego ciosu, ażeby wykoleić kobietę Francuzkę. Uderzył we mnie i jestem pewna, że był oddawna przygotowany. Czy pan uwierzy, że w czternastym roku życia ja widziałam we śnie pana Myéres, który w jedenaście lat potem został moim mężem?

— Niemożliwe!

— Z największą pewnością. Pewnej nocy śniło mi się, że byłam w jakimś pustym kościele, oświetlonym tylko jednemi bocznemi drzwiami. Nagle w tym jednym kręgu światła dziennego

zarysowała się sylwetka eleganckiego mężczyzny, o zgrabnej postawie. Po chwili wolnym krokiem zbliżył się on do mnie, wziął za rękę i włożył na palec obrączkę. Lecz była ona widocznie za luźna, bo spadła mi z palca i potoczyła się po kamiennej posadzce, wydając dźwięk przeraźliwy. Wysilając się z całych sił, ażeby ją znaleźć, zbudziłam się.

Opowiedziałam sen matce i widziałam, że się zaniepokoiła, a w mojej dziecięcej duszy zostawił on radość i smutek zarazem. Z biegiem czasu wrażenie potęgowało się jeszcze. Sylwetka, widziana we śnie, stawała się coraz wyraźniejszą i coraz częściej widziałam ją w moich dziewczęcych marzeniach. Proszę pana, ani się domyślamy, jak bardzo atom duszy ludzkiej jest złożony — dodałam tonem refleksyi.

— A zwłaszcza atom kobiecy — dorzucił sir William, uśmiechając się.

— Z latami ta sylwetka z samych marzeń coraz bardziej zaprzątała moją wyobraźnię. Dawałam jej coraz to inne twarze — jednę piękniejszą od drugiej. Przypisywałam owemu widmu wszystkie możliwe przymioty i talenty.

Z powodu śmierci dziadka wejście moje w świat było trochę spóźnionem. Pierwszy bal miałam dopiero w dwudziestym roku życia. Odbył się on u naszych sąsiadów, właścicieli ziemskich. Nie szczędzono wydatków na moją toaletę. Miałam na sobie jednę z tych bajecznych sukni, któremi rozpoczęła się sława naszego znakomitego krawca Douceta. Zrobiona była z białego tarlatanu i przybrana polnemi kwiatami. Widzę ją jeszcze, lecz siebie w niej... nie. Zresztą nikt nie zna dokładnie swej twarzy, bo lustro nie odbija wszystkich jej komórek.

— Jest to spostrzeżenie, którego nie zrobiłem nigdy — wyznał mój gospodarz.

— Bo czyż nie jest to dziwnem, że mózg nasz zachowuje obraz jakichś drobnostek, najrozmaitszych gałganków, formy sukni, a ważniejszych rzeczy nie pamięta. Widocznie te nieznaczące nic przedmioty są ogniwami jednego łańcucha.

Jednem słowem wystrojona w ową suknię paryską, pod wra-

żeniem pierwszych sukcesów światowych, czułam się niewymownie szczęśliwą.

Rozmawiałam właśnie z gospodarzem, kiedy oczy moje spostrzegły młodego mężczyznę, wysokiego bruneta, zbliżającego się ku nam.

Słowa zamarły mi na ustach, serce uderzyło gwałtownie, bo człowiek ten był żywem odbiciem bohatera moich snów. Zresztą, jakkolwiek by było, czułam się silnie wzruszona jego obecnością — czułam w nim swoje przeznaczenie, „pana teraźniejszości", przyszłego męża. Ach panie! życie jest tak ciekawem, że gdybyśmy byli w stanie zgłębiać je i rozumieć całkowicie, zapomnielibyśmy o jedzeniu i piciu.

— Toby było wspaniałe — powiedział żartobliwie sir William.

— Nieznajomy był gościem w domu państwa B. „Pan Myères, panna Latour" — przedstawił nas gospodarz i zdało mi się, że słowa te wymówił jakiś dziwnie silny głos, słyszę je jeszcze.

Pan Myères pochodził z dobrej rodziny. Miał wówczas trzydzieści pięć lat, posiadał głos i twarz, które wprowadzają w zachwyt kobiety, wie pan, taki głos metaliczny, przenikający do głębi, i twarz z wyrazem wielkiej inteligencyi, przytem oczy dumne i usta zmysłowe... to był typ!

Rozmowa pomiędzy nami zawiązała się prędko. Poprosił mnie do walca i ja, zapominając zupełnie o przyrzeczeniu, danem matce, że tańczyć będę tylko polkę i kadryla, podałam mu obie ręce. I nie wiem, czy pod wpływem muzyki, czy jego magnetyzmu, w chwili tej straciłam rachubę czasu i miejsca, poczucie własnej osobowości, a kiedy już odprowadził mnie na miejsce, zdawało mi się, że zeszłam ze szczytu szczęścia.

Pan Myères był już dawniej żonatym i, jak powiadano, rozszedł się z żoną z powodu różnicy usposobień. Prócz tego był właścicielem zamku Chavigny w Cher, gdzie spędzał co roku kilka miesięcy, resztę czasu przebywał w Paryżu. Od tej chwili tysiące różnych niezależnych od nas okoliczności zbliżało nas do siebie.

Dla panienki z mojej sfery człowiek żonaty nie istniał. Powtarzałam sobie tylko w duszy, że wyjdę za takiego, który będzie podobnym do pana Myères. Ile razy zjawił się jakiś konkurent,

sylwetka tego „króla moich marzeń“ stawała mi przed oczami i sprowadzała odmowę.

Pewnego wieczora w Trouville przechadzałam się po wybrzeżu z moim dalekim kuzynem, który już po raz dziesiąty wyjawił mi swoją miłość, a robił to tak gorąco, że byłam blizka przystania na jego prośbę. Działo się to przed samym obiadem. Niebo było pochmurne, morze ponure. Nagle na tem ciemnem tle ukazała mi się postać pana Myères — wyszedł z kasyna i szedł wolno z głową spuszczoną. Widok jego obudził w mej duszy uczucie dziwnego współczucia i w jednej chwili na nalegania zakochanego kuzyna zawołałam: nie! nie! — i to takim głosem, że młody człowiek w słowach mych poczuł odrazę ku sobie.

Krótko mówiąc, następnego roku pan Myères uzyskał całkowity rozwód i, jak tylko konwenansom stało się zadość, poprosił o moją rękę.

Jako człowiek elegancki, wykształcony, pochodzący z rodziny najstarszej w Berry, posiadający wielką fortunę — pan Myères był tak zwaną „dobrą partyą“. Pomimo to matka moja z wielką niechęcią zgodziła się na nasz związek. Wiedziała, że pan Myères był człowiekiem lekkim i zapalonym graczem. Chciała mi oszczędzić tych przykrości, przez które sama przechodziła. Niestety, nie mogła! Byłam głucha na wszelkie jej przedstawienia, na prośby nawet.

Tu zatrzymałam się w swem opowiadaniu — krew uderzyła mi do twarzy — to, co pozostało do opowiedzenia, było tak bolesnem, tak bardzo upokarzającem!...

— I naturalnie nie była pani szczęśliwą — odezwał się sir William, patrząc na mnie wzrokiem, wyrażającym wiele sympatyi.

Pytanie to pobudziło mnie do nerwowego śmiechu.

— Nie byłam szczęśliwą! — powtórzyłam z ironią — ależ byłam nią niezwykle, jak mało kobiet, tylko szczęście moje było fałszywe...

— Pan Myères był człowiekiem rasowym, z wykwintnemi manierami, brylującym w świecie, wyszukanym w obejściu się z blizkimi, posiadającym zdolności literackie i temperament gracza, dziwne połączenie słabości i siły. Jedyną jego wadą była namiętność do gry. Widziałam często w oczach jego przebłyski tego

rodzaju obłędu. Jak matka moja niegdyś, tak ja teraz poznałam, co to są straty, niepokoje i długie noce bezsenne, pełne rozpaczy, ale każdy jego powrót, dźwięk jego głosu, kazały mi zapominać o wszystkiem. Obecność jego miała taką moc nademną, że uwierzyłam w siłę magnetyzmu, jaką posiadał. Czułam się szalenie dumną, że potrafiłam przywiązać do siebie serce i zmysły tego człowieka, znanego z swej niestałości.

Po czternastu latach pożycia pierwszem prawdziwem nieszczęściem mojem była jego choroba. Reumatyzm, na który cierpiał oddawna, uderzył na serce. Ataki powtarzały się coraz częściej i zawsze groziły jego życiu. Ostatni trwał ośm dni i ośm nocy, przez które nie zmrużyłam oka. W końcu złe ustąpiło. Jednego wieczora doktor oznajmił, że niebezpieczeństwo minęło. Około dziewiątej chory uspokoił się zupełnie, a ja, siedząc przy nim, przyłożyłam głowę do jego poduszki i, trzymając rękę na jego ręce, przysłuchiwałam się z radością równemu oddechowi, wreszcie zmęczona, zasnęłam snem twardym. Rano zbudziło mnie uczucie dziwnego chłodu — chłodu śmierci... Tak... jak złodziej przyszła śmierć w nocy, okrutna, nieubłagana, tajemnicza...

Freddy warknął, pan jego pod wpływem wzruszenia, słuchając mego opowiadania, szarpnął psa mocno za ucho.

— Niech pan zostawi w spokoju uszy psiska — powiedziałam ze zdumiewającym spokojem — bo inaczej, słuchając mnie dalej, chyba zmuszony pan będzie oberwać je.

Z tego, co dotąd opowiedziałam, zrozumiał pan, jak bardzo blizko byliśmy ja i mój mąż ze sobą złączeni. Zawsze myślałam sobie, że stosunek nasz przeszedł najskrytsze moje marzenia. Obecnie rozdział, jaki nastąpił, złamał mi duszę i ciało. Ubierając męża na śmierć i prostując te drogie, a dziś zesztywniałe członki, zrozumiałam po raz pierwszy, co to jest prawdziwe cierpienie. Gorące łzy, spływające strumieniami z mych oczu, sprawiały mi pewną ulgę. Śmierć wygładziła zmarszczki na czole mego męża i uczyniła go tak pięknym i młodym, jakim go dotąd nigdy nie widziałam. Powodowana uczuciem zazdrości, nie dopuszczałam do niego nikogo. Siedząc w przyległym salonie, przez otwarte drzwi nie spuszczałam

zeń oka i tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi zachowałam przytomność umysłu.

Około piątej służący oddał mi trzy listy, adresowane do pana Myères, które przyniósł chłopak z kasyna. Na jednej kopercie poznałam pismo mojej siostry ciotecznej i przyjaciółki z lat dziecinnych, baronowej Hauterive, dziedziczki zamku Rocheilles, niedaleko od Perigueux. Otworzyłam go machinalnie i przeczytałam raz i drugi. Boże! nie byłam w stanie go zrozumieć... Wie pan, czego się dowiedziałam? Oto, że ta kuzynka, ta przyjaciółka z lat dziecinnych, była kochanką mego męża!...

Sir William wydał okrzyk.

— Tak, zawiadamiała go o swym przyjeździe, wraz z małym Gwidonem, chrześniakiem mego męża, jej synem, który w rzeczywistości był także synem pana Myères.

Odkrycie to wywołało zamęt w mej głowie.

Rzuciłam się na trupa i, chwyciwszy go za ramiona, w uniesieniu prawdziwego szału wołałam:

— Oszukałeś mnie... zdradziłeś...

Po chwili odeszłam od niego, przerażona owem świętokradztwem, i zdaleka przyglądałam się mu z właściwą zbrodniarzom ciekawością.

Zdradził mnie... należał do innej... Szał gniewu opanował całą moją istotę... zrobiłam ruch naprzód, popychana żądzą zabicia nieboszczyka. Zabicia nieboszczyka!...

Pan nie potrafi zrozumieć, co się działo ze mną. Na mej duszy została jakby plama... Przed odejściem schyliłam się jeszcze bliziutko nad twarzą pana Myères i wyszeptałam przez zaciśnięte zęby:

— Nie przebaczę ci nigdy... słyszysz... nie przebaczę ci... — Lecz on nie słyszał tego, nie dosięgła go ani rozpacz moja, ani zemsta. Był tam... czy daleko? Kiedym podniosła oczy, spostrzegłam uśmiech na jego twarzy, uśmiech żywy, pełen czułości i politowania, jaki dajemy dzieciom. Było w tem coś dziwnego, czego dotąd zrozumieć nie mogę.

Uśmiech ten podziałał na mnie uspokajająco, uciszył mnie. Czułam, jak szedł on za mną, gdy się oddalałam. Na progu stanęłam raz jeszcze, chcąc zawołać: nie przebaczę — lecz ów uśmiech

tajemniczy zamknął mi usta i potem przez długie lata był dla mnie orzeźwiającą kroplą rosy.

— Cóż za okropne doświadczenie! — zawołał mój towarzysz z wyrazem współczucia.

— Tak, mniej jednak okropne, niż się panu wydaje — chcę być sprawiedliwą względem Opatrzności. Ona kieruje doskonale naszemi siłami. Wielka boleść sprowadza rodzaj znieczulenia.

Po tej okropnej scenie udałam się do swego pokoju — nogi uginały się podemną, drżałam na całem ciele, ale nie cierpiałam więcej. Usiadłam przy biurku i, znalazłszy ów fatalny list w swej zaciśniętej dłoni, poczęłam go wygładzać jakby najcenniejszy dokument.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich baronowa Hauterive w swej własnej osobie. I — rzecz dziwna — pojawienie się jej nie wywołało we mnie wcale gniewu.

— O Antonino! Antonino! — wołała, wyciągając do mnie ręce — dowiedziałam się...

— Że pan Myères umarł — przerwałam jej spokojnie. — Tak... dziś rano... i dlatego nie mógł przyjść do hotelu W...

Pani Hauterive cofnęła się przerażona. Oczy jej padły na list. W jednej chwili rzuciła się na kolana, chwyciła mnie za ręce i zaczęła błagać o przebaczenie.

Mówiła długo, jak przypuszczam, usprawiedliwiając się, lecz ja jej nie słyszałam. Patrzyłam tylko na nią z ciekawością i widziałam ją dzieckiem, potem młodą dziewczyną i dojrzałą kobietą, a zawsze nieskończenie czystą.

— I ona.. ona... została kochanką mego męża... ona, siostra moja... moja mała Koletta... Nie! to niepodobna!

Pani Hauterive milczenie moje wzięła za dobry znak i prosiła o pozwolenie zobaczenia nieboszczyka.

Słysząc tę bezczelną prośbę, nie wybuchnęłam, lecz ze spokojem, który mnie nie opuszczał, zawołałam:

— Gdybym mogła przysłać ci go do hotelu, zrobiłabym to natychmiast, ale tu, pod moim dachem, nie ujrzysz go więcej.

Zabroniłam jej także być obecną na pogrzebie, grożąc, że

w razie przekroczenia zakazu, powiem wszystko jej mężowi. Potem kazałam jej wyjść. Koletta wstała....

Widziałam, jak, chwiejąc się na nogach, zrobiła parę kroków, drżącą ręką namacała klamkę i znikła za drzwiami. Po jej odejściu spaliłam ów list fatalny, bojąc się, że w chwili słabości ulegnę pokusie i poszlę go panu Hauterive.

— Zadowolony jestem, że pani to zrobiła — powiedział sir William.

— I ja także zadowoloną jestem z tego bohaterskiego czynu — odrzekłam, uśmiechając się.

Z panią Hauterive nie spotkałyśmy się odtąd nigdy.

Egzekucya życia, dokonana na moim mózgu w sposób tak brutalny, przyprawiła mnie o ciężką chorobę — przez trzy doby walczyłam z ciężką gorączką. I wie pan, że jakąś tajemniczą siłą odczułam chwilę, kiedy mąż mój opuszczał dom nasz na zawsze.

Usiadłam nagle na łóżku i z największem natężeniem zaczęłam się wsłuchiwać.

Słyszałam przytłumione szmery i przyciszone głosy na korytarzu, słyszałam skrzyp posadzki pod nogami niosących trumnę — czułam ciężar niesionego ciała. Ci dzielni ludzie starali się przytłumić swe ciężkie kroki, a ja uśmiechałam się z tej bezowocnej ostrożności.

Była zbyteczną. Człowiek, którego wynoszono z domu, nie był przecież moim, moim jedynym, to był kochanek pani Hauterive i ja cieszyłam się, że go już nie ujrzę więcej, tak, cieszyłam się. Doprawdy, to nie śmierć rozdziela nas najbardziej. Dziś, kiedy już mogę mówić o tem spokojnie, podziwiam siłę uczucia zazdrości i straszliwego wrażenia zdrady — ta siła rozłączyła mnie z moim mężem więcej niż śmierć.

Błogosławiona gorączka oszczędziła mi przykrości udawania choroby, ażeby módz nie towarzyszyć memu mężowi do jego ostatniego mieszkania na cmentarzu w R... Szwagrowie zastąpili mnie we wszystkiem.

I mój Boże! to, co pierwej zdawało mi się strasznym ciosem, później okazało się błogosławieństwem; podczas ostatnich paru lat spekulacye giełdowe pana Myères były nieudatne i, jak się oka-

zało, obecnie sprowadziły zupełną ruinę. Ażeby z honorem wyjść z długów, sprzedałam zamek Chavigny — pozostał mi tylko mój majątek osobisty. W Paryżu mieszkaliśmy przy placu Franciszka I, mieszkanie nasze było jednem z najpiękniejszych, jakie znam. Ze złą radością zaczęłam teraz niszczyć to gniazdo, w którem przez piętnaście lat żyłam fałszywem szczęściem. Pragnęłam spalić je doszczętnie ogniem mej boleści. Bojąc się, żeby mnie po śmierci nie pochowano obok męża, napisałam w testamencie, że pragnę być spaloną. Chciałam jak najprędzej być zupełnie samotną, pragnęłam zejść z oczu wszystkim krewnym, znajomym i przyjaciołom, chciałam wyrwać wszystko z korzeniem i robiłam to w sposób brutalny.

Jednak pomimo pośpiechu operacya ta zajęła trochę czasu. Nareszcie nadszedł dzień, kiedy po raz ostatni zamknęłam za sobą drzwi ogniska domowego i znalazłam się „na gałęzi".

Zamieszkałam w hotelu Castiglione.

Właściciel, Włoch, dobry i sympatyczny człowiek, traktuje mnie z wyszukaną troskliwością i to przywiązało mnie do tego miejsca. Prócz tego przygotowywałam się do podróży i postanowiłam rozpocząć ją od Egiptu. I wie pan, co zrobiłam przed wyjazdem z Paryża?

— Nie.

— Jak zbrodniarz, pod osłoną nocy, rzuciłam ślubną obrączkę w nurty Sekwany.

— Ach! — wykrzyknął sir William tonem oburzenia.

— Tak, wiem, że zrobiłam źle, i dziś często doświadczam wyrzutów sumienia, kiedy przechodzę przez most Zgody, a nawet wzrok mój szuka mimowoli tego miejsca, gdzie upadł ów błogosławiony i przeklęty symbol. Pamięta pan, pierścień nieznajomego we śnie potoczył się po kamiennej posadzce i zginął — obrączka pana Myères nie mogła pozostać także. Widzi pan — dodałam, pokazując palce bez pierścieni.

— Ciekawe... bardzo ciekawe... — mruknął mój gospodarz.

— Prawda? A teraz kiedy opowiedziałam panu to przejście, jakie na mnie Opatrzność zesłała, chcę być sprawiedliwą względem

bogów i wykażę panu, jaki wpływ ono na mnie wywarło. Zobaczy pan, że było ono potrzebne i z góry przeznaczone.

W rodzinie mego ojca od wielu pokoleń gnieździł się sceptycyzm i brak wiary, w rodzinie matki, przeciwnie, zachowywano gorącą, głęboką wiarę.

— Te dwa przeciwne sobie prądy musiały wywołać w pani porządną walkę.

— Nie, bo odziedziczyłam całkowicie wszystkie skłonności ojca.

— A więc rzecz się uprościła.

— Tak. I wie pan, jakie było pierwsze pytanie, które mnie zajęło? Oto, dlaczego stworzył Bóg wilki i osty. Wilki, które pożerały owieczki, i osty, co kłują ludziom obnażone nogi. Zdawało mi się to niezgodnem z tą wielką boską miłością, o której mi tyle mówiono.

— Nie tak to łatwo odpowiedzieć na pani pytanie.

— Przeciwnie, dość łatwo wybrnięto z tej trudności, mówiąc mi, że stworzył je Bóg na to, ażeby dzieci były grzeczne i posłuszne. Lecz odpowiedź ta nie zadowoliła mnie wcale i, z chwilą kiedym poznała nędzę ludzką, powiedziałam sobie: Bóg nie ma dobrego serca. Często później powtarzałam to zdanie dziecinne i nikt nie był w stanie mnie przekonać. A kiedy dowiedziałam się, że ten sam Bóg zabiera często dzieciom matkę i ojca i robi je sierotami, przestałam modlić się zupełnie. Wtedy ojciec mój powtarzał śmiejąc się: Antonina jest w niezgodzie z Bogiem.

— Pani była przyjemnem dzieckiem dla wychowawców — powiedział żartobliwie sir William.

— Dzieckiem, przysparzającem dużo boleści takiej matce jak moja — odrzekłam szczerze.

Biedna matka! usunęła się od przygotowywania mnie do pierwszej komunii i oddała do Sacré-Coeur, myśląc, że nabożny nastrój, jaki w tym zakładzie panował, obudzi uczucia religijne w mojej duszy.

Przebyłam tam dwa lata i nie żałuję tego. Atmosfera klasztorna wywarła na mnie wielki wpływ. Wstrzymał się chwilowo mój rozwój fizyczny i umysłowy, owładnęła mną jakaś rozkoszna niemoc. Kościelne uroczystości, muzyka, śpiewy, kult świątobliwy,

wszystko to obecnie wzruszało mnie głęboko. Nie nudziłam się więcej podczas mszy i nieszporów. Słowa liturgii wydawały mi się czemś potężnem, dźwięczały mi ciągle w uszach, powtarzałam je bezustannie. Często podczas zabawy porzucałam towarzyszki i uciekałam do kaplicy. Siedziałam tam, nie modląc się, nie myśląc nawet wcale, jakby zahypnotyzowana, wpatrzona w złote drzwiczki trybularza. I zdawało mi się wtedy, że jakieś fale przepływały nad moją głową. Cieszę się, że przeżyłam podobny stan duszy — on dopomógł mi do poznania nieuniknionego przeznaczenia, do zrozumienia znaczenia subtelnych ofiar ludzkich. I doprawdy tylko katolicyzm posiada siłę wznoszenia się ponad wszystko.

Pierwsza komunia doprowadziła do zenitu moją żarliwość religijną.

Był to kryzys.

Po wyjściu z Sacré-Coeur umysł mój znowu stał się niespokojnym, niewierzącym, szukającym prawdy. Brałam dogmat po dogmacie i prowadziłam długie dyskusye z moją matką. Biedna matka! uciekała się pod osłonę wiary, która była jedynem jej pocieszeniem, a którą ja starałam się jej odebrać. Nie wiedziałam sama, co robię. Cierpienia ludzi, a szczególniej zwierząt, widoczny brak sprawiedliwości, okrucieństwo praw natury, widok kota, pożerającego mysz — wszystko wywoływało we mnie bunt. Przestałam wierzyć w skutki modlitwy, ponieważ nigdzie nie widziałam objawów miłosierdzia. Zresztą, nie czytając wcale „Candide“ Voltaire'a, marzyłam o dobrym Bogu, jak ów z pięknego Eldorado, którego bym mogła kochać i do niego modlić się. Obietnica Ewangelii spełniła się dla mnie.

— W jaki sposób? — zapytał sir William żywo zainteresowany.

— Opuszczając Paryż, byłam przekonaną, że prędko zapomnę pana Myères. Niestety! przez piętnaście lat blizkiego pożycia za wiele z swej duszy przelał on do mojej, ażeby to tak łatwo można było wykreślić. Podróżowałam po Egipcie, po Włoszech, po Niemczech, byłam w Anglii, Holandyi, Szwajcaryi, przebywałam setki kilometrów koleją, statkiem lub powozem, gromadziłam wrażenia na wrażenia, obrazy na obrazy i nie mogłam go zapomnieć. Często nawet w chwili zachwycania się jakiemś cudownem zjawiskiem na-

tury lub dziełem sztuki — myśl moją zaprzątały trzy przysłówki: gdzie? kiedy? jak? — które zatruwały mi każdą przyjemność. Gdzie pokochał on Kolettę Hauterive? Kiedy zdradził mnie? W jaki sposób zaczął do niej należeć? — oto trzy pytania, które drżały mi na ustach nad brzegami Nilu, podczas cudownych zachodów słońca we Włoszech, wśród ciszy Colosseum, na szczytach Alp w Szwajcaryi. Gdzie? kiedy? jak? — myśl moja rozbijała się o tę trójkę. Patrzyłam na wiele rzeczy, lecz widziałam bardzo mało. Przechodziłam w myśli całą przeszłość, szukając napróżno jakichś wskazówek. Mały Gwido ma dziesięć lat i jest synem pana Myères!... Nie mogłam sobie przypomnieć nic podejrzanego, żadnej zmiany w charakterze lub obejściu się ze mną mego męża i kuzynki. Zresztą nic dziwnego, ta ostatnia tak wiele umiała sobie przebaczać! Była to kobieta żywa, gwałtowna, kokietka z natury, ale przytem nieskończenie uczuciowa. Posiadała w ruchach swych i w sposobie wyrażania się tyle wdzięku, że trudno go było zapomnieć. Nazywaliśmy ją pieszczotliwie i psuli na wyścigi. Przechodząc w myśli całą jej młodość i dzieciństwo, nie przypomniałam sobie nic karygodnego. Przed urodzeniem się małego Gwidona zapragnęła koniecznie opuścić Paryż i osiadła na wsi w zamku Rocheilles, gdzie wkrótce stała się opiekunką i dobroczynną panią dla całej okolicy. Okoliczności tak się złożyły, że pomiędzy panem Myères a baronem Hauterive wynikły jakieś nieporozumienia na tle politycznem, co wpłynęło na ochłodzenie się naszych stosunków, lecz nie zniszczyło przyjaźni. O ile sobie przypominam, mąż mój unikał raczej, niż szukał towarzystwa kuzynki. Dawniejszy ich stosunek koleżeński zamienił się na pewien przymus, co martwiło mnie bardzo — komedya graną była tak świetnie, że nie dostrzegłam ani cienia fałszu w moim mężu. Obecność moja wywoływała zawsze wyraz zadowolenia na jego twarzy. Pamiętam, było to na trzy tygodnie przed jego śmiercią, kiedy pewnego razu, wychodząc z mego pokoju, zatrzymał się na progu i, odwróciwszy się raz jeszcze, powiedział głosem pełnym miłości: „Antonino, kocham cię!“ I wszystko to było kłamstwem! Nie wiem, który poeta powiedział tę wielką prawdę: Najstraszniejszym bólem jest nie módz płakać po tych, których straciliśmy.

— Byron — podpowiedział prędko sir William. — To po matce swojej on płakać nie był w stanie.

— A ja... po człowieku, którego jedynie kochałam! Zazdrościłam ludziom, posiadającym dobrych nieboszczyków. Pewnego razu na cmentarzu w Rzymie ujrzałam kobietę, płaczącą nad świeżą mogiłą męża, rzuciłam się ku niej i szepnęłam jej do ucha: jesteś szczęśliwą! — prawdopodobnie wzięła mnie za waryatkę.

Ach! ten Rzym! nigdzie tyle nie cierpiałam, co tam. Spędziliśmy w nim z panem Myères kilka tygodni podczas ostatniej zimy przed jego śmiercią. Byłam nieroztropną, wracając tam po ośmnastu miesiącach, bo oto czułam się tak, jakby i on był ze mną. Mieszkałam w hotelu kwirynalskim, miałam mieszkanie pełne słońca, z oknami wychodzącemi na klomby kwiatowe, było mi dobrze i przyjemnie, lecz smutek i przykre wspomnienia prześladowały mnie nielitościwie. Jak tylko wyszłam z domu, dokoła mnie wytwarzała się dziwna atmosfera; szczególniej w niektórych miejscowościach, jak nad brzegami Tybru, w willi Medicis, w okolicy cyrku, czułam wyraźniej obecność pana Myères. Czułe słowa, jakiemi tu do mnie przemawiał, stawały mi żywo w pamięci i sprawiały ból straszny. Byłam jak człowiek, któremu wieniec z róż zamieniono na koronę cierniową. Prócz tego nie mogłam się przyzwyczaić do swego tułactwa. Miłość, przyjaźń, stosunki ze światem, fortunę — wszystko odjęto mi od razu. Brutalny ten rabunek losu wywoływał we mnie uczucie bezgranicznej nudy i upokorzenia. Zresztą sama przykładałam rękę do pogorszenia swego stanu. Odmawiałam wszelkim zaproszeniom, listy przyjaciół rzucałam do kosza i stałam się zupełnie umarłą dla świata. A kiedy już zaprzestano odzywać się do mnie, starałam się wmówić w siebie, że jestem zadowolona. Lecz nie byłam nią wcale. Nie odrazu też przyzwyczaiłam się do mego pokoju w hotelu — trzeba było na to czasu. Po zamku w Chavigny, po wspaniałych apartamentach przy placu Franciszka I., ten „dom podróżników", jak mówią Hindusi, wydał mi się straszliwie zimnym i banalnym. Bezustannie rozbijałam swój umysł i ciało o jego zbyt ciasne ściany. O! nagryzłam się porządnie włożonego na mnie wędzidła!

— A czy kuzynka pani nie starała się nigdy zobaczyć z nią? — zapytał sir William.

— Owszem, pisała do mnie wiele razy, lecz wszystkie jej listy paliłam nie czytając.

— To źle, mogły być okoliczności łagodzące jej winę.

— W każdym razie nie zmieniłyby tego faktu, że mały Gwidon jest synem pana Myères. Nie chciałam o niczem wiedzieć. Nie chciałam ich mniej nienawidzieć, chociaż postępowaniem swem dobrowolnie powiększałam swoje cierpienia. Wszystko to, widzi pan, potrzebnem było dla przeistoczenia się mego, bo zaręczam panu, że w duszy mojej nie było ani dobrze, ani pięknie.

Dotychczasowa moja praca umysłowa ograniczała się tylko na czytaniu utworów lekkich, lecz gruntowne podstawy wykształcenia, jakie otrzymałam, obudzały we mnie pragnienie poznania rzeczy poważniejszych. Z zamiłowaniem oddawałam się studyom historycznym i śledziłam prace naukowe z czasów odległych, to nie przeszkadzało mi jednak zapoznawać się ze zjawiskami ewolucyi teraźniejszości. Prędko poznałam, że to Bóg, a nie ludzie, tworzy historyę. Nieskończenie małe odkrycia w tej nieskończenie wielkiej sile, jaką jest elektryczność, przekonały mnie, że my jesteśmy tylko drobną cząstką w wszechświecie. Całymi tygodniami zajmowałam się notowaniem faktów, zależnych od mojej wolnej woli i tych, nad którymi nie posiadamy żadnej mocy. Niestety! tych ostatnich było zawsze znacznie więcej. Niech pan spróbuje tego ćwiczenia, nauczy ono pana więcej, niż księgi filozofii.

— Spróbuję — odpowiedział poważnie mój towarzysz.

— Dotąd przyglądałam się życiu tylko powierzchownie, teraz zaczęłam badać jego tkanki, jego stronę odwrotną i zostałam uderzona matematyczną ścisłością skutków i przyczyn. Spostrzegłam, że rozkazy niewidzialnie przychodzą do nas z góry, już to drogą bezpośrednią, już to przez naszych blizkich. To wcielanie się woli Boga w życie ludzkie jest niezmiernie ciekawem.

W jaki sposób, na przykład, przyszła panu myśl zaproszenia mnie do Simley?

Sir William zamyślił się.

— Nie wiem. Zjawiła się ona w mej głowie zaraz po pierw-

szych naszych rozmowach, a potem, kiedyś wieczorem, przechadzając się po werendzie, pomyślałem sobie, że zrobi pani wielką przyjemność obejrzenie nieba zblizka przez dobrą lunetę.

— Otóż to, dla dobra mego był pan posłusznym suggestyi siły wyższej, co zresztą nie zmniejsza wcale mojej wdzięczności. O, ona wynagradza mnie hojnie od czasu do czasu.

— Tym sposobem i ja też zostałem wynagrodzony — powiedział uprzejmie mój gospodarz.

— My oboje — odrzekłam, śmiejąc się. Widzi pan, ja przyzwyczaiłam się mówić: Bóg tak chce, Bóg tak chciał, zamiast — ja tak chcę, jak tak chciałam. O, to nie przyszło łatwo! Ale za to teraz jak dumną jestem, czując, że pracuję z nim razem, że spełniam i roznoszę jego rozkazy, że jestem mu potrzebną. Nawet nie podejrzywałam w sobie owej siły promienowania. Bo niech pan tylko pomyśli — ani jeden postępek nie jest bezużytecznym!...

Sir William roześmiał się.

— Kłaniam się pani Myeres — zawołał — odrazu wyszła z pani prawdziwa niewiasta.

— Niech pan drwi sobie, ale ja jestem pewną, że nasze słowa i czyny działać będą jeszcze długo po naszej śmierci i przedłużą życie nasze na tym świecie. Zrobiwszy to odkrycie, byłam tak zachwycona, jak przed chwilą, kiedy patrząc w niebo zawołałam: jestem tam w wieczności, jesteśmy tam wszyscy!

Sir William drgnął.

— „By Jove!" co za myśl! — zawołał

— A wie pan, co ja sobie wyobrażałam?

— Potem, co słyszę, sądzę, że nie wiele pozostało pani do wyobrażania — powiedział mój towarzysz z odcieniem ironii

— Że Bóg nie stworzył cierpienia, lecz nie mógł mu przeszkodzić. Sądzę, że jest ono wytworem ruchu pewnych sił. Co zaś do niesprawiedliwości, to jest ona tylko pozorną — nie mogła by istnieć bez naruszenia prawa równowagi.

— W tem, jako matematyk, zgadzam się z panią.

— Na tem stanowisku, do jakiego doszłam nie bez bólu i męki, zdrada pana Myères straciła wiele z swej siły. A nawet przypuszczam, że człowiek stworzony jest do polygamii.

Twarz sir Williama rozjaśniła się złośliwem zadowoleniem.

— A więc pani to przyznaje. Doprawdy zaczynam wierzyć że wszystko, co pani mówi, jest prawdą.

— Doskonale. Bo widzi pan, zdaje mi się, że to tylko w celu zmniejszenia rozmnażania się stworzyła natura to drugie prawo monogamii. Ponieważ jednak prawo ogólne jest silniejszem, ztąd wypływają często przykre zajścia, które są widocznie potrzebne jeżeli się zdarzają.

— A więc pani powinna przebaczyć mężowi i kuzynce.

— Zrobiłam to już oddawna.

— I cofnęła pani rozkaz spalenia siebie po śmierci, przy puszczam — dodał sir William, chcąc mnie wybadać do gruntu

Serce moje nagle ścisnęło się.

— Przebaczyć mogłam, ale zapomnieć — nie. Pamięć pana Myères sprawia mi zawsze wielki ból. Zresztą wrócę do mych rodziców, jak to czynią kobiety rozwiedzione — spaloną być nie chcę i wie pan dlaczego?

— Dlaczego?

— Pewnego razu odwiedziłam jednego z naszych literatów na krótko przed jego śmiercią. Był bardzo otyły. Kiedy siedział przy biurku z głową pochyloną nad papierami, z rękami rozłożonemi szeroko, był podobny do inteligentnego, olbrzymiego czworonoga. Przeczytawszy później w gazetach, że go po śmierci spalono, wyobraziłam sobie garść popiołu, leżącą na biurku, i doznałam przykrego wrażenia — zaiste smutnem jest tego rodzaju przeistoczenie się istoty ludzkiej. Nie chciałabym zamienić się w garść popiołu, jakkolwiek wiem, że nie zostawię nikogo, komu by to przykrem było.

— Co pani o tem wie!

— Przynajmniej jest to bardzo prawdopodobne... No a teraz niech mi pan przyzna, że przeżyłam swoje życie, ale go sobie nie zrobiłam.

— Takby się zdawało.

— Wszystko było z góry przeznaczone i po za tem czuję na sobie wpływ niezmierzonej dobroci. Ramiona moje stworzone są do udźwignięcia tego ciężaru. Jakaś wrodzona tężyzna fizyczna

i moralna dopomogła mi do tego. Lecz najcudowniejszem jest ta praca umysłowa, która mi została narzuconą i te komórki mózgu, których czynność dała mojej starości boską radość tworzenia... kompensatę za zbyt może jałową młodość.

— Przyznaję, że jest to conajmniej dziwnem.

— O, teraz nie jestem w niezgodzie z Bogiem i upewniam pana, że czujemy się razem bardzo dobrze. I chociaż nie mieszkam w Eldorado, nie żądam od niego niczego, uwielbiam go i dziękuję za wszystko.

Wstałam.

— Oto dramat tam u góry — powiedziałam, patrząc w niebo — bo to tam wysoko wszystko się działo.

— Powiedziała pani: żadne z naszych słów nie będą stracone — nie wiem, ale mogę panią upewnić, że wypowiedziane tego wieczora, dla mnie mają wielką wagę.

— O, to sprawia mi wielką przyjemność.

— Nie miałam nigdy sposobności porozmawiania poważnie z jakąś Francuzką i oto Opatrzność, w którą pani tak wierzy, zesłała mi jednę, mającą wartość dziesięciu — powiedział sir William z żartobliwym uśmiechem.

— I która żyła co najmniej za dziesięć — dodałam. Z temi słowy opuściliśmy obserwatoryum i milcząc, wolnym krokiem poszliśmy przez park do domu.

Anglik jest małomówny wobec prawdziwego cierpienia, okazuje zaś swoją sympatyę lub współczucie odpowiedniem zachowaniem się, postawą, sposobem słuchania, podwojeniem względów i troskliwości. W otworzeniu drzwi przedemną gospodarz mój okazał mi więcej niż zwykle szacunku, a w uścisku ręki odczułam wielką sympatyę, co, muszę przyznać, sprawiło mi ogromną przyjemność.

Więc nie tylko byłam w stanie opowiedzieć całe to najboleśniejsze zajście mojego życia, lecz mogłam je także powtórzyć, opisując w tym dzienniku. Widocznie nie ma już w mem sercu ani gniewu, ani nienawiści — pozostało tylko przykre uczucie upokorzenia.

Mały Guido powinien się był narodzić. Powinien był przyjść

na świat nie ze mnie, lecz... z innej... Ta myśl dziś jeszcze wywołuje rumieniec na moje czoło, czoło starej kobiety, i do głębi rani moją istotę. Do uczucia tego nie przyznałabym się nigdy przed Anglikiem. Bo czyżby to zrozumiał?

Ta przeszłość rozbudzona wywołuje w duszy mojej jakiś lęk. Czyżby wszystko nie było jeszcze skończonem?... Kuzynka moja i syn pana Myères żyją jeszcze. Przeczuwam początki epilogu. Jan Noël nie oparł się pokusie napisania tego. Oby tylko Opatrzność nie mnie kazała wskrzeszać wszystko na nowo...

Simley Hall.

W każdym angielskim domu znajduje się *nursery* „mamczarnia“ t. j. osobny kącik, gdzie się wychowuje dzieci. Bywa on mniej lub więcej obszerny, urządzony z mniejszym lub większym komfortem, ale zawsze być musi — to także charakteryzuje naród. Kiedy jestem w rodzinie angielskiej, staram się zawsze być w dobrych stosunkach z wychowawczynią, ażeby mieć wstęp do niego.

Nursery w Simley jest ogromnie miłe. Wychowało się tam kilka pokoleń, przyczem, w miarę możności, porobiono tam wszelkie ulepszenia nowoczesne. Wychowywali się tu pani Loftus i jej dwaj bracia, obecnie wychowują się wnuki państwa Randolph'ów— siedmioletni Franio, sześcioletnia Lily i dwuletni William. Dzieciarnia owa znajduje się w prawem skrzydle domu i składa się z kilku pokoi, łazienki i małej kuchenki, której ściany wyłożone są fajansem i gdzie się przygotowują rozmaite zupki i inne potrawy. W pierwszym pokoju śpi najmłodszy z niańką, w drugim — starszy braciszek z siostrą. Łóżeczka tych dwojga oddzielone są ładnym parawanem. Jakiś blask i świeżość panują w tem gniazdku ludzkich piskląt. Ściany mają jasne tapety, dokoła staroświeckie meble, wszystko proste, szyte z kretonu, muślinu, lub sporządzone z białego drzewa. Na ścianach wisi portret jakiegoś przodka z dobroduszną, uśmiechniętą twarzą, dalej fotografie rodziców, ulubionych psów i kilka ładnych litografij. Wizerunek Chrystusa z podpisem u dołu: „pozwólcie dziatkom przyjść do mnie“ — jest jakby promykiem duszy i wzniosłych myśli.

Miejsce, przeznaczone do zabawy we dnie, ogromnie mi się

podoba. Jest to duża sala, oświetlona dwoma ogromnemi oknami i umeblowana następującemi sprzętami: duży, okrągły stół, mały, stary fortepian, wielka ilość krzeseł różnej wysokości i kilka bujających się foteli. Prócz tego pełno tu jest przedziwnych zabawek, prostych, pierwotnych. Tutaj czujemy się naprawdę wśród dzieci i to jest cudowne.

Któregoś dnia, siedząc na fotelu, przeznaczonym dla gości, rozglądałam się dokoła i podziwiałam rozum, czy też instynkt rodziców, którzy nowonarodzonych już otaczają przedmiotami, mogącymi widokiem swym rzucić najlepsze ziarno w ich dziecięce główki.

Czyż naprzykład te wiecznie świeże kwiaty, stojące na kominku, i te zbiory owadów, nie obudzą w nich zamiłowania do natury? A te obrazki z życia Robinsona Kruzoe czyż nie pouczą ich o potrzebie pracy i samodzielności? Portrety króla i królowej mają za zadanie obudzić lojalizm, a mapa Wielkobrytanii — miłość dla ojczyzny. Tam znów scena ratowania tonących na morzu roznieci w nich zapał do bohaterstwa. A ten napis nad kominkiem: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło" — czyż nie powstrzyma ich kiedyś od popełniania niesprawiedliwości?

Pani Loftus własną piersią wykarmiła swe dzieci, potem oddała je pod opiekę „nurse'y" — niańki, która wychowuje je dalej zupełnie inteligentnie. Stanowczość charakteru nadaje starej Sarze pozór szorstkości, lecz z pod tego przebija się czułe, macierzyńskie serce. W duszy swej ma ona żyłkę poetycką, co prawdopodobnie należy przypisać irlandzkiemu pochodzeniu. Umie odczuć piękno natury i posiada ogromny zapas opowiadań, legend i przeróżnych historyjek, którymi zabawia dzieci wieczorami i o zmierzchu. To jednakże nie przeszkadza jej utrzymywać w karbach „dzieciarnię".

Pewnego dnia, wszedłszy, ujrzałam master Francis, siedzącego nieruchomo pośrodku pokoju. Siedział z rączkami bezwładnie opuszczonemi na poręcze foteliku.

— Co on tam robi? — spytałam.

— Co robi? — odparła zdziwiona Sara — nic, uczy się sie-

dzieć spokojnie. Dziesięć minut przed i dziesięć minut po południu — jest to wypoczynek dla niego i dla mnie.

Uczy się siedzieć spokojnie! Jak to widać, że nas tego nie uczono nigdy!

Byłam też nieraz świadkiem bezwzględnego posłuszeństwa tego malca względem swej niańki. Wczoraj rano, naprzykład Sara przygotowywała kąpiel dla małej Lily. Dzieciak niecierpliwił się w łóżeczku i co chwila chciał wstawać.

Niańka to dostrzegła i zawołała głosem rozkazującym:

— „Lie down, sir“ — połóż się, panie.

Mały wykonał rozkaz bez szemrania.

— Bylibyście dobrym jenerałem, Saro — powiedziałam śmiejąc się.

— „Thank you“ — odpowiedziała mi z widocznem zadowoleniem.

Franio i Lily bali się podobno bardzo „damy francuzkiej“, o której przybyciu zawiadomiono ich i kto wie, jak ją w swych małych główkach wyobrażali sobie. Kiedy po raz pierwszy przyszłam do nich, z pewną trwogą podali mi swoje małe rączki i rada byłam, że pierwsza nasza rozmowa zrobiła na nich dobre wrażenie. Nazajutrz już pokazali mi swoje skarby: zabawki, obrazki, książki, małego jamnika Kima, kota Rosey'a, „mamczarnię“, Fitę i Bity i małego „poney'a“ Dodo.

Ta mała parka wygląda wspaniale w swych wygodnych ubrankach, z gołemi nóżkami bez pończoch, tylko w pantofelkach według metody Kneippa, która w Anglii jest ogromnie w modzie. Rysy ich twarzyczek zapowiadają piękność w przyszłości. Lily ma duże niebieskie oczy i ciemnokasztanowate włosy, Franciszek znów zachwyca mnie prześlicznym kształtem głowy. Ma on zwyczaj zaciskania warg, co nadaje wyraz surowości jego dziecięcej twarzy i zdradza silną wolę. Kilka razy zauważyłam w nim upór, aż dopóki nie uznał się sam za zwyciężonego — i to jest charakterystyczne u tej rasy.

Pewnego razu, podczas przechadzki, znaleźliśmy się przed wysokiem ogrodzeniem.

— Mamo, czy myślisz, że mógłbym to przeskoczyć? — zapytał malec, zwracając się do matki.

— Owszem, — odrzekła matka — ale przytem możesz zrobić sobie co złego i trzeba będzie wzywać doktora.

Dziecko zdawało się mierzyć wysokość przeszkody. Walka, jaka się w niem prawdopodobnie toczyła, spowodowała przypływy krwi do delikatnej twarzyczki.

— Myślę, że przeskoczę — odezwał się w końcu.

— Masz wolną wolę — odpowiedziała pani Loftus.

Malec pośpiesznie zdjął sandałki, skoczył na baryerę, pozostał przez chwilę w równowadze, poczem lekko przerzucił się na drugą stronę i stanął na równe nogi.

— Nie zrobiłem sobie nic złego — zawołał z tryumfem.

— Tem lepiej, kochanie — odrzekła spokojnie matka.

Zamieniłyśmy z nią spojrzenia. Była zadowoloną z chłopca... ja także.

Zachwycam się zawsze tem, jak ważne miejsce u dzieci angielskich zajmują zwierzęta i kwiaty.

Franio i Lily powracają zwykle ze spaceru z ogromnemi gałęziami i upiększają niemi „nursery". Znają też nazwy wszystkich ptaków igrających na trawnikach i interesują się nimi bardzo.

Opowiadała mi Sara, że tej wiosny zauważyła nagle, że poduszki dziecięce zrobiły się wolniejsze i bardziej płaskie. Napróżno przebijała je i kładła na słońcu —zmniejszały się bezustanku. Już podejrzywać zaczęła dziewczynę usługującą, kiedy pewnego ranka ujrzała przez otwarte drzwi, jak Lily i Franio wyciągali z poduszek po źdźiebełku pierza i wyrzucali je za okno.

— Co wy robicie? — zawołała rozgniewana.

— Dajemy pierze ptaszkom, żeby sobie zrobiły gniazdka — odpowiedziała mała Lily z cudowną szczerością.

Niańka wytłómaczyła im, że nie mają prawa bez pozwolenia rozporządzać się własnością rodziców.

Często pośpieszniej ubierałam się na obiad, ażeby módz być obecną przy usypianiu dzieci. Jestto wspaniały widok. Wszystko tam się odbywa w porządku, tu naprawdę szanują wiek dziecięcy i nie obdzierają go z poezyi.

Przedwczoraj Lily już w nocnej koszulce powiedziała do mnie z wyrzutem:

— Pani Myères, pani wcale nie patrzy, jak ja układam swoje rzeczy.

Podeszłam do krzesła, na którem co wieczór mała układa swoje ubranie, i pochwaliłam ją z uznaniem. Ładna jej twarzyczka poróżowiała z radości.

Kiedyś znowu, rozbierając się, wyciągnęła ku mnie swoje białe, pulchne rączki.

— Czy pani lubi moje ręce?

— Bardzo — odpowiedziałam poważnie.

— A włosy? — zapytała, pokazując ciemne złotawe pukle.

— Także.

— A nóżki?

— Także — i potrząsnęłam tłuściuchną stopką.

Tak przechodziła kolejno wszystko: oczy, nos, usta, zęby. Powiedziałam w końcu, że kocham całe małe, dobre dziewczynki, ale nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu, rozumiejąc, że słowa „czy pani kocha“ miały znaczyć „czy się pani podoba“.

Pacierz wieczorny rozrzewnia mnie zawsze. Odbywa się on w ten sposób: małe bobo składa rączki, wpatruje się w usta „nurse'y“ i powtarza za nią: „Boże mój, błogosław kochanemu tatusiowi, kochanej mamusi, bratu, siostrze, wszystkim krewnym i przyjaciołom, i daj, żebym był dzieckiem grzecznem i kochał pana Jezusa. Amen“. Starsze dzieci dodają do tego „Ojcze nasz“ i jakiś krótki hymn. Potem Sara odczytuje kawałeczek z ewangelii, albo z biblii. Tak się kończy dzień w „mamczarni“ w Symley Hall.

Dowiedziawszy się, że wkrótce mam odjechać, master Francis i Lily zaprosili mnie do „nursery“ na herbatkę.

Zaproszenie, wypisane ogromnemi literami, było tak wzruszające, że nie mogłam odmówić.

Punktualnie o czwartej zjawiłam się u nich. Prócz domowych zastałam tam śliczną, małą dziewczynkę, którą zaprosili do pomocy w ugaszczaniu mnie.

Kochane maleństwa! Ileż radości sprawiło im moje przybycie!

Własnemi rękami narwali kwiatów polnych dla przybrania stołu, zamówili u kucharki ciastka, takie „dla dorosłych", sami robili wszystkie przygotowania.

Dumni byli ze swego dzieła, a moje pochwały wywoływały radość na ich miłe twarzyczki.

Miss Milly nalewała herbatę, Sara roznosiła filiżanki, a Lily i Franio w zupełnem zapomnieniu o sobie, zapraszali mnie bezustanku do spożywania łakoci.

Widok naszego stołu był może zabawny, lecz nie banalny. Na jednym jego końcu stara kobieta, na drugim młodziutkie dziewczę w białej sukience, po prawej ręce zachwycające bobo, mała jak laleczka sześcioletnia dziewczynka, po lewej chłopak w marynarskim stroju, a dalej pies Kim, kot Rosey, ulokowani na wysokich krzesełkach.

Franio, przejęty gościnnością, ubolewał, że nie mógł zrobić pieczeni na swojej kuchence, jak to było w zimie. Lily zapraszała mnie na Boże Narodzenie, na ten najpiękniejszy dzień w roku. Wspomnienie z ostatnich świąt teraz jeszcze radowało ich. Chłopak wskazał mi na rysunek lwa, wiszący na ścianie — był to podarek gwiazdkowy redakcyi ich „Dziennika Ilustrowanego". Opowiadał mi o zbrodniczych czynach tego zwierzęcia — pożarło z tysiąc jagniąt — i obiecywał zabić je, jak tylko dorośnie. Lily opowiadała o szczepieniu ospy małej jej córeczce Fanny, o tem jak była dzielną i wcale nie płakała. Słuchając tego wszystkiego, doznałam dziwnego wrażenia: zapomniałam o rzeczywistości, o swych latach. Czułam jakąś świeżość życia, zdało mi się, że jestem młoda. To było cudowne.

Wejście sir Williama położyło koniec złudzeniom. Zatrzymał się chwilkę na progu.

— Ach pani! — powiedział ze wzruszeniem — oto prawdziwa dobroć.

— Nie, panie. To ja właśnie biorę tutaj kąpiel odmłodzenia się, tego nie znajdę nigdzie, tylko u was.

Francis i Lily podbiegli do dziadka, usadzili go w fotelu i podali herbatę.

— Przed tymi stoi ogrom wiedzy otworem — powiedział sir William.

— Czy będą szczęśliwsi?

— Będą lepiej uzbrojeni. Przecież postęp polega na dostarczaniu nowych pierwiastków życiu.

— Na dostarczaniu nowych pierwiastków życiu — powtórzyłam — to jest największą waszą troską, was Brytańczyków. My przeciwnie, my dostarczamy ich śmierci. Nie mylę się chyba, sądząc, że większą część waszej siły nabywacie w waszych „nursery".

— I moje zdanie jest takie.

— We Francyi nie posiadamy takich „kojców".

— Dlaczego? Nieraz już zadawałem sobie to pytanie.

— Bo my mamy zwykle mieszkania źle, nieodpowiednio urządzone.

— Ależ na prowincyi macie przecież takie domki, gdzie by można było urządzić „nursery", salę do nauki, łazienki, gimnastykę, wszystko, czego wymaga dana indywidualność.

— Na prowincyi! niestety, i meble i umysły są tam zwykle przykryte pokrowcami. Tam ludzie zatykają sobie uszy, żeby nie słyszeć głosu nauki z obawy zniszczenia starych przesądów. Zapuszcza się rolety, ażeby słońce nie zniszczyło obicia. Na prowincyi pilnują swoich przesądów i swoich firanek. Podstawą naszej ekonomii jest skąpstwo, podstawą miłości rodzicielskiej — egoizm. Kochamy rodzinę, dzieci, ale nie kochamy gatunku. Oto są przyczyny naszej niepopularności, naszego upokorzenia. Nie tracę jednak nadziei, że nie dziś to jutro Opatrzność zechce to zmienić i zmieni.

— Szczerze tego życzę — powiedział sir William.

Podziękowawszy dzieciakom za przyjęcie, wyszłam z „nursery" wraz z moim gospodarzem i poszliśmy przejść się po parku.

— Pani, gdyby miała dziesięcioro dzieci, potrafiłaby doskonale je zrozumieć — powiedział sir William.

— O, nie, matki kochają ślepo swe dzieci i nigdy nie znają ich dobrze. Co do mnie, przyznaję się ze wstydem, że byłam zawsze obojętna dla dzieci i raz tylko miałam pragnienie macie-

rzyństwa. Było to pięć lat temu. Córka mojej gospodyni oczekiwała potomka i oto nagle to spodziewane przyjście na świat istoty ludzkiej zainteresowało mnie. Widok wszystkich przygotowań, kołyska, pierwsze ubranka, wzruszały mi serce i obudzały ciekawość. Widziałam umierających, teraz zapragnęłam być obecną przy rodzeniu się. I tu, jakby Opatrzność chciała zrobić mi przyjemność, okaz moich badań był cudem piękności. Główka maleństwa miała złote kędziory. Po raz pierwszy ujrzałam je przy świetle elektrycznem, włożyłam palec w małą piąstkę i uczułam słaby uścisk. Widok tego młodego, ciepłego ciałka sprawiał mi ogromną przyjemność. Od tej chwili przez pięć lat śledziłam fizyczny i duchowy rozwój dziecka i zauważyłam, że ze wszystkich stworzeń żyjących znamy je najmniej dokładnie.

— Bo każde z nich ma inny charakter i z jednego nie można sądzić o wszystkich — zrobił uwagę sir William.

— Tak, ale pobudki wewnętrzne, wywołujące pewne akta, są zwykle takie same. Czy pan nie zauważył, naprzykład, że każde pięcio lub sześciomiesięczne dziecko daną mu w rękę zabawkę rzuca przed siebie jak może najdalej.

— Rzeczywiście.

— A potem robi ruch naprzód, jakby chciało iść po nią.

— Tak, prawda.

— Jest to poprostu sposób wprowadzenia mięśni w ruch, jaki wynalazła natura. Biedz za czemś, jest to odwieczny, pierwotny instynkt. Matka, lub niańka, trzymająca dziecko na ręku, powstrzymuje je od tego i wywołuje gniew w małym człowieku. A przysięgnę też, że to, co my nazywamy złością, jest najczęściej po prostu zabawą. Dzieci lubią drażnić się ze starszymi, a my tego nie rozumiemy, gniewamy się, a nawet czasem bijemy.

Taki nowoprzybyły musi dotykać się wielu przedmiotów, ażeby wejść w zetknięcie z światem, a my wszelkiemi siłami przeszkadzamy mu w tem.

Dziecko rodzi się wynalazcą — my to w niem zabijamy. Dziecko wydaje krzyk, bo płuca jego potrzebują gimnastyki, a my przeszkadzamy mu w tem, zmuszając do milczenia. I tak dalej i dalej. Przez nieuctwo zabijamy w niem instynkt, który jest olbrzy-

mią siłą, zamiast rozumnie nim kierować. I pytam, dlaczego przyrodnicy nie badają tak samo dzieci, jak badają mrówki lub pszczoły.

— Darwin rozpoczął tę pracę.

— Tak, ale tylko po to, ażeby wynaleźć nić, łączącą nas ze zwierzętami. Obowiązkiem jest ludzi nauki rzucić światło na miłość matek i kierować wychowawczyniami. Lecz niestety! my sami jesteśmy jeszcze dziećmi!

Tymczasem już te badania, które przeprowadziłam nad małą Lulu, nauczyły mnie wiele i znakomicie dopomogły Janowi Noël. Widziałam w dziecku budzenie się uczuciowości, widziałam błyski światła, gasnące prędko, które pojawiały się z początku rzadko, a potem coraz częściej. Dostrzegłam pierwsze drgnienia duszy znacznie starszej od ciała i z czułością patrzyłam na słabe zrazu próby stania o własnych siłach. O jakże wzruszającymi są te pierwsze wysiłki człowieka! W dniu, w którym po raz pierwszy udało się jej obejść bez mojej pomocy, była zachwyconą, oglądała się dokoła, jakby czekając na oklaski. Zdawało się, że opromieniło ją niejasne poczucie tego, że przestąpiła pierwszy szczebel drabiny życia ludzkiego. Zwykle bardzo łagodna, tego ranka bez żadnego powodu rzuciła zabawkę w głowę niańki. I nie zapomnę nigdy przerażenia w jej głosie, kiedy wyszczebiotała: to nie umyślnie. Ten akt skruchy wzruszył mnie do głębi. Ileż to razy my, dorośli, robimy to samo umyślnie!

Ale najwięcej obudzało mój podziw zjawisko poddawania się suggestyi. Często byłam obecna przy jej modlitwie wieczornej i patrzyłam z zachwytem na staruszkę niańkę, sympatyczną Bretonkę, stojącą przy kołysce dziecka z ręką na jego piersi. Mała, wpatrzona w swą piastunkę, powtarzała za nią niezrozumiałe dla siebie, od dziewiętnastu wieków nieśmiertelne wyrazy:

...Błogosławionym jest owoc żywota Twego, Jezus...

Nie można wyobrazić sobie nic bardziej porywającego, jak ów kontrast słów tak potężnych, wychodzących z ust dziecka.

Sir William uśmiechnął się.

— Sądzę, że żadna matka nie widziałaby tak jasno tego wszystkiego, jak to widział Jan Noël.

— Bo nietylko umysł mój był zainteresowany tem wszyst-

kiem — przywiązałam się do tego dziecka. Czułam się szczęśliwą, kiedy mogłam być przy niej. Zaczęłam nawet kochać jej lalki, lubiłam dotykać się jej zabawek. Mała nazywała mnie „Mi" i to mi sprawiało rozkosz najmilszej pieszczoty.

Później Lulu wyszła z koła mego życia, lecz zostawiła na niem ślad, pełen blasku.

Ona zetknęła mnie z duszą dziecka i na tem prawdopodobnie polegało jej posłannictwo. Obecnie czuję potrzebę widzieć i słyszeć małe dzieci — wasze dodały wiele uroku memu pobytowi w Symley Hall.

— A one nie zapomną już nigdy „pani francuzkiej", pogodziła je pani na zawsze z Francuzami. Czy taki był tajemny cel przybycia tu pani? — zapytał sir William żartobliwie.

— Zgadł pan. Na tem, według mnie, polega prawdziwy patryotyzm.

— Tak, jest to najlepszy, najprzyjemniejszy objaw patryotyzmu — odrzekł mój towarzysz z uśmiechem.

Symley Hall.

Pojutrze mam opuścić ten dom gościnny, gdzie tak przyjemnie wypoczywałam przez cały miesiąc.

Przez długi czas będę teraz odczuwać chłód hotelów i brak życia rodzinnego. I po co? do czego potrzebnem było, ażebym czas jakiś pożyła tu z tymi obcymi ludźmi? Jakie pierwastki wniosłam do ich domu? Dałam im zapewne trochę z swej duszy łacińskiej, z swych myśli francuzkich.

Sir William utrzymuje, że obecność moja zrobiła mu wiele dobrego.

A on? jakże wiele nauczył mnie podczas naszych długich spacerów! Zawsze oceniałam towarzystwo ludzi z wyższą kulturą i pożądałam go.

Przeznaczenie chciało, że dotąd żyłam przeważnie w sferze ludzi światowych, płytkich, i trzeba przyznać, że jedna strona mojej natury była z tego zupełnie zadowolnioną. Po za tem uczeni, z którymi podtrzymywałam stosunki, to są ludzie, znający znakomicie swoją specyalność, lecz nie umiejący ogarnąć całości. Obecnie z gospodarzem moim mogłam przyglądać się życiu i dysputować

nad niem. On posiadał więcej wiedzy, ja — intuicyi, która jest wiedzą nieuków. Przy pomocy tych dwóch czynników doszliśmy prędko do porozumienia i nie zawiedliśmy swoich nadziei.

Czy to był cel naszego spotkania się? — to pytanie przychodzi mi zawsze na usta i na koniuszek mego pióra.

Niemałą też dozę przyjemności w czasie mego pobytu w Simley Hall zawdzięczam lady Randolph.

Cóż za ogromna różnica pomiędzy tą kobietą, szanującą wolę i ideały swego męża, strzegącą dawnych tradycyj i zwyczajów, a emancypowanemi Amerykankami, pomiędzy któremi dotąd żyłam.

Lubię patrzeć na nią, kiedy wieczorem, ubrana w jedwabną wyciętą suknię, przystrojoną staroświeckiemi koronkami i takiemiż kiejnotami, siedzi za stołem na czele swych stołowników. Olbrzymi rostbef kraje z ogromną zręcznością i elegancyą, i z wdziękiem pełnym uprzejmości rozdziela pomiędzy swych domowników dary boże, potrzebne do życia. Jeżeli czasem w rozmowie jakiś duch modernistyczny wysunie zanadto uszy, czy to w zbyt śmiałych poglądach sir Williama, czy któregoś z dzieci — wówczas ona zwraca się w tę stronę i głosem pełnym słodyczy, ale i stanowczości, mówi:

— „I wish you would not say that“, nie życzę sobie, żebyście o tem mówili — temi kilkoma słowy kieruje i nadaje ton otoczeniu.

Z pochodzenia jest Irlandką, wyznania protestanckiego. Włosy ma bardzo czarne, a wyraz twarzy, zwykle surowy, łagodnieje widocznie, kiedy patrzy na swego męża. Wielokrotnie też podpatrzyłam błyski boleści jej duszy, gdy patrzy na niego oczami, które wiedzą, że długo nań patrzeć nie będą... Nie mówiła mi nigdy o swym smutku, nie wywnętrzała się nigdy, lecz wie i czuje doskonale ów prąd sympatyi kobiecej, jaki bezustanku pomiędzy nami przepływa.

Dziś była to ostatnia niedziela, jaką spędziłam w Anglii.

Uprzedzając mnie zaraz na początku o zwyczaju odprawiania wspólnych modłów, sir William dodał, że nie mam obowiązku brać w nich udziału.

— „That wou't hurt you know“, to nie robi przykrości, niech mi pani wierzy — mówił trochę kostycznym głosem.

Brałam udział i doznawałam wielkiej przyjemności.

W niedzielę śpiewają hymny, do których pani Randolph akompaniuje przy fortepianie. Stary kamerdyner, kucharz, pokojowe przychodzą z swemi ławeczkami i kantyczkami do śpiewu. Sir William z powodu utraty głosu nie może sam czytać biblii, wybiera więc tylko rozdziały, a syn lub zięć wyręczają go. Widok tych mężczyzn, klęczących pokornie jak dzieci, rozrzewniał mnie.

Tego dnia stałam tuż za gospodarzem, który był do mnie zwrócony plecami. Chude łopatki sterczały z pod sukna smokingu, który wisiał na nim rozpaczliwie. Prosił, ażeby zaśpiewano ulubiony hymn jego, i biednym, złamanym głosem powtarzał tę zwrotkę:

„Nearer to Thee, my God, nearer to Thee.
Even though it be a cross that raiseth me.
Still all my song shalle be
Nearer to The my God".

Bliżej ku Tobie, o mój Boże, bliżej ku Tobie.
Trzeba było krzyża, ażeby mnie podnieść.
I znowu wołać będę: bliżej ku Tobie, bliżej ku Tobie,
Jeszcze bliżej ku Tobie...

Słowa te w ustach skazanego na śmierć niechybną miały przeszywającą siłę. Rozumiałam, że powtarzał je z całą świadomością, że był to jego akt rezygnacyi.

Bliżej do Boga! o jakże bardzo blizko Niego już jest!...

Po skończonych modłach służba cichutko rozchodzi się, nie pozdrowiwszy nawet państwa. Dziwiło mnie to mocno.

Sir William dostrzegł mój wzrok, jakim patrzyłam za nimi.

— Ładny chrześcijanizm, co? — odezwał się z ironią — modlimy się wspólnie, a potem rozchodzimy się, nie powiedziawszy sobie dobrego słowa.

— Ależ Williamie, wiesz przecie, że tak być musi — zaprotestowała lady Randolph.

— To właśnie jest smutne. Wytworzyliśmy sobie etykietę, która jest wręcz przeciwna i naszej religii i naszym zasadom, które wyznajemy.

— Ojcze, jesteś radykałem — odezwała się śmiejąc pani Loftus.

— Nie, tylko w obecności obcych czuję dobitniej naszą suro-

wość i naszą nielogiczność. Chodźmy patrzeć na gwiazdy, pani Myères — dodał szorstko. — Tam, w górze, przynajmniej wszystko jest harmonijne...

Simley Hall.

Dziś wieczorem, po obiedzie, wcześniejszym niż zwykle skutkiem mego wyjazdu, poszliśmy z panem Randolphem po raz ostatni do obserwatoryum.

Według zwyczaju towarzyszył nam Freddy. Szliśmy z głowami spuszczonemi, jak to czynią zwykle stworzenia zasmucone.

Kiedyśmy usiedli w saloniku przy otwartem oknie, ja zadrżałam nerwowo.

— Czy pani zimno? — spytał się William.

— Nie, jest to wpływ waszych zmierzchów.

— Więc odczuwa je pani także.

— Czy je odczuwam! ależ są one nadzwyczajne — „uneavnung“ — jak wy mówicie. Nigdy nie są takie same, zawsze inne— czasem łagodne, czasem ponure, szare, czarne, żółte... jak dzisiejszy naprzykład, niech pan spojrzy.

Niebo było zupełnie przeźroczyste.

Światło, wytworzone złotem zachodu i mgłą wieczorną, nadawało krajobrazowi widok północny, tajemniczy. Zieloność przybrała barwę prawie czarną. Nietoperze uganiały się w powietrzu z pośpiechem, właściwym stworzeniom zgłodniałym. Chrabąszcze z różkami — „stag beetles“ — podlatywały, to znów opadały, łapiąc zapóźnione muszki.

Panowała jakaś cisza oczekiwania.

— Nic nie zbije mego twierdzenia, że o tej godzinie cała przestrzeń jest zaludniona — i we Włoszech i w Anglii odczuwałam o tej porze obecność istot niewidzialnych.

— Szekspir i wielu poetów, a także zwykłych śmiertelników, doświadczali tego samego. Sądzę, że nie ma malarzy, zdolnych odtworzyć zmierzch.

— Tylko Ary Scheffer może by to potrafił. Czy zna pan jego św. Augustyna i św. Monikę?

Twarz sir Williama rozjaśniła się radością.

— Czy go znam! przed żadnym obrazem nie stałem tak

długo. Cieszę się, że zwrócił on pani uwagę. Za każdej bytności w Paryżu idę do Luwru, ażeby mu się przyjrzeć. Ary Scheffer nie należy do artystów pierwszej wielkości, lecz w tem dziele pędzel jego dokonał istotnego cudu. Światło na twarzy św. Moniki to odblask nadziemskiej wizyi.

— O tak! głównie też dla tego światła mam zawsze fotografię tego obrazu w swoim pokoju.

— Ono to obudza w nas wiarę w to, co jest ponad nami.

— Panu nie potrzeba chyba tego do wierzenia — powiedziałam uśmiechając się.

— Bogu dzięki nie, i powtarzam razem z Tennysonem: ujrzę twarzą w twarz mego przewodnika, gdy przejdę baryerę.

Zapanowało długie milczenie.

— Czy pani wyobrażała sobie kiedy kształt wszechświata? — zapytał mnie nagle sir William.

— Nie, a pan?

— Zdaje mi się, że go widziałem.

— A, gdzież to?

— Będzie temu parę dwudziestek lat, kiedy po raz pierwszy stanąłem przed piramidami. Doznałem wstrząsającego wrażenia. Kontury ich rysowały się z idealną czystością na tle nieba egipskiego. Uderzyła mnie ich piękność matematyczna i przyszło mi na myśl, że takim musi być kształt wszechświata. Pomiędzy czterema trójkątnemi bokami figury widziałem ruch milionów ludzkości, które się doskonaliły i wznosiły coraz wyżej, ażeby dojść do szczytu piękna, szczęścia i doskonałości. I myślałem sobie, że ten symbol życia wszechświatowego, umieszczony na grobach, oznacza może Nieśmiertelność.

— Może pan odgadł. Co do mnie, patrzyłam godzinami na piramidy, i nie dopatrzyłam się żadnego symbolu. W końcu widok ich rozdrażnił mnie.

— A mnie, przeciwnie, sprawił tajemną radość.

— Widzi pan — rozum działa rozmaicie. Co do mnie, wolę przyglądać się czółenku, które, jak mi się zdaje, jakaś niewidzialna ręka przesuwa po przędzy naszego istnienia. Widząc, jak toczy się naprzód, śledzę, kiedy powróci. To bawi mnie jak jaka gra.

Sir William rozśmiał się.

— Ciekawe muszą być pojęcia pani o duszy ludzkiej.

— Dusza według mnie jest świętym sakramentem ciała.

Nozdrza mego towarzysza poruszyły się kilkakrotnie.

— Dusza... święty sakrament ciała... — powtórzył wolno.

— Tak, pan tego nie zrozumie, bo pan nie jest katolikiem.

— Przeciwnie, rozumiem doskonale, niech pani mówi dalej.

— Dusza otacza ciało aureolą promienistą i przelewa w nie doznane przez siebie wrażenia. A ciało z swymi doskonałymi organami myśli, czucia i czynu jest jej narzędziem postępu, którego ona używa przez minutę, godzinę, lub trzy ćwierci wieku. Ciało trwa tak długo, jak długo jest potrzebnem, poczem niszczy się, zamiera. Wtedy natura daje duszy nową powłokę, a stara, porzucona, podlega, jak panu wiadomo, prawu przemiany i tak życie trwa wiecznie, bez końca.

— Mogę tutaj zawołać z Włochami: jeżeli to nie jest prawdą, to w każdym razie zręcznie wymyślone — zawołał, śmiejąc się, sir Wiliam.

— Nieprawdaż? — odrzekłam z tajonem zadowoleniem. — Zresztą są to tylko rozumowania kobiety, nie mające prawdopodobnie żadnej psychologicznej wartości, ale zajmują mnie i pocieszają.

— Pani wierzy zapewne w duszę zwierząt? — zapytał sir William.

— Tak jak w swoją własną. Muszą być dusze rodzajów, dusze indywidualności i rozmaitych stopni — cała cudowna drabina, podobna może do tej symbolicznej, widzianej we śnie przez Jakóba. Czyż pan nie czuje nici psychologicznej, łączącej pana z Freddym?

— Czuję ją. O, my się rozumiemy doskonale, nieprawdaż? „old boy“ — powiedział sir William.

Jamnik, który dotąd spał, podniósł nagle główkę, utkwił oczy w panu i radośnie pokiwał ogonkiem.

— Widzi pan, nie tylko usłyszał we śnie głos pana, ale odczuł w nim także pieszczotę — na to trzeba mieć coś więcej niż uszy.

— To prawda — a potem, patrząc na mnie przez parę sekund, dodał:

— Myślę, że gdyby pani musiała prowadzić dom i utrzymywać stosunki towarzyskie, nie miałaby pani możności przyglądać się życiu tak, jak obecnie.

— Zapewne, szczególniej biorąc pod uwagę wrodzoną mi trzpiotowatość. Opatrzność posadziła mnie sama „w loży", ażeby mnie zmusić do myślenia, do pracy, ale dla czego tak późno, „na schyłku".

Mój towarzysz podniósł do góry ramiona i zwolna je opuścił.

— Któż to wie!

— Teraz doznaję wrażenia, że muszę się bardzo śpieszyć.

— W każdym razie nie powinna pani żałować tego ulokowania się „w loży". Powodzenie, jakie panią spotkało, musi sprawiać jej ogromną przyjemność.

— Tak, przyznaję to. Powodzenie dni ostatnich, z którego cieszyć się mam tak mało czasu, którego moi najbliżsi nie znali, dawniej wydawało by mi się okrutną ironią, obrazą niemal — dziś — rozumiem, że nie mogło przyjść wcześniej. Zresztą wszystko było spóźnione w mojem życiu. Czy uwierzy pan, że w czterdziestym roku rozumiałam naturę nie lepiej od ślepców i głuchych.

— Czy to możliwe?

— Najzupełniej. Zajęcia fizyczne i pochłaniająca mnie miłość dla męża robiła mnie głuchą na jej siły. Po katastrofie, o której pan wie, spędzałam lato w Szwajcaryi w Lucernie. Zawsze lubiłam spacery na świeżem powietrzu i tam też codziennie robiłam długie przechadzki. Ale chód mój był wtedy bardzo wolnym. Szłam przed siebie z głową spuszczoną, krokiem ciężkim, jak osoba stara. Miałam zawsze książkę ze sobą, ażeby czytać podczas wypoczynków— czytać wobec obrazów, pełnych życia i światła boskiego!

Pewnego popołudnia znalazłam się zupełnie sama, jakby opuszczona, na jednej z wyniosłości, dominujących nad miastem. Usiadłam pod drzewem i z zwykłą obojętnością powiodłam wzrokiem dokoła.

Słońce w niezwykłej wspaniałości zniżało się powoli, i roztaczając złote blaski na zachodzie, łagodziło niebieskie, zielone

i szare barwy wschodu, uwydatniało szczyty i niezmierzoną, tajemniczą dal. Cichy, lekki wietrzyk kładł do snu trawy na łąkach i poruszał liście drzew nad moją głową. Ani jednej istoty ludzkiej nie było w tym krajobrazie. I cóż się stało? Dopełnił się prawdopodobnie akt nawrócenia. Jakaś siła niepojęta przykuła mój wzrok. Zdawało mi się, że jakieś ciało płynne przenika mnie całą i oto odczułam nagle niebo, góry, bogactwo ciepła zachodu i przenikliwe zimno wschodu. Było coś wspaniałego w tym moim pierwszym stosunku z naturą. Przedemną otwarło się źródło niewyczerpanych radości — bez wątpienia, dnia tego zetknęłam się z duszą świata.

Wielokrotnie potem w pielgrzymkach swoich powracałam na to miejsce, gdzie się cud dokonał. Widzi pan teraz, że z tą zdolnością odczuwania przyrody, podwajającą moją siłę życiową, i zdolnością do pracy umysłowej — mogę śmiało wkraczać w dziedzinę starości.

Sir William targnął za uszy Freddy, a potem, popatrzywszy na mnie chwilkę, zapytał:

— Czy pani ma jakich krewnych?

— Nikogo, prócz baronowej Hauterive — odrzekłam z goryczą.

— Ale ma pani pewno blizkich przyjaciół?

— Tak, lecz ani jednego z lat dziecięcych lub młodzieńczych, któremu bym mogła powiedzieć: Czy pamiętasz? Przeżywam miesiące całe, nie używając języka francuskiego — jest to najzupełniejsza samotność wśród tłumów, zupełna cisza wśród wrzawy.

— W każdym razie dziwne zakończenie życia — powiedział mój towarzysz i znowu zaczął targać uszy Freddy.

Domyślałam się, że szczere zainteresowanie się mną walczyło w nim z wrodzoną wszystkim Anglikom dyskrecyą, w końcu to pierwsze przemogło.

— A w razie poważnej jakiejś choroby, co pani zrobi?

— O, są przecież domy, które dadzą mi odpowiednią opiekę. I mam też nadzieję — dodałam z uśmiechem — że Opatrzność zachowa dla mnie jednę z tych cichych pracowniczek, która mi zamknie oczy i pochowa godnie.

Sir William spuścił oczy i była długa chwila milczenia.

— Zapewne nie pojedzie już pani do Turenii w tym roku? — zapytał.

— Nie, jak panu mówiłam, po kąpielach w Bagnoles de l'Orne wrócę do Paryża.

— Szkoda!

— Dlaczego?

— Bo gdyby pani była w Vouvray, prosiłbym o danie wieści o nas państwu Lusson. Mówiłem z nimi o pani i wiem, że powitali by ją z radością.

— Nie wątpię.

— Pragnął bym bardzo, żeby się państwo poznali. Czy widzi pani do tego jakie przeszkody?

— Przeszkody... nie — odrzekłam zaambarasowana — tylko brak mi czasu do podtrzymywania stosunków światowych.

— Tu nie chodzi o stosunek światowy, jestem pewien, że bardzo prędko doszło by między wami do serdecznej przyjaźni. Napiszę do nich, żeby byli u pani po powrocie do Paryża. Córka ich zainteresuje panią. Ma ona duszę łacińską, ale w charakterze swym posiada wiele cech celtycko-saksońskich. Jest to natura szlachetna, czynna i niezależna — wybitna indywidualność.

— Czy ładna?

— Bardzo, a szczególniej zdrowa.

— Tem lepiej, z tego spodoba mi się najwięcej.

— Co do ojca, to jestem pewien, że skokietuje panią napewno. Zresztą nic w tem dziwnego — uważam, że Francuz dobrze wychowany — „is the right thing" — jest doskonałością.

— Dziękuję w imieniu mych ziomków — powiedziałam mile poruszona.

— Czy zimę całą przepędzi pani w Paryżu?

— Prawdopodobnie, jeżeli państwo nie przyjadą do Cannes gdyż wówczas pojechałabym tam w styczniu.

— Do Cannes, wątpię, żeby mi pozwolono. Lekarz mój traktuje mnie jak złamany stół i boi się długich podróży. Będę musiał odmówić sobie tego. Zawsze pragnąłem światła i piękna i po nie jeździłem do Włoch, do Francyi i na Wschód; lecz zwykle po

kilkomiesięcznym pobycie szczęśliwy byłem, wracając do siebie, że mogłem znowu patrzeć na naszą bogatą zieloność, na nasze wspaniałe drzewa i, z właściwą ludziom niewdzięcznością, wołałem: nie ma kraju, któryby wart był naszej starej Anglii. Ale pani przyjedzie jeszcze do Simley?

— Jeżeli mnie pan zaprosi.

— Jeżeli tego nie zrobię... to chyba dla bardzo ważnego powodu...

Mówiąc to, uśmiechnął się z goryczą.

— Mój syn mnie wtedy zastąpi. Będzie on bardzo szczęśliwym, jeżeli będzie mógł przyjąć panią u siebie. Wie pani, coraz bardziej zajmuje go astronomia — jestem rad z tego, bo widzę, że moje obserwatoryum nie będzie bezużytecznem.

Powiódł dokoła smutnemi oczami i zatrzymał je na mnie.

— Czy pani sądzi, że spotkamy tam tych, których utraciliśmy?

— Jestem tego pewna, nie od razu wszystkich, jak w piątym akcie dramatu, ale powoli znajdziemy się w tem samem kole i razem będziemy pracować. Tak naprzykład mam to przekonanie, że ja i pan jesteśmy starymi przyjaciółmi. Gdyby nie to, nie przekomarzałby się pan ze mną od pierwszej chwili, nie zapraszałby mnie pan do Simley, a ja nie spowiadałabym się przed panem. Nasze spotkanie się nie było bez celu i powtórzy się jeszcze z pewnością.

— Daj tylko Boże, żeby nie było tak krótkotrwałem — powiedział mój gospodarz.

— Ja także pragnę tego.

Rozmowę naszą przecinało często długie milczenie. Noc już zapadła zupełnie.

Sir William wzniósł oczy ku niebu, cudownie usianemu gwiazdami.

— Chce pani pożegnać swoje gwiazdy? — zapytał głosem wzruszonym.

Kiwnęłam głową na znak potwierdzenia, on wstał i nastawił lunetę.

— Ani cienia mgły... to noc dla pani...

Nie było mgły. Ogniska światła i ciepła jaśniały dziwnym

blaskiem. Czułam się bardzo wzruszoną tym spokojem i ciszą nieskończoności. Słyszałam wyraźnie, o, jak wyraźnie! sekundy, które wymierzał zegar astronomiczny. I miałam wrażenie, że nie są one stracone, że się łączą z sekundami innych światów, że w rzeczywistości biją one tam, wysoko. Posłałam milczące pożegnanie swoim gwiazdom i z trudnością oderwałam się od tych kontemplacyj, co duszę moją napawały podziwem, radością i nadzieją.

— Jeżeli przypuścimy, że mamy prawo wyboru, na jaką planetę naszego systemu chciałaby pani pójść, opuściwszy ziemię? — spytał sir William, kiedy schodziłam na dół.

— Na Jowisza.

— Źle pani wybrała, astronomowie utrzymują, że jest on jeszcze zupełnie pustym.

— Mogą się mylić. Zdarza się to nieraz. Ze trzydzieści lat temu, w początkach zajmowania się magnetyzmem, jeden z przyjaciół mego ojca, człowiek obdarzony niezwykłą mocą, usypiał zwykle syna swego dzierżawcy, piętnastoletniego chłopaka. Na moje prośby dopuszczano mnie czasem do tych seansów. Pewnego razu posłałam uśpionego chłopaka na Marsa. I w jednej chwili twarz jego wykrzywiła się strasznem cierpieniem. Wtedy kazałam mu iść na Jowisza i oto doznałam najprzyjemniejszych wrażeń. Widział tam rzeczy, których nie będę panu opowiadać, bo by się może wydały absurdem, lecz we mnie obudziły pragnienie dostania się tam.

— Niech więc będzie Jowisz — powiedział sir William, uśmiechając się.

Ta gawędka, którą staraliśmy się pokryć zobopólne wzruszenie, zakończyła nasze posiedzenie.

Poszliśmy do domu wolno, w milczeniu, jak dwoje ludzi, czujących, że widzą się po raz ostatni na tym świecie...

V.

Paryż, Hotel Castiglione.

Wszyscy odprowadzili mnie na dworzec: rodzice, babcia, miłe wnuczątka, Kim i Freddy, a ponad wszystkimi górował swoją

postawą sir William, wzruszony, niespokojny, z silnie rozdymającemi się nozdrzami wskutek braku oddechu. Oczy jego nie powiedziały mi „do zobaczenia“, lecz pożegnały mnie na zawsze.

To było strasznie bolesne!...

Klaudyusz Randolph towarzyszył mi do Londynu. Ojciec kazał mu zaprowadzić mnie na obiad do Carltona, a potem na koncert do kawiarni ogródkowej, ażeby wynagrodzić zbytnią surowość obyczajów w Simley Hall. Byliśmy tam. Lecz przez cały czas widziałam tylko pola gwiazd, małe obserwatoryum, a w niem samotnego przyjaciela, z którym się pożegnałam... Duża hala muzyczna z pięknie wystrojonymi panami i paniami wydała mi się nudną i banalną.

Odjechałam nazajutrz. Upał był nieznośny i z tej racyi Londyn wyludnił się całkowicie.

W Paryżu było to samo

Muszę się spieszyć z rozpoczęciem sezonu kąpielowego — rok rocznie stosuję sobie ten środek. Ten masaż ciała wodą źródlaną, pełną pierwiastków oczyszczających, wydaje mi się niezbędnym dla zdrowia.

Pierwotnie miałam zamiar udać się do Aix-les Bains, lecz później zdecydowałam się jechać do miejscowości, o której pierwej nie słyszałam. Administrator i zarządczyni hotelu Castiglione, oboje ludzie sympatyczni i szlachetni, powzięli szczęśliwy zamiar pobrania się, poczem otrzymali posadę kierowników w Bagnoles. Oni to, zachwaliwszy ogromnie miejscowość, namówili mnie do udania się tam i zaproponowali dwa pokoje w mieszkaniu do nich należącem. Wiedziałam, że zrobią wszystko, żeby mi było dobrze — coraz bardziej uczuwam potrzebę życzliwej opieki. To zły znak.

Kupiłam dwie piękne fotografie św. Augustyna i św. Moniki z obrazu Ary Scheffera i posłałam je sir Williamowi. Pragnęłam postawić mu przed oczy ten piękny wizerunek blasku nadziemskiego, ażeby obudzał w nim nadzieje, tak jak już w wielu obudził. O! jakże wiele może zrobić artyzm ludzki!

A teraz w drogę, do Bagnoles de l'Orne!

Bagnoles de l'Orne,
Grand' hotel.

Ach! wiedziałam o tem, że to, bolesne dla mnie, przejście mego życia musi mieć swój epilog!

Jeżeli teatr, jak mi to kiedyś jeden z artystów dramatycznych powiedział, jest sztuką przygotowywania, to życie samo jest jego treścią. Nie badamy nigdy dokładnie wszystkich okoliczności i cudownej harmonii przyczyn i skutków, które prowadzą do faktów decydujących. — Zwierzenia, poczynione przezemnie sir Williamowi, przygotowały mnie do tego, co mnie tu miało spotkać.

Przyjechałam do Bagnoles ostatnim pociągiem. Wysiadłszy z wagonu, znalazłam się w cudownem otoczeniu. Głębia olbrzymiego lasu, uśpione jezioro, kościół na wzgórzu, gdzieniegdzie rozrzucone małe domki, a wszystko oświetlone gorącym blaskiem letniego księżyca.

Dyrektor i jego żona oczekiwali mnie na dworcu. Ucieszyłam się bardzo, ujrzawszy ich. Zaprowadzili mnie do hotelu, odległego o kilkanaście metrów, i wskazali apartament dla mnie przygotowany. Wszystko tu było nowe, skromne i śliczne. Pani Lima nie zapomniała o mocnym, dużym stole do pisania i o szezlongu, bez którego obejść się nie umiem. Znalazły się także w moim pokoju bukiety z kwiatów leśnych, zimne mięso, owoce i mleko.

Pierwsze wrażenie było tak przyjemne, że winszowałam sobie przyjęcia propozycyi młodego małżeństwa. Widocznie to było mi sądzone.

Nazajutrz cały ranek zajęta byłam urządzaniem mieszkania. Porozwieszałam fotografie, obraz Matki Boskiej umieściłam nad łóżkiem, a dokoła poustawiałam rozmaite drobiazgi. Przygotowałam stół do pisania, poukładawszy na nim książki i kartki, pisane „na gałęzi“ — te nieodłączne towarzyszki moje.

A robiłam to wszystko z dziecięcą radością, z tą tragiczną nieświadomością istoty ludzkiej, nie przeczuwającej, co się ma stać za chwilę...

Około południa zeszłam na dół.

Obszedłszy salony, wspaniale urządzone, i nacieszywszy się cudownym widokiem z tarasu, usiadłam na werendzie, ażeby się przyj-

rzeć przechadzającym się tam gościom i poznać trochę środowisko, w którem się znalazłam.

Siedziałam już chwilę, kiedy nagle doznałam silnego wstrząśnienia. Pochyliłam się bezwiednie naprzód, a ręce moje chwyciły się poręczy fotelu. Utkwiłam przerażony wzrok wgłąb korytarza, skąd, jakby zjawisko jakieś, posuwał się ku mnie młody człowiek wysokiego wzrostu, ubrany jak do konnej jazdy, ze szpicrutą w ręku. Kapelusz, zsunięty na tył głowy, uwydatniał lepiej rysy jego twarzy... żyjącej twarzy pana Myères...

Przeszedł koło mnie prędkim krokiem.

Siedziałam jak rażona piorunem przez kilka sekund, poczem ochłonąwszy, wstałam i zbliżyłam się do odźwiernego.

— Kto jest ten młody pan? — spytałam.

— Baron Hauterive.

Baron Hauterive! syn mego męża! Czyż nie przeczuwałam tego!...

— Bawi tu od pięciu tygodni z matką — mówił dalej odźwierny. — Biedna pani była tak ciężko chorą, że z kolei do hotelu przyniesiono ją na rękach. Obecnie już o własnych siłach przechadza się codziennie po tarasie, albo w parku. Jest to dobra reklama dla Bagnolles — nieprawdaż?

— Gdzież ona mieszka?

— Na parterze pod numerem dziesiątym.

Koletta! i ona także! tu, tak blizko mnie!

W tej chwili zbliżył się dyrektor i podał mi ramię, chcąc zaprowadzić do sali jadalnej. Poszłam za nim machinalnie i zajęłam miejsce, które mi wskazał. Rzęsiste oświetlenie sali raziło mój wzrok — nie rozróżniałam nikogo. Oczy moje z przerażeniem wpatrywały się w drzwi, oczekując zjawienia się Gwidona Hauterive.

Nie mogłam wytrzymywać dłużej tej męczarni i wyszłam przed końcem śniadania,

Znalazłszy się w swoim pokoju, pod wpływem dziwnego instynktu, zamknęłam drzwi na klucz i, jak to zwykle czynię w chwilach rozdrażnienia, zaczęłam chodzić, poruszając lub przesuwając z miejsca na miejsce od czasu do czasu jakiś przedmiot.

Od chwili, kiedy uznałam istotę ludzką za ślepe narzędzie siły wyższej, nienawiść moja do Koletty przeszła w uczucie litości.

Byłam pewna, że i ona także wiele przecierpiała. Niejednokrotnie też czułam utajone pragnienie zobaczenia jej. Nie przewidziałam tylko tego podwójnego doświadczenia, jakie mnie oczekiwało: spotkania się z matką i synem. Istnienia tego ostatniego nie mogłam darować i jestem pewna, że wiadomość o jego śmierci sprawiłaby mi wielką ulgę.

W ciągu ostatnich dwóch lat, czy to w teatrze, czy na wyścigach, w cukierni lub restauracyi — wszędzie prześladowała mnie obawa, że mogę ujrzeć człowieka z rysami pana Myères.

Jego zdrowy, świeży wygląd i obrażające wprost podobieństwo do ojca obudziło we mnie gniew samicy, który zapanował nad całą moją filozofią i, ku memu własnemu oburzeniu, sprowadził mnie do poziomu kobiet haremowych.

Nagle oczy moje zwróciły się na „Zwycięstwo" Samothrace'a. Zdawało się ono iść ku mnie krokiem przyśpieszonym, ze skrzydłami rozpostartemi radośnie. Pod wpływem promieni tego boskiego światła, idącego z obrazu, moja kobieca zazdrość wydała mi się nizką, marną — myśl uleciała w górę...

Zaczęłam rozpamiętywać przedziwny bieg wypadków, które przywiodły mnie do Bagnoles, bo trzeba być bardzo ograniczonym, ażeby widzieć w tem tylko przypadek. Jak pionek na szachownicy zostałam posunięta na spotkanie Koletty.

W jakim celu? nie wiem jeszcze, ale czuję, że sądzono mi przebyć to bolesne przejście.

A cóż stoi na przeszkodzie uniknięciu go? Przecież w niespełna godzinę mogę spakować rzeczy. Pociąg jest tuż... o parę kroków... słyszę świst jego. Może zawieźć mnie tam, gdzie mi się podoba. Czyż nie jestem wolną?

Wolną... nie. Muszę zostać, popychana żądzą zobaczenia jej, przyjrzenia się, jakie zmiany uczyniły na mej kuzynce te piętnaście lat, i pokazania jej siebie, postarzałej wprawdzie, ale w aureoli blasku sławy literackiej. Zatrzymuje mnie też pragnienie poznania bliżej syna mego męża, posłyszenia jego głosu, przekonania się, do jakiego stopnia posunąć się może podobieństwo pomiędzy ojcem

i dzieckiem. Te więzy trzymają mnie silniej, niż samo macierzyństwo.

Nie, nie odjadę stąd — Opatrzność postanowiła inaczej. Bóg tego chce! Bóg tego chciał!

Złamana burzą wewnętrzną, położyłam się na szezlongu i starałam się oswoić z myślą zobaczenia Koletty.

Czyż naprawdę jest tak chorą, jak mi mówiono? Czy przybyłam tu, ażeby na jej głowę sprowadzić spokój?

O! dam go jej, choćby to nie wiem ile kosztować mnie miało.

Widzę ją z tą gorącą, aksamitną cerą, z cudownemi, czarnemi oczami, z ustami, rozchylonemi dobrym uśmiechem...

Wspomnienia z lat młodocianych wypełzły ze wszystkich komórek mego mózgu i pokazały mi kobietę namiętną, żyjącą popędami, ale szczerą i szlachetną.

Jak? kiedy? gdzie?... ta trójka pytań znowu po raz stotysięczny plącze się po mej głowie. Nareszcie! dowiem się! I może to nowe doświadczenie będzie dobrodziejstwem dla mnie.

W jaki sposób Opatrzność ułożyła to nasze spotkanie? Czy Koletta przyjdzie do mnie, czy ja pójdę do niej?

Zaledwie zdążyłam zadać sobie to pytanie, kiedy zapukano do drzwi — wszedł lokaj.

— Od pani baronowej Hauterive — powiedział, podając mi list na tacy.

Niekształtne, delikatne, tak dobrze znane mi pismo, wywołało gwałtowne bicie serca...

Więc i ona wiedziała!... wiedziała, że jesteśmy pod jednym dachem!

Oto, co mi pisała:

„Antonino! Przed tygodniem pani Lima, żona dyrektora, doniosła mi o zapowiedzianem przybyciu Jana Noël i odkryła mi jego prawdziwe nazwisko. Byłam uderzona tą wieścią i z bolesną radością oczekiwałam spełnienia się tej chwili... Ty, ty jesteś autorką dzieł, które mi tyle ulgi przyniosły! Jakież to niesłychane! jakież to cudowne! Zapomniałam o wszystkiem innem. Bóg zbliżył nas znowu... odgaduję, co znaczy ta jego łaska... Przybyłam do Bagnoles dla wzmocnienia sił przed operacyą, którą mają mi robić

we wrześniu. Od ciebie zależy, ażebym śmierć spotkała bez obawy... Ten raz ostatni wysłuchaj mej prośby i pozwól mi widzieć się z tobą. Pani Myères może być nieubłaganą, ale Jan Noël powinien umieć przebaczać. Do niego się zwracam — czy zechce przyjąć mnie jutro popołudniu i o której godzinie?"

Łzy popłynęły mi z oczu, łzy dla niej, dla Koletty i odświeżyły, jak rosą, moją duszę.

Odpowiedziałam natychmiast:

„Jan Noël oczekuje cię jutro o czwartej — przybywaj bez obawy".

Dlaczego wybrałam dzień jutrzejszy, a nie dzisiejszy? dlaczego dobrowolnie przedłużyłam naszą gorączkę? Nie wiem.

Wysławszy bilecik, uczułam gwałtowną potrzebę świeżego powietrza — włożyłam kapelusz i wyszłam na przechadzkę.

I znowu znalazłam się w otoczeniu tej samej panoramy, co dnia poprzedniego, tylko przy świetle dziennem była ona mniej piękną.

Mały kościółek, do którego się szło po kamiennych schodkach, obity blachą cynkową, podobny był do pudełka od sardynek. W tem cudownem otoczeniu raził on okropnie. Widocznie ten, który go budował, nie posiadał poczucia kultu katolicyzmu, ani też żadnego wyobrażenia o sztuce.

Krajobraz, roztaczający się przedemną, zachwycił mnie. Dokoła olbrzymi las z ciemnemi, nieprzepuszczającemi światła alejami. Weszłam w jednę z nich, zwaną pompatycznie Aleją Dantego. Tu dopiero oceniłam życiodajną dobroć powietrza. Głębokim oddechem płuc i nozdrzy wciągałam balsamiczną woń sosen, buków i jodeł.

I natura, tak często okrutna, umie być czasem wspaniałomyślną!

Była taką dla mnie w tej chwili, darząc mnie swym aromatem, swym najlepszym szampanem. Pod jego wpływem nietylko nogi, lecz i serce moje stało się lżejszem.

Weszłam do parku, gdzie zaraz przy wejściu stał nowowybudowany hotel z restauracyą.

Usiadłam na werendzie i, popijając herbatę, rozglądałam się trwożliwie dokoła, bojąc się, czy z tej lub owej alei nie wyjdzie Gwido Hauterive.

Słońce znikło prędko za wyniosłością góry i wilgotna świeżość, jaka się rozeszła dokoła, zmusiła mnie do powrotu.

Wracałam inną drogą, wiodącą do brzegów jeziora, a potem przez kamienny most do ogrodu Grand' hotelu.

Weszłam wolno po schodach i zatrzymałam się na tarasie, gdzie nikogo nie było, prócz jakiejś kobiety leżącej na szezlongu.

Zrobiłam kilka kroków naprzód i nagle, jakby uderzona w serce, krzyknęłam:

— Koletta!

— Antonina!

Pani Hauterive zrobiła wysiłek, chcąc się podnieść, i upadła na wznak.

Podeszłam i wzięłam ją za rękę.

— Oto jestem — powiedziałam.

Oczy jej napełniły się łzami.

— Jakże się czuję szczęśliwą, że cię widzę... — wyszeptała.

Przysunęłam krzesło i usiadłam.

Koletta była zupełnie siwą, twarz jej pokrywała się bladością skazanej na śmierć, usta nie posiadały ani śladu różowości.

Widok jej, takiej biednej, poruszył w mej duszy całą falę litości i współczucia.

— Mówiono mi, że wody w Bagnoles pomogły ci bardzo — zaczęłam.

— Tak. Przyjechawszy tu, nie mogłam wcale chodzić, a teraz chodzę. W Lourdes uważanoby mnie za nawiedzoną cudem. Tak! jestem nią rzeczywiście, bo ty jesteś ze mną — dodała zniżając głos.

Twarz jej pokryła się przelotnym rumieńcem.

— Czy chcesz, pójdziemy do mnie? — spytała

Dałam znak przyzwolenia.

Koletta wstała z trudnością i wolnym krokiem poprowadziła mnie wgłąb tarasu, którędy się szło do jej mieszkania.

Kiedyśmy weszły do salonu, zwróciła się do mnie i popatrzywszy przez chwilę badawczo, powiedziała:

— Wyglądasz dobrze — cieszy mnie to.

Potem, ulegając widocznie nieprzezwyciężonemu pragnieniu, rzuciła mi się na szyję i przytuliła się do mnie, wołając:

— Antonino, przebacz! przebacz!

Dawniej też często po jakiemś uniesieniu tak samo prosiła mnie o przebaczenie.

I znowu zdało mi się, że tulę jej młode ciało, tonące w łkaniach. Objęłam ją ramieniem i jak niegdyś zaczęłam mówić, kołysząc ją zlekka.

— Uspokój się... uspokój... to nic...

Przeżyłam jednę chwilę przeszłości...

Zmęczona usiadła na fotelu i mnie prosiła:

— Usiądź... czy chcesz?...

Okrywający ją czarny płaszcz, garnirowany jedwabnym muślinem, uwydatniał jej głowę kamey, twarz porytą chorobą i oczy, pełne jeszcze blasków życia.

— Jakaś ty dobral czy stałaś się wierzącą? — pytała mnie naiwnie.

— Tak, głęboko.

Twarz jej rozradowała się.

— Nie dziwię się więc...

— Życie dało mi wiarę.

— Życie! o ileż razy to samo życie o mało nie pozbawiło mnie jej — powiedziała z goryczą.

— Bo nie poznałaś go dobrze.

— Może. W każdym razie Bóg nas tu sprowadził. Jeżeli przeznaczył mi umrzeć — to winien był to uczynić.

— Umrzeć! nie umiera się z operacyi.

— Tak, nie zawsze — odrzekła biedna kobieta, uśmiechając się nerwowo.

Potem, patrząc na mnie, dodała:

— Więc to do ciebie, do Jana Noël, tylokrotnie pisać zamierzałam? W twoim wieku stać się powieściopisarką i wyrobić sobie imię! — to była dla mnie największa niespodzianka.

— Ja sama dziwię się temu.

— Widzisz — powiedziała Koletta ze wzruszeniem w głosie — można czasem robić rzeczy złe, lub dobre, do czego pierwej nie czuło się zupełnie zdolnym.

— Wiem o tem.

— Twoje utwory wzruszyły mnie i przejmowały jak nigdy żadne. Niektóre ustępy jakby naumyślnie napisane dla mnie.

Mówiąc to wstała i, zbliżywszy się do stołu, wzięła do rąk ostatnią moją powieść, duży tom w żółtej okładce.

— Patrz, jak pilnie czytany — powiedziała, pokazując mi pozakreślane stronice.

Potem, przeszukawszy trochę, rzekła, wskazując mi jeden ustęp:

— Czy naprawdę tak myślisz?

— Zupełnie.

— Tem lepiej, tem lepiej, mogę ci wszystko powiedzieć.

Nagle dziwny lęk przed cierpieniem zabił we mnie chęć dowiedzenia się szczegółów.

— O, nie spowiadaj się! po co to? — zawołałam.

— Ażeby oczyścić pamięć Gwidona i samej stać się w oczach twoich mniej wstrętną... Sądzisz zapewne, że kokieteryą starałam się odebrać ci twego męża, że stosunek nasz trwał latami?

— Czyż mogłam myśleć inaczej po przeczytaniu twego listu, z którego dowiedziałam się, że mały Gwido jest synem pana Myères?

Wzrok Koletty stał się niespokojnym.

— To prawda. Ale widzisz, myśmy nie byli tak niegodziwi. W winie naszej nie było żadnej premedytacyi. Pamiętasz, że stosunek mój do twego męża był może zanadto familiarny, ale raczej jak dwóch towarzyszy, niż ludzi myślących o miłości. Posiadał on dziwną zdolność podbudzania mojej werwy. Nigdy nie wyprawiałam i nie mówiłam tyle głupstw, co w jego obecności — to go bawiło i umyślnie mnie drażnił. Dla niego, dla was wszystkich byłam stworzeniem, nie odpowiadającem za swe czyny i słowa. Czyż nie przezwaliście mnie „czeczotką“. Ale i czeczotka może czuć i cierpieć — dodała pani Hauterive z gorzkim uśmiechem.

Pewnego dnia u was w Chavigny Gwidon wybierał się na polowanie. Był już na koniu przed gankiem i rozmawiał z nami wesoło na pożegnanie. Pod wpływem nie wiem jakiego ducha nagle wsunęłam nogę w prawe strzemię i powiedziałam:

— Weź mnie ze sobą.

— Porywam cię — odrzekł Gwidon, nachylając się, i obiąwszy mnie wpół, uniósł do góry, posadził na siodle, pocałował

w usta i znowu zsunął ostrożnie na ziemię. Wszystko to zrobił tak zręcznie i z taką siłą, że dałaś nam głośne brawo.

— Pamiętam to — rzekłam z ściśnionem sercem.

— Oklaskiwałaś mój upadek, a swoje własne zmartwienie... Gdybyś o tem wiedziała!... lecz ty nie domyślałaś się, nie przeczułaś niczego — oto są rzeczy, które wiarę moją czynią chwiejną.

— Moją, przeciwnie, umacniają.

Ręce Koletty zaczęły drżeć.

— Jakieś przysłowie włoskie powiada, że pocałunek nigdy nie jest stracony. I ten nie był! Przecież tyle razy całował mnie pan Myères, dlaczego ów fatalny pocałunek przejął mnie tak do głębi? Zadawałam sobie często to pytanie. Podziałał on na mnie jak trucizna.

Odtąd obecność Gwidona zaczęła mnie mieszać. Jego wzrok, uściśnienia ręki wprowadzały mnie w stan zażenowania. On dostrzegł to prędko i, nie myśląc nic złego, zaczął bawić się rozbudzaniem we mnie uczuciowości.

To mnie drażniło i w najgłupszy sposób rozpoczęłam z nim walkę. Sądziłam, że moje zasady, przywiązanie do Henryka i przyjaźń dla ciebie będą dostatecznym puklerzem, lecz nieszczęściem naszem jest, że nie znamy dostatecznie sił natury i na życie patrzymy zbyt idealnie.

— Masz zupełną słuszność.

— O, tak! wiele przemyślałam potem — powiedziała Koletta z goryczą.

— Wiedza nauczy nas brać rzeczy tak, jak one są.

— Daj Boże!... Dalej wy wszyscy, traktując mnie jak dziecko przeszkadzaliście temu, żebym się stała poważniejszą. Nie sądziłam zresztą, ażeby ten flirt mógł się stać niebezpiecznym dla mnie, czy dla niego. Nie brałam w rachubę okoliczności, które nas mogły zdradzić podstępnie.

W jesieni pan Myères przyjechał sam do Rocheilles — ty, po spadnięciu z konia i złamaniu ręki, wolałaś pozostać w domu.

— Pamiętam. Gwidon nie chciał jechać bezemnie, musiałam go bardzo namawiać.

— Widzisz! widzisz! — wołała pani Hauterive, ściskając załamane ręce.

— Widzę, droga przyjaciółko, że takie było nasze przeznaczenie.

— W pierwszym tygodniu po przybyciu jego do Rocheilles pojechaliśmy do państwa Lagny — wuj Grzegórz, ciocia Łucya, państwo Montbrun, pan Myères i ja, Henryk naturalnie pozostał w domu.

Pogoda zrobiła się tak niepewna, że nie chciano nas puścić na noc. Ten improwizowany nocleg wprawił nas wszystkich w szaloną wesołość. W zamku były wolne tylko dwa pokoje, które dano państwu Montbrun. Mnie i Gwidona ulokowano w letnim pawilonie w ogrodzie.

Tu Koletta zamilkła. Po czole jej przemknęły fale wzruszenia, usta zaczęły drżeć — nie mogła słowa wymówić.

— I to stało się tam... — wymówiłam ze współczuciem, właściwem spowiednikom.

Kuzynka moja kiwnęła głową.

— To się stało tam...—powtórzyła głuchym głosem. — Wszystko prowadziło nas do tego okropnego grzechu — waryacka partya „puker'a“... wieś... burza, szalejąca z niezwykłą wściekłością i wszystko inne zapewne... bo przecież ja nie byłam tak zepsutą. czyż nieprawda? — pytała z wyrazem smutku.

— Naturalnie, że nie. Lecz posiadałaś w sobie pierwiastki niebezpieczne.

— Nie znałam ich. Gdy myślę o tych czasach, zdaje mi się, że byłam wtedy zupełnem dzieckiem. Wydano mnie za mąż i dobrze wydano, ale Henryk, ten dobry, ładny chłopak, nie potrafił obudzić we mnie nic innego, prócz uczucia przyjaźni. Zawsze pragnęłam jakichś silniejszych wzruszeń, pragnęłam czuć, że żyję. I może wiedziona instynktem, jak wszystkie stworzenia ludzkie, szukałam miłości. Dlaczego jednym jest ona daną, a innym wzbronioną? Ileż razy w życiu zadawałam sobie to pytanie. Miłość! Ależ i Gwidon nie dał mi miłości! I również nie brał mnie na seryo. Miał nawet żal do mnie za to, że cię zdradził.

— To mnie nie dziwi — ludzie słabego charakteru zrzucają zwykle swe winy na innych — odrzekłam z odcieniem mimowolnego szyderstwa.

— Jego obojętność potęgowała moją wrażliwość — jego wyrzuty sumienia obudzały we mnie gniew. Tworzyliśmy dziwną parę kochanków! — powiedziała pani Hauterive z ironią. — W pierwszym swoim romansie opisałaś cierpienia kobiety, połączonej nieprawym związkiem, zkąd odgadłaś je — nie będąc nigdy w jej położeniu?

— Przez intuicyę.

— Widzisz, ja przeżyłam je wszystkie. W pół roku po przyjściu na świat Gwidona wybuchła pomiędzy nami gwałtowna scena, wywołana przez pana Myères prawdopodobnie umyślnie — ona dodała mi odwagi do zupełnego zerwania. Uprosiłam Henryka o przeniesienie się z Paryża do Rocheilles. Tam, pożerana nudą i wyrzutami sumienia, byłabym się zagryzła, gdyby mi Opatrzność nie zesłała ratunku w osobie księdza, człowieka inteligentnego, prawdziwego uzdrowiciela dusz. Nie zadawał on mi żadnej pokuty, nie zalecał długich modłów, tylko uczył odwrócić myśl od siebie, a przenieść ją na innych. Dopomógł zaś do tego, otwierając mi oczy na ciemnotę ludu, na brak najpierwotniejszych zasad higieny i porządku w naszych wioskach. Z jego pomocą rozpoczęłam dokoła siebie dzieło cywilizacyi, które z czasem pochłonęło mnie zupełnie. Stałam się wzorową dziedziczką, za co tyle razy wyśmiewałaś się ze mnie.

Ta nowa faza w mojem życiu, którą ty nazwałaś „nawróceniem się Kollety“, była jej „pokutą“.

Teraz zrozumiesz dziwne nieraz postępowanie moje z twoim mężem, te rozmaite moje „głupstwa“. Przez długi czas nie mogłam znosić jego obecności, czego on zresztą starał mi się oszczędzić. Różnica przekonań politycznych pomiędzy Henrykiem i twoim mężem ochłodziła nasze stosunki, co zmniejszyło mój ciężar.

Uciekłam przed miłością, ale nie mogłam uciec przed wyrzutami... istnienie małego Gwidona było żywem ich przypomnieniem.

Widzisz... kobietom mówią zawsze o uczciwości, ale nigdy o honorze. Nie uczą ich tego, coby powinny wiedzieć. Gdyby wpajano w nie zasady, że one całkowicie są odpowiedzialne przed społeczeństwem za przymioty rasy, czuły by one lepiej swą wartość i nie sprzedawały by się tak tanio.

— Masz słuszność. Kobiety nie mają jeszcze świadomości tego, czem są w naturze i czem powinny być w życiu.

— Pan Myères kochał to dziecko — mówiła dalej pani Hauterive głosem wzruszonym. — Błagał mnie, abym mu go przywiozła. Nie mogłam mu odmówić. Przed zachorowaniem pisał do mnie, prosząc o to z niezwykłą natarczywością — może to było przeczucie... Oznajmiając mu o swojem przybyciu do hotelu V., żądałam, ażeby był ostrożniejszy w wyrażeniach, dodając, że podczas ostatniej wizyty wprost przeraził mnie, bo dziecko, nad wiek rozwinięte, może to sobie kiedyś przypomnieć. W liście tym nie było ani słówka o miłości.

— To prawda, lecz dla mnie wystarczającym był sam fakt...

— Sam fakt! — powtórzyła Koletta — o, Antonino! odkrycie jego mogło cię zabić na miejscu!

— Nie zabiło, bo, widocznie, przeznaczenie moje jeszcze nie było spełnione. Ale w jaki sposób dowiedziałaś się o śmierci pana Myères?

— Kiedy się nie zjawił w oznaczonej godzinie, posłałam hotelowego do kasyna i tam powiedziano mu o katastrofie. Pobiegłam do ciebie... resztę wiesz... Gdybyś mi pozwoliła widzieć się ze sobą, o co cię napróżno przez pięć lat prosiłam, byłabyś mniej cierpiała...

— Nie byłam zdolną wysłuchać ciebie wtedy...

Koletta spojrzała na mnie z wyrazem trwogi, usta jej zadrżały i skrzywiły się boleśnie.

— Antonino! — zaczęła powoli głuchym głosem — Gwido jest tu ze mną...

— Wiem, widziałam go dziś rano.

— Poznałaś go! — zawołała pani Hauterive z przerażeniem w oczach.

Kiwnęłam głową.

— I jesteś tu!

— Jestem tu. Opatrzność potrzebowała piętnastu lat, ażeby mnie tu sprowadzić.

— Prawda... — szepnęła Koletta.

— Pracuje ona wolno, ale wytrwale. Wierzę, że dziś obie przeżyłyśmy to, co nam było przeznaczone. Nie do mnie należy sądzić twoje postępowanie. We wszystkiem, coś mi wyznała, widzę jakąś siłę wyższą i tę odwieczną walkę dobrego ze złem. Gdybyś czynu swego nie nazwała „okropnem przewinieniem", stałabyś się kobietą lekkomyślną i bezużyteczną. Twoja skrucha odkryła w tobie przymioty, jakich ci nikt nie przypisywał. Czyś nie działała cudów na dziesięć mil dokoła Rocheilles. Co do mnie zaś, gdybym nie została „wykolejoną", wegetowałabym, gdzieś w małem miaszkanku w Paryżu, starzejąc się ciałem i duchem.

— I nie byłoby Jana Noël.

— Świat by na tem nic nie stracił, ale ja nie poznałabym rozkoszy pracy umysłowej i nie poznałabym życia, a to wiele znaczy. Przypuszczam nawet, że twoje doświadczenie było cięższem od mego.

— Z pewnością — powiedziała skwapliwie pani Hauterive.

W tej chwili odgłos kroków na korytarzu uderzył nasze uszy i serce i wśród dręczącej ciszy, jaka zapanowała. na progu szklanych drzwi stanął Gwidon Hauterive.

Koletta przymknęła powieki, a na twarz jej wystąpił lekki rumieniec wstydu. Była to z pewnością najcięższa chwila w jej życiu.

Młody człowiek patrzał na mnie przez chwilę.

— Pani Myères! — wykrzyknął radośnie.

Jego głos! głos, który milczał przez piętnaście lat!...

— Poznałeś mnie, bo wiedziałeś o moim przyjeździe — powiedziałam, całą siłą woli opanowując wzruszenie.

— Nie, nie! Widziałem portret pani u wuja Grzegorza, a zresztą za wiele dostawałem niegdyś cukierków i zabawek, ażebym mógł zapomnieć.

— Rzeczywiście — odezwała się Koletta.

— Potem dowiedziałem się, że było jakieś nieporozumienie rodzinne i że pani podróżuje. Ale mnie pani nigdy by nie poznała, prawda?

Nie poznałabym! wielki Boże!

— Poznać dziesięcioletniego chłopca w dorosłym człowieku, to już znacznie trudniej.

— Ja myślę!—odrzekł Gwido z dumą. — Więc to pani jest Janem Noël? Wie pani, to ja przywiozłem do Rocheilles pierwszy utwór pani. Wywołał on dyskusye bez końca, bo nie wątpiliśmy ani na chwilę, że to ktoś z naszej rodziny, a dowiedzieliśmy się o prawdzie dopiero tu w Bagnoles. Mama była tem ogromnie wzruszona. A propos, czy panie już zawarły zupełną zgodę?

— Była by ona już dawno zawarta, gdybym nie pędziła życia koczowniczego i trochę egoistycznego — odrzekłam.

— To dobrze, teraz będzie pani znowu pod opieką rodziny. Nie pozwolimy pani więcej uciekać i mam nadzieję, że będziemy przyjaciółmi? — dodał z uśmiechem.

— Wszystko jest możliwe — powiedziałam.

W całej tej rozmowie było tyle ciężkich wspomnień, że cudownie świeże powietrze zdawało mi się dusznem nie do wytrzymania.

Podniosłam się. Koletta wstała także.

— O, pani, jeszcze chwilkę — chcę się na panią napatrzyć.

— Jutro zobaczymy się — odrzekłam z pośpiechem.

— Jutro... nie. Jutro jadę do Houlgate na parę dni — powiedział Gwidon z odcieniem zaambarasowania. — Mama czuje się tak dobrze, że zostawię ją bez żadnych skrupułów, a teraz, kiedy pani tu jest — będę jeszcze spokojniejszy.

— Możesz najzupełniej.

— Jak wrócę, pogadamy — prawda?

Wyciągnął do mnie rękę. Byłam zmuszona podać mu swoją. Podniósł ją do ust... Ach! ten pocałunek wywołał w mej duszy całą falę smutku i cierpienia. Spojrzałam na Kolettę — oczy jej wyrażały tak błagalną prośbę, że bezwiednie prawie objęłam Gwidona za głowę i, tak jak dawniej, pocałowałam go w czoło.

— Najboleśniejsze przeszło — szepnęłam jej do ucha.

A potem głośno dodałam.

— Do widzenia... do jutra!

Pomimo protestu z mej strony Gwido odprowadził mnie aż do windy.

Przyszłam do swego pokoju drżąca cała. Byłam jak koń który pod naciskiem ostrogów musiał przesadzić jakąś wielką przeszkodę.

Bagnoles de l'Orne.

Spowiedź mojej kuzynki wywarła na mnie dziwne wrażenie Była to próba dla mnie i wcale nie jestem zachwycona jej rezultatem.

Wiadomość, że stosunek jej z panem Myères nie trwał długo nie była mi obojętną. Moja miłość własna cierpiała mniej teraz.

Chwilami czułam się prawie zupełnie uspokojona, to znowu brzmiały mi w uszach te słowa: „wszystko prowadziło do tej okropnej winy i waryacka partya „poker'a", i wieś, i burza, która się rozszalała z niezwykłą gwałtownością..." i widziałam ją omdlewającą w jego ramionach...

A on!... przyciskał ją... zatrzymywał... o, naturalnie, zatrzymywał...

Widzę, widzę to wszystko z jasnością właściwą Janowi Noël i gniew miota mem sercem i burzy wszystko w duszy.

Nie mam żalu do niej, tylko do niego.

A toż podobieństwo!

Zblizka jest może mniej uderzającem. Zbyt wielkie czoło nos i podbródek, przypominają ojca mojej kuzynki; ale czarne włosy, rudawe wąsy, cień, otaczający niebieskie oczy, cienkie, zmysłowe usta, uśmiech i postawa! Istny portret pana Myères! czyż nie potrzeba było miłości, wielkiej miłości, ażeby się tak odrodzić?

Stawiam sobie to pytanie i płomień uderza mi do głowy.

Całe życie słabe istoty ludzkie pracują usilnie na tym padole, ażeby moralnie stać prosto i wielu umiera, nie osiągnąwszy tego Zdaje mi się, że jestem blizka upadnięcia, a wszystkiemu winna ta nieszczęsna kobiecość. Czuję, że padam...

Czy podniosę się?... Och! wstać! wstać! „sursum corda!" Wczoraj i dzisiaj spędziłam część popołudnia na tarasie z Kolettą.

Biedna kobieta! krew jej niegdyś tak obficie w żyłach płynąca — dziś zupełnie zubożała — życie widocznie z niej ucieka. I rzecz dziwna! przy tem dzisiejszem ubóstwie sił fizycznych wy-

daje mi się ona bardziej interesującą niż kiedykolwiek. Ruchy nie straciły swego wdzięku. W sukni z czarnego, jedwabnego muślinu, w naszyjniku z pereł i wspaniałym płaszczu na ramionach — jest wprost prześliczną. Powiedziałam jej to i widziałam wyraz zadowolenia na twarzy.

— Siwa „czeczotka“, widzisz, — odrzekła z uśmiechem, dotykając się ręką swych bogatych włosów.

W tych pierwszych chwilach naszego zbliżenia się nieobecność Gwidona była pewną ulgą. Rozmowy nasze rozwijały się zwykle z pewną trudnością. Miałyśmy sobie tyle do powiedzenia, a jednocześnie czułyśmy się daleko, tak bardzo daleko od siebie. Nici naszego życia, zerwane piętnaście lat temu, nie mogły się teraz nawiązać, a jednak cudowne dzieło spełniło się.

Z głębokiem uczuciem opowiedziała mi Koletta ostatnie chwile swego męża. Jest już wdową od trzech lat. Henryk i brat jego Grzegorz — bliźniaki Hauterive — jak ich nazywano powszechnie, nie rozłączali się nigdy. Ten ostatni poświęcił swoją wiedzę i życie ulepszaniu majątku rodzinnego i dotąd pracuje wciąż jeszcze. Starszy syn kuzynki, Robert, jest oficerem kawaleryi, lecz jest nadzieja, że rzuci z czasem służbę wojskową, zostanie dziedzicem Rocheilles i poprowadzi dalej dzieło swego ojca i stryja.

Na tem zatrzymały się zwierzenia Koletty co do rodziny.

Czułam, że nie śmie mówić o Gwidonie, lecz ja miałam ogromną chęć dowiedzenia się czegoś o nim, o jego charakterze i wyciągnęłam ją na rozmowę. Oczy matki błysnęły serdeczną radością.

— Jak dotąd wszystko szło mu dobrze — zaczęła głosem trochę przytłumionym — egzamina poskładał świetnie, a po ukończeniu służby wojskowej odbył półtoraroczną podróż naokoło świata. Obecnie z własnej ochoty uczęszcza na wykłady w Grignon. Marzę dla niego o wielkiem jakiemś przedsiębiorstwie rolnem we Francyi, lub w Tunisie. Odziedziczył on ogromną fortunę po swej matce chrzestnej, lecz do ukończenia trzydziestu lat życia ma prawo używać tylko połowy dochodów. Jest tak dobrze uposażony, że śmiało może ustąpić Rocheilles bratu i nie wątpię, że tak zrobi.

Zrozumiałam, że taki podział przynosi ulgę jej sumieniu.

— Czy dobrym jest dla ciebie?

Twarz Koletty rozjaśniła się czułością.

— Bardzo! córka nie byłaby więcej troskliwą i przewidującą.

— Robi wrażenie bardzo inteligentnego.

— I jest nim, o jest! a przytem jest dzielny i silny.

— Ma kwadratowy podbródek twego ojca.

— Tak, zauważyłaś to? Na tym rysie zatrzymuję zwykle mój wzrok. Nie będzie słabym — dodała biedna kobieta z wyrazem dumy.

Prędko, jakby za zobopólnem porozumieniem się, przebiegłyśmy lata, dzielące nas od czasów młodości — tam dopiero odnalazłyśmy się zupełnie. Całe tłumy wspomnień, nagromadzonych nie wiadomo gdzie i kiedy, zjawiały się jedne po drugich i rozpędzały widma, stojące pomiędzy nami.

Dzięki mojej „dwoistości" pani Myères prowadziła rozmowę, a Jan Noël widział czarowną zieloność, jezioro, oświetlone blaskiem słońca, taras wśród cienia a grupy drzew, a na tem tle, pełnem melancholii, dwie stare kobiety, zbliżone po piętnastu latach rozłąki, wolno, z rozwagą odgrzebujące przeszłość, dla zaczerpięcia z niej radości i zapomnienia. Powieściopisarz zdawał sobie sprawę z czasu, rozumiał siłę, która wywołała tę scenę życia ludzkiego i, jak zwykle, podziwiał Pana.

— O! byłyśmy natury zdrowe i dobre — powiedziała Koletta, przerzuciwszy parę kartek z naszej młodości.

— Trochę niepokojące czasami zbyt wczesną kokieteryą — odrzekłam z uśmiechem.

— O tak: pamiętam, jak ty robiłaś wymówki swojej ciotce za to, że ubrano cię w żółty kaftan, kiedy miałaś odrę. I skąd się brała u takich panien z prowincyi ta potrzeba elegancyi? Przypominam sobie, jak wszystko, co tylko można było, przystrajałaś kokardami z wstążek i zmieniałaś bezustannie meble w twoim pokoju. Szczególniej zaś drażniły nas dywaniki przed każdym meblem w salonie.

Pewnego dnia zaprowadzono nas z wizytą do jednej starej damy i tam ty końcem nogi pozasuwałaś je wszystkie pod krzesła

i kanapy. Przy mojej pomocy w mgnieniu oka połyskująca posadzka ukazała się w całości. Gospodyni domu, trochę ślepa, nie spostrzegła tego, ale twoja matka dojrzała i przez całą powrotną drogę miałyśmy gderanie.

Nie ma co mówić, byłyśmy obie urodzonemi modernistkami. Zresztą, co do ciebie, to i teraz idziesz z postępem.

— Bogu dzięki tak. Zajmuje mnie postęp wiedzy, wynalazków, wogóle przyszłość tego świata tak, jakbym wieki jeszcze żyć miała. Kiedy nadejdzie dzień, w którym łódź moja stanie — odejdę zadowolona.

W dalszym ciągu kuzynka przypomniała mi śpichlerz, gdzie spędzaliśmy popołudnia czwartkowe. Kochany śpichlerz! pełen dziwnych przedmiotów, starożytnych mebli, które służyły nam do urządzania salonów w zabawie. Był tam także olbrzymi kufer z drzewa cedrowego, w którym się chowały stare suknie prababki — robiłyśmy z nich kostyumy, kiedyśmy grały komedyjki.

— Gra aktorska była twoją specyalnością — powiedziała Koletta.

Przypominając sobie te przedziwne historye, jakie wymyślałaś, owe awanturnicze przygody, które poddawałaś Robinsonowi Cruzoe, swemu ulubieńcowi — nie dziwię się, że zostałaś powieściopisarką, Jan Noël był już wtedy w tobie.

— Zapewne był we mnie już oddawna. Czyż nie marzyłam zawsze o podróżach, o wolności? Czyż nie wysiadywałam przed namiotami linoskoków wędrownych w nadziei, że zostanę ukradzioną? Dyliżans, kursujący między Paryżem a Genewą, nie dawał mi spokoju — wykradałam się z domu, ażeby przyjrzeć się, jak zmieniają konie. Nikt nie domyślał się nawet, jak wielką miałam ochotę wśliznąć się pod jego kozioł. Zgawało mi się, że tą drogą można zajechać w krainę cudów. Widzisz, zdaje mi się, że przychodzimy na świat z mózgiem naznaczonym swem przeznaczeniem. Żyjemy z początku instynktem — upodobaniami, pożądaniami, aż w końcu powołanie objawi się. Przyszłość zawodzi nas czasem, to też często czujemy i cierpimy naprzód.

Pani Hauterive zaniepokoiła się nagle. W oczach jej błysnęły łzy i zrobiła się piękną jak dawniej.

— Więc to było to!... — szepnęła.

— Co? — zapytałam zdziwiona.

— Pewnego dnia wpadłaś do pokoju mego ojca, krzycząc: Panie, panie! Zła kobieta zabrała mi męża! Była to tylko zabawa, lecz ty nagle rozpłakałaś się i z trudnością mogli cię uspokoić. Antonino! tą złą kobietą byłam ja!

Z czułością wzięłam kuzynkę za rękę.

— Ależ ten epizod jeszcze bardziej zmniejsza twoją winę, najdroższa.

— Życie jest wstrętne, ohydne! — zawołała gwałtownie pani Hauterive — teraz rozumiem twój szlachetny bunt.

— Bunt nieświadomej — powiedziałam, śmiejąc się. — O, nie jestem z niego dumną. Często przychodzą mi na myśl słowa naszej starej niańki, Maryanny. Pewnego dnia, słysząc, jak powtarzałam swoją zwykłą śpiewkę: gdybym była Bogiem, zrobiłabym to, zrobiłabym tamto — ona, patrząc na mnie trochę drwiąco, powiedziała: nie jesteś złą, wolę jednak być w rękach Boga, niż w twoich. Miała zupełną słuszność.

— Jednak, pomimo twego optymizmu, musisz przyznać, że są na świecie pazury, zęby, trucizny, mikroby i inne okropności bez nazwy.

— Jest wiele bólu — to wiem. Serce moje krwawi się, gdy myślę o tem. Jednakże nabrałam przeświadczenia, że nasze barki zdolne są unieść każdy ciężar i, że cierpienie jest potrzebnem.

— Cierpienie potrzebnem? tak myślisz? — spytała zdziwiona pani Hauterive.

— Bez wątpienia. Posłuchaj. W romansach moich nie mogłabym bez tego przedstawić prawdziwej wielkości. Ażeby ocenić sprawiedliwie bohaterów, musiałam dusze ich często poddawać działaniom sił niższych, posługiwać się zawiścią, niewdzięcznością i wszelkiego rodzaju brzydkiemi uczuciami i wtedy tylko otrzymywałam wspaniałą reakcyę moralną. Kiedyś uderzona byłam pracą pewnego artysty, zajętego malowaniem rudych włosów kobiety. Miał na swej palecie farby czerwoną, białą, zieloną, czarną i w każdej z nich jakby na chybił trafił maczał swój pędzel. Odgadłam zaciętą walkę tych wszystkich barw, po której, magiczną jakąś

siłą, wszystkie zlały się w jednę nutę i zajaśniały na płótnie. Tak samo, sądzę, działa natura, ażeby utrzymać harmonię. Oto jak ona nas urabia.

— Ileż rzeczy nauczyłaś się! — powiedziała ze zdumieniem Koletta.

— Musiałam. Inaczej nie odzyskałabym wiary.

W tej chwili kuzynce mojej podano telegram.

— Od Gwidona. Zapytuje, czy może zostać do soboty — powiedziała smutnie. — Wszystko jedno! A tak chwaliłam przed tobą jego siłę charakteru. Zatrzymuje go w Houlegate kobieta, w której już od dwóch lat kocha się bez pamięci. Podejrzewam, że to jakaś dama światowa. Nienawidzę jej. Zresztą jestem przekonana, że zawsze będę nienawidzieć swoich synowych.

— O! Koletto!

— Cóż robić, matki są zazdrosne.

— W tem też leży nieszczęście. Biskup genewski Mermillod dziwił się kiedyś w rozmowie ze mną, jak mogą kobiety inteligentne, pobożne, dobre chrześcijanki, być zażartemi nieprzyjaciółkami żon swoich synów, tracąc przytem wszelkie poczucie sprawiedliwości. Wytłómaczyłam mu, że jest to zazdrość płci. Z początku sprzeciwiał się, ale w końcu zgodził się ze mną.

— Zazdrość płciowa! to niepodobna.

— Ależ tak, wierz mi. U kobiet miłość nie jest niczem innem, jak kwiatem macierzyństwa, a macierzyństwo — owocem miłości.

— A więc znowu natura jest winną! nienawidzę jej!

— Niesłusznie. Kładzie ona zwykle lekarstwo obok złego. W macierzyństwie, naprzykład, jest przywiązanie, lecz pragnienie dobra dla swego dziecka jest uczuciem banalnem — trzeba umieć pragnąć go także dla innych. Co do mnie, mam niezłomną wiarę w postęp ludzkości i jestem przekonana, że kiedyś będą dobre teściowe na tym świecie.

— O, Antonino! jak ty się zmieniłaś!

— Ja myślę!

— To nie tylko dla przywrócenia mi spokoju Bóg tu ciebie

sprowadził, ale także, ażebyś udzieliła mi trochę twej siły i mądrości, jakiej sama nabyłaś.

Przechadzałyśmy się wolno, trzymając się pod rękę, aż do zachodu słońca. Nie wiem, czy dodałam jej sił, o których mówiła, lecz ja sama czuję głęboką radość w duszy. Zdaje mi się, że spełniło się coś pięknego, dobrego na tarasie Grand hotelu w Bagnoles....

Bagnoles de l'Orne.

Gwidon wrócił z Houlegate widocznie szczęśliwy. W oczach jego i dokoła ust błąka się jakieś światło, a w głosie brzmią nuty tryumfu. Irytuje mnie to ogromnie. Pod wpływem tej wewnętrznej radości jest bardzo czułym dla mnie i dla matki. Obiecałam sobie trzymać się z nim z daleka, ale to nie jest łatwo. Ta siła panowania, którą odziedziczył po ojcu, pokonywa mnie zawsze. Zresztą on zauważył mój protest i postanowił, zdaje się, przemódz go i zawładnąć mną w imieniu rodziny. Nic sobie nie robi z mojego chłodu. Czasem tylko moja szorstkość dziwi go — wtedy podnosi brwi, patrzy na mnie przez chwilę, a potem nieporównany uśmiech pojawia się na jego ustach i ja ustępuję. Przyszła mu myśl do głowy nazywać mnie matką chrzestną. Przerażona Koletta gderała na niego za to, a on wesołym tonem odpowiedział:

— Przecież muszę jakoś nazywać. Kuzynka — to śmieszne, pani Myères — zanadto uroczyście. Zresztą z prawa należy się pani ten tytuł, jako żonie mego ojca chrzestnego. Mama jest widocznie o panią zazdrosna.

Nie mogłyśmy nic na to odpowiedzieć.

Najtrudniej przenoszę ironię losu. Ta ostatnia jest mi wprost nie do wytrzymania. Pióro wypada mi z ręki, gdy piszę o tem. Czyż naprawdę jest mi tak przykrą?

Nazajutrz po powrocie Gwido złożył mi wizytę. Zapukawszy lekko i krótko, wszedł swobodnie, jakby do siebie. Podobieństwo jego postaci do pana Myères w ramach ciasnego pokoju jest uderzającem.

— Otóż jestem u pana Jana Noël — powiedział, śmiejąc się ze wzruszenia. — Jakie to zabawne!

— Tragicznie zabawne — pomyślałam.

Z ciekawością wodził oczami dokoła, odczytywał tytuły książek, przyglądał się fotografiom, pomiędzy któremi poznał dwie moje bohaterki, przesłał pocałunek „Zwycięstwu“ Samothrace'a, dotykał wszystkiego jak chłopak źle wychowany, ale z poufałością, oznaczającą czułość i szacunek.

Patrzałam na niego wzruszona, niespokojna, protestująca przeciwko temu czemuś z pana Myères, co się wkradło do mego życia.

— Dobrze tu — powiedział Gwido, siadając przed biurkiem — dobrze jak wszędzie, gdzie pracują i myślą, dawno już zrobiłem to odkrycie.

— Odkrycie to przynosi ci cześć — odrzekłam nagle, ułagodzona.

— Prawda? O, zobaczysz mateczko, ja nie jestem zły.

— Mam nadzieję.

— A gdzież jest portret mego ojca chrzestnego? — zapytał na odchodnem.

— Nie ma tu, nie ma — zawołałam szorstko.

— To dobrze. U kobiet tylko te portrety mają wartość, których nikomu nie pokazują.

— Widzę, że znasz się dobrze na kobietach — zauważyłam drwiąco.

Stałam. Gwidon położył mi ręce na ramionach

— Dość dobrze, mateczko, ażeby ocenić, że ty należysz do najlepszego gatunku. „The right sort“.

Słowa te były kroplami oliwy na rany mego serca. Brzmiały mi długo w uszach, sprawiając przyjemność, której wstydziłam się. Cóż za subtelna budowa naszego ustroju!

Gwido zwierzył się przede mną ze swych obaw co do matki. Kocha ją bardzo. Potrzebuje ciągłego zapewniania, że operacya uda się. To cierpienie dziecka, chociażby był niem syn pana Myères, wzrusza mnie i wszelkiemi sposobami staram się go uspokoić.

Dziwny chrześniak, którym mnie Opatrzność obdarzyła, pociąga mnie coraz bardziej ku sobie.

Towarzyszy mi zawsze, ile razy idę po południu na wody. Przynosi mi moją zwykłą porcyę, a potem siada i czeka, ażeby odprowadzić z powrotem, przyczem wybiera najdłuższą drogę przez las. Kilka razy próbowałam pozbyć się go, lecz spostrzega to natychmiast.

— Chcesz mnie się pozbyć, mateczko — powiedział kiedyś z wyrzutem — czy cię nudzę?

Przez grzeczność musiałam zaprzeczyć.

Innym znów razem, na przechadzce, chcąc mi coś opowiedzieć, wsunął rękę pod moje ramię. Serce uderzyło mi gwałtownie i mimowoli cofnęłam się w tył. To wzięcie się jego, pełne czułości i zaufania, było tak właściwem panu Myères! Całemi godzinami przechadzaliśmy się tak kiedyś po tarasie w Chavigny!

Pogrążona w tych wspomnieniach, ujrzałam nagle jego delikatną sylwetkę, rysującą się na drodze... Jego sylwetkę! Nie! to jego syna, lecz tak podobna! tak łudząco podobna!...

Oczy moje zatrzymały się na niej z wyrazem miłości i nienawiści — szczęścia i bólu...

Jakżeż to strasznie dręczące i przyjemne!

Jan Noël nie marzył nigdy o podobnym stanie duszy....

Bagnoles de l'Orne.

Życie moje staje się śmiesznem. Któregoś dnia, niechcący wygadałam się, że chciałabym spróbować jazdy samochodem i zaraz popołudniu Gwidon przyjechał po mnie, okryty długim płaszczem, spełniający czynności palacza.

— Mateczko! — wołał radośnie — dostałem samochód od mego przyjaciela z Urville — pojedziemy.

Chciałam odmówić, ale nie było sposobu — nie słuchał wcale mych, słabych zresztą, argumentów. Sam włożył mi kapelusz, zawiązał woalkę, okrył płaszczem matki i ani się spostrzegłam, jak się znalazłam w powozie, Koletta, stojąc na ganku, patrzała na mnie wzrokiem, pełnym wdzięczności. Gwido usiadł, położył rękę na kierownicy i pomknęliśmy jak strzała.

Cóż to za nowość dla mego starego ciała ten ruch szalony! Zdawało mi się, że motor tkwi we mnie. Przed nami ani furmana,

ani koni, tylko przestrzeń nieskończona, w którą lecimy wolni, tryumfujący, jakby do nas należał świat cały. Czułam, że mi przybyło sił i mocy.

— Patrząc na ten powóz błyszczący, elegancki, tak idealnie posłuszny — mówiłam do mego towarzysza — zdaję sobie sprawę z olbrzymiego postępu, dokonanego w ostatnich czasach. Ośm lat temu byłam obecną przy puszczaniu w ruch pierwszych samochodów. Było ich dwadzieścia. Wyruszały z „l'Arc de l'Etoile" z ogromnym hałasem i turkotem, pozostawiając za sobą smugę niemiłej woni. A dziś — płyną cichutko, posłuszne, jak coś żyjącego. To cudowne!

— Ileż to rachunków i wyliczeń trzeba było wykonać na papierze, ażeby dojść do tego! — zauważył Gwidon.

— A zkąd się brały te cyfry? czy sądzisz, że wiedzą o tem inżynierowie? Lubię przypuszczać, że czasem niewidzialni wysłańcy Opatrzności pracują w mózgach ludzkich. Pod ich kierunkiem myśl nasza staje się silniejszą, bardziej harmonijną, zdolniejszą, mniej wahającą się i podległą wstrząśnieniom.

— Wstrząśnienia! — twój umysł, mateczko nie zna ich chyba.

— O, zna je dobrze, a tak często ulega im, że to doprowadza mnie czasem do rozpaczy.

— Przyczyną tego jest brak oliwy w gruczołkach tłuszczowych — jestem tego pewien.

— Jak to mam rozumieć?

— Brak ciepła rodzinnego. Hotel i ludzie obcy nie mogą rozgrzać. Ale teraz już będziesz mieć nas mateczko — mamę, mnie i stryja Grzegorza. Ach, kiedy pomyślę, że gdybyśmy nie przyjechali do Bagnoles, moglibyśmy się nigdy nie spotkać!

— Musieliśmy się spotkać.

— Nie narzekasz na to mateczko?

— Nie, nie — odpowiedziałam szczerze.

— To dobrze.

Gwidon, zachęcony piękną drogą, roztaczającą się przed nami, pędził naprzód z coraz większą szybkością.

Przymknęłam oczy. Balsamiczne powietrze odurzało mnie.

Doznawałam dziwnego wrażenia bezcielesności. Dopiero po zwolnieniu biegu przyszłam do normalnego stanu.

— Czy nie bałaś się? — pytał mnie Gwidon z niepokojem.

— Nie miałam na to czasu.

— Nie powiemy nikomu, żeśmy lecieli sześćdziesiąt na godzinę.

— Naturalnie. Jestem bardzo rada, że poznałam ten rodzaj ruchu.

W pół godziny po przejechaniu małego miasteczka Ferte-Macé, zdrowi i nieuszkodzeni stanęliśmy przed gankiem Grand' hotelu.

Gwidon zeskoczył na ziemię i, z uśmiechem, który tak lubię, wyciągnął do mnie obie ręce — podałam mu swoje.

Bagnoles de l'Orne.

Opatrzność chce, zdaje się, narzucić mi syna pana Myères, spleść jego życie z mojem. W jakim celu — nie wiadomo. Ma ona swoje powody, o których „rozum nasz nic nie wie".

Najsilniejsze z moich instynktów protestują jeszcze przeciwko temu. Walka, jaką staczam ze sobą, jest piękną i ciekawą, ale trudną do zniesienia. Spokój, okupiony tak drogo, znikł bezpowrotnie. Dźwięk niezapomnianego nigdy głosu, co chwila wstrząsa mą istotą, młodzieńczy wzrok przenika mnie do głębi i obudza bolesne wspomnienia. Stare moje serce bije przyśpieszonem tempem, fale wzruszenia uderzają mi do twarzy i..... jestem zła.

Gwidon przyciąga mnie i odpycha. Na jego widok doświadczam przyjemności, lecz po kilku chwilach obecność jego sprawia mi przykrość. Chciałabym wykryć w nim jakąś antypatyczną dla mnie wadę, tymczasem widzę tylko zalety, które mi się najwięcej podobają. Rumienię się, lecz muszę się przyznać, że miałam nadzieję odnaleźć w nim ślady zwyrodnienia.

Przegrałam!

Jest to charakter znakomicie zrównoważony, czysty, mający szeroki polot, fizyognomia otwarta i szczera. W oczach jego nie błyszczą migotliwe blaski zawodowych graczy. Uścisk jego ręki

nie jest ani zbyt miękki, ani zbyt twardy — jest to ręka rasowa.

Do duszy melancholijnej, do temperamentu nerwowego, odziedziczonych po ojcu, domieszał się pierwiastek siły, charakteryzujący Nolay'ów, rodzinę dziadka po matce, pochodzącą z Hugenotów. Czyżby dla tego Koletta.... To przypuszczenie odurza mnie, ale nie śmiem jeszcze patrzeć tak głęboko w życie.

Jakby umyślnie, ażeby mi się więcej podobać, Gwidon ma skłonności do kosmopolityzmu. Długie podróże, jakie odbywał po ukończeniu służby wojskowej, rozszerzyły widnokrąg jego myśli. Mówi dobrze po angielsku i po niemiecku. Bywał na polowaniach w Szkocyi, wiele miesięcy spędził w Bonn. Wie o tem, że w Anglii panuje większa subordynacya i prawdziwszy patryotyzm niż u nas, że Niemcy mają więcej zamiłowania do wiedzy i szacunku dla wszystkiego, co wyższe. Nie krzyczy na czem świat stoi, że Francuzi są najpierwszym narodem, ale jest przeświadczony, że stać się nim mogą. Zna wybornie słabe i mocne strony naszych sąsiadów i posiada doskonałą podstawę w wydawaniu o nich sądów. Czy będzie się starał w miarę swoich sił wytworzyć dokoła siebie energię, potrzebną dla dobra swego kraju? Czy będzie miał odwagę przeciwdziałać nizkim popędom i złej wierze? Wątpię.

Zdaje mi się, że jest już zarażony egoizmem, tym mikrobem moralnym, tak często spotykanym u ludzi uczciwych i paraliżującym ich działalność. W Rocheilles nabrał gustu do szerokiego życia wiejskiego. Obecnie uczęszcza na wykłady w Grignon, w nadziei zostania kiedyś właścicielem wielkich dóbr. Tymczasem zaś nie myśli wcale o ulepszaniu ziemi, o kopaniu kanałów — jest tylko zakochanym. Ciekawam, w kim? W jakiejś damie światowej... Czy jest wdową, mężatką, czy rozwódką? A może to kobieta z półświatka? Patrząc na jego pałające, przepełnione zmysłowością wejrzenie, trudno przypuścić, aby to młoda dziewczyna zajęła miejsce tam, pod tem wysokiem czołem.

Gwido lubi rozmawiać, a ja, przez ciekawość, właściwą duszom nowoczesnym, zachęcam go do szczerości.

Biedna, chwiejna dusza! Sądzimy ją zbyt surowo i nie znamy jej dzieł. Przyznaję, że nie jest ona ani piękną, ani poetyczną, że

młodość jej nie zna marzeń, młodzieńczych ideałów, entuzyazmu i złudzeń.

Ciemno w niej.

Stara wiara znikła, a nowa jeszcze się nie ukazała na horyzoncie. Nic wolno jej szybować, musi zanurzać się z głową, ażeby wydostać z głębin pierwiastki, potrzebne jej do życia bardziej inteligentnego, do prędszej ewolucyi. Do tych cudownych wysiłków zużywa wszystkie zdolności swego mózgu.

Mam dla niej głębokie współczucie, bo odgaduję, że niewdzięczny jej trud przygotowuje dla ludzkości okres piękna, potęgi i szczęścia...

Bagnoles de l'Orne.

Gdyby Gwidon był starszy, zauważyłby z pewnością to naprężenie, jakie się wytwarza, gdy się zbierzemy we trójkę — ja, Koletta i on. Ciągle muszę kierować rozmową, ażeby uniknąć rzeczy drażniących. Czasami zdaje mi się, że jakiś zły chochlik umyślnie wytwarza położenie bez wyjścia.

Gwido towarzyszy matce przy każdym posiłku dnia, a wieczorami grywa z nią w karty. Wielokrotnie też zapraszał mnie na partyjkę wista. Odmawiałam mu zwykle, tłomacząc się, że muszę wstawać wcześnie, bo mam kąpiel o piątej rano, po obiedzie zaś zmykam zwykle do swego pokoju w obawie, ażeby nie zaciągnął mnie do salonu.

O swym chrzestnym ojcu, o swym „pięknym chrzestnym ojcu" — jak go nazywa — Gwido zachował głęboką pamięć. Mówił mi o nim z tak entuzyastycznem uwielbieniem, z wyrazem takiej czułości, że gardło ścisnęło mi się nerwowym kurczem. Nie dorzuciłam ani słówka do tych pochwał. A kiedyś przerwałam rozmowę tak szorstko, że stanął zdumiony.

Dziwi go, że nie chcę patrzeć w twarz swym blizkim umarłym i jestem pewna, że doznał zawodu. Mój modernizm i kosmopolityzm zastanawiają go także i psują jego wyobrażenia o tem, jaką ma być kobieta stara. Szczególniej razi go, że mieszkam zawsze w hotelu. Jedno słówko zdradziło jego myśli.

— Czy sądzisz, że uboliża to mojej godności? — zapytałam z uśmiechem.

— Nie, ale przypuszczam, mateczko, że często musisz uczuwać potrzebę swojego „u siebie".

— Czasami rodzi się we mnie pragnienie posiadania pięknego apartamentu, pokojówki, powozu, paru koni, lecz jestem pewna, że gdyby mi to dano, wkrótce zapragnęłabym wrócić do swego pokoiku w Castiglione. Wolę być czynną „na gałęzi", niż w pustem gnieździe siedzieć z założonemi rękami. Jedynem mojem zmartwieniem jest, że nie posiadam jakiegoś własnego zakątka na wsi, gdziebym mogła spędzać wiosnę i jesień. Krajobrazy hotelowe napawają mnie wstrętem.

Twarz Gwidona zajaśniała.

— Teraz, mateczko, będziesz mieć Rocheilles. Jest tam drzew, kwiatów i zieloności ile tylko zechcesz. Możemy nawet przygotować dla ciebie osobny pawilon w oranżeryi, prawda mamo?

— Doskonała myśl — odrzekła Koletta, nie patrząc na mnie.

— Stryj Grzegorz ucieszy się z tego. Będziemy grywać w „bridge" i „pockers'a". Jak tylko mama wyzdrowieje, przyjadę po ciebie, chrzestna, i razem spędzimy jesień.

Odczuwałam przykrość mojej kuzynki.

— To już postanowione — powiedziałam, śmiejąc się.

Biedna kobieta odetchnęła. Chyba nigdy niczyje słowa nie sprawiły jej tyle przyjemności, co moje w tej chwili — byłam zadowolona z siebie.

Koletta i Gwidon interesują się bardzo moją pracą literacką. Chcieli poznać genezę każdej z moich książek — opowiadałam im to z prawdziwą przyjemnością.

Teraz widzę, jak bardzo braknie mi rodziny i wiem, dlaczego powodzenie literackie tak mało dało mi przyjemności.

Pani Hauterive pytała, czy posiadam rękopis powieści, która ma wyjść w grudniu w „Revue" i otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, prosiła, żeby go jej dać.

— Bo widzisz — mówiła z gorzkim uśmiechem — może mnie już nie będzie wtedy.

Żartowałam z tych jej przypuszczeń, lecz zeszyty dałam natychmiast. Ona pogłaskała je swą bladą, delikatną ręką, potem

otworzyła ze czcią i wpatrzyła się w pismo, jakby w coś dawno znajomego.

— Zawsze równe i czyste — powiedziała — i wcale nie starej szkoły. Pierwszy raz będę czytała czyjś rękopis — dodała z dziecięcą radością.

Na drugi dzień, ku memu zdziwieniu, odniosła mi sama mój utwor.

— Już przeczytałaś! — wykrzyknęłam.

— O, tak! nie mogłam się oderwać.

— To komplement, co się zowie.

Objęła mnie za szyję.

— O, Antonino! to jeszcze ładniejsze i silniejsze, niż wszystko tamto. Zdarza się to czasem z prawdziwemi dziećmi — późniejsze bywają doskonalsze. Możesz być dumną ze swego — podziwiam je i ciebie z niem razem — dodała, przytulając swoją twarz do mojej.

— No, połóż się — powiedziałam, wskazując jej szezlong. Jestem ciekawa wrażeń mojej pierwszej lektorki.

Położyła się. Poprawiłam poduszki za jej plecami a ona zaczęła mówić o tych scenach i myślach, które jej się najbardziej podobały.

— A czy w bohaterce nie odnalazłaś podobieństwa do kogoś? — spytałam.

Koletta zarumieniła się.

— Więc nie omyliłam się, to jestem ja?

— Tak. Zrobiłam to mimowolnie. Dałam jej twoją powierzchowność, twój charakter i twoje przyzwyczajenia. Czy zauważyłaś, naprzykład, że modląc się, przymyka ona oczy tak samo jak ty.

— Teraz już nie przymykam. To, co mnie dręczy — jest wewnątrz mnie.

— Widzisz, bywają ruchy i rzeczy, które wrażają się w mózg, może ażeby służyć jakiemuś dziełu nieraz bardzo dalekiej przyszłości.

— Na świecie wszystko jest cudowne — powiedziała pani Hauterive. — A ileż prawd odkryłaś w tej prostej historyi miłości! I twoje nadzieje wyglądają tak prawdopodobnie!

— Bo idą z życia samego, które pełnem jest cennych materyałów, a z którego człowiek czerpie tylko błoto i glinę. Lecz nadejdzie czas i na te prawdziwe skarby.

— I pomyśleć, że ten twój cudowny optymizm narodził się z wielkiego bólu.

— Jest to dowód jego logiczności i szczerości.

— Bez wątpienia. Musiałaś pisać te kartki z sercem przepełnionem dobrą nadzieją.

— Opatrzność potrafiła natchnąć mnie nią.

— I mnie użyła za narzędzie do tego! Ta myśl rodzi pesymizm w mej duszy. Napróżno powtarzam sobie, że takie było moje przeznaczenie — znowu wracają chwile, kiedy uznaję się winną i wtedy czuję wyraźnie swoje sumienie. Jest ono tu, powyżej serca. Miejsce to jest już chyba trupio sine z tych nieustających wyrzutów...

Nie mogłam się wstrzymać od śmiechu.

Pani Hauterive wstała, chcąc odejść, ale przedtem raz jeszcze pogłaskała przyjaźnie leżący na stole rękopis.

— Z przyjemnością myślę, że pisząc tę powieść, mogłaś już patrzeć na mnie bez nienawiści.

— Bez nienawiści! czyż nie odczułaś, że ta bohaterka, podobna do ciebie, posiadła całą moją sympatyę? Nigdy nie wątpiłam, że stosunek nasz stanie się znowu blizkim i w głębi duszy pragnęłam tego zawsze.

— A ja!

— Nie robiłyśmy nic w tym celu — wszystko przyszło samo, bez naszej woli. Jakiegoż więcej dowodu potrzeba ci na to, że jesteśmy *kierowani?*

Kuzynka uścisnęła mnie mocno za rękę.

— Strzeż pilnie tej absolutnej, tryumfującej wiary, która ci w serce wlała przebaczenie — powiedziała głosem wzruszonym.

Bóg widzi, że przebaczenie moje jest zupełne. Widok Koletty nie sprawia mi więcej przykrości niż widok Gwidona, lub myśl o panu Myères. Znowu jestem pod wpływem jej czaru. Mam dla niej jakieś macierzyńskie uczucie. Czy znaczy to, że jesteśmy znowu tak blizkie sobie, jak dawniej? Nie. W głębi naszych istot

leży ciemna, atawistyczna niechęć, silniejsza od rozumu. Czasem jedno słówko, lub jedno wspomnienie zmienia atmosferę i wprowadza chłód — staje pomiędzy nami jakaś przegroda, rozmowa się urywa i rozchodzimy się smutne i zdziwione. Tyle razy już całowałam ją, trzymałam w swoich objęciach, a dotąd nie mogę się nakłonić, aby pić z nią herbatę lub grać w karty.

Od dzieciństwa obie byłyśmy amatorkami herbaty, którą w domu naszym umiano doskonale przyrządzać. Napój ten działał na nasz mózg podniecająco. Z zazdrosną pieczołowitością starałyśmy się utrzymać jego aromat i dawałyśmy go tylko tym, którzy się na nim poznać umieli. Do takich należał pan Myères. Jakże czarującą była ta piąta godzina po południu w Chavigny...

Widzę wyraźnie, jak obie z Kolettą siedzimy w głębokiej framudze okna, a przed nami na stole zastawa z staroświeckiego srebra i kipiący samowar. Z małych filiżanek z chińskiej porcelany zielonej barwy, odbijających prześlicznie na śnieżnej białości obrusie, dymi się cudowny aromat — to egzotyczna duszyczka herbaty, wprowadzająca nas w stan lekkiego odurzenia. Rozmowa ożywiała się i cały świat wydawał się lepszym.

Godzinę tę nazywaliśmy „godziną róż".

To przecież nie mogło się teraz powtórzyć!

Koletta rozumie to i czuje tak samo, jak ja.

Pewnego dnia pokojowa przyniosła przy mnie na tacy herbatę. Koletta odesłała ją szorstkim głosem, a brwi jej ściągnęły się boleśnie.

Co do kart, nigdy nie byłyśmy zapalonymi graczami. Lubiłyśmy je tylko, jako coś kapryśnego, co czasem szczęście, a czasem nieszczęście przynosi, raz obudza zapał, to znowu przygnębienie. Jeszcze w dzieciństwie grywałyśmy w „orła" i „bitwę", potem w „bezika" lub „pikietę". Kochane partye! Ileż razy wspominałam was! Nie spotkałam też nigdy potem partnerki tak zabawnej, jak moja kuzynka. Nie umiała panować nad sobą. Grała zwięźle, dobrze, ale częste wykrzykniki i różne miny zdradzały ją zawsze. Kiedy przegrywała zbyt długo, zaczynała przyzywać na pomoc wszystkich świętych, św. Antoniego z Padwy, w końcu Joannę d'Arc i innych. Gorączka gry nadawała jej twarzy śliczny koloryt.

Ciotka moja, niezadowolona, że zbyt wiele czasu spędzamy przy zielonym stoliku, zaproponowała nam grać „na biednych".

Chwyciłyśmy w lot rozumną myśl. Dodała ona uroku naszej zabawie i pogodziła sumienie z namiętnością do gry. Stosy pończoszek i spodniczek, jakie obiecywałyśmy sobie nabyć za wygrane pieniądze, uśpiły zupełnie nasze wyrzuty. Zmusiłyśmy damę pikową do pracy na dobroczynność. To już nie było banalne, a bardziej zajmujące. Ona obowiązaną była dostarczyć ciepłych ubrań biedakom i oliwy do ich lamp, osłodzić ostatnie chwile kilku staruszek. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszła mi myśl do głowy dopomódz do pobrania się pewnej parze sierót, które miały się ku sobie, lecz nie posiadały ani jednego sous na zagospodarowanie się.

Zaczęłyśmy grać na nich.

Żadna gra, o ile sobie przypominam, nie sprawiała nam tyle przyjemności.

Po trzy lub czterogodzinnem posiedzeniu przy zielonem suknie, wykrzykiwałyśmy z radością:

— Mamy już statki kuchenne!

Za tem szła bielizna, łóżka małżeńskie, stoły i inne sprzęty. Doszedłszy do dwunastu tysięcy franków, zamówiłyśmy muzykę weselną.

Ach! dobre, kochane wspomnienia!

Dziś naszym protegowanym powodzi się doskonale, mają dwie latorośle, z których starsza — syn — kształci się na ogrodnika.

I oto karty, które tyle ognisk domowych zniszczyły — w tym wypadku przyczyniły się do stworzenia jednego. Przyjemnie pomyśleć, że nasze „beziki" i „pikiety" wydały coś dobrego — wydały życie, które przetrwa długo po nas.

Teraz nigdy już nie będziemy mogły powtórzyć tych naszych partyj.

Pani Myères i Koletta Hauterive grające razem w karty! to niepodobna!

Widok taki wydałby mi się co najmniej śmiesznym. Jest w nim jakaś dysharmonia, a ona zwykle jest przykrą i brzydką.

W ostatnich dniach myślałam często o żonie Wiktora Hugo.

Kiedy w swoim czasie wydawca Lacroix dawał wielki bankiet

dla poety, pani Hugo upoważniła męża do zaproszenia także jego kochanki i pierwsza wzniosła toast za jej zdrowie. Co do mnie, mówię szczerze, jestem niezdolna do takiej wspaniałomyślności.

Zresztą może ona uważała swego męża za pół-boga, ja mego mam tylko za człowieka...

Bagnoles de l'Orne.

Koletta jutro wyjeżdża. Na moje prośby przedłużyła swój pobyt o tydzień.

Po piętnastoletniej rozłące spędziłyśmy ze sobą piętnaście dni.

Serce mi się ścisnęło, kiedym patrzyła, jak pokojowa pakowała jej rzeczy. Czyż już nie zobaczę jej więcej?... W Bagnoles nabrała znacznie sił i dawki morfiny, które musi zażywać dla uśmierzenia bólów, zmniejszyły się, ale jest jeszcze bardzo anemiczna. Nigdy pod oczami człowieka żyjącego nie widziałam tak ciemnych kręgów. To mnie niepokoi.

Obawa operacyi kamieniem ciąży na jej umyśle. Często w rozmowie przy robieniu jakichś projektów, urywa nagle i milknie, jakby dostrzegła miecz, zawieszony nad swą głową. Oddała mi jakąś zapieczętowaną kopertę z prośbą otworzenia jej w razie nieudania się operacyi.

Użyłam całej swojej wymowy, ażeby dodać jej odwagi, mówiłam o wielu znanych mi wypadkach wyleczenia i sądzę, że udało mi się uspokoić ją trochę i wlać w serce odrobinę nadziei.

Gwidon uparł się, żebyśmy ostatni obiad zjedli razem w restauracyi. Nie mogłam mu odmówić. Dla zmniejszenia przewidywanego naprężenia pani Hauterive chciała zaprosić także swoich znajomych, spędzających lato w okolicy Bagnoles.

— Nie, nie! — protestował jej syn — tylko my we troje, to będzie daleko przyjemniej, będziemy tylko w swojem kółku.

W swojem kółku! Nie domyślał się nawet, jak dalece w swojem kółku!

Ach! ten obiad!

Na długo przykrość ta pozostanie w mej pamięci.

Gwido zamówił wystawny obiad i sprowadził kwiaty z Ferté-Moei.

Nie widziałam go jeszcze nigdy w stroju wieczorowym. Ob-

cisły „smoking“ i biały gors koszuli zwiększyły tak bardzo podobieństwo jego do pana Myères, że co chwila wzruszenie odbierało mi mowę. Olśniewał mnie — i patrząc na niego, czułam zaambarasowanie pani Hauterive.

Jedliśmy mało, lecz dużo piliśmy szampana. Pod wpływem wina źrenice Koletty rozszerzyły się, obwódki pod oczami stały się jeszcze ciemniejsze, a na twarz jej wystąpiły dwie krwawe plamy. W cieniu abażuru uwydatniały się one jeszcze bardziej i sprawiały mi niewymowną przykrość.

Pomimo wysiłków, rozmowa nie kleiła się. Powiewy chłodu, albo przygnębiające milczenie co chwila, jak fałszywe nuty mąciły harmonię. Nawet Gwidon był jakiś nienaturalny.

Koletta, syn pana Myères i jej, i ja — żona pana Myères, siedzący przy jednym stole, jedzący chleb i pijący wino pospołu — zaiste to zbyt krzycząca dysharmonia, ażeby mogło nam być dobrze!

Dysharmonia! czyż nie jest ona przyczyną wszystkiego, co złe i brzydkie, tu i wszędzie? Czy skryta walka, tocząca się w całym wszechświecie, nie ma na celu jedynie wytworzenie harmonii?

Bagnoles de l'Orne.

Koletta wyjechała!.,. naturalnie i syn jej także.

Myśl, że nie zobaczymy się może więcej, zrobiła pożegnanie nasze ciężkiem i nad wyraz smutnem. Nie mogłyśmy oderwać od siebie oczu, rozłączyć rąk naszych.

Gwidon spostrzegł to i próbował wesołością swą rozprószyć nasze wzruszenie.

— Będziemy mieli oko na ciebie, mateczko chrzestna. Szczególniej nie próbuj nawet chować się przed rodziną.

— Nie będę, nie będę — odpowiedziałam.

Pocałował mnie w rękę, wszedł do wagonu i wychyliwszy się przez okno, zawołał:

— Do widzenia w Rocheilles!

— W Rocheilles! — powtórzyłam machinalnie.

Pociąg zaczął zwolna posuwać się, lecz przed zniknięciem zrobił ogromny zakręt.

Koletta stała w oknie, odchyliwszy firankę.

Widziałam jej bladą twarz zmniejszającą się, niknącą coraz bardziej. Nagle kłąb czarnego dymu zasłonił mi wszystko. Zrobiło mi się dziwnie smutno.

Nie miałam odwagi wrócić do hotelu i poszłam błądzić po lesie.

Od wielu lat już nie doznawałam uczucia takiego osamotnienia, jak w tej chwili.

Stosunek pomiędzy mną, panią Hauterive i Gwidonem był z gruntu fałszywym, chwilami nie do zniesienia, ale dopóki byliśmy razem, coś nas ze sobą łączyło. Lubiłam mówić „moja kuzynka" i pokazać ludziom, że i ja także, jak inni, mam swoich krewnych. Doprawdy, posiadanie rodziny dodaje człowiekowi godności i siły.

Przechadzając się ze spuszczoną głową po lesie, znowu przeżywałam w myśli ostatnie wydarzenia życia, i wydały mi się one jeszcze bardziej dziwnemi i niezwykłemi. Wiele bym dała teraz za chwilę rozmowy z panem Williamem Randolphem. Jemu jednemu, memu powiernikowi, opisałam spotkanie moje z panią Hauterive. Co on myśli o tem? Gdyby mi przed wyjazdem z Anglii powiedziano, że zobaczę się i dwa tygodnie przeżyję z Kolettą, odrzekłabym bez wahania:

— Nigdy! to niemożliwe! — a oto teraz żal mi, żeśmy się rozstały.

Powinni ludzie wykreślić ze swego słownika te dwa idyotyczne wyrazy...

Bagnoles de l'Orne.

Przez ostatnie trzy dni myślałam dużo o Simley Hall i o sir Williamie. Otrzymałam od niego oryginalny, iście angielski list, pisany pismem brzydkiem, w którym uczucie miesza się z humorem i drwinami, a przez wszystko przebija się mimowolna gorycz i smutek.

„Pomimo mej woli — pisał — muszę się zgodzić z panią, że spotkanie jej z kuzynką, jak również następstwa tegoż, były z góry przeznaczone. Wobec tego nielogicznem by było chwalić panią za jej wspaniałomyślność. A za jednym zamachem muszę też uniewinnić zabójcę kobiet H..., który ma być jutro powieszony w Nowym Jorku. Trochę to psuje wiarę Pani, co? W każdym razie winszuję z całego serca doskonałości, umiejącej przebaczać wszystko.

„Jakkolwiek nie udało się pani nawrócić mnie zupełnie na swoją wiarę, proszę jednak nie żałować pobytu swego w Simley. Zawdzięczam pani wiele dobrego. Oddziaływanie łacińskiej duszy pani na moją twardą, saksońską, nie pozostało bez skutku i niektóre ziarna, rzucone przez nią, zakiełkowały w moim mózgu. Może pani być dumną z tego.“

Na ostatniej stronicy dopisał:

„Dzieciństwem jest pragnąć dla mnie uzdrowienia — należy mi raczej życzyć odwagi. Staram się uwierzyć razem z panią, że ciągłe zmiany radości i smutku jednostek potrzebne są dla podtrzymania życia ogólnego, ale, niestety, jakoś mi to trudno przychodzi. Mądrze zrobiła pani dla poparcia swych twierdzeń, przysyłając mi obraz Scheffer'a. Zawiesiłem go przed swojem łóżkiem i czerpię nadzieję w boskim blasku twarzy św. Moniki. Może to pewniejsze. Sądzę, że widzi ona jakieś miejsce cudowne, gdzie się oddycha swobodniej, gdzie powietrze jest przepełnione tlenem. Ach! oddychać swobodnie! choćby tylko jedną chwilkę, byłoby to dla mnie rajem. Goethe, umierając, wołał: światła! — ja będę wołał: powietrza!“

Gdy czytałam te słowa, serce moje napełniło się czułością, a oczy łzami.

O, nie! nie żałuję, że jeździłam do Simley!

Do listu dziadka dołączony był milutki liścik małej Lili.

„Droga pani Myères — pisała — mieliśmy wielkie zmartwienie. Ten mały, czarny kotek, Rosey, który wtedy razem z panią pił herbatę — umarł. Nie chciał nic jeść, ani pić, chował się pod stół i krzesła, a wczoraj, kiedy go Sara zawołała, nie wyszedł wcale, bo już nie żył. Ja okropnie płakałam, a Franciszek tłumił łzy. O, chłopcy zawsze umieją wstrzymywać się od płaczu. Czy to nie zabawne?

„Dziadunio powiada, że jest raj dla zwierząt. A my myślimy, że Rosey jest w tym raju — on był zawsze taki grzeczny, taki posłuszny. Pochowaliśmy go na cmentarzu dla zwierząt. Jak już wyrosną kwiaty na grobie, przyszlę pani jeden z nich. Tylko nie wiemy, jakie by najlepiej posadzić?

„Mamy wszyscy nadzieję, że pani niedługo przyjedzie znowu do nas do Simley.“

Oto są dzieci, prawdziwe dzieci! Niech je Bóg błogosławi! Nie omieszkam im przesłać kondolencyi z powodu śmierci Rosey'a.

Bagnoles de l'Orne.

Bagnoles posiada trzy cudowne rzeczy: powietrze, wodę i las. Powietrze nie jest ani zbyt lekkie, ani zbyt ruchliwe, ale jakieś aksamitne i idealnie czyste. Posiada ono właściwość powiększania i zbliżania przedmiotów. Podczas nocy niebo wydaje się ogromnie nizko i nigdzie w całej Europie nie widziałam tak wielkich i tak blizkich nas gwiazd. W tym małym kraiku północnym ma się taką samą jasną przeźroczystość i takie samo delikatne drżenie powietrza, jak w Alpach.

Wody mineralne, jedyne we Francyi, z właściwości swych podobne do wód w Gastein, są nadzwyczaj pożywne. Jest to woda piękności. Zabawiałam się, studyując te rzeczy, i zauważyłam, że po dwudziestominutowej kąpieli ciało nabiera dziwnej białości, jakby wszystka krew gdzieś odpłynęła. Później następuje cudowna reakcya — uczucie przyjemnego ciepła.

Las Andaines, rosnący dokoła źródła, nie odznacza się wielką wspaniałością, ale jest bardzo przyjemny. Są w nim zakątki dzikie, obudzające jakąś świętą bojaźń, są wysokie sosny, których wierzchołki, poruszane wiatrem, spuszczają na głowy nasze harmonijne balsamiczne fale. Las ten ciągnie ku sobie i zatrzymuje. Przechadzając się po nim, czujemy, jak oddech nasz staje się lżejszym. Ta dusza drzew, która w ognisku przeistacza się w płomień, tu wzmacnia naszą siłę żywotną, robi nas wypoczętymi fizycznie i moralnie. Powietrze, woda i las, są tutaj zbiornikami siły i zdrowia. Niestety! nie umiemy jeszcze należycie korzystać z tych skarbów, to nasze nieszczęście.

W rękach Niemców lub Szwajcarów Bagnoles byłoby stacyą klimatyczną pierwszego rzędu — u nas przez czterdzieści lat wegetowało ohydnie, posiadając jeden tylko hotel i jednę marną restauracyę. Prowincyonalne małomieszczaństwo, uczęszczające do tych wód, przez egoizm nie reklamowało ich wartości, w obawie, ażeby

kąpiele nie podrożały. Dziś miejscowość ta rozwija się dzięki dobrej woli kilku lekarzy i jednego deputowanego. Za ich staraniem zawiązało się towarzystwo. Nawprost dworca wybudowano wspaniały hotel, którego budowa kosztowała dwa miliony. Poprzecinano aleje w lesie. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaczęły wyrastać wille, lecz budowały się one na nieprzygotowanym gruncie, bez potrzebnej kanalizacyi i dlatego dziś jeszcze przed każdą z nich widzimy kanały, któremi wszelkie nieczystości spływają do jeziora. Taki system zatrułby z pewnością całą okolicę, gdyby powietrze samo nie posiadało cudownych własności antyseptycznych. Pewna wieśniaczka, z którą rozmawiałam wczoraj, upewniała mnie, że do czasów wojny nie znano tutaj żadnych chorób, a ludzie umierali tylko ze starości.

Dziś Bagnoles zalicza się jeszcze do „dziur“, lecz stanowczo ma przed sobą przyszłość.

Jak we wszystkiem u nas, tak i tutaj skąpstwo, egoizm, brak zmysłu organizacyjnego i praktycznego paraliżują rozwój. Są narody, które trzeba powstrzymywać, są inne, które należy popychać. Zdaje mi się, że zaliczamy się do tych ostatnich.

Ciekawym faktem jest niechęć, jaka obudziła się w sercach okolicznych włościan na widok budującego się Grand'hotelu. Nie wiem, czy przez zacofanie woleli oni dawne budynki, czy też drażnił ich ten komfort nowoczesny. Sami, prawdopodobnie, nie umieliby na to odpowiedzieć, ale faktem jest, że z nienawiścią patrzyli, jak robota posuwała się. Obecnie całemi gromadami wystawają przed ogrodzeniem hotelu, przyglądając mu się z otwartemi ustami, a potem nic nie mówiąc, rozchodzą się. Niektórzy śmielsi zbliżają się do ganku, a nawet wchodzą do czytelni i na korytarze. Ciekawość ich nie jest jeszcze dostatecznie zaspokojona. Hotel stał się celem wycieczek wszystkich nowożeńców, a bogatsi zatrzymują się w nim na parę godzin i sprawiają sobie uczty weselne.

Zeszłej niedzieli widziałam w sali jadalnej scenę charakterystyczną dla naszych czasów.

Pewien zamożny właściciel fermy przyszedł tu zjeść obiad z swym synem i synową. Był to starzec około sześćdziesięciu lat, ubrany w niebieską bluzę i białą koszulę, bardzo starannie ogo-

lony. Zachowanie się jego było pełne godności, właściwej głowie rodziny — miał minę człowieka, który płaci.

— Dajcie wszystko, co macie — powiedział dumnie, odrzucając z pogardą podany mu przez kelnera spis potraw.

Widocznie starał się pokazać, że nie robi sobie nic z pięknych pań i eleganckich panów, wśród których znalazł się.

Młodzi zachowywali się skromniej.

Kobieta, pomimo jedwabnej spodnicy i kapelusza, (który ją zresztą szpecił) wyglądała brzydko. Przez wrodzoną niewiastom intuicyę czuła, że nie jest na miejscu.

— „That the was not it."

Nie spuszczałam oka ze starszego Normandczyka. Zajadał chciwie wszystkie dania, a na zakończenie uczty kazał podać kawę i likiery.

Byłam ciekawa, jak będzie przy obrachunku — zachował się bez zarzutu. Włożył okulary, spojrzał na wypisaną u dołu sumę i, nie okazawszy najmniejszego zdziwienia, wyjął ogromną, wypchaną pieniędzmi portmonetkę i zapłacił, nie mówiąc ani słowa. Potem założył rękę na brzuchu i powiódł dokoła wzrokiem, jakby chciał powiedzieć:

— Ma się trochę pieniędzy!

Miał je! Jak również, siedząc wśród samych filistrów, miał zapewne złudzenie braterstwa i równości...

Bagnoles de l'Orne.

Otrzymałam już dwa telegramy od Gwidona, a dzisiaj list od Koletty Hauterive.

Wzruszył mnie ogromnie. Odczytując go, czułam w sobie ten dziwny prąd, jaki się w nas wytwarza, kiedy myślimy o osobach blizko z nami związanych.

Związanych!

Wiedza wytłómaczy nam kiedyś znaczenie tych pięknych słów, które dzisiaj powtarzamy jak dzieci.

Po dwudniowym wypoczynku w Paryżu, bez wielkiego zmęczenia Koletta przybyła do Rocheilles.

W Paryżu zatrzymała się w hotelu Castiglione.

Oto co mi pisała:

„Zażądałam twego pokoju i na szczęście dostałam go. Weszłam w jego progi z uczuciem niemal religijnem i serce ścisnęło mi się na widok tak skromnego urządzenia jego. Jak mogłaś żyć tutaj ty, lubiąca przestrzenie, ty, dla której każdy pokój był zawsze za mały i za nizki?

„Poprosiłam o stół, na którym pani Myêres pisuje, ale pokojowa odmówiła mi tonem suchym, stanowczym:

— Stołu tego nie dajemy innym lokatorom.

„Powiedziałam jej, że jestem twoją blizką kuzynką i że chcę widzieć całe umeblowanie. Wtedy twarz poczciwej dziewczyny rozjaśniła się i natychmiast spełniła moją prośbę.

„Leżąc w łóżku, wpatrywałam się ciągle w ten skromny sprzęt, przy którym narodziły się owe piękne myśli, owe opowieści, co mnie tak do głębi wzruszyły. Wsłuchiwałam się w cykanie starego zegara, który przez tyle lat wybijał tobie godziny pracy.

„I mój Boże! Nawet ten stół i ten zegar nie są twoją własnością!

„O! Antonino! nie mogę spokojnie myśleć o tem. Nie wiem, czy ten twój pokój posiada jakiś czar, ale czułam się w nim tak dobrze, że nie chciało mi się ruszać — pragnęłam zostać do końca tygodnia.

„Zwiedziłam cały hotel, byłam w sali jadalnej, gdzie we dwójkę z Gwidonem jedliśmy obiad przy twoim stole.

„Wszystko tu jest eleganckie i wygodne, ale ten chłód hotelowy!... Jak mogłaś się do niego przyzwyczaić? Jak ci on nie zmroził duszy?...“

Kochana Koletta! jestem rada, że spała w moim pokoju. Wydał jej się małym! Prawda, jest takim, lecz cóż to szkodzi! Wiem, że „ażeby kochać, żyć i umrzeć, potrzeba przestrzeni“, jak powiada poeta.

Hotel miałby zmrozić mi duszę! Ależ przeciwnie, znalazłam w nim spokój i wszystko, co mi było potrzebne do spełnienia wytkniętego mi przez Opatrzność dzieła.

Dalej pani Hauterive pisze:

„Doktór jest zachwycony działaniem wód. Ujrzawszy go, nie rzuciłam mu się na szyję za wysłanie mnie do Bagno-

les — miewam jeszcze czasami takie odruchy młodzieńcze. Miły, kochany doktór! Jego porada spowodowała połączenie się nasze. Jestto najlepsza z recept, jaką mi kiedykolwiek przepisał. A ciebie? dyrektor i jego żona sprowadzili cię do Grand' hotelu — oto są nieświadomi sprawcy naszego spotkania.

„O Antonino! masz słuszność — życie jest ciekawszem i wspanialszem niż przypuszczamy.

„Nauczysz mnie tak wierzyć i myśleć, jak ty, będziesz mentorką mojego życia, czy chcesz?

„Młode — marzyłyśmy razem — stare — będziemy wspólnie filozofować.

„Wszyscy cieszą się, że mogę chodzić.

„Nadzieja, jaką widzę na twarzach otaczających mnie, wlała otuchę i do mego serca i rozproszyła złe przeczucia. Od wielu lat już nie czułam się tak dobrze na ciele i duszy. Powiedz mi, czy Bagnoles posiada jakiego patrona, któremu bym mogła przesłać dziękczynne modły?

„Stryj Grzegorz ucieszył się bardzo z naszego pogodzenia się. Ściskając mnie mocno za ręce, wpatrywał mi się w oczy tak głęboko, że aż zadrżałam — czyż by wiedział... Zresztą teraz — wszystko mi jedno!

„Zdumiony był przeistoczeniem się pani Myères w powieściopisarza. Obecnie czyta z zapałem twoje książki i ma pisać list do ciebie. Mówimy o tobie bez ustanku. Uczuwam jakąś dziwną radość przy wymawianiu głośno twego imienia, które wnosi pogodę w atmosferę Rocheilles.

„I co za rozkosz pisać do ciebie! Wiem, że mnie już nie odtrącisz więcej, nie, bo gdybyś ty chciała — Jan Noël na to się nie zgodzi. To jest najlepsze, to treść duszy pani Myères. Niech Bóg błogosławi was oboje!"

Odtrącić ją! Odtrącić jej rękę! O, nie! nieraz gdy mnie obsiędą smutne myśli, chętniebym uścisnęła gorąco tę biedną, bladą rękę.

Obawiam się tylko, ażeby mi jej brutalnie nie odebrano...

Bagnoles de l'Orne.

Życie w Bagnoles podoba mi się bardzo. Nie jest ono tak wesołem, jak w Aix des Bains, ale ma w sobie wiele dobrego.

Sądzę, że jestem jedną z pierwszych, umiejącą ocenić to „dobro“.

Budzę się codziennie rzeźka i zdrowa i o piątej już biorę kąpiel. Bawi mnie przechodzenie przez hotel, kiedy wszyscy śpią jeszcze. Do zakładu kąpielowego jedziemy omnibusem — zwykle w sześć osób. Wyrwani prosto ze snu, nie wyglądamy ładnie w tem otoczeniu świeżości rozpoczynającego się dnia. Jazda trwa niedługo, kilka minut zaledwie.

Piękno poranku sprawia mi niesłychaną rozkosz fizyczną — czuję potrzebę wdychania go w płuca i w oczy. Wieczorne, przeciwnie, działa mi na duszę. W czystej atmosferze las, którego wierzchołki tylko oświetlone są słońcem, wydaje się ponurym, tajemniczym. Małe jezioro, pokryte cieniem, błyszczy jak lustro przepaściste. Domy i droga mają barwę biało-różową, a cały krajobraz uśpiony robi wrażenie czegoś bajecznego. Ten kwiat poranku codziennie inny — zachwyca mnie, lecz niestety, trwa krótko, jak wszystko, co niezwykłe. Znikło już wszystko, kiedy w godzinę potem jedziemy z powrotem.

Po przybyciu do hotelu znajduję pokój mój zalany słońcem. Przynoszą mi herbatę, którą wypijam z właściwą mi łapczywością, poczem kładę się na szezlongu i zasypiam dobrym snem. O pół do dziewiątej jestem już przy pracy, gdzie spędzam cały ranek.

Po śniadaniu pozwalam sobie na krótką rozmowę, albo partyjkę „bridge“. Później wracam do siebie, odczytuję dzienniki, lub załatwiam korespondencyę, a o czwartej wypijam znów szklankę wody i idę na przechadzkę raz w tym, drugi raz w innym kierunku, krokiem, niestety, nie lekkim. W Paryżu nie ćwiczę wcale moich mięśni ruchu i po przybyciu na wieś, lub do jakiegoś miejsca kąpielowego, muszę dopiero wprawiać się stopniowo w chodzenie. Jest wielką prawdą, że nawet w starszym wieku dużo możemy zrobić z naszem ciałem — widzę to już po upływie pierwszego tygodnia.

Nie wiele osób z pomiędzy nas uczęszcza do kasyna, ponieważ mamy na miejscu dobrą muzykę i spędzamy wieczory wspólnie w salonie, albo na tarasie.

Towarzystwo mam przyjemne; w ogóle ta serya kuracyuszów

jest bardzo elegancka. Chwilami zdaje mi się, że jesteśmy gośćmi na jakimś zamku, którego gospodarze są chwilowo nieobecni.

Pierwszy raz od czasu zamieszkania „na gałęzi" znalazłam się w otoczeniu czysto francuskiem i, o zgrozo! widzę, że odwykłam od swoich ziomków. Obcując z tymi ludźmi, muszę pogrążać się w przesądy, o których już dawno zapomniałam, muszę poruszać myśli przestarzałe, widzę jasno ich wady i czuję gruby mur, dzielący nas. Czuć taką przegrodę pomiędzy sobą a tymi, których się kocha, jakże to boleśnie!

Cudzoziemcy, spotykani w mojej włóczędze, przyjmowali mnie do swego towarzystwa bez żadnych ukrytych myśli, bez podejrzeń. Moi rodacy — zbliżają się do mnie z pewną rezerwą. Kobieta bezdomna, pędząca życie koczownicze, nie obudza w nich zaufania. Szczególniej ostro krytykują mój tryb życia.

Pewnego dnia, podczas ogólnej rozmowy o służących, sąsiadka moja zwróciła się do mnie i powiedziała z odcieniem lekkiej pogardy w głosie:

— Pani, jako nie prowadzącej wcale gospodarstwa, nie zajmuje zapewne ta kwestya?

A jakaś dama z prowincyi dodała, poruszając prędko drutami swojej pończochy:

— Powinno się mieć swój dom, swoją parafię, swoje uczynki miłosierne.

Uczułam się zbitą z tropu, rozumiejąc, że nie posiadam nic z tego, co by mi w tem społeczeństwie dało prawo do szacunku.

Przecież nawet nie płacę podatków! Przyznaję się, że to mnie nawet upokarza trochę, chociaż co roku daję pewną kwotę na cele społeczne.

Czyżbym pragnęła znowu wejść w świat i przyjąć jego jarzmo? O, nie! szczerze mówię, że nie! Każdy stan ma swoje dobrodziejstwa i sądzę, że każde stworzenie posiada je.

Bagnoles de l'Orne.

Grand'hotel jest przepełniony. Jakby dla studyów psychologicznych mam tu przedstawicieli arystokracyi, wyższego i drobnego mieszczaństwa — trzech przodujących pokładów towarzyskich. Ludzie,

jak pokłady geologiczne, ułożeni są warstwami. W gruncie rzeczy wszystkie one składają się z tych samych pierwiastków, lecz pierwiastki te, zmieszane inaczej, wytworzyły ogromne różnice pomiędzy niemi.

Natura nie wytworzyła jeszcze amalgamatu braterskości tyle, ile potrzeba. Ci Francuzi, których jednakie dolegliwości sprowadziły pod ten dach, którzy u jednego źródła czerpią zdrowie, spotykając się po dwadzieścia razy dziennie, nie znają siebie, i chociaż nie noszą na piersiach, jak Hindusi, świętego sznureczka swojej kasty, można ją poznać z ich wychowania, z postawy, ze sposobu bycia. Istnieją jeszcze między nimi zawiść i uprzedzenie dziedziczne, nienawiść partyjna, spory religijne, co wytwarza dziwnie przykry stosunek. Z ciekawością przyglądam się tym grupom tak bardzo wyraźnym. Klan arystokratyczny jada w restauracyi, wieczory spędza w hali lub na korytarzach, a jeżeli któryś z jego członków wpadnie czasem do salonu dla przejrzenia gazet, nie bawi nigdy długo — to środowisko drażni jego nerwy, ucieka natychmiast. Ci ludzie są najlepiej wychowani. Zwykle mężczyzni zdejmują kapelusze, przechodząc przez czytelnię — „papinki“ nie robią tego nigdy.

Klan mieszczański jest mniej wykwintny, posiada za to więcej siły i żywotności.

Dzięki samochodom mamy bardzo często wizyty przygodne: dziennikarzy, deputowanych, uczonych. Przyszłe wybory nie dają spokoju ich mózgom. Codziennie słyszę dysputy polityczne i doznaję przykrego wrażenia, że Francya jest okutym kufrem, z którego każdy coś wyjmuje, a nic nie wkłada. Pracują wszyscy nie dla niej — nie — jedni dla republiki, inni dla monarchii lub cesarstwa. Pod wpływem tych małych ambicyjek Francya musi stracić swą wspaniałą postawę i stać się burżuazyjną.

Cudzoziemcy zapytywali mnie niejednokrotnie, co właściwie rozumiemy pod słowem „bourgeois“ i zawsze byłam w kłopocie z wytłómaczeniem im tego. Słownik daje takie wyjaśnienie: „bourgeois“ — pospolity, niedystyngowany, ale właściwie to nie jest to. „Bourgeois“ — jest to kloc, podtrzymujący budowę, a kloce nie mogą być ani ładne, ani zgrabne. Bez niego świat nie mógłby

utrzymać równowagi, z nim tylko — nie doszedłby do żadnego postępu. Cechy jego odnajdujemy nawet u osób dobrze wychowanych, posiadających wyższą kulturę, z wyrobionem poczuciem piękna. Zasadza się on na poglądach małostkowych, nietolerancyi, ślepym uporze, a zwłaszcza zupełnej nieudolności szanowania wolności osobistej. Cechy te wytwarzają jąkąś dziwną atmosferę, którą odrazu można odczuć. Chłop, rzemieślnik, artysta, wolni są od tych cech niemiłych. Prędzej pomiędzy królami, niż między ludźmi, urodzonymi przy ulicy Sentier, można spotkać takie okazy. Napoleon I. był „burżujem", Napoleon III — nie. Balzac, Guy de Maupassant nie byli nimi, Zola — był. Dwa nasze największe dzienniki i jeden przegląd posiadają te cechy. Kościół św. Augustyna jest burżuazyjny. Opera komiczna, Palais Royal są burżuazyjne. Vaudeville, Les Varietés, teatr Antoine'a, koncerty w kawiarni Monmartre nie są nimi. Anglia, Włochy, Hiszpania nie są burżuazyjne; Niemcy są, chociaż cesarz ich nie jest.

Francyi grozi możliwość zrobienia się taką i to mnie doprowadza do rozpaczy. Niech Bóg zachowa!

Z tego, co tu widzę i słyszę, pojmuję, dlaczego cudzoziemcom tak trudno zrozumieć nas. Nie mogą oni odróżnić charakteru, który jest naturą jednostek, od duszy, która jest kwintesencyą rasy. Nie mylą się Francuzi, gdy mówią o sobie: mamy charakter brudny — ale rasa nasza posiada duszę czystą i szlachetną. Czuję ją dokoła siebie. Chwilami jaśnieje ona na twarzach, wyraża się w szlachetnych słowach i rozjaśnia ciężką atmosferę zawiści i namiętności politycznych. W niej pokładam moje nadzieje przyszłego dobra i piękna...

Element niewieści jest tu licznie reprezentowany. Badałam go pilnie i ze zdumieniem zauważyłam, że nie zrobił ani kroku naprzód. Tak samo jak za moich czasów panienki są przeważnie marzące, a stare babcie rozgderane. Uczuciowość, sentymentalizm, zrutynizowane miłosierdzie — nic po za tem. Żadnych aspiracyj do czegoś szerszego, żadnego znaku indywidualizmu. W tem otoczeniu wstydzę się prawie swej nowoczesności. Mnie, przyzwyczajonej do szczerego sposobu bycia Angielek, do otwartego umysłu Amerykanek, dziewice francuzkie wydają się wprost anachronizmem. Robią

na mnie wrażenie roślin, mających za mało powietrza, za mało wody, które źle oddychają. Powolne, apatyczne, nie odczuwają najprostszej radości życia, nie czują potrzeby działania. Oddają się sportom gwoli dogodzenia modzie, ale ciałem swem protestują przeciwko nim. Wiadomości, jakiemi naładowano ich głowy, nie zrodziły ziarna myśli, nie obudziły pragnienia szerszej wiedzy. Wydają się zmęczone, przesycone, sztuczne. Chciałabym prowadzić je do lasu, na góry, nad morze, aby je zetknąć z wszystkiemi boskiemi siłami przyrody. Pragnęłabym pokazać im Włochy, Hiszpanię i całą Francyę, ażeby poznały piękno, które jest naszem dziedzictwem. Kiedy patrzę na taką młodą dziewczynę, apatycznie przesuwającą igłą po jedwabiu lub kanwie, mam ochotę potrząsnąć nią silnie.

Wiem, o czem marzy.

Ona już teraz poddaje się władzy mężczyzny. Myśli o tajemnicy, której się domyśla, w głowie jej tworzą się niepokojące obrazy, a podmuch instynktu zwarzy wcześnie kwiat młodości.

Matki powinny by o tem pamiętać.

Matki!

One myślą o tem, ażeby pilnie strzedz córkę, dać jej przyzwoity posag i znaleźć dobrą partyę. One psują swych synów, ażeby uzyskać nad nimi przewagę w przyszłej walce ze swą rywalką synową.... Oto jak objawia się u nas macierzyństwo w XX-tym wieku!

Któregoś dnia byłam tak nieroztropna, że wyraziłam pragnienie, ażeby raz już dziewczyna francuska wyszła z za firanek, ażeby wzięła udział w życiu i wniosła w nie świeże siły swego serca i umysłu.

— Jakto! chcesz pani emancypacyi naszych dziewcząt?! — wykrzyknęła z przerażeniem jedna z mam.

— Tak, pragnę tego, lecz wpierw muszą one być przygotowane przez odpowiednie wychowanie. A szczególniej nie wcześniej, aż matki nauczą swych synów bezwzględnego szacunku dla kobiet, zmienią wilków w pasterzy.

— Wilków w pasterzy! a instynkt? a natura? — zawołała jedna paryżanka.

— Amerykanki potrafiły to jakoś pogodzić. Są one jedynem kobietami, które kochają swoją płeć.

— To nie są kobiety — odrzekła stanowczym tonem moja interlokutorka.

— A zresztą Francya nie jest Ameryką — dodała ostro jakaś starsza dama.

To prawda. Wyczułam znowu mur i umilkłam. Japonki prześcigną nas w ewolucyi — założę się.

Bagnoles de l'Orne.

Bagnoles nie jest burżuazyjnem.

Przez zamiłowanie natury w stanie dzikości nie żałuję wcale, że znajduje się ono w niepraktycznych rękach moich ziomków, że na szczytach jego wzgórz stoją malownicze zameczki zamiast pospolitych oberży.

Do rozpowszechnienia użyteczności publicznej używa natura Anglików, Szwajcarów i Niemców, ale do zachowania w całości piękna pierwotnego — służy jej tylko rasa łacińska.

Trzy większe wycieczki zostawiam sobie na jesień, a obecnie pieszo i powozem poznaję ten mały kraik, ograniczony Menem, Normandyą i Bretanią, i czuję tu wyraźnie siłę jasnowłosej północy, religijność i ciemnotę zachodu i śmiejącą się słodycz środka.

Lasy i dziwaczne skały tego kraiku, dobra wróżka Audaine'a i zła wróżka Gione'a, jego święci, legendy, ciężkie zamki bohaterów — nadają mu niewysłowiony wdzięk. Chwilami zdaje mi się, że nawet wiatr tutaj posiada duszę i kilka razy w zetknięciu się z nim doznałam silnego wstrząśnienia.

Okolica uderza swem bogactwem i urodzajnością i nie dziwię się wobec tego, że wieśniacy mogą płacić za śniadania w Grand' hotelu.

Dziś po raz pierwszy udałam się drogą równoległą do toru kolejowego i miałam ogromnie ciekawe popołudnie.

Droga idzie przez las i nieznacznem wzniesieniem góruje nad doliną. Po kwadransie spaceru spostrzegłam, że gałęzie niektórych drzew ponatykane były kamykami. Z początku sądziłam, że to jakiś figiel dziecięcy, ale idąc dalej, stanęłam zdumiona, ujrzawszy, że coraz większa ich ilość obciążona była tym dziwnym ciężarem.

Te kamienie wśród liści, często na znacznej wysokości, wyglądały dziwnie fantastycznie. Domyśliłam się, że nie zwykła zabawka była tego przyczyną i zwróciłam się do przechodzącej starej wieśniaczki z prośbą o wytłómaczenie.

— Są to kamyki św. Ortaryusza — powiedziała mi — jest to dobry święty, który leczy reumatyków. O pięć minut drogi ztąd ma on swoją kaplicę. Ludzie odbywają pielgrzymki do niego, a wracając, kładą na drzewie kamyk na takiej wysokości, do jakiej sięga ich ból. Ja mam także swój kamyk — położyłam go z powodu mych chorych kolan. Czy chce go pani zobaczyć?

— Naturalnie — odrzekłam, mocno zaciekawiona. Poszłam za kobietą i ta pokazała mi swój kamyk, położony w pierwszem zgięciu starego buku.

— Oto jest — zawołała. — Ludzie powiadają, że to są głupstwa, bo dziś mają tyle wiary, co bydlęta, a jednak reumatyzm mój znikł i dziś mogę chodzić bez kija.

Rozejrzałam się dokoła. Jedne kamyki leżały tuż przy ziemi, oznaka chorej stopy — inne na wysokości kolana, ramienia lub głowy.

Dziwiłam się, że pozostają na miejscu, że nikt przez pustotę nie strąci ich.

Wieśniaczka pokiwała głową.

— Strącić! — to niebezpieczne! Na tego, ktoby dotknął takiego kamyka, może spaść choroba. Na szczęście wiedzą o tem dobrze łobuzy.

Widok tych dziwacznych „wotów“ zahipnotyzował mnie na kilka chwil. Każdy z nich był wyrazem cierpienia człowieka i jego nadziei. A było ich setki! Za nic na świecie nie podniosłabym ręki do nich nie z obawy kary, lecz poprostu przez poszanowanie.

Byłam ciekawa zawrzeć bliższą znajomość z św. Ortaryuszem i uszedłszy kawałek, przybyłam do osady, noszącej jego miano. Znajduje się ona na wzgórzu w prześlicznem położeniu. Przy wejściu zauważyłam dwa budynki „burżuazyjne“. Na jednym z nich zwrócił moją uwagę duży afisz z wypisanemi tytułami dzieł treści filozoficznej, a u dołu te słowa:

„Po objaśnienia zwracać się do autora — willa naprzeciwko".

Pomysł takiej reklamy, umieszczonej w oknie izby, służącej za skład kartofli, wydał mi się arcykomicznym.

Dowiedziałam się, że autorem był ksiądz. Poszłam do niego, chcąc nabyć owe dzieła, lecz nie zastałam go w domu.

Osada św. Ortaryusza składa się z kilkunastu domków, poprzedzielanych gnojówkami i cuchnącemi kałużami. Żadnej rośliny pnącej, żadnego starania o jakiekolwiek upiększenie. W Anglii wszystkie takie chatki są obrośnięte kwiatami. Mocno żałowałam, że czcigodny proboszcz zamiast filozofii nie poświęcił się hygienie.

Jakąś kobietę, pędzącą krowę, poprosiłam o szklankę mleka i weszłam za nią do kuchni. Była to pusta prawie izba, służąca prawdopodobnie i za sypialnię, sądząc ze stojącego w kącie łóżka. Stół brudny, podłoga niezamieciona, naczynia nie pomyte! Kubek, w którym podano mi mleko, był z czystej porcelany, a w otwartej szafie dojrzałam całe stosy białej bielizny — w tem zapewne leżała duma jej gospodarstwa. Do izby wbiegło dwóch chłopaków, każdy z kawałkiem chleba w ręku. Starszy wziął dzbanek z kwasem jabłecznym, napił się chciwie i podał bratu.

— Pozwalacie tak pić kwas tym malcom — dlaczego nie dajecie im lepiej mleka? — zapytałam.

— Bo za mleko więcej dostanę — nigdy nie mam go za wiele.

Mówiłam długo o szkodliwości napojów wyskokowych dla dzieci — ona ścisnęła ramionami.

— To są wymysły doktorów — powiedziała z pogardą, — oni sami nic nie wiedzą.

Uważałam za zbyteczne przekonywać ją dalej i spytałam, czy w długie zimowe wieczory zbierają się razem.

— O, nie! — odrzekła — każdy siedzi u siebie, nie mamy o czem rozprawiać. Zresztą są tu tylko trzy rodziny miejscowe, inni to robotnicy, Włosi, nie mamy z nimi nic wspólnego.

Oto w całej okazałości „brudny charakter"!

Pożegnawszy tę typową Normandkę, udałam się do kaplicy. Ocieniona krzewami róż, ze starą wiejską dzwonnicą, dodaje

trochę poezyi temu brzydkiemu otoczeniu. Wewnątrz stoją posągi św. Radygondy i św. Ortaryusza, nie przynoszące zaszczytu sztuce religijnej. Usiadłam przed ołtarzem i dałam się przeniknąć tej dziwnej atmosferze świątyń katolickich, posiadających moc ożywiania wyobraźni, uczuć i wrażeń. Ciężki niepokój o kuzynkę Hauterive napełnił moją duszę. Coraz bliższą jest ta straszna dla niej chwila. Za każdym listem, pełnym nadziei, serce moje ściska się boleśnie. Moja mała, kochana Koletta — szeptały bezwiednie moje wargi w tej ciszy świętego przybytku, a oczy przez przyzwyczajenie atawistyczne same podnosiły się do góry z niemą prośbą do sławnego uzdrowiciela. I kto wie, czy nie położyłabym kamyka, gdybym wracała tą samą drogą, ale poszłam inną, przez las.

Zniżające się słońce ozłacało stopy drzew i rzucało światło pomiędzy liście. Niebotyczne wierzchołki imponowały swym absolutnym spokojem. Czułam jakiś strach i pomimowoli przyspieszyłam kroku. Szczerze też ucieszyłam się, znalazłszy się na otwartej drodze wprost dworca Grand hotelu.

Bagnoles de l'Orne.

„Operacya udała się świetnie. Mama ma się dobrze. Całowałbym świat cały z radości“ — taki telegram otrzymałam dziś od Gwidona. Przyniósł on mi radość zupełną — zupełną, powiadam, bo jest to prawda. Dzięki Bogu!

Bagnoles de l'Orne.

Wiedziałam o tem... O! wiedziałam! Nie mogła, nie powinna była przeżyć. Czułam to niejasno, że musi zejść z tego świata, musi zniknąć. We dwie doby po pierwszym telegramie otrzymałam dwa inne od stryja Grzegorza.

Pierwszy brzmiał: „zakażenie krwi zdeklarowane“. A drugi: „skonała kilka godzin temu“.

Uderzyło mnie to jak najboleśniejszy cios.

Tak, zawiązał się pomiędzy nami węzeł i mocniejszy niż przypuszczałam. Uczułam gwałtowną potrzebę zobaczenia jej i odprowadzenia na to ostatnie miejsce spoczynku.

Zabrałam się gwałtownie do pakowania, bo zdawało mi się, że robiąc to, robię coś dla niej.

Wszystko gotowe. Jutro pierwszym pociągiem wyjeżdżam do Rocheilles.

W tej chwili przypomniałam sobie o liście, który mi przed wyjazdem wręczyła.

Nie znam nic przykrzejszego, niż pismo ludzi już nieżyjących. Pismo !... to niedołężne odbicie myśli ludzkich, ale zawsze żywych, nieśmiertelnych...

Brakło mi odwagi do otworzenia tego listu — był adresowany do Jana Noël. Domyślam się jego treści... Tak, zgadłam.. to było „to"... Błaga mnie o opiekę nad Gwidonem, pragnie, ażebym została jego doradczynią, ażebym wyrwała go z rąk tamtej kobiety, ażebym go według własnego wyboru ożeniła.

Przeczytawszy, krzyknęłam głośno.

— Nie! nie! Nie mogę! To niepodobna! Ani pani Myéres, ani Jan Noël nie są jeszcze tak doskonałymi, ażeby zdolni byli do podobnych ofiar. Biedna Koletta! Nie domyśliła się wcale, że o ile ją kochałam, o tyle nienawidzę syna pana Myères. Nie domyślała się wcale, co za straszne męczarnie mogą wywołać podobne uczucia. Kończyła list zapewnieniem, ze umrze spokojnie, zostawiając Gwidona pod dobrym wpływem i opieką przyjaciółki, lepszej od rodzonej matki. Boże! Boże! Zkąd wezmę sił, ażeby nie zawieść nadziei umarłej!...

VII.

Paryż, hotel Castiglione.

Ach! jakże prędko potoczyło się koło mojego przeznaczenia w ostatnich czasach! Dopiero koniec lipca! Szybkość ta złamała moją istotę.

Dwa tygodnie już upłynęły od czasu mego wyjazdu z Rocheilles, a dotąd drżę cała ze wzruszenia i bólu.

Rocheilles! tak ukochane niegdyś, tak wesołe i gościnne miejsce! Po piętnastu latach niebytności weszłam tam wśród cieniów nocy i śmierci...

Stryj Grzegorz spotkał mnie na dworcu. Sposób przywitania się i słowa: „cieszę się, że pani przyjechała — ona czeka na panią", naprowadziły mnie na myśl, że wie o wszystkiem.

Podczas jazdy końmi opowiedział mi szczegóły katastrofy.

Operacya udała się jak najlepiej, lecz potem jakaś drobnostka, jak to zwykle bywa, sprowadziła zakażenie krwi. Nie czuła, że umiera. Czekała mnie. Gwidon nie pozwolił kłaść matki do trumny do mego przyjazdu.

Znalazłam ją leżącą na łóżku, a jego obok niej. Cierpienie uczyniło go starszym i uwydatniło tak dalece nieszczęsne podobieństwo, że mimowoli cofnęłam się. Ujrzawszy mnie, nie wyrzekł ani słowa, patrzał tylko to na mnie, to na matkę, z wyrazem takiego smutku, że serce moje wezbrało litością.

W Paryżu zatrzymałam się umyślnie, ażeby zakupić białych goździków i róż, ulubionych kwiatów Koletty. Położyłam je z czułością na jej piersiach i w nogach, i zwróciwszy się do Gwidona, powiedziałam:

— Zostaw mnie — chcę sama spędzić z nią resztę nocy — mamy jeszcze dużo do powiedzenia sobie.

Gwido schylił głowę, podniósł rękę moją do ust i wyszedł.

Zostałyśmy same — umarła i ja.

W sukni z kremowego jedwabiu, w koronkowem przykryciu na głowie, Koletta wyglądała jakby ubrana na jakąś wielką uroczystość. Delikatny owal jej twarzy, czarne spuszczone rzęsy i zakrój ust, były doskonałym wyrazem wrodzonej niektórym kobietom słabości charakteru — najlepszym argumentem jej niewinności.

Dręczona wyrzutami zbytniej może z mej strony surowości, pochyliłam się nad nią, całowałam jej czoło i delikatne ręce, a potem, ukląkłszy, powtarzałam:

— Koletto! droga, kochana Koletto!

I znowu poczułam dokoła siebie jakby delikatny powiew...

Czyżby to był wiatr z otwartego okna?...

Nie wiem, ale po raz drugi już w życiu w podobnych okolicznościach czuję wyraźnie obecność czegoś niemateryalnego.

Drgnęłam...

Wzrok mój wlepił się w nieruchomą twarz pani Hauterive... nieruchomą, lecz nie martwą. Bił od niej wyraz żywej słodyczy i spokoju, jak ostatni promyk jej duszy. I tak dobrze było powiedzieć sobie, że ona jest tu obecną.

Bo czemże jest śmierć? Końcem rozdziału tylko.

Powieść rozwinie się dalej, po przez wieczność całą, i coraz bardziej napełniać się będzie miłością, pięknem i światłem...

Ze wschodem słońca włożono ją do trumny, a o jedenastej odprowadziliśmy naszą małą Kolettę na miejsce wiecznego spoczynku.

Obrządek pogrzebowy na prowincyi jest wspaniały swoją prostotą.

Dziedziczki okolicznych włości, mieszczanie z poblizkiego miasteczka i wieśniacy z okolicy mil dwudziestu zgromadzili się, ażeby odprowadzić baronową Hauterive do jej ostatniego mieszkania. Widziałam ze swego okna, jak ze wszystkich stron nadjeżdżały powozy i wozy, podążały różne postacie w szatach żałobnych i w białych czepkach.

Kościół nie mógł pomieścić wszystkich i tłumy ludzi stały na placu, przez otwarte drzwi tylko przyglądając się nabożeństwu.

Cmentarz w Rocheilles, położony na wzgórzu, panuje nad całą okolicą. Idzie się do niego po nierównej drodze, poprzecinanej tu i ówdzie schodkami z kamienia i dla tego trumny niosą tam zwykle na ramionach.

Po za rodziną, składającą się z dwóch synów, stryja Grzegorza, jego siostry i mnie, postępował zbity tłum w uroczystem skupieniu. Zajął on prawie całe to pole umarłych.

Żadnych rozmów, żadnych szeptów, wszystkie głowy odkryte i tylko widać łzy i tylko słychać westchnienia — rzeczywiste oznaki żalu i rozpaczy.

Ostatnie błogosławieństwo odbyło się wśród takiej ciszy, że siedzący na poblizkiej gałęzi ptaszek wydzwonił swą piosenkę, co, dźwięczna i jasna jak modlitwa, uleciała do Boga.

W ciężkiej boleści rozłąki najcięższą chwilą jest ta, kiedy musimy odejść i zostawić ukochanego nieboszczyka w ciemnym grobie, w ciszy cmentarnej. Jakgdyby więzy cielesne nie były jeszcze zerwane, ciągnie on nas ku sobie, zatrzymuje, woła i po powrocie do ciepłego domu bez niego czujemy w duszy coś na kształt wyrzutów.

Przeżyłam to wszystko, żegnając się z Kolettą...

Według zwyczaju miejscowego po pogrzebie dana była skromna

uczta dla bogatych i biedaków — jest to symbol braterstwa w smutku.

Prowincya posiada dużo dobrego i w ważnych okolicznościach życia wykazuje swą wyższość nad stolicą. Czuje się tu większą głębokość i prawdziwość uczuć.

Wiele osób, dawniej znajomych, poznało mnie i dziwiło się mojej obecności. Sprawiało mi to wielką przykrość.

Kiedy się wszystko skończyło, Gwido odprowadził mnie do mego pokoju.

Biedny chłopak podczas całego tego dnia okropnego trzymał się dzielnie. Boleść jego zdradzał tylko surowy wyraz twarzy i twardy jakiś dźwięk głosu. „Połknął łzy“ — jak mawiała moja mała Lily. Ale kiedy znaleźliśmy się sami, bohaterstwo opuściło go. Rzucił mi się na szyję, a ja, ogarnięta nagle najgorszymi instynktami, stałam się martwą, niemą.

— O, mateczko! mateczko! — wołał przytulając się do mnie, jak dziecko.

— „Pour boy“ — szepnęłam, tknięta wreszcie tą serdeczną skargą dziecięcą. — Jeżeli kiedy będziesz potrzebował przyjaźni, przyjdziesz do mnie — nie prawdaż?.

Gwido spojrzał na mnie z wyrazem zdziwienia i wyrzutu.

— Teraz jej potrzebuję, chrzestna — powiedział. — Będę jej potrzebował zawsze. Człowiek, który miał taką matkę jak moja, zna wartość serca kobiecego i nie może się więcej bez niego obejść.

Potem zdobywając się na nowy akt hartu, spróbował uśmiechnąć się i dodał:

— Jestem samolub! Musisz upadać ze zmęczenia, wyjdę, żebyś mogła odpocząć — i rzuciwszy okiem dokoła pokoju, czy czego nie braknie dla wygody, przysunął szezlong do kominka, na którym palił się ogień, i poprawił poduszki.

— Połóż się tu mateczko, — mówił, całując mnie w rękę — przyszlę ci zaraz herbaty. Dziękuję ci, żeś przyjechała, tak mi dobrze, że jesteś przy mnie.

Mówiąc to wyszedł krokiem przyciszonym.

Stałam na środku pokoju, zawstydzona swoim chłodem.

— „Pour boy" — wymówiły moje usta i nie zdobyły się na żadn inne serdeczniejsze pocieszenie dla syna Koletty! Tak, Koletty, al i pana Myéres... Trzy dni zabawiłam w Rocheilles, bo zdawało m się, że nie powinnam była opuszczać tak prędko domu, w którym duch Koletty żył jeszcze.

Odnowiłam dawną znajomość ze starszym synem państw Hauterive, Robertem. Znałam go piętnastoletnim chłopcem, a obecnie zastałam trzydziestoletnim mężczyzną.

Średniego wzrostu, dobrze zbudowany, brunet, posiada wszystkie charakterystyczne cechy jednej z najlepszych naszych ras

Doznałam dziwnej przyjemności, myśląc sobie, że jest on prawdziwym Hauterive'm. Jest zaręczony z ładną i bardzo bogatą dziewczyną, córką obywateli z sąsiedztwa. Marzeniem jego jest rzucić służbę wojskową i osiąść na własnej ziemi.

Stryj Grzegorz czuje głęboko stratę swej szwagierki. Czarowała go swą łagodnością i dobrocią — kochał ją aż do przebaczenia wszystkiego. Obecnie, nie robiąc żadnych aluzyj co do mego usunięcia się, okazywał wielką radość z powodu mego przyjazdu. Byliśmy z nim tak, jakbyśmy się wczoraj pożegnali. Odczytywałam z zajęciem jego „kronikę życia wiejskiego", którą pisywał zwykle wieczorami. Ocena, jaką dał moim utworom, zrobiła mi wielką przyjemność.

Siostra stryja Grzegorza, Marta, oryginalna stara panna, nie omieszkała wyrazić zdziwienia z powodu mego zjawienia się i probowała dowiedzieć się, jaki był powód naszego nieporozumienia, a jako osoba, lubiąca mówić prawdę, oznajmiła mi, że potępia wszelkie swary rodzinne.

Więcej nawet! — powiedziała mi stanowczo, że nie pojmuje mego sposobu życia po śmierci męża.

Szczęśliwa! wielu rzeczy na świecie nie rozumie! Jest ona zresztą bardzo dobrą osobą i serdecznie przywiązaną do swoich. Myślę, że pozostanie w Rocheilles, dopóki jej bratanek nie wprowadzi młodej gospodyni do domu.

Chciałam poznać dzieło Koletty, to dzieło rozpoczęte w rok po przyjściu na świat Gwidona — dwadzieścia cztery lat temu.

Wioska S..., licząca trzystu mieszkańców, zupełnie została przebudowaną.

Zrobiono tu wszystko dla podniesienia dobrobytu i dla hygieny jej mieszkańców. Rasa, nad której chorobliwą szpetotą biadałyśmy tylekrotnie, poprawiła się znakomicie. Cera zdrowa, oczy jasne, członki proste, suchotnicy należą do rzadkości. Ze dwadzieścia sierot opuszczonych, ulokowanych przez panią Hauterive w rodzinach uczciwych, wyrosło pod jej opieką na porządnych ludzi.

Stryj Grzegorz za swe własne pieniądze wybudował dom zebrań, który znakomicie zwalcza wpływ szynków. Przez rozmowy i porady pchnął on ciemny dotąd tłum na drogę postępu. On i pani Hauterive obudzili w ludzie okolicznym poczucie godności osobistej i przywiązanie do własnej rasy. Dotąd dumni byli tylko ze swych bydląt — obecnie pysznią się dziećmi.

— O, teraz musimy pielęgnować nasze dzieci — mówiła do mnie jedna kobieta.

Ten objaw nieznanego im dotąd uczucia zachwycił mnie, uważam go za wielki krok naprzód.

I wszystko to jest niczem więcej, tylko „pokutą Koletty".

I ja też przyczyniłam się trochę do owej cywilizacyi — złożyło się na nią dużo mego bólu. Czy mam prawo żałować tego? Czyż wolałabym patrzeć na nędzne twarze chorych dzieci, jakie sobie z dawniejszych lat przypominam?

Na to pytanie mogę śmiało odpowiedzieć:

— Nie! tysiąc razy nie!

Ze słowem tem na ustach poszłam przed odjazdem na cmentarz i powtórzyłam je po cichu Kolecie.

Z Rocheilles wyniosłam to przekonanie, że słusznie powiada Maeterlink: „zło jest dobrem, którego nie możemy zrozumieć".

Paryż.

Mogłam się zatrzymać w Turenii i spędzić tam październik, lecz czułam potrzebę samotności i dla tego wróciłam do Paryża.

Osłodą dla mnie była myśl, że Koletta mieszkała w moim pokoju. Pokojowa zapamiętała doskonale tę damę z pięknemi czar-

nemi oczami i była bardzo zmartwiona, dowiedziawszy się o jej śmierci.

Gwidon dał mi fotografię matki, zrobioną w ostatnich czasach — powiesiłam ją nawprost mego łóżka. Czyż mogłam przypuszczać, że będzie ona kiedyś tu? Obecnie co chwila przyciąga mój wzrok ku sobie, czuję jakiś ciepły prąd, przepływający między nami, i patrząc w jej oczy, powtarzam: moja mała Koletta! A raczej powinnabym mówić: moja wielka Koletta!

Zaraz po powrocie napisałam do sir Randolphe'a. W ostatnim liście wynurzył mi się z swej sympatyi dla mnie w wyrazach prostych, męzkich, które go charakteryzują, i które mają cechę głębokiej szczerości. Dalej pisze mi o państwach Lusson:

„Nie miałem najmniejszej trudności z namówieniem ich do odwiedzenia pani, ponieważ czytali wszystkie jej utwory i należą do najgorętszych jej wielbicieli — zachwyceni więc są możnością poznania pani".

A dalej dodaje z właściwem sobie przekomarzaniem się:

„Nie zaręczyłem im, że pani Myéres jest podobną do Jane Noël, ale powiedziałem, że posiada ona wiele, bardzo wiele dobrych przymiotów. Obecnie i z ich strony i z pani będę oczekiwał podziękowań".

Zacny sir William chce koniecznie dać mi przyjaciół. Moje zupełne osamotnienie martwi go. Sądzi, że ci ludzie, moi ziomkowie, zbliżą się ze mną więcej niż cudzoziemcy.

Jaki on dobry! Co do mnie, myślę o tym nowym stosunku z pewną ciekawością, ale i z trwogą. Co on mi przyniesie? Dlaczego myśl ta tak gwałtownie wryła się w serce mego przyjaciela?

Paryż.

Nie widziałam nigdy Paryża w październiku i nie przypuszczałam, ażeby mógł on mieć wygląd tak prowincyonalny. Nie ma co mówić, próżnujący światowcy i piękne powozy stanowią ładną dekoracyę miasta i wytwarzają przyjemną atmosferę. Spostrzegamy to dopiero wtedy, gdy tego zabraknie.

Amerykanki, spotykane obecnie na ulicy, zajęte są robieniem

sprawunków. Swoje piękne pióra pochowały do walizek i gotują się do odjazdu. Świat elegancki zjedzie dopiero w listopadzie.

Po ulicach przesuwają się furgony, napchane tymi skromnymi turystami, noszącymi miano „Cooks“, od nazwy agencyi, która potrafiła uruchomić miliony, co było znamieniem czasu. Wszyscy kpią sobie chętnie z tych ludzi, co do mnie czuję dla nich pełną szacunku sympatyę. Sądzę, że są oni cennymi współpracownikami Opatrzności. Są to zazwyczaj ludzie ubodzy, którzy zaoszczędziwszy trochę pieniędzy, czują potrzebę podróżowania, poznania wybranych miejsc ziemi, zobaczenia rzeczy pięknych. Gromadzą wrażenia, rozwijające ich umysł, i roztoczą je później dokoła siebie, przekażą dzieciom swoim. Czyż nie jest przeznaczeniem przeszłości ożywiać teraźniejszość i zasilać przyszłość?

Pewnego dnia ujrzałam taki omnibus, pełen „Cooksów“ na placu Vendôme, nawprost kolumny. Przewodnik krótko, ale w sposób zrozumiały, objaśniał podniesionym głosem. Wszystkie te oczy, przybyłe zdaleka, utkwione były teraz w brązową kolumnę z wyrazem gorącej ciekawości, a wspomnienie Napoleona wywołało na tych twarzach pospolitych widoczny odblask wzruszenia. Tragiczny obraz bohatera odbił się prawdopodobnie w jakiejś komórce ich mózgu. W jakim celu? Zbyteczne pytanie. Widzę pracę tajemniczą i to mnie wzrusza i napawa szacunkiem dla tych, w których się ona dokonywa.

Rzeczywiście — bogowie przygotowują, zdaje się, jakieś wielkie dzieło tu na ziemi. Od czasu do czasu odkryją nam jednę z swych tajemnic, dodadzą nowych sił i ściślej ze sobą połączą. Używają oni sposobów wielkich i małych dla pobudzenia pracy naszego umysłu.

Oto naprzykład wynalazek kart pocztowych — czyż nie ma na celu zwiększenia naszych wyobrażeń? W tym miesiącu otrzymałam widoki najrozmaitszej natury: Darjeeling w Indyach z pasmem śnieżnych szczytów, pałac marmurowy pana Belmont w Newport, kawałek New-Yorku z dwudziestodwupiętrowymi domami, skały w Hudson, cicha ulica jakiegoś miasteczka w Turenii, zakończona kościółkiem. Każdy z tych kartonów wywołuje inne wrażenie,

a wszystkie razem obudzają tłum myśli i refleksyi, które nie przeradną darmo.

Nie wiem, czy intuicya moja jest prawdziwą, czy fałszywą — w każdym razie cieszę się, że ją posiadam.

Paryż.

Za całą willegiaturę tej jesieni służy mi park Tuilleries. To mało. Lubię jednak ten „mój ogród". W zimie i na wiosnę po wypiciu herbaty idę tam zwykle na przechadzkę Nie wiem, kto robił plan tego parku, ale linie jego są nadzwyczaj harmonijne i codziennie ma on inny wygląd. Najulubieńszem miejscem mojem jest taras po prawej stronie, wychodzący na plac Zgody. Prawie zawsze jest tam pusto. Od czasu do czasu przejdzie jakaś para zakochana z klasy średniej, albo zjawi się jakiś profesor lub urzędnik odpocząć po kłopotach codziennego życia.

Wzrok mój błądzi po placu Zgody. Nie znam równego mu na świecie. Widać na nim jakąś radosną ruchliwość. Za szybkim samochodem toczą się wesoło dorożki, które w przeciągu jakich lat dwudziestu znikną prawdopodobnie zupełnie.

Wiele razy żałowałam, że nie mam kogoś, znającego życie, z kim bym się mogła przejść tutaj.

Przechodząc aleją Rivoli, zatrzymuję się często, i oparłszy się o balustradę, przyglądam się bawiącym się dzieciom. To pokolenie, mające dzisiaj dziesięć lub dwanaście lat, jest stanowczo ładniejsze od poprzedniego. Zauważyłam też z przyjemnością, że rasa łacińska posiada pewien wdzięk, nawet przy grach sportowych, czego nie można powiedzieć o saksońskiej. I patrząc na te łagodne, jaśniejące twarzyczki dziecięce, wróżę nam dobrą przyszłość.

Jedną ze wspaniałości Paryża jest bez wątpienia zachód słońca. Niebo przybiera wówczas barwy blado różowe, żółtawozielone i ma takie odcienie światła, jakich nigdzie nie spotkałam. Zaabsorbowany tłum nie spostrzega tego.

Wczoraj, siedząc obok „Kobiety w masce" Christophe'a, widziałam zdaje się kulminacyjny punkt piękności jesieni. Niebo całe zdawało się gorzeć złotem, kontury drzew, świeżo ogołoconych, miały jeszcze tony życia, chryzantemy i liście rozsypane po trawnikach dopełniały harmonii barw, tworząc dziwną jakąś żółtą symfonię.

Wola w basenie i powietrze stały nieruchomo. Odosobniony przenikliwy krzyk jakiegoś ptaka przemknął w przestrzeni i znowu zapanowała cisza, jakby chcąc dać wsłuchać się człowiekowi w ten głos natury, którego może nie usłyszymy nigdy więcej.

Słyszałam go... i sądzę, że ów miesiąc październik nie był dla mnie straconym.

Paryż.

Trzeci mój romans ma wyjść z druku piętnastego grudnia w jednym z większych Przeglądów. Od powrotu z Rocheilles zajęta jestem wygładzaniem go i widzę, że robota ta nie jest wcale zbyteczną — utwór staje się czystszym, jaśniejszym. Co prawda, mało czytelników potrafi jasność tę ocenić, ale cóż mi to szkodzi — czuję wewnętrzną potrzebę doprowadzenia pracy do doskonałości i to mi wystarcza. W ten tylko sposób mogę zadowolnić swoje literackie sumienie. Zresztą nie śpieszy mi się nigdy z oddawaniem do druku — nie sprawia mi to wielkiej radości. Ten mały, tani zeszyt, zapisany moją ręką, wydaje mi się bliższym, bardzo drogim, i nawet branie go do rąk sprawia mi wielką przyjemność, jak by był czemś żywem. Ale gdy widzę, jak go kopiują na maszynie, już mi się staje bardziej obcym, a kiedy wyjdzie z druku i rozejdzie się po świecie — z trudnością wierzę, że do mnie kiedyś należał. Podobny objaw zdarza się, prawdopodobnie, u matek, im bardziej dzieci rosną, tem mniej czują one, że z nich wyszły.

Odczytując swoją powieść, przypomniałam sobie pochodzenie jej. Będzie temu dwa lata, jeden ze starszych mych przyjaciół powiózł mnie swym powozem na spacer. Kiedyśmy przejeżdżali przez pola Elizejskie, zaczął mi opowiadać z zachwytem o powieści Zoli „Rzym“, którą niedawno przeczytał.

— Dlaczego pani nie napisze czegoś włosko-amerykańskiego? — zapytał po chwili. — Znając tak dobrze charakter tych dwóch ras, mogłaby pani zrobić coś bardzo dobrego.

— W każdym razie nie tak potężnego, jak Zola, i to mnie zniechęca — odrzekłam.

— Będzie to tylko coś innego. Nie trzeba być tak bardzo ambitną. Proszę sprobować.

Słowa te były powiedziane na skręcie w ulicę Castiglione —

tu narodził się mój romans. Autor, tak samo jak kobieta, może określić chwilę poczęcia.

Ten, który rzucił mi tę myśl do głowy, był Włochem, ożenionym z Amerykanką. Dlaczego przyszła mu ona do głowy? „Chi lo sa?" W każdym razie nie bez skutku.

Wolno i bez mej woli kiełkowała myśl ta w mej głowie i, pomimo odpychania z mej strony, powracała znowu.

W trzy miesiące potem w hotelu „Beau-Rivage d'Ouchy" zauważyłam młodego Rzymianina z matką. Ich stół znajdował się o kilka kroków od mego. Przyglądałam mu się bez żadnych literackich zamiarów, poprostu dlatego, że posiadał piękne, klasyczne rysy i wdzięk rasy łacińskiej. Wkrótce zauważyłam też, że był on zakochany w jednej bardzo ładnej Amerykance, mojej znajomej. Widziałam w jego oczach, w jego ruchliwej twarzy płomień namiętności i zazdrość. Z drugiej strony obserwowałam opór młodej kokietki, lubiącej podobać się, ale uczciwej kobiety.

Jak każdy objaw życia, zaciekawiło mnie to. I oto pod wpływem cudotwórczej suggestyi mój romans włosko-amerykański ożył nagle i zmiażdżył dotychczasowy mój upór.

Przez całe dwa lata byłam do niego zaprzęgnięta. Dziś z rezultatów tej pracy jestem dość zadowolona — czy publiczność będzie nią także — zobaczymy.

Starałam się przestudyować w sobie tworzenie się we mnie tej ostatniej pracy i przyszłam do przekonania, że niemożliwem jest stawiać tu jakieś formułki — objawy są prawdopodobnie inne u każdego autora.

Nie sądzę, ażeby mózg nasz był zapładniającym — przypuszczam, że jest on raczej aparatem do odbierania i rozprzestrzeniania.

Intuicyjnie mówimy zwykle: przychodzi mi myśl — przyszła mi myśl. Jest w tem wielka prawda — myśl spada, przychodzi z zewnątrz. Takie jest moje wrażenie.

Materyał twórczy do jakiegoś dzieła bywa nam zsyłany czasami w sposób nieprzewidziany, zadziwiający.

Potrzebne wzory ukazują się, to znów znikają, jakby dlatego, ażeby dać nam możność lepszego ich oddania.

Artyści, ludzie nauki i literaci mają te same właściwości —

mózgi ich odbierają wrażenia bez ich wiedzy i, według mnie, powieściopisarz pracuje zupełnie tak samo jak malarz. Zdaje mi się, że wyraźnie wyczuwam w mym mózgu trzy zdolności, spełniające funkcyę pendzla. Jedna z nich rysuje, druga bierze z wewnątrz i z zewnątrz kawałki życia, układa obrazy, sceny, tuszuje je i retuszuje, dopóki nie dójdą do wymarzonej doskonałości.

Zwykle uczuwam chęć wypowiedzenia ostatniego słowa i spełniwszy to, zawsze doznaję ściśnienia serca, jakby to cząstka mnie samej miała mnie opuścić.

Często też zadawałam sobie pytanie, po co są te wspaniałe pomniki, stawiane z takim wysiłkiem, po co te obrazy, dzieła sztuki, te utwory muzyczne i literackie? Wiele też razy, widząc na półkach księgarskich żółte i zielone okładki moich utworów, myślałam: po co to? po co?...

Szczególniej romanse wydawały mi się błahem dzieciństwem i nawet czułam się upokorzoną, że je napisałam.

Dziś rano, kiedy, wpatrzona w jeden punkt, popijałam wolno herbatę — pytanie to po raz tysiączny stanęło mi w mózgu. I oto nagle przyszła myśl, tak, „przyszła“ — że wszystkie owe dzieła sztuki, książki, romanse, są poprostu akumulatorami w znaczeniu najbardziej konkretnem — akumulatorami elektryczności psychicznej. Fala radosnego wzruszenia uderzyła mi do serca, zerwałam się z miejsca i zawołałam:

— To jest to! to jest to!

Akumulatory, przeznaczone do podtrzymywania życia, do odnawiania go; są to pochodnie do zapalania innych pochodni, które szerzą i przechowują ogień święty.

Jakaż siła bije od obrazów Michała Anioła, albo Raphaela! Nasz Louvre i wszystkie inne Louvres'y czyż nie są pełne akumulatorów? Wiele z nich przybyło zdaleka i nie zgromadził ich przypadek. Przeznaczeniem każdego jest oddziałać na pewien rodzaj mózgu, wywołać pewien efekt.

Ta koncepcya wydała mi się prawdziwą i cudowną. Upadłam drżąca na fotel, czując wyraźnie rozszerzenie się horyzontu mych myśli.

Przypomniałam sobie rozmowę, jaką miałam przedwczoraj

Bez mojej świadomości wpłynęła ona może na bieg moich myśli tego ranka.

Pewien adwokat, z pochodzenia Amerykanin, mieszkający oddawna w Paryżu, posiadający umysł bogaty, naturę ogromnie wrażliwą, mówił mi o przyjemności, jakiej doznaje, widząc, jak jego współrodacy okazują zachwyt na widok arcydzieł sztuki, lub jakichś pamiątek ze świata starożytnego. Opowiadał mi, jak kiedyś w Anglii pewien towarzysz jego podróży, gruboskórny „Yankes", który przez całą drogę tylko jadł i pił bez ustanku — wszedłszy do katedry w Winchester, stanął zdumiony, a po chwili, zbliżywszy się nagle do niego, powiedział:

— „I must shake hands with somebody" — czuję potrzebę uściśnienia komuś ręki.

Innym znów razem pewien Amerykanin przez całą drogę do Akropolis był bardzo wesół i opowiadał tłuste anegdotki. Pan M. K. czuł, że podróż jego towarzystwem tem jest zupełnie zepsuta. Lecz kiedy przybyli na szczyt świętego pagórka i stanęli przed pełnemi chwały ruinami, gadatliwy sąsiad spoważniał. Twarz jego nabrała wyrazu i po chwili wyszeptał zawstydzony:

— Zły jestem, że tak paplałem, mając to ujrzeć.

— „Zwycięztwo" Samothrace'a robi jeszcze silniejsze wrażenie — dodał pan M. K. — Pamiętam, zwiedzałem Louvres z jednym z mych ziomków z New-Yorku, człowiekiem nadzwyczaj zajętym i prozaicznym, jak tylko być może. Oglądał wszystko obojętnie, bez żadnego poczucia — byłem wściekły. Lecz kiedy stanęliśmy przed „tryumfującą wysłanką" towarzysz mój wyciągnął ramiona i westchnąwszy głęboko, zawołał:

— Oto, kto prawdziwie odpoczywa!

Tak, tak! akumulatorem harmonii jest katedra w Winchester, akumulatorem piękna Akropol, akumulatorem także... jest mój romans, który trzymam przed sobą, malutkim, słabym, ale zawsze jest nim.

I myślę sobie, czy wszystkie twory żyjące nie są także akumulatorami o większej lub mniejszej sile?

Czyż ci wszyscy nieboszczycy nawet, święci, bohaterowie, poeci, artyści, nie dostarczają ludzkości ogromnej dozy energii?

Zdaje mi się, że codziennie spada z mych oczu jakaś zasłona. Jestem jak ślepiec, który odzyskuje wzrok, ale mruży powieki, bo go zbyt jasne światło jeszcze razi...

Paryż.

Gwidon powrócił do Paryża. Zaraz w dniu przyjazdu złożył mi wizytę, zawiadamiając o swojem przybyciu przez przysłanie bukietu chryzantemów. Przyjęłam go nie w ogólnym salonie, lecz u siebie.

Wspaniała jego postać przekonała mnie o szczupłości mego pokoju. Byłam trochę zażenowana i dość niezręcznie podsunęłam mu fotel.

Po chwili nieuniknionego wzruszenia podziękowałam za kwiaty i zaczęłam rozpytywać się o stryja Grzegorza, o brata Roberta, i o „kanonierkę“ — takie miano nadawano ciotce Marcie.

— Pustka w Rocheilles, mateczko — odpowiedział mi, ściskając nerwowo poręcz krzesła. — Chciałem uciec, ale pozostałem dłużej, bo zdawało mi się, że tam bliżej mamy jestem. Byłoby jej przykro, gdyby dokoła jej wspomnienia wytworzyła się zupełna cisza. Wieczorami zbieraliśmy się zawsze w lewem skrzydle w tym salonie, gdzie ona przyjmowała zwykle. Powiesiłem jej portret obok portretu ojca.

Miano ojca, dane panu Hauterive, wywołało lekki rumieniec na mej twarzy.

— Dobrze zrobiłeś — bąknęłam.

— Tam będziemy zawsze schodzić się na rozmowę, będziemy grać w karty, zabawiać się muzyką. Może i ona będzie z nami...

— Szczęściem jest mieć pomiędzy umarłymi takich drogich, ukochanych.

— Nieprawdaż?

I głosem wzruszonym opowiadał mi dalej długo o matce. Mówił bez afektacyi, ale ze szczerem uczuciem. Wtajemniczał mnie w sprawy swej rodziny, jakby chcąc dać poznać, że jestem jej członkiem. Słuchałam poważnie.

Gwidon siedział naprzeciwko mnie, ale zwrócony w trzech czwartych. Światło z boku padało na jego żółtawą twarz i rudawe wąsy, i robiło bardziej jeszcze podobnym do pana Myères.

Byłam jakby oszołomiona, tak oszołomiona, że przestraszyłam się prawie, kiedy mi podał jakiś list.

— Oto, co znalazłem po twoim odjeździe, mateczko, przeczytaj. Od Koletty!

Przeczytałam. Uprzedzała w nim syna, że gdy jej zabraknie, ja zastąpię ją. Prosiła go, aby się zwracał do mnie w każdej ważniejszej okoliczności życia, w końcu dodała:

„Bądź dla niej synem. Sposobem delikatnym wyrwij ją z tej jej samotności. Życie „na gałęzi" nie może zadowolnić. W jej wieku czuje się potrzebę opieki i odpoczynku. Daj je jej. Niech twoje serce i twoje ramię będą zawsze na jej usługi. Liczę na ciebie, że uczynisz starość jej szczęśliwą".

Biedna Koletta! Chciała oddać mi syna, który powinien był być moim...

Jakież gorące pragnienie naprawienia winy wieje z tych słów.

— Widzisz, mateczko, ona oddała nas jedno drugiemu — powiedział młody człowiek, chowając list matki. — Co do mnie, adoptuję cię — dodał, uśmiechając się — i święcie będę posłuszny danym mi rozkazom.

— Szczęście twoje, że jestem starą, a przytem bardzo zajętą i lubiącą niezależność — powiedziałam, siląc się opanować wzruszenie.

Gwido wstał.

— Wiem, wiem — powiedział — musisz mi jednak zrobić małe miejsce w swojem życiu. Przyrzekam szanować twoją pracę, ale nie niezależność. I oto zaczynam od prośby o pozwolenie przyjścia jutro na obiad do ciebie. Czy mogę?

Śmieszną jest natura ludzka! Chciałam sama to zaproponować, teraz jednak, słysząc jego prośbę, odparłam niechętnie:

— Jutro... jutro... tak, jestem wolna. Przyjdź, przyjdź — dodałam, zawstydzona tem nizkiem uczuciem — zrobisz mi wielką przyjemność. Obiad mamy o pół do ósmej.

Objął mnie ręką za szyję.

— Dziękuję i... kochaj mnie trochę, mateczko chrzestna — powiedział łagodnie. — Ja ciebie kocham bardzo, bardzo.

Zlodowaciałam. Mogłam przysiądz, że słowa te wyszły z ust pana Myères... a ja przecież nie chciałam, żeby on mnie kochał...

Gwido jadł obiad ze mną!

Zjawienie się jego na sali zrobiło wrażenie. Cztery Amerykanki, moje znajome, spojrzały na mnie pytająco. Ale co było najśmieszniejszem, najbardziej nie do uwierzenia, to, że dobra mina Gwidona połechtała moją próżność. A jednak wiadomo to Bogu, że nie jestem przy nim bez potrzeby.

Chłopak usługujący postawił przedemną dwa talerze — musiałam wejść w rolę gospodyni i nalać swemu gościowi. Zrobiłam to z dziwnie przyjemnem uczuciem. Chwilami tylko przychodziła mi na myśl nienaturalność sytuacyi i wtedy coś ściskało mnie za gardło.

Młody człowiek opowiadał mi o swych zamiarach na przyszłość, wtajemniczał w swe życie.

Zamieszkiwał parter we własnym domu przy ulicy Agnesseau, który był częścią dziedzictwa po jego matce chrzestnej. Miał zamiar przez całą zimę uczęszczać na wykłady w Grignon, dokąd będzie jeździł samochodem, na którym ma też nadzieję odbyć ze mną wycieczkę po Francyi.

Wrok roztargniony, jakim patrzał na kobiety, wcale ponętne, znajdujące się na sali, przekonał mnie, że jest mocno zakochany.

— Przyjrzyj się, jak pełną blasków jest piękność Amerykanek — powiedziałam, uśmiechając się.

— Tak, ale nic nie rozgrzewa — brrr! otrząsł się żartobliwie.— Jestto dobra ilustracya zasady: im więcej światła, tem mniej ciepła; im więcej ciepła, tem mniej światła.

— A ty wolisz ciepło?

— Lubię zręczne połączenie obojga.

— To niepodobna.

— Owszem, to się daje spotykać — zawołał z nagłym blaskiem w oczach i uśmiechem dumy.

Byłam zdziwiona. Ten obiad, którego się tak obawiałam, zrobił mi wielką przyjemność. Jednakże pod koniec czułam się zdenerwowaną. Uczucia, które obudza we mnie ten chłopak, są dziwną mieszaniną czułości i nienawiści, przyciągania i odpychania. Obecność jego po jakimś czasie ciąży mi, a gdy się oddala, czuję,

że serce moje idzie za nim. Chciałabym go módz szczerze nienawidzieć, albo szlachetnie kochać.

Paryż.

Bierze mnie ochota podziękować natychmiast sir Randolphe'owi za wizytę pani i panny Lusson — sprawiły mi prawdziwą przyjemność. W ogóle Francuzi, a zwłaszcza Francuzki, nie lubią bywać w salonach hotelowych. I dzisiejsi nasi goście nie byli zachwyceni otoczeniem, w jakiem się znaleźli. Ale nić sympatyi zawiązała się pomiędzy nami od razu. Nie było to zresztą trudnem, ponieważ dzięki naszemu wspólnemu przyjacielowi. lody zostały prędko przełamane.

Pani Lusson jest to kobieta pięćdziesięcioletnia, szpakowata blondynka, o przyjemnych rysach, z wyrazem twarzy wesołym i pociągającym.

Córka — średniego wzrostu, przystojna, bardzo elegancka, ubrana w suknię zrobioną po krawiecku i w czarne bolero astrachańskie, od razu przykuła do siebie moją uwagę. Patrząc na nią, przypomniałam sobie powiedzenie Gwidona: „zręczne połączenie światła i ciepła" — te dwie siły zdawały się jaśnieć na jej twarzy.

Światło bije od jej jasnych, obfitych włosów, od szaro-niebieskich oczu i białej cery, ciepło mieści się w prześlicznie wykrojonych ustach. Ale najwięcej siły, jeżeli się nie mylę, wyrażają: szerokie czoło, proste brwi i ładny, stanowczy nosek.

Zaraz po pierwszem przywitaniu powiedziała do mnie z młodzieńczem wzruszeniem:

— I to pani jest Janem Noël!

— Widzi pani, to ja, stara kobieta. Musi pani być bardzo rozczarowaną.

— E, pani mi nie uwierzy, a ja jestem zachwycona. Z panią przynajmniej będę mogła rozmawiać i dysputować, czego mi robić nie pozwalają z autorami płci męzkiej — dodała uśmiechając się.

Rozmowa rozwinęła się.

Mówiłyśmy o Simley Hall, o Anglii, o Turenii. Kazałam podać herbatę, przyczem zauważyłam z zadowoleniem, że moje towarzyszki umiały ją pić.

Podczas rozmowy u jednej i u drugiej wyczułam nerw kosmopolityczny, co zbliżyło nas jeszcze bardziej.

Pan Lusson bawi jeszcze na wsi.

Przyjęłam zaproszenie na obiad w przyszłym tygodniu pod warunkiem, że będzie on „w swojem kółku".

Rozstałyśmy się z szczerem pragnieniem zobaczenia się jak najprędzej.

Paryż.

Trzeci mój romans ukazał się dzisiaj w „Revue de France".

Otrzymałam dwa telegramy z powinszowaniem — jeden od pana Randolphe'a, drugi od stryja Grzegorza. Dwaj przyjaciele, mieszkający w tym samym hotelu co ja, przysłali mi orchideje, panie Lusson chryzantemy, a Gwidon... o! on róże pąsowe naturalnie! Chciałabym wiedzieć, kto kierował jego wyborem.

Róże pąsowe!

To nie tylko moje ulubione kwiaty, ale także i pana Myères, przepadaliśmy za niemi oboje. Znajdowały się one zawsze na stole w małym saloniku, dzielącym... łączącym nasze sypialnie. Piętnaście lat temu wygnałam je od siebie i, jeżeli kiedy zdarzyło mi się otrzymać je — odrzucałam bez zastanowienia. Przez długi czas widok ich sprawiał mi przykrość. Dziś rano, kiedy po rozwinięciu opakowania, ujrzałam tą jaskrawą wiązankę, ręce moje zaczęły drżeć nerwowo.

Przyglądałam się kwiatom z wzrastającem wzruszeniem, potem bojaźliwie, jakby zawstydzona, poczęłam wciągać świeży ich aromat, myśl wyrzucenia nie przyszła mi do głowy. Zapach tych róż odurzył mi głowę, przeniknął serce, zawiódł na próg utraconego raju i wywołał rumieniec na moją starą twarz...

Tak! wiele może zrobić jeden kwiat!

Stoją ciągle tuż przy mnie, strzegę ich jak czegoś świętego, bo zdaje mi się, że jest to podarunek mego męża.

I czyż nim nie jest?

Ażeby zrozumieć życie, trzeba mieć odwagę spojrzeć mu prosto w oczy, zapomnieć o sobie, to trudno!

Jan Noël nie może się dość nazachwycać faktem, że kwiaty

miłości i wspomnienia otworzyły drzwi do serca zdradzonej kobiety, ale pani Myères cierpi jeszcze bardzo.

Pomimo bólu serdecznego niejednokrotnie już żałowałam, że mąż mój nie może czytać mych utworów. Wiele bym dała za to, gdyby chociaż niektóre kartki widziały jego oczy.

Dziś starałam się odtworzyć sobie wyraz jego twarzy, gdyby ujrzał tę drugą mnie, której nie znał, lecz do powstania której przyczynił się wiele. Prawie wyraźnie słyszę jego szept:

— Antosia... Jan Noël...

Potem zdało mi się, że naprawdę wziął moją rękę i podniósł ją do ust, jak to zwykł czynić na znak przyzwolenia.

Krew uderzyła mi do głowy...

Doprawdy, te kwiaty tak mnie hipnotyzują — zawsze mówiłam, że są niebezpieczne...

Kiedyś, w czasie drukowania mojej pierwszej powieści, byłam zupełnie obojętną na jej powodzenie, lub niepowodzenie. Dziś — jest inaczej, jestem bardzo wrażliwa, a to ze względu na mych nowych przyjaciół, a szczególniej na Gwidona.

Tak, niepowodzenie przed synem p. Myères upokarzałoby mnie bardzo. Pragnę, ażeby widział mnie u szczytu sławy!... Wiem, że jest to nizka próżność, cóż robić, nie mogę wznieść się ponad słabości ogólno ludzkie, a zwłaszcza kobiece. Posiadam je wszystkie. Może natura potrafi z czasem utworzyć z nich siłę.

Kazałam posyłać Revue de France sir Williamowi — po francusku czyta on lepiej, niż mówi. Jestem szczęśliwa, myśląc, że mnie zupełnie zrozumie. Przeczytałam umyślnie raz jeszcze pierwszą część ostatniej powieści, ażeby zobaczyć, czy ona go zajmie i sądzę, że tak.

Wiem, które miejsca rozniecą jego wenę satyryczną, co rozbudzi w nim chęć dyskutowania ze mną, co pod wpływem wzruszenia wprawi w ruch jego delikatne nozdrza.

Dziś wieczorem jadłam obiad w towarzystwie pewnej pary moich młodych przyjaciół, którzy co roku spędzają kilka miesięcy w Castiglione.

Mąż — urodzony w Antylach, żona — Angielka. Znamy

się już od dawna. Byłam dwa razy u nich w Anglii i tam nawet zaczęłam pisać mój pierwszy romans.

Kończę zwykle wcześniej swoje śniadanie, lub obiad, i przysiadam się do ich stołu.

Najczęściej mówimy o wypadkach dnia.

Oboje interesują się bardzo życiem, razem więc śledzimy jego bieg — jest to ogromna przyjemność. Tak mało ludzi umie wyjść po za ciasną sferę swoich interesów.

Wieczorami grywamy w „bridge".

Sądzę, że twórca zesłał ich dla dodania mi siły do wytrwania na trudnem stanowisku mieszkanki „na gałęzi", bo nie mając ich, musiałabym szukać rozrywek światowych, a to odciągałoby mnie od pracy.

Ostatni mój utwór zainteresował ich bardzo i postanowili pojawienie się jego „oblać szampanem" — to uniemożliwiło mi zaproszenie Gwidona, czem, jak uważałam, był widocznie zmartwiony.

— Mateczko! — powiedział mi — w pewnych wypadkach krewni powinni mieć pierwszeństwo przed obcymi.

— Ci obcy byli moimi krewnymi w ciągu piętnastu lat i dzisiaj nie mogę ich lekceważyć.

— Ja to rozumiem, ale postaw mnie przynajmniej o jeden stopień wyżej po nad nimi.

I biorąc mnie za rękę, dodał:

— Powiedz, czy obiecujesz?

— Nie — odrzekłam szorstko — jestem już za stara na dawanie jakichś obietnic.

Widziałam, że odpowiedź moja była mu przykrą, i to sprawiło mi złośliwą przyjemność. Byłam posłuszna podszeptom nizkiego uczucia zemsty,

W synu chciałam zranić ojca.

Zrozumiawszy to, rumienię się, lecz trzeba być szczerą, chcąc robić autopsychologię.

Paryż.

Gwidon odpłacił mi się.

Przyjechał dziś wcześnie popołudniu małym powozikiem i z całą stanowczością zabrał mnie na przejażdżkę do lasku.

Była pogodna niedziela grudniowa. Powietrze czyste, chłodne, ale nie ostre. Stosownie do mej woli jechaliśmy najbardziej pustemi ulicami. Niebieska mgła, czarne kontury drzew i ciemna zieloność mchu, pokrywającego ich korzenie, były oddane z takim artyzmem, na jaki tylko natura zdobyć się potrafi. Cisza i spokój zimy udzieliły się i mnie — przestałam mówić i słyszeć i wpadłam w jakiś stan błogości. Nie wiedziałam ani skąd, ani dokąd jedziemy. Było to zupełne zapomnienie, trwające nie wiem ile czasu.

Widok jeziora oprzytomnił mnie.

— Cóż za cudowna przejażdżka — powiedziałam do swego towarzysza.

I z wrodzoną mi łatwością przechodzenia od jednego stanu duszy do drugiego, zaczęłam rozmawiać wesoło i przyglądać się tłumom niedzielnym.

O pół do czwartej opuściliśmy lasek i, minąwszy pola Elizejskie, wjechaliśmy na ulicę d'Antin.

— Dokąd jedziemy? — spytałam zdziwiona.

— Na ulicę d'Agnesseau 60 — odrzekł Gwidon z twarzą rozpromienioną młodzieńczą złośliwością.

— Do ciebie?

— Tak, do mnie na herbatę.

— Nie, nie! — wykrzyknęłam oburzona — pojedziemy na herbatę do Ritza.

— Nie, mateczko, jesteś moim więźniem. Odpowiednie rozkazy są już wydane. Przysięgnę, że nigdy nie piłaś herbaty w mieszkaniu kawalerskiem.

— Przynajmniej nie przypominam sobie tego — odrzekłam nawpół śmiejąc się, nawpół zagniewana.

— Właśnie tego brak twoim wspomnieniom. Powieściopisarze lubią nowe wrażenia — przygotowałem ci jedno z nich. Zresztą wszystkie kobiety mają ciekawość choć raz w życiu oglądać kawalerskie mieszkanie. Nawet matki lubią odwiedzać kąty, gdzie ich synowie pędzą swój żywot dorosłych ludzi.

— Któż ci o tem powiedział?

— Nikt.

— A więc winszuję olbrzymiej intuicyi.

— Doprawdy. Mama, przyjeżdżając do Paryża, stawała zwykle w hotelu, a ja od czasu do czasu urządzałem dla niej herbatkę lub śniadanie u siebie i to było jej największem świętem. Przychodziła zwykle trochę wzruszona, z rękami, pełnemi kwiatów, a przed odejściem robiła przegląd mego gospodarstwa — otwierała szafy, komody, żeby się przekonać, czy mi czego nie brak. Dotykała się moich poduszek, niby dla przekonania się, czy są dość miękkie, a w gruncie rzeczy, chciała je pogłaskać.

Ze zdziwieniem patrzyłam na tego przedwcześnie dojrzałego psychologa.

— Więc nasze serca kobiece nie mają już wcale tajemnic dla ciebie — powiedziałam z ironią.

— Matka moja była typową kobietą, a ja jej Benjaminkiem. Mówiąc między nami, lubiła mnie zawsze więcej, niż brata.

— Ach! — jęknęłam mimowolnie i gardło mi się ścisnęło.

Młody człowiek wziął mnie za rękę.

— A ponieważ ciebie, mateczko, zostawiła ona na swoje miejsce, więc i ty musisz obejrzeć moją siedzibę. Zresztą założę się, że umierasz z pragnienia w tym kierunku.

Rumieniec gniewu oblał mi twarz.

— Jestem waryat! — zawołał Gwido — Ale ty, chwała Bogu, jesteś kobietą! — dodał, podnosząc moją rękę do ust.

W tej chwili powóz zatrzymał się i musieliśmy wysiąść.

Ogarnęło mnie dziwne wzruszenie.

Z przyjemnością poznałam służącego, który nam drzwi otworzył — był to Ludwik, brat kucharki z Rocheilles. Zjawienie się moje rozjaśniło radością twarz poczciwego chłopca. Naturalnie pan uprzedził go o mojej wizycie.

Gwido wprowadził mnie do gabinetu.

Ogromny portret Koletty pendzla C..... wypełniał w nim całą ścianę.

Podeszłam do niego.

— Który lepszy? — zapytał Gwido — ten, czy tamten w Rocheilles?

Pytanie to sprawiło mi przykrość.

Tamten — to kobieta szczęśliwa, jaśniejąca, nieugięta, to

„czeczotka", którąśmy tak wszyscy kochali. Ten drugi, zrobiony pięć lat temu, inne sprawiał wrażenie. Wesołe niegdyś jej oczy nabrały tu wyrazu smutku, śmiejące się usta — surowości. W sposobie trzymania głowy i w całej postawie była jakaś siła, obca dawnej pani Hauterive.

— Wolę ten — powiedziałam w końcu, starając się sądzić tylko z punktu artystycznego.

— Ja także. Na tamtym jest ona młodą i podobną, ale wyraz twarzy jakiś mi nieznany, obcy.

Nie wiedział o tem, jak wielką mówił prawdę — przecież był synem tej kobiety, a nie tamtej. Przesławszy ręką pocałunek Kollecie, zbliżyłam się do szklanych drzwi.

Przy świetle zapadającego dnia ujrzałam ganek o kilku stopniach, a w głębi drzewa i krzaki.

— Jakto! masz ogród i nigdy mi o tem nie powiedziałeś? Tego to ci zazdroszczę.

— Na wiosnę jest prześliczny — zobaczysz mateczko. Mam dwie sykomory, pełne gniazd ptasich, mam pełno goździków, lilij, fiołków i pierwiosnków.

Gwido delikatnie zdjął mi futro i, podając „Revue de France", powiedział:

— Wczoraj po powrocie z Grignon, jadłem obiad u siebie i cały wieczór obcowałem z tobą mateczko. Taki był słodki wieczór! Cieszę się, że mama to czytała — dodał ze wzruszeniem. — To nowy tryumf dla Jana Noël!

— Zobaczymy, czy jesteś dobrym prorokiem — odrzekłam, ciesząc się w duszy z tego, co mówił.

Jakby na złość memu wewnętrznemu uporowi, pokój, do którego mnie wprowadzono, podobał mi się od pierwszego rzutu oka. Połowę jego zajmowały dwie ogromne biblioteki. Na ścianach wisiały stare ryciny, akwaforty i broń. Na kominku stało starożytne popiersie kobiety i bukiet chryzantemów.

Światło elektryczne i płomień jarzącego się ogniska wywoływały połysk miedzianych ozdób na meblach w stylu „Empire" i łagodziły ich linie.

W jednym kącie na małym stoliku przybory do herbaty, obok

filiżanki z cienkiej porcelany. Czerwony bukiet z róż oznaczał moje miejsce. Widok ich podrażnił mnie znowu.

Istny fatalizm!

Te róże, to jakby jakieś bolesne, fałszywe nuty.

Gwido spostrzegł niezadowolenie na mej twarzy.

— Myślę, mateczko, że lubisz róże czerwone? — zapytał — ja za niemi przepadam.

— Naturalnie! — odrzekłam z goryczą.

— Matka moja lubiła je także, bo mówiła, że są one symbolem poświęcenia.

— A ty je lubisz dlatego, że są symbolem miłości.

Po twarzy młodzieńca przemknął rumieniec. Rozśmiał się śmiechem szczęśliwego.

— Tak, przyznaję. Ale mam im do zarzucenia jednę rzecz, brzydko umierają. Czyś zauważyła, mateczko, że przed śmiercią płatki kwiatu czernieją?

— Rzeczywiście wydaje się, jakby były spalone. Prawdziwy obraz umarłej namiętności.

— Tak, i to mnie smuci, może to śmieszne, ale doprawdy smuci.

Służący wniósł samowar, postawił go na stole, potem zapuścił rolety w oknach i poprawił ogień na kominku.

Mój gospodarz usadził mnie wygodnie, a sam wziął się do przyrządzania herbaty z zręcznością i elegancyą, której mogłyby mu pozazdrościć kobiety.

Oglądałam się dokoła z uśmiechem.

— Co cię bawi, mateczko? — zapytał Gwidon.

— Widok twojej biblioteki przypomniał mi odpowiedź pewnej Amerykanki, daną mi kilka dni temu. Gniewałam się na nią za to, że była na herbacie, co prawda z przyjaciółką, u hrabiego M.

— „Oh! there were lots of books about, that made it all right“ — o! było tam tyle książek naokoło, że wszystko było przyzwoicie — odrzekła mi z prostotą.

— To dobre! — zawołał Gwidon, śmiejąc się serdecznie.

— Co za subtelność instynktu, który obudził w tej młodej kobiecie uczucie, że te książki są jakby niemymi świadkami, jakby

pewnym rodzajem opieki. I u ciebie pokój ten powinien być najpoważniejszym, najbardziej szanowanym, Gwidonie.

— I jest nim zawsze, mateczko, bądź tego pewną — odparł młody człowiek, spoglądając na portret matki.

Żaden zgiełk nie dolatywał do nas z zewnątrz. Ta iście prowincyonalna cisza dodawała uroku naszemu poufałemu „five o'clock-owi", a podobieństwo Gwidona działało na moje nerwy coraz bardziej. Nie występowało ono nigdy z taką siłą, jak w tej chwili, kiedy po raz pierwszy widziałam go w otoczeniu domowem „u siebie".

Boże! cóż to za ogromne podobieństwo!

Po herbacie prosiłam go, żeby zapalił papierosa i przekonałam się, że i przy tem ruchy jego były zupełnie takie same. Miałam wrażenie, że to pan Myères siedzi przedemną.

— To dziwne! — wykrzyknęłam bezwiednie, jakby budząc się z swych halucynacyj.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony Gwidon.

— Ta herbata z tobą — odrzekłam, śmiejąc się nerwowo.

— Zręcznie się wziąłem do rzeczy, co? Przez cały tydzień marzyłem o tym figlu, który ci miałem spłatać, mateczko. O! bo to tak przyjemnie być w twojem towarzystwie, tak mi dobrze z tobą!

— Bo i dlaczegoż miałoby być inaczej? nie należę wcale do grymaśnych.

— Tu nie chodzi bynajmniej o charakter lub usposobienie, lecz o jakieś pokrewieństwo duchowe. Ty, mateczko, masz w swej naturze pierwiastki uszczęśliwiające innych, które i mnie robią szczęśliwym. Kiedyś doświadczałem tego także w towarzystwie mojej matki...

— No, i przy kimś jeszcze zapewne?

Twarz młodego człowieka rozjaśniła się.

— Tak, i przy kimś jeszcze... — powtórzył, przysłaniając powiekami oczy, pełne miłości.

— Bezwątpienia — powiedziałam — każda istota ludzka wytwarza właściwą sobie atmosferę. Spotyka się nieraz kobiety ładne, młode, lecz nie posiadające żadnej siły magnetycznej. Pomimo wysiłków z ich strony otacza je zawsze jakaś pustka. Inne znów przyciągają ku sobie i każą się kochać. Doktor mój dziwi się, że

wobec tak wielkiej różnorodności „fluidów“ i wiecznego ich ścierania się, tak mało jest na świecie złych małżeństw.

— Doktor ów powinienby znać przyczynę tych niezgodności usposobień, które stają się powodem tylu nieszczęść małżeńskich. A według ciebie, mateczko, jaka miłość jest prawdziwszą i trwalszą — czy ta, która rodzi się odrazu, przy pierwszem spotkaniu, czy taka, która powstaje i kiełkuje powoli?

— Zadałeś mi trudne pytanie. Sądzę jednak, że dla momentalnego, jak uderzenie piorunu, obudzenia się uczucia, potrzeba ściślejszego powinowactwa ducha. I przypuszczam, że dwie istoty, lgnące do siebie przy pierwszem spotkaniu, musiały już kiedyś dawniej być z sobą w jakimś blizkim związku.

— Tak, tak... — szepnął Gwido. — I w tem powtórnem posiadaniu, w tem połączeniu się natychmiastowem tkwi jakaś nieprzezwyciężona niezwalczona niczem siła. Miłość jest rzeczą cudowną! prawda, mateczko? — zakończył Gwidon z jakąś młodzieńczą dumą, odrzucając w tył głowę.

— Jest ona cudem cudów — odrzekłam poważnie.

Wstałam i podeszłam do kominka.

— Płomienie ognia tworzą także piękno — powiedziałam, ażeby przerwać milczenie, jakie zapanowało pomiędzy nami.

— A to odczucie swojego „u siebie“ czyż nie jest przyjemnem? — zapytał Gwidon. — Ty, mateczko, nie znasz tego, mieszkając w hotelu.

— Już się odzwyczaiłam.

— Ale nie gniewałabyś się, gdyby ono znowu powróciło? Wiesz, przyszła mi jedna dobra myśl do głowy.

— Jaka?

— Kontrakt mojego lokatora kończy się w przyszłym roku, mogłabyś wziąć ten apartament.

— Nie, nie. Tylko to mieszkanie na dole z ogrodem mogłoby być dla mnie pokusą. Jak się ożenisz, to mi je odstąpisz — dodałam, chcąc w jakikolwiek sposób zbadać grunt.

— Jak się ożenię!... Ach! droga mateczko! gdybyś wiedziała!... Nie! nigdy!

— Czy boisz się małżeństwa?

— N e małżeństwa, tylko panien.

— No, to nie tak straszne.

— Ludzie, należący do rasy łacińskiej, wstępując w związki małżeńskie, ryzykują daleko więcej, aniżeli ci ze Wschodu.

— Przesadzasz.

— Wcale nie. Nasze narzeczone są zwykle obce nam zupełnie, nie znamy ich wcale, a jeżeli trafimy na kobietę zepsutą, nie posiadamy haremu, ażeby ją zamknąć. Znam pokaźną liczbę mężatek, które są dla mnie rodzajem ostrzegających straszydeł. O życiu mają one pojęcie złe, lub spaczone. Macierzyństwa nie znoszą, wsi nie lubią, natomiast dobrze się czują w atmosferze dusznej, niezdrowej. Nie czytają nic wcale, a pokarmem ich duchowym są tłuste anekdotki, które bywają niezbędną przyprawą dzisiejszych obiadów i śniadań. A kiedy przez ciągłe obcowanie z rzeczami nizkiemi moralnie uczują w sobie przesyt, wtedy zstępują same na ślizką drogę i biorą kochanka, ażeby stworzyć sobie nowy interes w życiu.

— Tak się dzieje w sferach arystokracyi mięszanej, w której ty się obracasz. Ale wśród starego mieszczaństwa i prawdziwej arystokracyi mamy jeszcze wiele kobiet zupełnie czystych.

— Wiem o tem. Ale, niestety, nie znają one zupełnie prądów życia nowoczesnego i nie przygotowują do nich swoich dzieci. Tego lata na pikniku w Bagnoles de l'Orne, któryśmy urządzali w Grand hotelu, tańczyłam i rozmawiałam wiele z siostrą mego przyjaciela d'Urville, panienką ładną, i jak sądzę, wychowaną w najlepszych zasadach. Rodzice jej są posiadaczami włości w tamtej okolicy. Polowanie zatrzymuje ich tam aż do grudnia. Opowiadała mi, jak się nudzą obie z siostrą, siedząc tak długo na wsi, i że dla rozrywki zajmują się pieczeniem ciastek.

— Pieką ciasta! ależ to cudowny archaizm. W ośmnastym wieku zajmowały się tem mniszki po klasztorach. A pamiętasz? panna Charolais zajęta była właśnie tą pracą w swym zamku, kiedy przyniesiono jej kochanka, poszarpanego przez jelenie. A więc są jeszcze we Francyi panienki, zajmujące się pieczeniem ciastek!

— Zaręczam ci, mateczko, że im się one nie udają.

— Z twemi pojęciami jakaś Anglo-Saksonka byłaby dla ciebie stosowniejszą.

— O, nie! one mogą być tylko dobrymi towarzyszami. Chciałbym mieć kobietę, którąby potrafiła być żoną, kochanką i przyjaciółką.

— Tylko tyle!

— I jestem pewny, że nie znajdę takiej pomiędzy temi lalkami, wysuwanemi naprzód za pociśnięciem sprężynki, ukrytej pod kolanem.

— Gwidonie! stajesz się nieprzyzwoitym. Ciekawa jestem, skąd nabrałeś tych wszystkich wiadomości?

— Przedewszystkiem z wystaw sklepowych, a potem z ruchów tych młodych dziewic, o których mowa. Zamieniają się one wtedy w jedno wielkie błaganie i to odbiera im wszelki wdzięk, wszelką swobodę i robi je podobnemi do krabów.

— Zdaje mi się, że natura jest w trakcie przerobienia budowy kobiety — powiedziałam.

— Sądzę jednak, że zmian swych nie posunie aż do macierzyństwa — odparł śmiejąc się Gwidon.

— E, widzę z tej całej rozmowy, że stan twego serca nie jest wcale odpowiednim do wchodzenia w związki małżeńskie. Chyba jak już złożysz dostateczną ofiarę na ołtarzu fałszywych bogiń, może wtedy o tem pomyślisz i kto wie, czy jeszcze przed śmiercią nie wejdę w posiadanie tego mieszkania i tego ogródka.

— Jeżeli bogini, którą ubóstwiam, jest fałszywą — wtedy, mateczko, przestaję wierzyć w prawdę na świecie.

Po tych słowach, świadczących aż nadto wymownie o głębokiem uczuciu młodzieńca, postanowiłam pożegnać go.

Gwidon chciał jeszcze zapoznać mnie z całem swem mieszkaniem.

We wszystkich pokojach, tak samo jak w bibliotece, meble były w stylu „Empire“. Otrzymał je od swej matki chrzestnej. Jakiś obraz pendzla Roybeta, dwa krajobrazy Harpignies'go, parę posążków Tanagra, pianino i gustowne wazony, robiły mieszkanie ciepłem i sympatycznem. Pokój sypialny urządzony był z iście męzką elegancyą. Wogóle całe to mieszkanie kawalerskie zrobiło na mnie

wrażenie moralnej i fizycznej czystości. Żadnej pozy. I nie wiem, czy było to dziełem wyobraźni, ale wyraźnie czułam w niem czyjąś obecność. Czyżby owej fałszywej, czy też prawdziwej bogini?...

Czułam się jakoś dziwnie nieswojo. Wzrok mój przebiegał z przedmiotu na przedmiot, nie zatrzymując się na niczem dłużej. Przechodziłam pokoje jeden za drugim i dopiero znalazłszy się na dworze, owiana chłodnem powietrzem, poczułam, jakby mi ciężar jakiś spadł z piersi.

Gwidon odprowadził mnie do hotelu.

Powinnabym była zatrzymać go na obiad, ale nie mogłam. Czułam się wzburzoną, podrażnioną, jak zwykle po dłuższem z nim obcowaniu.

Obecnie ogarnia mnie pragnienie poznania tej kobiety, którą on tak bardzo ukochał. Za wiele ma poczucia męzkiego honoru, ażeby się sam z czemś zwierzył. Jest zapewne brunetką o cerze matowej, bo blado-żółta barwa przeważa w mieszkaniu przy ulicy d'Agnesseau. Jeżeli mam spełnić misyę, włożoną na mnie przez Kolettę — Opatrzność mi w tem dopomoże.

Paryż, Nowy Rok.

Pomimowoli zwracamy się zwykle do tych punktów zwrotnych, którymi znaczona jest droga naszego życia.

Z podziwem widzę, jak świetnie przeniosłam ciosy wszystkich wypadków ostatnich czterech lat.

Zaczynając pisać ten dziennik, miałam zamiar notować w nim tylko swoje wrażenia jako spektatorki. Sądziłam, że dusza moja przeżyła już wszystko, że weszłam w okres absolutnego pokoju. Tymczasem nie. Musiałam poznać jeszcze innego rodzaju walkę. Prosta i łatwa moja droga skręciła nagle w bok, stała się twardą, nierówną, usianą złymi krokami, i oto znowu jestem wytrącona ze swego spokoju. Lecz będę szczerą — nie żałuję tego wcale. Lubię słyszeć silniejsze bicie swego serca, lubię czuć żywsze krążenie krwi w żyłach. W tej walce z ojcem przez syna znajduję jakąś gorzką rozkosz. To okropne podobieństwo Gwidona Hauterive spowodowało drżenie jakiejś struny, o której myślałam, że

dawno już pękła, i dzisiaj słucham jej dźwięku nie bez przyjemności.

I rzecz dziwna, ten powieściopisarz, który tkwi we mnie, śledzi z namiętnością wszystkie fazy dramatu mojej duszy.

Krytykowano kiedyś ostro pewną aktorkę, która przeprowadzała studya, patrząc w twarz umierającego kochanka.

Muszę przyznać, że bez względu na cierpienie pani Myères, Jan Noël byłby zdolny do chwytania takich wrażeń, do wsłuchiwania się w pełne wzruszenia nuty jej głosu, i sądzę, że im bardziej rozdzierającą będzie sytuacya, tem silniej wystąpi jego zainteresowanie się.

Obiecałam sobie, bez względu na przyrost fortuny, nic nie zmieniać w swojem życiu, tymczasem obecnie poczułam się zmuszoną rozszerzyć nieco jego ramy — nie mogę przyjmować Gwidona w jednym pokoju. Kiedy wchodził do niego, zdawało się, że pochłaniał go całkowicie i mnie razem z nim. Zanadto blizko czułam obecność jego, a raczej pana Myères, i za każdym razem miałam chęć wyrzucenia go.

Donajęłam salon, przytykający do mego pokoju, i weszłam w posiadanie go w dzień Bożego Narodzenia. Jest ładnie umeblowany i robi sympatyczne wrażenie. Przeniosłam tam nawet wszystkie swoje przybory do pisania, lecz ku wielkiemu zdziwieniu przekonałam się, że pracować tam nie mogę, i musiałam powrócić do swego dawnego, starego stołu.

Od czasu do czasu wstaję i przechadzam się po tych kilku metrach kwadratowych, które do mnie należą. Dobrze jest mieć trochę więcej przestrzeni.

Przestrzeń! przestrzeń bezgraniczna!.. To jest moje wyobrażenie raju.

Gospodarz mój, jak tego wymaga zwyczaj angielski, obdarzył wszystkich lokatorów gałązkami jemioły i ostrokrzewem — przybrałam niemi ściany obu swych pokoi. Prócz tego otrzymałam od stryja Grzegorza wspaniały kosz czarnych winogron, a od przyjaciół róże, lilje i inne kwiaty. Wodząc teraz po tem wszystkiem oczami, myślę sobie, że wiele jest kobiet na świecie daleko bardziej opuszczonych niż ja.

Gwido sprowadził mi z Anglii składany stolik do „bridge". Jest to prawdziwe cacko z drzewa hebanowego, zamknięte w ozdobnem pudełku. Po powrocie z Rocheilles, dokąd pojechał na święta, z pewnością zechce grywać ze mną. Nie będę mogła mu odmówić i pani Myères siędzie do partyjki z synem swego męża i swojej kuzynki... Będzie to obraz, sprawiający wiele uciechy bogom homerycznym.

Dziwna jakaś siła mieści się w owej ironii, jaką życie wytwarza często jednostkom i całym narodom.

Cieszę się jak dziecko z odbierania kart z powinszowaniem w dzień Nowego Roku. Otrzymuję je ze wszystkich stron naszego globu.

Amerykanie i Anglicy zachowują zwykle najwierniejszą pamięć. Pomiędzy mymi znajomymi mam takich, których nie widziałam od dwunastu, lub czternastu lat, i ci jednak nie zapominają nigdy o przysłaniu mi swoich „Merry Christmas", albo „Happy New Year".

Pani Randolphe przysłała mi fotografię swego męża, zdjętą z nieodstępnym jego towarzyszem Freddym. Z oczami pełnemi łez schowałam ją do biurka. Zdaje mi się, że byłoby profanacyą wystawiać ją na pokaz publiczny.

Otrzymałam też prześliczne karty od Franciszka i Lily. Kochane maleństwa! Wyobrażam sobie, z jaką przyjemnością wybierały je. Minęły się one z moją posyłką zabawek, pomiędzy któremi była też nieodzowna lalka paryska.

Kupowanie tej lalki sprawiło mi wiele trudu: Te potworne małe osóbki, z włosami ufryzowanemi, w olbrzymich kapeluszach, w szeleszczących sukniach, wydają mi się nasieniem kokotek.

Stanęło mi przed oczami ciche, czyste „nursery" w Simley Hall i mała Lily w swej skromnej sukience z gołemi nóżkami, obutemi w sandałki. Czułam, że nietaką lalkę należałoby jej posłać. Przeszukawszy wszystkie sklepy napróżno, wybrałam jednę i kazałam ubrać według moich wskazówek. W Simley Hall przyjęto ją z ogromną radością i nazwano „Parisettą".

Nasze lalki świadczą wymownie, jak mało znamy nasze dzieci. Ten rodzaj „dam", które wtykamy w ręce naszych dziewczynek,

nie obudzi w nich nigdy uczuć macierzyńskich. Córki nasze uczą się od swych lalek próżności, ale nie kochają ich wcale. I kto wie, czy te bezduszne lalki nie wywierają złego wpływu na nie.

Zwyczaj wymiany podarków i składania powinszowań w pewnych porach roku jest tak starym i tak ogólnie przyjętym, że podejrzywam, iż jest on niezbędnym do pobudzenia ruchu „biegu rzeczy".

Rzeczywiście obudza on wspomnienia i myśli, otwiera serca i wytwarza jakieś dobroczynne wrzenie życia. Gdyby życzenia nie były potrzebne, nie czulibyśmy potrzeby formułowania ich.

Te pragnienia szczęścia lub nieszczęścia dla innych mogą wytworzyć pewne prądy i odepchnąć siły wrogie albo je przyciągnąć. Najmniej skrupulatny osobnik waha się z wypowiedzeniem złorzeczeń, a najbardziej sceptycznej osobie robią one wielką przykrość. Lubiłam zawsze bardzo ową formę naszych powinszowań, a dziś zaciekawia mnie ona jeszcze bardziej.

Właściciel hotelu Ritz ma genialną myśl urządzania co roku w czasie świąt wielkiego przyjęcia nie tylko dla swoich lokatorów, ale także i dla stałych gości swej restauracyi i „five o'clock'ów". Z tego tytułu i ja też otrzymałam zaproszenie. Jest to dla mnie wielka przyjemność.

Uroczystość ta składa się z koncertu, choinki i doskonałej kolacyi, podanej nadzwyczaj elegancko na małych stolikach.

Ciekawy żywy obraz!

Zbiera się tam śmietanka kolonii cudzoziemskiej — piękne Amerykanki, wielkie damy angielskie, bawiące się incognito, kilku Francuzów z arystokracyi — jednem słowem wszyscy posiadacze wspaniałych apartamentów bez ogniska domowego.

Wiele kobiet przybywa już po teatrze.

Bogate płaszcze, umiejętnie rozchylone, pozwalają widzieć ich wydekoltowane gorsy, perły, brylanty i inne drogie kamienie.

Wchodzą i przechadzają się po hali, stanowiącej wejście do salonu, cisną się dokoła drzewka, ażeby wziąć zeń to, co los przeznaczył.

Zamieniają się uściski rąk.

Każdy dziwi się, widząc tu samego siebie, a ja najwięcej. W końcu grupują się wszyscy dokoła stołów i zasiadają do kolacyi.

Na twarzach zebranych nie widać wcale wesołości — tak samo, jak wszędzie nie bawią się, tylko grają w zabawę. Jedynie Angielki zdają się znajdywać w tem prawdziwą rozrywkę.

Po jakimś czasie obfite strugi szampana podbudzają tych biednych światowców, scena ożywia się i daje złudzenie uciechy.

Zeszłego roku jadłam kolacyę z jakąś przyzwoitą parą angielsko-amerykańską.

Nagle wspomnienie świąt Bożego Narodzenia, spędzonych w Chavigny, odbiło się zdradliwie w mej pamięci...

Przypomniał mi się powrót z latarniami z pasterki i miłe wrażenie przy wejściu do sali jadalnej, jasno oświetlonej i ogrzanej ogniem, płonącym na dwóch kominkach. Ujrzałam siebie za stołem, na czele biesiadników. Stół przystrojony kwiatami i owocami. Po prawej ręce siedzi proboszcz, dokoła przyjaciele, a naprzeciwko mnie pan Myères...

Widzenie to, jakby odtworzone w kinematografie, wstrzymało ruch mojej ręki, niosącej kieliszek szampana do ust — nie tknęłam go. Powiodłam oczami dokoła i zadrżałam pod wrażeniem chłodu własnej samotności.

Z zamku Chavigny do hotelu Ritz... jakże to daleko!...

W tym roku godziny owej uczty spędziłam w swoim kąciku, sam na sam z Janem Noël. Na drugi dzień jadłam obiad z państwem Lusson.

Zajmują oni własny dom przy ulicy Lille. Jest to jeden z tych apartamentów z końca XVIII. wieku, na które patrząc, odczuwa się całą banalność mieszkań nowoczesnych. Tu architekci użyli całego swego talentu dla odtworzenia martwej natury w sposób jak najprawdziwszy. Szereg wysokich pokoi z wspaniałemi rzeźbami i malowidłami kończy się wyjściem na ogród.

Z cudownej, bijącej w oczy harmonii widać, że meble i obrazy są tutaj dawnymi gośćmi. Ale co najbardziej pociąga w tem miłem mieszkaniu, to wiele zieleni, książek, kwiatów — i jakiś odblask szczerego dobrobytu, który daje wrażenie wygody i komfortu. Jest także pies i kot.

Sir William nie mylił się, przypuszczając, że pan Lusson spodoba mi się. Pierwsze uściśnienie rąk zrobiło nas przyjaciółmi. Jest to typ delikatny — nos trochę garbaty, włosy i wąsy lekko szpakowate — sądzę, że przeskoczył już sześćdziesiątkę. W oczach jego chwilami błyszczy spryt, który zdaje się zapalać szkła binokli. W ciekawy sposób myśli nasze zeszły się ze sobą i rozmowa potoczyła się gładko. Poznałam od razu, że jest to człowiek bardzo wykształcony.

Pani Lusson swoją ciepłą dobrocią i naturalną wesołością przypomina Kolettę. Jest ona zepsutem dzieckiem swego męża i córki.

Co do panny Józi, to zaciekawia mnie ona i czaruje. Jej młodość zdrowa, jej piękno fizyczne i moralna żywotność promienieją w całem mieszkaniu. Pomimowoli idą za nią oczy, jak za promykiem słońca. Kształci się jeszcze, uczęszczając na różne wykłady, w celu, jak powiada, lepszego poznania życia. Posiada w swej naturze dużo szlachetnej ciekawości. Kiedy ją jakiś przedmiot zajmie, twarz jej nieruchomieje i zdaje się, że słucha swemi szaro-niebieskiemi oczami. Nie sądzę, ażeby jej bytność tu na ziemi nie zaznaczyła się czemś dobrem.

Szczególniej podoba mi się jej ręka, taka zgrabna, ruchliwa, nteligentna ręka — potrafi ona opatrzyć ranę, podać pomoc, ułożyć bukiet, popieścić dziecko, lub pogłaskać zwierzę.

Badajcie ręce! — one nigdy nie zawodzą!

W tem otoczeniu mój obiad świąteczny był prawdziwą rozkoszą. Już oddawna w kraju własnym nie doznawałam tak przyjemnych wrażeń z powodu szczerej bezceremonialności. Iluż to ludzi, ilu wypadków użyła Opatrzność do tego, ażeby sprawić mi to proste Boże Narodzenie!

Państwo Lusson mają także, zdaje mi się, mocne postanowienie wyrwania mnie z samotności. Opieram się temu dość miękko, chociaż chwilami uczuwam pragnienie odepchnięcia ich przyjaźni, wyrwania się i ukrycia przed nimi... przed nimi, przed Gwidonem, przed losem, którego rękę czuję znowu na sobie i od której nie ucieknę! Mam wrażenie, że schodzę z jakiegoś stromego wzgórza, że dusza moja wyrzuca ostatnie blaski.

Nie szkodzi!

Lepiej jest umrzeć, wyrzucając płomienie, niż żyć, kopcąc dymem.

Paryż.

Za dawnych czasów Paryżanie chętnie wypijali szklaneczkę hiszpańskiego wina u Gagé, albo Cuvillier'a i zagryzali ciastkiem w piekarni Magdaleny. Obecnie weszły w modę herbaciarnie i „five o'clock'i". Mała ta ewolucya, która nie pozostała bez skutków dla naszych zwyczajów, datuje się od lat piętnastu. Wzięła ona swój początek przy ulicy Rivoli, w sklepie, znanym pod firmą „Papeterie de la Concorde", utrzymywanym przez dwóch Anglików, braci Neal. Czy myślą tą natchnęło ich wspomnienie brunatnych czajników, które pomiędzy czwartą a piątą pojawiają się we wszystkich izbach jadalnych w City? Czy chcieli spełnić dzieło pożyteczne, dostarczając swoim współziomkom narodowego ich napoju? Nie wiem. Pamiętam tylko, że w jednym kącie ich sklepu, za zgrabnym parawanikiem, przy dwóch małych stolikach, zaczęto podawać herbatę i ciastka. Pierwszy raz w życiu ujrzał Paryż następujący napis: „After noon tea".

Herbata i ciastka w składzie papieru! Trzeba być Anglikiem, ażeby się odważyć na coś podobnego. Ogłoszenie dokonało cudu.

Niejeden przejeżdżający „Britisher", niejedna para zakochana znała ten kącik i może z wdzięcznością go wspomina.

Ztamtąd wzięły początek nasze herbaciarnie, które w ciągu trzech ostatnich lat wyrastały jak grzyby po deszczu. Znajdujemy je dziś wszędzie: przy ulicach Cambon, Rivoli, Saint Honoré, na drodze do Louvre'u i do Bon Marché. Pod tym względem Paryż przeszedł Londyn.

Czy ztąd wynika, że kobieta francuzka stała się amatorką herbaty? Bynajmniej. I co gorsza, nie będzie nią nigdy — nie umie ani jej pić, ani przyrządzić, ani podać. Wypija niedbale, jakby jakieś pierwsze lepsze ziółko, przyczem podbudza swoje nerwy, nie rozweselając się wcale. Zanadto lubi mówić, zanadto też zajęta jest czajnikiem, samowarem, lub kociołkiem. Niezdolną jest do powtarzania wiele razy z rzędu rytualnych pytań: mocną, czy słabą? jeden czy dwa kawałki cukru? śmietanki, czy cytryny? a kiedy to czyni, nie czeka nigdy na odpowiedź. Herbaciarnie,

w których często — jeżeli nie obawia się wydać zanadto burżuazyjną — wypija szklankę czekolady, służą jej za miejsce wypoczynku pomiędzy wielkiemi kursami, jakie ma do zrobienia, i zadawalniają jej popędy towarzyskie. „Five o'clock'i“ w hotelu Ritza należą bezwątpienia do najbardziej eleganckich w Paryżu. Otoczenie tu nie jest ani zanadto wspaniałe, ani zbytkowne. Przez długą, wązką halę wchodzi się do dwóch tylko salonów, ale za to lokaje i kamerdynerzy wyglądają jak „attachés“ z ambasady.

Zbierają się tu najlepiej ubrane kobiety Paryża, co wytwarza jedyne w swoim rodzaju środowisko.

Ta przestrzeń, otoczona dwoma rzędami okien, przedstawia widok dużej klatki, pełnej różnokolorowych ptaków, a szmer ich rozmowy przypomina świergot (mówiąc nawiasem, świergot ludzki wcale nie jest melodyjnym).

Kiedy znajdę się czasem sama w hotelu Ritza, wtedy siadam gdzieś w kąciku, z którego mogę ogarnąć wzrokiem całą scenę.

Pani Myères lubi ładne „fru-fru“, lubi suknie dobrze zrobione i kosztowne klejnoty; Jan Noël z zapałem studyuje miny i giesty żebranych i w ten sposób oboje „have a gard time“, według wyrażenia amerykańskiego.

Stali goście tych „five o'clock'ów“ mogą być podzieleni na aktorów i widzów.

Głównemi aktorkami są Paryżanki, hrabiny i margrabiny amerykańskie — kobiety egzotyczne. Spektatorkami są podróżniczki angielskie i amerykańskie. Francuzka „sail in“ wyrażenie nie do przetłumaczenia. Wchodzi, jak okręt z rozpiętemi żaglami, świadoma swej piękności i elegancyi. Jej postawie, jej ruchom nie można nic zarzucić.

Kobieta franko-amerykańska, przeciwnie, posiada jakąś przesadną niezgrabność, jest niezręczną w swych wysiłkach skopiowania Starego Świata. Stara się być w dobrym tonie i przy powitaniu podnosi rękę do wysokości ramienia — „she is not it“ — znowu używam wyrażenia obcego, bo język francuski nie posiada wyrazów na określenie tego — „nie jest dobrze“ — ale i to wyrażenie nie tłumaczy ściśle. Widać, jak naiwną przyjemność sprawia jej tryumfalny pochód przed rodaczkami i możność pokazania się

w „godnem towarzystwie", wreszcie słyszenie wymawianego dokoła jej nazwiska i tytułu. Dlaczegoż by nie! I ja i wy doświadczalibyśmy tego samego.

Piękna Hiszpanko-Amerykanka zadawalnia się wystawą swej toalety według ostatniego wyrazu mody. Wodzi dokoła swemi pięknemi, czarnemi oczyma, ażeby się przekonać, że jest ubraną najlepiej. I w tem nie ma nic złego.

Angielka, która przyszła tu z ciekawości, ubrana w suknię krawieckiej roboty, jednę z tych, jakich używają do podróży poślubnych, z przejęciem pije swoją herbatę, między jedną tartinką a drugą wypowiada kilka uwag i czuje się trochę oszołomiona tą cudzoziemską mimiką, której nie rozumie, i tym żywym obrazem, w którym nie ma wcale znajomych.

Prawdziwie odświeżającym w tem otoczeniu jest widok Amerykanki. Rozmawia wesoło, bez skrupułów zajada sałatę, wszystko widzi, wszystko krytykuje i wychodzi niewzbogacona ani jedną myślą, ale zadowolona, że użyła za swoje pieniądze.

Panowie światowcy są dość rzadkimi gośćmi w hotelu Ritza. Spotyka się tam stale kilku emerytów i kilku młodzieńców, pragnących wejść w „stosunki", prócz tego kilku ciekawych (zawsze ci sami), którzy wchodzą na chwilę, chcąc się przekonać, kto jest, a kogo nie ma.

Nie wiem, czy się nie mylę, ale zdaje mi się, że kobiety francuzkie straciły wiele ze swego wpływu na mężczyzn. Są one obecnie bardziej eleganckie, więcej wykształcone, ale nie umieją ani pociągnąć ich, ani zatrzymać. Tylko tak samo jak dawniej, nawet u kobiet światowych, tych prawdziwych ptaków rajskich, których życie jest tak ograniczone, dusze są nieskończenie złożone i ciemne. Wiele z nich zaciekawia mnie, obserwuję je, badam, staram się dojrzeć „szczere oblicze, kryjące się pod fałszywą maską" — jak powiada Baudelaire — lecz nie jest to łatwem.

Jedna z nich zainteresowała mnie bardzo. Nie należy ona do stałych gości hotelu, przychodzi tylko, kiedy jest zaproszoną, lub gdy sama zaprasza. Przychodzi zwykle późno. Sposób trzymania się i noszenia głowy robią ją wyższą, niż jest w rzeczywistości.

Gęste włosy szatynki ze sztucznym, czy naturalnym odcieniem płowym, matowa cera i pąsowe usta nadają jej postaci koloryt ciepły, a szerokie czoło z wyrazistemi brwiami i zanadto otwarte nozdrza uczyniłyby twarz jej surową, gdyby nie złagodziły tego szaro-złociste, kąpiące się w blaskach oczy. Jej usta z powabnym rozkosznym uśmiechem, należą do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałam.

I założę się, że nie jest ona szczęśliwą. Chwilami twarz jej wyraża głębokie zmęczenie, czy też smutek moralny, wzrok staje się niepewnym, a na pytania odpowiada tylko monosylabami. A kiedy czyjeś słowa wyprowadzą ją z tego stanu, podnosi głowę i ruchem, pełnym nieufności, zwraca się w tę stronę, jakby się gotowała do walki z nieprzyjacielem. Nigdy nie mogłam dowiedzieć się jej nazwiska. Ci, z którymi obcuje, należą do najwyższej arystokracyi tego towarzystwa. Posiada wszystkie cechy dobrej rasy, a panowie ze czcią całują ją w rękę.

Nie widziałam jej od czasu mego powrotu, aż dziś znowu zjawiła się w hotelu Ritza. Miała na sobie jakby półżałobę: sukienną popielatą suknię, na szyi kołnierz z czarno-niebieskich lisów — naprawdę królewskich — a na głowie rodzaj toczka, ogarnirowanego także tem futrem. Dwie duże perły w uszach i takiż sam naszyjnik dopełniały toalety. Nigdy nie wydała mi się bardziej czarującą.

Pomimo mej woli, ile razy jestem w hotelu Ritz, myślę zawsze o przyjaciółce Gwidona, a dziś, kiedy weszła moja nieznajoma, doznałam dziwnego wzruszenia. Może to ona!... — Pytanie to uporczywie ciśnie mi się do mózgu. „God help him!“ niech mu Bóg dopomoże!

Wyobrażam sobie, jak wielką władzę mogłaby mieć taka kobieta nad człowiekiem z jego charakterem. O! jakże nienawidziłaby jej Koletta!

Patrząc na te damy światowe, porzucające własne miłe mieszkanie dlatego, ażeby zasiąść tu przy niewygodnym, małym stoliku restauracyjnym, żałuję mocno, że najinteligentniejsze z pomiędzy nich, mające ustaloną pozycyę towarzyską, nie urządzają u siebie takich herbat. Mogłyby przecie zgromadzić do koła swego samo-

waru kwiat młodzieży, ludzi światłych i dobrze wychowanych, mogłyby stworzyć środowisko, w którem by same jaśniały.

Niejednego młodzieńca wyrwałyby może z niepożądanego towarzystwa. Zwycięstwo takie przyniosłoby im zaszczyt. Daj Boże, aby obudziła się w nich podobna ambicya.

Tymczasem, zdaje się, natura chce pokazać oczom tych wszystkich kobiet najrozmaitsze narodowości i oto przychodzą one posłuszne jej wezwaniu, nie zbliżają się do siebie, tylko przyglądają i krytykują wzajemnie.

Pod tem wszystkiem spełnia się, prawdopodobnie, jakieś wielkie dzieło. I herbaciarnie mają swoją racyę bytu, tylko my nie wiemy, jaką.

O! my nic nie wiemy!

Paryż.

W sposób dość ciekawy i kiedy najmniej o tem myślałam, dowiedziałam się nazwiska „nieznajomej". Wczoraj wola, kierująca mymi czynami i ruchami, zaprowadziła mnie do Viroť'a, przy ulicy La Paix. Jestem jedną z najstarszych klientek tego magazynu mód.

Jeszcze trzydzieści lat temu założycielka jego, wielka artystka swojego zawodu, robiła mi kapelusze, potem czynność tę spełniały dwie jej uczenice, pani Marya i panna Amelia. Znałam z imienia wszystkie panny sklepowe. Obecnie mało kupuję, ale od czasu do czasu chodzę tam dla dowiedzenia się, co słychać, i zawsze jestem przyjmowana z ogromną uprzejmością. Wiedzą, że cenię prawdziwą sztukę, która mieści się we wszystkich tych arcydziełach ich rąk. Siadam zwykle z boku na dobrze mi znanem miejscu i natychmiast następuje oglądanie mego kapelusza, a często zdjęcie mi go z głowy, ażeby kilkoma ruchami palców podnieść jego urodę.

O modach mówię zwykle z takiem samem zajęciem, jak i o malarstwie. Wiem, że natura sama daje natchnienie tym modniarkom i krawczyniom i wszystkie owe kombinacye kwiatów, wstążek i piór, które są nieodłącznemi dodatkami życia kobiety, interesują mnie bardzo.

Przedwczoraj byłam tam znowu.

Siedziałam w dużym salonie, przeznaczonym do sprzedaży, przyglądałam się kapeluszom, czekającym na nabywców, gdy nagle

w ogromnem lustrze, stojącem przedemną, ujrzałam odbicie mojej nieznajomej z hotelu Ritz. Stała z podniesionemi do góry rękami, wkładając toczek na swe złociste włosy. Z pod rozpiętego, podbitego futrem bolera widać było białą, jedwabną bluzkę, uwydatniającą prześliczne kształty jej figury.

Oczy nasze spotkały się i przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, jakby zahypnotyzowane jedna przez drugą, potem, nagle, odwróciłyśmy się jednocześnie.

Patrzała na mnie wzrokiem zdziwienia i wyższości, na co odpowiedziałam jej uśmiechem.

Nareszcie dowiem się jej nazwiska!

Nie spiesząc się wcale, obeszłam salon i zbliżywszy się wolnym krokiem do kasyerki, zapytałam:

— Kto jest ta ładna szatynka, tam w głębi, co przymierza kapelusz?

— Margrabina do Maurionnes... ex-księżna de Lougwy — dodała szeptem.

Margrabina de Maurionnes! — spotykałam często to nazwisko w „Figaro“ i „Gaulois“. Ex-księżna de Lougwy! Grzebiąc w pamięci, przypomniałam sobie głośny w swoim czasie proces rozwodowy, o którym wiele pisano przed czterema laty. Zapytam mego chrześniaka o szczegóły.

A jeżeli to ona?... to nic! będzie to dobry sposób dowiedzenia się.

Paryż.

Nie myliłam się! To ona jest przyjaciółką Gwidona. Moja intuicya nie zawiodła mnie! Nie nadarmo postacie ich obojga w umyśle moim zawsze stawały obok siebie.

Niech mi kto wytłumaczy tajemnicę tego!...

Nie wątpiłam też, że dziś stanie się coś ważnego — Jan Noël ma powody zachwycać się życiem.

Rzadko kiedy wychodzę rano do miasta, ale nie wiem dlaczego od dwóch dni niezdolną byłam do żadnej pracy. Zrozpaczona tem w końcu włożyłam kapelusz i wyszłam na bezcelową włóczęgę.

Naprzód udałam się do moich wydawców przy ulicy Auber, gdzie z przyjemnością dowiedziałam się, że książka moja cieszy się

istotnie wielkiem powodzeniem. Potem poszłam na „przechadzkę z ciekawości", zatrzymując się przed każdą ładniejszą wystawą.

Naprzód zatrzymałam się przed sklepem Louchet'a, gdzie piętrzyły się cuda sztuki nowoczesnej.

Sztuki nowoczesnej! tak, sztuki żywej, „psychologicznej". Te niewiasty-lichtarze, z twarzami ladacznic, żyją, i co więcej, one cierpią; te ciała wijące się dokoła puharów żyją także. Te klejnoty o dziwacznych kształtach, te oprawione drogie kamienie mają swoją fizyognomię. Bywają pierścionki ze złym wyrazem, bywają klamry, ziejące okrutną, wyrafinowaną kokieteryą. Te dusze, wyzierające z tych przedmiotów, są duszami choremi, zbolałemi, pogrążonemi w tęsknocie.

W tęsknocie — za czem?

Artyści, którzy stworzyli te arcydzieła, byli bezsilni, ażeby wlać w nie odrobinę radości, ożywić je promykiem nadziei.

Za jakie lat pięćdziesiąt będą może pisać tomy o tych gablotkach, o tych ozdobach — ja pojmuję je i uwielbiam już dzisiaj i winszuję sobie tego.

Oderwawszy się, nie bez trudu, od tej wystawy, udałam się dalej ulicą „de la Paix". Mijałam bulwary i popychana pragnieniem pozostawania bezustanku w zetknięciu z epoką nowoczesną, przejrzałam po drodze wszystkie obrazy, wszystkie dzieła sztuki, zabawki i gałganki. Wędrówkę swoją zakończyłam wejściem do sklepu, położonego w sąsiedztwie mego hotelu — do domu, który zyskał rozgłos w Paryżu i w Ameryce swemi zbytkownemi przyborami do pisania i wyrobami ze skór.

Pamiętam początek tego olbrzymiego dziś przedsiębiorstwa.

Poczęło się ono w małym sklepiku przy ulicy „Saint Honoré". Patrzałam przez szereg lat nietylko na rozwój i przekształcanie się samego interesu, ale i na tajemną pracę, która dokonywała się nad jego założycielką. Do dnia dzisiejszego nie pojmuje ona, jaką drogą doszła do tak świetnych rezultatów, wie tylko, że wiele zawdzięcza Amerykanom. Ich zamiłowanie do zbytku i elegancyi stało się podwaliną jej powodzenia. Ażeby się im podobać, musiała wejść w stosunki z najlepszymi robotnikami, musiała stwarzać rzeczy ładne. Zaczęto więc wyrabiać przedmioty inkrustowane, teki, port-

monetki, torebki ręczne, garnitury na biurka. Zaznajomiwszy się ze stylem Ludwika XV, Ludwika XVI i Cesarstwa, ztamtąd kierowniczka pracowni czerpała swe natchnienie. Pomysły genialne wtłaczały się w jej mózg, smak wyrabiał się. Pod wpływem działającej na nią siły, której nawet nie podejrzywała, zrozumiała linie i koloryt. Dzisiaj okiem artysty ocenia te swoje zbiory w szafkach wystawowych. Dziś nie są one dla niej tylko „towarem". Dla wytworzenia ich pracuje tak samo jak ja, pisząc powieści. O nich ciągle myśli, bez nich nie może się obejść. Uczuwa w sobie pewną dumę na myśl, że tylu ludzi jest od niej zależnych. Pokazuje mi swoje nowości z widocznem zadowoleniem i twarz jej rozjaśnia się, kiedy ja się zachwycam. Z przyjemnością patrzę zawsze na ową żądzę doskonalenia się, na ową intuicyę piękna, charakteryzującą naszą rasę. Ona każe mi śmiało patrzeć w przyszłość Francyi.

Odwiedzenie i przyjrzenie się takiej pracowni jest bardziej zajmującem i pocieszającem, niż recepcye wielkoświatowe. Zachwyca mnie wielki wysiłek pracy i inteligencyi, jakim promienieją niektórzy pracownicy człowieczego ula.

Dziś rano byłam tam znowu i właśnie podziwiałam artystyczne wykończenie jakiejś torebki, która świeżo wyszła z rąk robotnika, kiedy przed drzwiami sklepu zatrzymał się samochód, a z niego, ku memu przerażeniu, wysiadł Gwidon w towarzystwie jakiejś damy gęsto zawoalowanej w futrzanej rotundzie z wysoko podniesionym kołnierzem.

Wszedłszy do sklepu, oboje skierowali się na prawo.

Mój chrześniak, skłoniwszy się, poprosił o model samochodu taki sam, jaki już jeden kupił, poczem zwrócił się do swej towarzyszki i przemówił do niej słów kilka.

Przez intuicyę czułam gorąco jego oczu i ust.

Nagle, jakby pod działaniem moich myśli, odwrócił głowę w moją stronę i twarz jego oblała się rumieńcem.

Pospiesznie zbliżył się do mnie.

— Tak wcześnie już po za domem, mateczko? — zapytał tonem najspokojniejszym, na jaki się mógł zdobyć.

— Wybrałam się na „na wagusy", tak samo jak ty — odrzekłam, uśmiechając się.

— To prawda. Chcę zrobić parę zmian w mojej maszynie i sam muszę tego pilnować. Czy mogę zjeść dziś obiad z tobą, mateczko? — pytał nerwowo.

— Wyborna myśl!

— A więc do widzenia, do wieczora! — powiedział pieszczotliwie i pocałowawszy mnie w rękę, powrócił do nieznajomej.

Nieznajomej!

Nie, nie była nią wcale. Kiedy odwróciła się, ażeby zbadać, z kim witał się baron Hauterive, poznałam margrabinę Maurionnes. Poznałam ją od razu po tych cienkich zmysłowych ustach, które od pierwszego wejrzenia zwróciły moją uwagę.

Przez dyskrecyę wyszłam ze sklepu pierwsza i wróciłam do domu cała wzburzona.

Przyjemność z tego rannego spaceru zginęła bezpowrotnie.

Czyż naprawdę jest ona tą kobietą, którą Gwidon kocha od dwóch lat?

A może towarzyszył jej tylko przez grzeczność?

Nie! oboje siłą jakiegoś magnetyzmu dali mi poznać swą miłość.

Bez zachęcania z mej strony Gwidon przychodzi teraz często do mnie na obiad.

Tego dnia czekałam go ze wzruszeniem, mając mocne postanowienie dowiedzenia się prawdy.

Po przywitaniu nastała chwila przykrego zaambarasowania. Gwidon patrzał na mnie z pewnym niepokojem, a ja starałam się zachowywać zupełnie swobodnie.

— A więc i ty jesteś klientem firmy S...? — zapytałam, kiedyśmy siedli do stołu.

— Nawet starym klientem i często robię tam znaczne zakupy. Matka moja kupowała tam zawsze papier listowy. Dziwię się nawet, żeście się tam nigdy nie spotkały.

Ja i Koletta miałybyśmy się spotkać w tym sklepie! Zadrżałam na tę myśl. Opatrzność z większem miłosierdziem ułożyła te rzeczy i nie przestaję jej za to dziękować z całej duszy.

— Czy to nie margrabina Maurionnes była dziś tam z tobą? — zapytałam tonem zupełnie obojętnym.

— Znasz ją?... — wykrzyknął Gwidon, nie kryjąc wzruszenia.

— Spotykałam ją czasem w hotelu Ritz, ale nazwiska jej dowiedziałam się dopiero parę dni temu.

— I jakże ją znajdujesz?

— Niebezpiecznie piękna.

Płomień buchnął z oczu młodego człowieka. Prędko spuścił powieki, jakby chcąc ukryć swą dumę szczęśliwego kochanka.

— Czy jest rozwódką? — zapytałam.

— Tak, jej mąż, książę de Longwy, był wstrętnym człowiekiem.

— A dlaczegoż nosi tytuł i nazwisko margrabiny Maurionnes?

— Bo było ono w jej rodzinie.

— Czy jest bogatą?

— Przypuszczam. Dom prowadzi na wielką stopę.

— Położenie jej musi być bardzo fałszywem.

— Nawet okropnie!

— No, zapewne nie zbywa jej na pocieszycielach.

Słysząc te słowa, wypowiedziane zresztą bez złej intencyi, Gwidon mocno zaniepokoił się.

— O! z pewnością nie braknie ich — powiedział głosem zdławionym.

Nie miałam żadnych wątpliwości — to ją kochał bez pamięci. Mogłam tylko powtórzyć w duchu: „God help him!“ Boże pomóż mu!

A Koletta poleciła mi ożenić go!„

Paryż.

„Co pani myśli o kolonii amerykańskiej? co myślą o niej w Paryżu?“ oto pytanie, stawiane często Janowi Noël przez rozmaitych „interwieweurów“.

Uchylałam się zwykle od dawania odpowiedzi z obawy, ażeby słowa moje nie były źle zrozumiane i nie posłużyły za materyał do przycinków.

Rodzaj żeński kolonii amerykańskiej w Europie podlega bardzo ostrej krytyce w Stanach Zjednoczonych, do czego przyczynia się porządna doza zawiści.

O! zaprzeczonoby mi z pewnością! Odpowiedzianoby mi, że posiadający znaczenie i dobrobyt we własnym kraju nie mają czego zazdrościć wykolejonym.

Tak, ale owe „wykolejone“, które dla tamtych są niczem,

których tamte znać nie chcą, przez obcowanie z towarzystwem wyższem Starego Świata, przez dłuższy pobyt w Europie, nabierają pewnego rodzaju szans i to obudza zazdrość w rodaczkach.

Jeżeli cudzoziemcy przykładają jednę miarę do wszystkich członków kolonii, jest to wielką naiwnością — jeżeli robią to samo spółziomkowie — zasługują na miano niesprawiedliwych.

W Paryżu można rozróżnić trzy wyraźne grupy w kolonii amerykańskiej: Amerykanki kosmopolitki, Amerykanki prawdziwe i Amerykanki, przyjeżdżające do Europy w celu zetknięcia się z wyższą kulturą artystyczną i umysłową.

Pierwszą grupę stanowią bogate parweniuszki. Są to przeważnie uciekinierki z obozu małżeńskiego „grass widows" — wdowy słomiane, rozwódki. Jedynym ich celem jest wejść w sfery wyższego towarzystwa i tem powetować sobie surowy ostracyzm, jakiemu podlegały we własnym kraju.

Czy udało im się to z chwilą postawienia nogi na przedmieściu Saint Germain? Nie, i nawet przez małżeństwo nie. Udało im się tylko wmówić w siebie, że „to się stało" i one jedne tylko wiedzą, ile intryg i pieniędzy kosztowało zdobycie tego złudzenia.

Jedna, naprzykład, mniema, że prowadzi salon royalistyczny — zamknęłaby drzwi przed prezydentem republiki, ażeby się nie skompromitować.

Inna znów sądzi, że ma salon „mieszany", a ani jedna ani druga nie wątpią ani na chwilę, że nie posiadają potrzebnych kwalifikacyj do stworzenia jakiegoś centrum politycznego, do czego potrzeba wielu lat, wielu sił, których się za pieniądze nie nabywa.

Chcą działać wśród nas, nie znając nas wcale, ani myślą, ani uczuciem nie zbliżając się do nas. Pływają po powierzchni, nie badając głębi i szczęśliwie przepływają tam, gdzie kobiety francuskie utonęłyby. Idą ciągle naprzód, wierząc tylko w siłę swych bogactw i swym złotym kluczem próbują otwierać najbardziej strzeżone drzwi, ale, jak dzieci, nie przynoszą społeczeństwu ani szkody, ani korzyści.

Jaką misyę spełniają one? Do czego służyć ma to ich zetknięcie się ze Starym Światem? Umysł mój za słaby, ażeby to odgadnąć, lecz jestem pewna, że nie nadarmo wydała je natura.

Prawdziwe Amerykanki należą do tych, które Yankes'i nazywają „our best people“ — nasza najlepsza klasa. Mężowie ich pragnęli usunąć się trochę od interesów; one same czują się lepiej w Paryżu, gdzie życie jest mniej gorączkowem niż w ich własnym kraju i gdzie mogą uniknąć owej zgubnej emulacyi, dzięki której wiele kobiet w Ameryce pozostaje na bruku. Nie starają się wchodzić w stosunki towarzyskie z Francuzami i żyją wyłącznie pomiędzy sobą. Większość z pomiędzy nich posiada ładnie urządzone mieszkanie i żyje w cichym, spokojnym dobrobycie. Prawie każda z kobiet oddaje się czemuś z zamiłowaniem. Jedna zajmuje się muzyką, inna malarstwem, a wszystkie prawie oddane są sprawom dobroczynności publicznej.

Prócz tych dwóch grup światowych jest jeszcze trzecia grupa artystek.

One to, te stworzenia, obdarzone iskrą bożą, zachwycają mnie i interesują najbardziej. Podczas gdy dokoła nich rozprawiano o interesach i dolarach, one chwytały uchem harmonię akordów, oczy ich śledziły linie i barwy. Po przez ogromną odległość czuły pociąg do Starej Europy. Pomimo szumu maszyn słyszały jej nawoływania i drogą wielkich ofiar zdobyły sobie jej poznanie.

Coraz bardziej wzrastająca ich liczba wywołała potrzebę stworzenia jakiejś instytucyi „club-home“ — rodzaju kasyna, które się mieści w starym hotelu de „Chevreuse“. Jest to dom z wielką bramą, z ogrodem, otoczonym żelaznemi sztachetami, i z ładnym ciężkim dachem.

Opatrzność popsuła te pszczółki zaatlantyckie!

Codziennie w hotelu odbywają się „five o'clock'i“, na które schodzi się ta amerykańska cyganerya rodzaju żeńskiego.

Zabawne małe dziewczątka z dzikiem wejrzeniem!

Zjawiają się jedne z książkami, inne ze skrzypcami, a jeszcze inne z tekami do rysunków. Sukienki ich za krótkie, kapelusze podniszczone, twarzyczki wymizerowane dzięki niedostatecznemu odżywianiu się. Zmiatają cichutko stosy tartynek z chleba z masłem, które leżą przed niemi.

Wzruszającym jest widok tych koników polnych, gromadzą-

cych się dla chwilowego wypoczynku i ogrzania się pod opieką matki-ojczyzny.

Niektóre z nich przybyły z bardzo daleka. Po co? ażeby zetknąć się z wielkiemi akumulatorami sztuki, jakie my posiadamy, ażeby przyjrzeć się pięknu, przysłuchać harmonii, a potem tworzyć je dla innych.

Niestety! nie wielu to się udaje!

Iluż tu malarzy musi wydać natura, ażeby stworzyć jednego prawdziwego malarza, ilu muzyków, ażeby dać jednego artystę-muzyka!...

Paryż lubi Amerykanki nie dlatego, że dają mu one pieniądze, bo za to płaci sam czemś znacznie cenniejszem — lubi je, bo są ładne, dobrze zbudowane, bo pięknością swą upiększają jego ulice i teatry, stanowią jeden kwiat więcej w jego koronie.

Kupcy cenią bardzo te kobiety, rozporządzające zwykle wielką fortuną, ulegające tylko własnym fantazyom, płacące rachunki bez najmniejszego targu. Wpływ Amerykanek na nasze zwyczaje jest widoczny. Za ich przykładem jadamy śniadania w kapeluszach, pod ich wpływem toalety kobiet naszych stały się mniej dyskretnemi w barwach, rozwinęło się zamiłowanie do klejnotów, zbytek i komfort w życiu codziennem zwiększył się. Salony zakładów kąpielowych zaroiły się; hotele zmieniły swój wygląd. Jeszcze dwanaście lat temu ich jadalnie były zupełnie pozbawione wszelkich ozdób, wtedy widziałam Amerykanki przychodzące z pękami róż lub fiołków dla rozweselenia uczty. Za tym dobrym przykładem właściciele hotelów zaczęli upiększać kwiatami stoły dla gości, — Amerykankom więc zawdzięczam te bukiety, które zdobią mój stół przy śniadaniu i obiedzie.

Amerykańska część miasta w bliskości „l'Etoile" przedstawia szczególny widok. Czuć tam duszę saksońską i protestancką. Czysto, elegancko, ale zimno. Przedmieście „Saint-Germain" jest bezporównania cieplejsze i sympatyczniejsze. Kiedy z ulicy „Varennes" przechodzimy na plac „des Etats-Unis" czujemy przejście ze starego świata do nowego.

Napisałam to wszystko pod wpływem rozmowy, jaką miałam z Gwidonem dzisiaj wieczorem. Siedział u mnie, kiedy przyniesiono

mi bilecik od jednej z moich przyjaciółek Amerykanek z uprzejmem zaproszeniem na obiad kobiecy „to a hen diner“, dosłownie: „obiad kwok“.

— Obiad kwok! — wykrzyknął Gwido, śmiejąc się. — Sądzę, że nie przyjmiesz zaproszenia.

— Przeciwnie, przyjmę.

— Jakto! zdecydowałabyś się, mateczko, słuchać przez cały wieczór rozmowy o gałgankach i skandalikach?

— Nie przypuszczam, ażeby rozmowa ograniczyła się tylko na tem; missis X... zrobi dla swoich towarzyszek wszystko, żeby im zapewnić przyjemne wrażenia.

— Zanadto dobre masz wyobrażenie o Amerykankach, mateczko; wierz mi, że wszystkie one są komedyantkami i filutkami. Mówią, że przyjeżdżają do Europy dla zdrowia lub wychowania dzieci, a w gruncie rzeczy chodzi im o używanie życia w męskiem znaczeniu tego wyrazu. U nas bawią się mężczyźni, a w Stanach Zjednoczonych — kobiety. Biedni Jankesi!

— Nie żałuj ich, mój drogi. Jeden z nich powiedział do mnie kiedyś te piękne słowa: „w naszym kraju kobiety używają wszystkich dobrodziejstw praw, które my mężczyźni stworzyliśmy“. We Francyi — dodałam — wszystkie prawa są przeciw kobietom i to jest także dziełem was, mężczyzn.

— To prawda, nie jestem też wcale z tego dumny — odpowiedział mój chrześniak. — Ale wspaniałomyślność Amerykanów nie jest wcale dla nas zachęcającą; bardzo źle zostali za nią wynagrodzeni, to musisz przyznać. Pochlebiłaś trochę, mateczko, tym przybyszom z za Oceanu w swoich utworach. Nie widzę w nich tego poszanowania dla prawdy, które ty im przyznajesz. Opowiadają nieskończenie długie i usypiające wprost historye, podług których ich córki odmówiły przedstawicielom najznakomitszych rodzin z Alma, nachu Gotajskiego, a z Saint-Germain mają tak blizkie stosunki, że nie ma tam dla nich tajemnic. Jeden z moich przyjaciół bywa u Amerykanki, która pozuje na działaczkę społeczną i zapomocą muzyki sprowadza do swych salonów członków wszystkich partyj. — Pewnego dnia pokoje jej były zapełnione najrzadszemi kwiatami. Grzegorz Sérizay zaczął robić żarciki na temat ich pocho-

dzenia. Wtedy gospodyni oświadczyła, że jest to podarunek partyi republikańskiej, „from the Republican party" — i dodała:

— Mój przyjaciel hr. C..., przeczytawszy bilet, dołączony do tych kwiatów, rozdarł go i powiedział: „to jest salon rojalistyczny". Czyż to nie śmieszne?

— Śmieszne — zawołałam — „it is killing"! Przypuszczam, że anegdotka jest prawdziwą?

— Prawdziwą, ręczę za to.

— Oto jest treść parweniuszek. Chcą one przeskakiwać naraz po cztery stopnie na drabinie społecznej, chcą żyć, prędko żyć. Nie mają czasu czekać, aż wypadki się ułożą, same je układają. Nie znasz prawdziwych Amerykanek.

— Może być.

Potem biorąc do rąk bilecik, dodał:

— Obiad dla kwok! Sądzę, że dobrze zrobię, jeżeli o dziesiątej przyjdę cię ztamtąd zabrać.

— O, to zbyteczne — odrzekłam żywo. — Miss X... mieszka przy lasku bulońskim i ja jestem przyzwyczajona chodzić sama.

— Tak mogło być, kiedy nie miałaś nikogo, ale dziś jesteś, mateczko, pod moją opieką — o dziesiątej przyjdę cię wyzwolić.

— To już w każdym razie nie o dziesiątej.

— A więc o jedenastej?

— Niech będzie o jedenastej — odrzekłam zirytowana i zadowolona zarazem.

Paryż.

Sławny „obiad kwok" odbył się wczoraj z zupełnem powodzeniem na wszystkich punktach.

Miss X... zajmuje ze swym ojcem piękny apartament przy alei lasku bulońskiego, w którym elegancya, sztuka i komfort podały sobie ręce. Szczególnie ładna jest sala jadalna. Było nas wszystkich dziesięć dokoła dużego stołu, przykrytego haftowanym obrusem, na którym jakby bezładnie porozrzucane były róże, a pośrodku stał wspaniały kosz z owocami.

Wszystkie panie były w toaletach balowych, wszystkie przybrały „her war paint" — szyk wojenny, jakby dla podboju płci męskiej. Zresztą w ogóle Amerykanki ubierają się więcej dla kobiet

niż dla mężczyzn. Nasza gospodyni miała suknię z jedwabnego białego muślinu, przybraną koronkami, a na szyi wysoki naszyjnik z pereł. Mnie, jako wdowę, posadziła naprzeciwko siebie. Naturalnie byłam jedyną Francuzką w tem towarzystwie. Miss X... zgromadziła u siebie młode panny i mężatki od trzydziestu do czterdziestu lat. Moją sąsiadką była jakaś piękność z Baltimore, mieszkająca z mężem w Waszyngtonie. Wysoka, z jasnemi włosami i białą cerą, miała oczy ciemno niebieskie o wyrazie dziecka. Doznawałam prawdziwej przyjemności, patrząc na nią.

Były to wszystko kobiety bogate i zupełnie niezależne, choć miały mężów lub rodziców. Każda z nich miała jakiś cel, jakąś ambicyę, jakieś zajęcie. Jedna, którą przedstawiono mi jako doktora medycyny, była... chirurgiem. Ma swoją klinikę w jednym z większych szpitali w Bostonie. Widząc jej łagodną twarz i prawie bojaźliwe spojrzenie, nigdybym nie odgadła jej zawodu.

— Zamiłowanie do medycyny odziedziczyłam po ojcu, który sam nie był w możności oddawać się studyom nad nią — powiedziała do mnie z prostotą. — Kocham sztukę i świat, ale po nad wszystko kocham mój zawód i moje powołanie.

Podczas obiadu pomimo woli oczy moje zwracały się ciągle na te delikatne ręce, które umiały obchodzić się ze skalpelem. Widok ich obudzał lekkie dreszcze w mych plecach.

Paryż daje dużo materyału do rozmowy. Niektóre z pań zwiedziły wszystkie instytucye Montmartre, jadały we wszystkich nocnych restauracyach, inne znów, które zwiedzały „Quartier Latin“, jadały w norach, będących obrazem nędzy.

Francuzi nie domyślają się nawet, jakim czarem wieje jeszcze dzielnica łacińska dla cudzoziemców. Nie rozumieją oni niższego, ani wyższego jej życia, ale oczarowani są tym odmętem młodości i siły. Na wystawie sklepowej Galignani'ego, księgarza angielskiego, jest zawsze szereg książek, na których jaśnieje to magiczne imię „Quartier Latin“.

Słuchając tych przeróżnych wrażeń, które Paryż wywiera przyszłam do przekonania, że jest on jedyną stolicą w Europie, posiadającą pełną orkiestrę, która ma ton dla każdego ucha ludzkiego.

Zapytałam swojej sąsiadki, najpiękniejszej z obecnych tu „kwoczek", czy się bawi w Paryżu.

— Nie, ja odpoczywam. To o wiele lepsze.

— Pani odpoczywa w Paryżu?

— Naturalnie. Przyjeżdżam tu zwykle z pokojową i psem. Jestem tak zmęczoną mojem życiem kobiety światowej, że nie chcę widzieć ani mego męża, ani mego domu, ani moich obrazów. Po jakimś czasie nerwy moje dochodzą do porządku i z przyjemnością wracam do domu.

— A pan H... daje pani chętnie urlopy?

— Oh! nasi mężowie są tacy dobrzy...

Chciałabym, żeby Gwido słyszał tę odpowiedź.

— W jaki sposób pani odpoczywa? — zapytałam z ciekawością.

— Biorę codziennie lekcyę śpiewu, prowadzę na przechadzkę Lulu, chodzę do teatrów i na wszystkie koncerty, wreszcie odwiedzam stare damy francuzkie, których synowie byli sekretarzami ambasady w Waszyngtonie. Gorszą się one mocno moją niezależnością małżeńską. Nie bardzo wierzą, że jestem „all right" — uczciwą, ale widzą mnie z przyjemnością. Ażeby się im podobać, ubieram się w najpiękniejsze suknie. Dziś rano byłam u jednej z nich na śniadaniu... Usługiwał nam służący w białym fartuchu i to było wprost zachwycające.

Służący w białym fartuchu budzi zachwyt! Trzeba przesycić się zbytkiem, żeby mieć takie wrażenia.

— Nie dziwię się wcale, że Francuzi nie mogą pani zrozumieć — powiedziałam z uśmiechem.

— Ależ nie usiłują nawet zrozumieć — zawołała nasza gospodyni — i to doprowadza mnie do wściekłości. Wszyscy, z którymi spotykam się w towarzystwie od dwunastu lat, zadają mi te same pytania: „Czy pani lubi Paryż? Jak dawno opuściła pani Amerykę?" Żaden nie powiedział mi czegoś więcej. Próbowałam mówić o sztuce, o literaturze... Patrzyli na mnie z minami zdziwionemi i nie podtrzymywali rozmowy...

— Czy pani zrobiła takie same spostrzeżenie? — zapytałam Amerykanki, która posiada zamek własny niedaleko Paryża.

— Niewątpliwie. Musiałam stracić dużo czasu, zanim zbliży-

łam się z moimi sąsiadami. Jedna rzecz wszakże nie przestaje ich dziwić. Moja swoboda osobista w pożyciu małżeńskiem.

— Muszą wydawać się pani zacofanymi.

— Tak i nie. Mają w obejściu takie odcienia, taką delikatność, jakiej my nie możemy nabyć. Ostatniej jesieni spędziłam trzy miesiące w Bostonie i moi ziomkowie wydali mi się strasznie szorstcy.

— Nie mów pani tego wobec pani de Myères — zawołała miss N... — to jest zdrada!

— Ależ nie — odrzekłam, śmiejąc się. — Wiem przecież, że natura nie lubi „to hurry up“ — działać szybko. Braknie wam poloru ale nie subtelności. U nas ludzie szorstcy bywają zwykle gburowaci

— Jak pani jest sprawiedliwą! — powiedziała moja piękność z wyrazem zadowolenia.

— Staram się bardzo o to.

— I dlatego my się pani nie obawiamy — dodała gospodyni.

Mówiąc to, dała uprzejmy znak do wstania od stołu. Przeszłyśmy do salonu i usiadłyśmy dokoła kominka. Podano kawę, kilka z pań zapaliło papierosy.

Jak gdyby pod wpływem bogów i bogiń buddyjskich, zebranych w przepięknej kolekcyi w sąsiednim pokoju, zaczęłyśmy rozmawiać o Indyach, Chinach i Japonii. Anegdoty i wspomnienia popłynęły falą z tych młodych pamięci.

— Jakiż to jednak kontrast musi być pomiędzy miastami Benares i New-Yorkiem — powiedziałam. — Tego wrażenia zazdroszczę paniom.

—Nie jest to tak uderzającem, jak pani przypuszcza — odrzekła pani B. — Kontrast ów zaciera się obecnością cudzoziemców. Zadziwiającą jest raczej owa potęga siły duchowej, niemateryalnej, niewidzialnej, dającej podtrzymanie milionom jednostek. Siła ta stanowi ich wyższość nad nami. Przez cały czas pobytu w Indyach, wśród tych rzeczy realnych i nierealnych, zdawało mi się, że stąpam po czyjejś duszy.

— Na której Anglicy grają w „tennis“.

— Właśnie, i to jest obrzydliwe. Nie ma pani wyobrażenia, jak my pospoliciejemy wobec tych Hindusów, żyjących jakby po za

światem. Byłam zaproszona „to a tea ceremony“ na „five o'clock'i“ do pewnej damy indyjskiej. Napatrzyłam się ukłonów i nasłuchałam komplimentów bez liku. Zdawało się, że wszelkie ruchy wykonywano tam w takt jakiejś muzyki niewidzialnej. Nie wiele z tego zrozumiałam, lecz przez cały czas myślałam o naszych banalnych herbatkach, o naszej zwykłej paplaninie i porównanie nie wypadło bynajmniej na naszą korzyść. Chciałam w tym roku pojechać do Indyj, ale należę do damskiego komitetu wystawy w „Saint Louis“ i muszę tam wracać, trzeba pracować.

— Wiele bym dała, ażeby módz być obecną na jakiemś posiedzeniu komitetu damskiego — powiedziałam z uśmiechem.

— O! nie powiem, żeby zawsze było warto. Zdarzają się kłótnie i wzajemne docinki, ale w końcu dochodzi się do dodatnich rezultatów. Proszę pani, kiedyś nasze Chicago nie było dla całego świata niczem innem tylko rynkiem wieprzy. Kobiety jednak postanowiły pokazać, że jest ono zdolne do oceniania dzieł sztuki, a nawet do produkowania ich. W tym celu skorzystały z zapowiadającej się wystawy. Dzięki kobietom, prócz dowodów siły materyalnej, znalazł się na niej kącik dla piękna i poezyi. Zapoczątkowany w ten sposób ruch w tym kierunku nie upadł, lecz począł rozwijać się coraz bardziej, i dziś w Chicago uprawia się namiętnie muzykę, skupuje się obrazy, a dobry smak ciągle się wyrabia i wkrótce zakasujemy New-York. Oto cośmy zrobiły.

— Trzeba też pewną zasługę przypisać tym, którzy dali nam potrzebną do tego swobodę.

— O! nasi Amerykanie są za mądrzy i za praktyczni, żeby nie rozumieli, że ich ręce są za grube do pewnych robót. Ustępują nam je chętnie. W wieku dwudziestym nie może kobieta należeć wyłącznie tylko do męża i dzieci; dziś otrzymała ona prawo do współpracownictwa w ogólnym postępie ludzkości.

W tej chwili wzrok mój magnetycznie pociągnęło coś do przyległego salonu. Promień światła elektrycznego, oświetlający posążek jednej z bogiń, nadał jej pozór życia. Uśmiech tajemniczy prześlizgiwał się pod nawpół przymkniętemi powiekami i na ustach, i ujrzałam, że miała wiele rąk. Podeszłam do posążku i wziąwszy go, postawiłam na stole pośrodku naszego koła.

— Oto — powiedziałam — przyszła siła kobiety, urzeczywistniona w marzeniach buddyjskich. Oto bogini z czterema głowami i przynajmniej tuzinem rąk.

— Dwudziestoma czterema, jeżeli łaska — poprawiła miss X... — jest to „Kwan-Giu“, a imię to oznacza: „ta, która rozumie głos ziemi i słucha mowy ludzkiej“. Ubóstwiają ją w Chinach i w Japonii, jak my swoją Matkę Boską Litościwą.

Amerykanki otoczyły bronzowy posąg i kolejno oglądały go i dotykały.

— Ona dzierży gromy — powiedziała jedna.

I zaczęły wszystkie wyliczać atrybuty symboliczne boginki:

— Czarę ofiarną.

— Miseczkę do zbierania jałmużny.

— Księgę praw.

— Koło modlitw.

— Bieg rzeczy.

— A więc jest czem zadowolnić najskrajniejsze feministki — powiedziałam, śmiejąc się. — „Ta, która rozumie głos ziemi“, musi także rozumieć nasze pragnienia.

Kiedy odniosłam posąg na miejsce, właśnie wybiła jedenasta.

Wieczór przeszedł niespodziewanie prędko. Te Amerykanki, nie podlegające magnetycznemu wpływowi mężczyzn, były nadzwyczaj miłe, oryginalne i przyjemne. Powiedziałam to gospodyni.

— Prawda, „our caeling“, nasza rozmowa „kwok“ nie była wcale nudna?

— Przeciwnie, była świetną, możemy sobie powinszować.

— Powinszujmy sobie — zawołano wesoło.

Oznajmiono mi, że zajechał powóz. W przedpokoju zastałam Ludwika, służącego Gwidona. Uśmiechnęłam się. Uczułam przyjemne zadowolenie zaspokojonej próżności. Mój chrześniak dobrze wszystko obmyślił, sam czekał na mnie w karecie.

— I cóż, mateczko! — zapytał — czy nie żałujesz, żem nie przyjechał wcześniej?

— Bynajmniej. Dawno już nie bawiłam się tak dobrze. I mogę cię upewnić, że nie zajmowałyśmy się obgadywaniem i nie mówiłyśmy o gałgankach.

— Ba!

— Kilka razy pragnęłam, ażebyś był gdzie ukryty za portyerą. Gdybyś nas słyszał, nabrałbyś lepszego wyobrażenia o kobietach.

Młody człowiek uśmiechnął się nerwowo.

— Lepszego wyobrażenia o kobietach! Tego właśnie potrzeba mi bardzo w tej chwili.

— A czy masz tak bardzo złe?

— Tak, tak, ale mniejsza z tem — odrzekł szorstko.

Nie chciałam go badać. Umilkliśmy.

Aleja Lasku Bulońskiego była zupełnie pusta w tę noc ciemną i dżdżystą. I tak jak dawniej przy boku pana Myères, doznałam uczucia błogiej pewności jakiegoś ciepła moralnego i fizycznego. I czyż nie on dawał mi je dziś, a przynajmniej coś, co było cząstką jego. Mimowolnie spojrzałam na swego towarzysza i spotkawszy jego wzrok, ujrzałam to światło, które świeci zawsze przedemną. Olśniło mnie ono w tej chwili więcej niż kiedykolwiek i uczułam się bardzo szczęśliwą. Przypomniały mi się nasze powroty z balów, z teatru i radość, jakiej doświadczałam zwykle, powracając do domu. Oczami duszy widziałam nasz salonik z wesołym ogniem na kominku i czekającą na nas przyjemną kolacyę.

Zrobiło mi się nagle duszno — otworzyłam okno powozu i pozostałam tak w niemem zachwyceniu.

Ażeby uniknąć bruku Pól Elizejskich, woźnica nasz skręcił na prawo i wjechał w ulicę Franciszka I. Zabrakło mi tchu w piersiach... Szalona, powtarzałam sobie, a może wszystko było tylko złym snem... może naprawdę zatrzyma się tam... przed tym domem...

Niestety!... to nie był sen... powóz potoczył się dalej i zatrzymał się... przed hotelem...

O! Opatrzność rzuca czasem cienie na swoje dzieła!...

Paryż.

To ciekawe i niepokojące — od kilku dni spotykam ciągle panią Maurionnes.

Wzajemnie przecinamy sobie drogę, mierzymy się wzrokiem i rozchodzimy się, każda w swoją stronę.

Za dobrze znam życie, żebym mogła przypuszczać, że styczność dwóch istot może być bezcelową, wiem, że bywa ona zwykle przyczyną jakichś wypadków.

Czyżbyśmy miały wejść w bliższe stosunki?

Po co? i w jaki sposób?

Przedwczoraj byłam świadkiem sceny, która mnie do głębi wzruszyła.

Moi przyjaciele amerykańscy zaprowadzili mnie na obiad do Ritza.

Publiczność była liczna i elegancka.

Na tle białych ścian restauracyi te stoły, przybrane kwiatami, otoczone kobietami w toaletach zbytkownych, robią wspaniały efekt. Błyski oczu, uśmiechy różowych ust, białe, ozdobione brylantami ręce i blask drogich kamieni drgały w woniejącem powietrzu jakiemś radosnem życiem.

Nagle przy jednym z bocznych stolików spostrzegłam panią Maurionnes.

— I znowu ona! — pomyślałam.

Wraz z dwiema innemi damami i ich mężami była tu gościem księcia K....., rosyjskiego dygnitarza, przejadającego w Paryżu swoją fortunę.

Z mego miejsca widziałam doskonale linie jej figury i rysy smutnej, jakby stroskanej twarzy.

Ubrana zupełnie czarno, miała na sobie suknię z lekkiego jedwabiu, przystrojoną czarnemi aksamitkami. Stanik, z wyciętą głęboko podszewką, pozwalał widzieć jej śnieżne ramiona i szyję, przykryte leciuchną gazą. Kapelusz także czarny prześlicznie uwydatniał profil i bogactwo włosów. Kilka sznurów pereł podnosiło prostotę tej wykwintnej toalety.

Przyglądałam się księciu z pewnem zaciekawieniem. Jest to jeszcze młody człowiek, cokolwiek zanadto roztyły, z twarzą, na której widoczne są ślady nadużyć wszelkiego rodzaju. Widywałam go dotąd tylko z daleka. Jestem pewna, że ten biedny hulaka zna doskonale wartość wszystkich tych pasożytów, darzących go pochlebstwami.

Odrazu odczułam, że jest coś pomiędzy nim i panią Maurionnes; patrzał na nią bezustanku i starał się wzrokiem ku sobie przyciągnąć.

Ona unikała jego oczu i, broniąc się z wyniosłością, zwracała się ciągle do swego sąsiada na prawo. Pod koniec obiadu oboje jednocześnie podnieśli swe kielichy z szampanem i, popatrzywszy sobie przez chwilę w oczy, zbliżyli je do ust, jakby świętą komunię miłości.

Nagle margrabina, nie wypiwszy ze swego ani kropli, z jakimś złym uśmiechem odstawiła kielich na bok. Książę zbladł, wychylił swój do dna i wstał.

Goście jego, biorąc ruch ten za hasło do odwrotu, wstali także i wkrótce wyszli wszyscy z sali.

Scena została odegrana i jaka piękna scena!

To nie był zwykły flirt, to była głęboko psychologiczna, rozdzierająca walka.

Czyżby Gwidon był zdradzany?

Myśl ta uradowała mnie tak, że aż się zawstydziłam.

Syn pana Myères zdradzany!...

Ten młodzieniec z oczami pełnemi blasków miłości miałby być zdradzonym dla tego przeżytego hulaki?

To niemożliwe!

Niestety! Czyż nie wiem, że wszystko jest możliwem?...

Paryż.

Po sześciu dniach nieobecności wróciłam do hotelu, a wróciłam z wielkiemi zmianami w duszy.

Jan Noël, mający siebie za wytrawnego psychologa, ani się spodziewał, do czego zdolną być może dusza ludzka.

Zeszłego poniedziałku, kiedy kończyłam śniadanie, zawezwano mnie do telefonu — to służący mego chrześniaka głosem pełnym niepokoju błagał, ażebym przyszła natychmiast.

— Pan baron — mówił — ma końską gorączkę, nie poznaje nikogo, musi być bardzo chory.

Przerażona tą nowiną, udałam się tam natychmiast.

— Pani Maurionnes! — myślałam, zapinając ręczną torebkę.

Ogromnie wzruszona przybyłam na ulicę d'Agnesseau.

Wygląd Ludwika zaniepokoił mnie jeszcze bardziej, spytałam, co się stało.

— Bóg to raczy wiedzieć — odparł wierny sługa, ściskając ramionami — Jest w tem napewno miłość. Pani zna przecie młodych. Jeżeli takiemu człowiekowi, jak mój pan, robią kobiety krzywdę, to cóż już mówić o innych.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

— Od jakiegoś czasu pan był już „całkiem“ — mówił dalej. — W ciągu ostatnich trzech dni nie jeździł wcale do Grignon, ciągle tylko wychodził, to znów wracał i bez ustanku spacerował po pokojach. Wczoraj, kiedy spytałem, czy będzie jadł obiad w domu, spojrzał na mnie, jakby nic nie rozumiał, a potem tylko kiwnął głową. Podałem mu doskonały obiad; próbował niby jeść, ale widziałem, że nie idzie mu do gardła. Zaczął się skarżyć na ból głowy. Przygotowałem kwiatu lipowego, ale nie przyjął i odprawił mnie, mówiąc, że chce położyć się wcześnie. Dziś rano, wszedłszy do pokoju sypialnego, myślałem, że śpi, i nie budziłem go wcale. W południe poszedłem znowu, zacząłem wołać, ale pan nie odpowiadał wcale, tylko jęczał i zdawało się, że oczu otworzyć nie może. Niech no pani pójdzie, zobaczy.

Zobaczyłam!...

Na ogromnem łóżku w stylu Empire leżał Gwidon bezwładny, z otwartemi, postawionemi w słup oczami, jakby pogrążony w półśnie jakimś.

Byłam przerażona.

— Prędzej! prędzej! — zawołałam — trzeba przez telefon wezwać doktora H.

Na szczęście doktor był w domu. Poprosiłam, ażeby przyszedł natychmiast, i wróciłam do chorego.

Niewidome dla nas siły, zazdrość i zdrada, powaliły to młode ciało!...

Patrząc na tego biedaka, pokonanego bólem, doznawałam coraz silniejszego wzruszenia. Oczy napełniły mi się łzami, a pod sercem, w tem świętem miejscu macierzyństwa, które do tej chwili

było u mnie zimne i nieme, uczułam rodzące się uczucie nowe dla mnie i niezwykle przyjemne.

Gwidon poruszył się i zaczął mówić.

— Matko! matko! — wołał głosem, obudzającym litość. A ja bezwiednie odpowiadałam:

— Moje dziecko... moje drogie dziecko..... — i położyłam rękę na jego głowie, chcąc go błogosławić, pragnąc go usynowić, pragnąc mu ulżyć.

W duszy mej zbudził się instynkt macierzyński w całej pełni i zajaśniał tryumfem nad wszystkiemi marnemi czułostkami, nad kobiecem pragnieniem zemsty. I znowu powtarzałam w błogiem rozrzewnieniu:

— Moje dziecko... moje drogie dziecko...

Byłam gotowa oddać mu na usługi wszystkie siły swojej inteligencyi i serca.

Czy nie to było pragnieniem Opatrzności?

Doktor przybył bezzwłocznie, jak go o to prosiłam. Kiedy ujrzał mnie tak zaniepokojoną przy łóżku młodego człowieka, na twarzy jego odmalował się wyraz zdziwienia.

Zarumieniłam się — w moim wieku było to śmieszne.

— Baron Hauterive jest moim krewnym — powiedziałam.

Mówiąc to, pierwszy raz zrozumiałam, że syn pana Myères nie był mi obcym.

Doktor z pierwszego wejrzenia poznał, że stan jest groźny.

— Ładne zapalenie mózgu! — powiedział. — Musiał doznać jakiegoś wstrząśnienia, a może przepracowanie?

— Prędzej wstrząśnienie — odrzekłam.

Zbadał puls.

— Czterdzieści, a pójdzie jeszcze dalej. Kto będzie dozorować chorego?

— Ja i służący, który jest bardzo przywiązany do swego pana.

— To nie wystarczy. Tu potrzeba jakiejś „nurse'y", mającej doświadczenie. Znam pewną Angielkę, zatelefonuję, żeby przyszła.

— Rób doktorze wszystko, co uważasz za stosowne, tylko mi go wyratuj! tylko wyratuj! — wołałam, nie zastanawiając się nad niestosownością tych słów.

— Postaramy się, postaramy — odrzekł doktor, patrząc na mnie wzrokiem, którego ciekawość dotąd jeszcze czuję na sobie.

W ciągu godziny wszystko było zorganizowane i ratunek biednego chłopca rozpoczął się. Doktor H . . . „nurse'a", stryj Grzegorz, którego wezwałam, Ludwik i ja — wiernie pełniliśmy służbę

Przez trzy dni Gwidon był w niebezpieczeństwie: kompresy z lodu na głowę, kąpiele, nacierania — wszystko zdawało się być bezskutecznem dla przywrócenia normalnej temperatury. Dochodziło do czterdziestu i jeden stopni. Miałam wrażenie, że jakiś ciężar spadł mu na mózg i gniecie go. Doktor mówił o możliwości operacyi błon mózgowych. Czuwałam przy chorym od dwunastej w nocy do szóstej zrana i od pierwszej do szóstej wieczorem. Teraz poznałam tę siłę, która robi matki tak czynnemi i niezmęczonemi przy łóżeczkach dzieci. Doznawałam niezwykłej rozkoszy, mogąc w czemkolwiek ulżyć choremu. Miałam to przeświadczenie, że chory nawet w gorączce czuje obecność moją i że ona sprawia mu ulgę. Chciwie chwytałam wyrazy jego gorączkowych bredni, chcąc dociec przyczyny tego strasznego wypadku. Często przyzywał matkę, a czasem „mateczkę" i to sprawiało mi niewysłowioną przyjemność. Ale najczęściej usta jego powtarzały imię Anny. Mówił coś o milionach, o wielkich pieniądzach, widział na ścianie czarne lisy i bijąc powietrze rękoma, starał się je wypędzić. Po chwilach podniecenia następował zwykle okres zupełnej depresyi i ten przerażał mnie najbardziej. Podczas trzeciej nocy zdawało mi się, że już umiera. Z polecenia lekarza zastrzyknęłam mu kofeinę, nad ranem podniósł powieki, coś jakby uśmiech przemknął mu po ustach, potem westchnął głęboko i znowu oczy zamknął. Sądziłam że umarł, schyliłam się nad nim w strasznym niepokoju.

Oddychał i oddech stawał się coraz równiejszy, coraz spokojniejszy. Domyśliłam się, że jest to przesilenie choroby, i poszłam obudzić „nurse'ę". Zbadała chorego i twarz jej rozjaśniła się; ścisnęła mnie za rękę i powiedziała cichutko:

— „I think he is all right now" — myślę, że jest uratowany.

I był nim rzeczywiście!

Przyszedłszy do przytomności, Gwidon nie zdziwił się wcale moją obecnością.

— Pielęgnowałaś mnie, mateczko — powiedział łagodnie.

Skinęłam głową.

— Czy bardzo byłem chory?

— Dosyć, ażeby nas przerazić i żebym musiała wzywać stryja Grzegorza.

Widocznie wróciła mu pamięć wszystkiego, bo się zaczerwienił i nie wymówił więcej ani słowa.

Po scenie, jaką widziałam w restauracyi Ritza, nie wątpiłam, że przyczyną choroby była pani Maurionnes. Jaką drogą dowiedział się Gwido o jej stosunku czy też flircie z księciem K . . . ? A te miliony, które go dręczyły? A te lisy czarne?

Czarne lisy! Takie widzenie nie zadziwiłoby mnie u alkoholika, ale u zakochanego było dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Jan Noël chciałby to sobie wytłumaczyć.

Z radością patrzyłam na cudowną poprawę zdrowia u „mego dziecka". Mówiłam sobie, że wszystko jest pięknem, nawet choroba, nawet śmierć sama, tylko my nie umiemy jeszcze widzieć tego we właściwem oświetleniu.

Tymczasem natura robi swoje, ażeby przywrócić Gwidonowi utracone siły fizyczne — co do moralnych nie mogę jeszcze nic o tem sądzić.

Paryż.

Wróciwszy do siebie, znalazłam wspaniały bukiet od państwa Lusson. Przed odjazdem z domu zawiadomiłam ich o chorobie mego kuzyna. — Gwidon mój kuzyn! czy to nie śmieszne?

Z wielkiem współczuciem interesowali się mojem zmartwieniem i po kilka razy dziennie zapytywali przez telefon o stan zdrowia chorego.

Telefon to okrutne narzędzie. Z całą ścisłością oddaje głos mówiącego. Głos Józefy Lusson brzmiał zawsze słodyczą i wesołością. Gdybym była mężczyzną, ożeniłabym się z nią już tylko dla jej głosu.

Pomiędzy listami, oczekującemi na mnie w domu, był jeden od sir Williama. Spędza on zimę w Torquay i znajduje „dreadfully English" okropnie angielskiem. Cierpienia fizyczne zdradzają się u niego zwiększeniem się „humour'u". Przysłał mi „Revue de

France", na którego marginesie napisał krytykę i refleksye, jakie mu podsunął mój ostatni utwór.

„Znalazłem tam wiele myśli, podtrzymujących ducha; zawierających w sobie wielką dozę ozonu. A pani wie, że posiadanie ozonu stało się mojem największem pragnieniem. Chwilami zdawało mi się, że były one pisane dla tego biednego „Britischer", z którym los zetknął panią w Cannes, że były wysłańcami do niego. Przyniosłoby to honor i mnie i Janowi Noël."

Jakąż przyjemność sprawiły mi te słowa!

Honor dla Jana Noël! naturalnie, wiem o tem. O! mój akumulator działa energicznie!

Paryż.

Uczucie macierzyńskie trwa dalej. Bałam się, że przeminie wraz z przeminięciem niebezpieczeństwa, które je zrodziło, lecz nie — tkwi ono zawsze w mem sercu. Uważam je za nagrodę, daną mi z góry, i zdaje mi się, że odnowiło ono życie moje.

Gwidon dalekim jest jeszcze zupełnego wyzdrowienia. Miewa powroty gorączki, a czasem znów wpada w stan zupełnej apatyi. Doktor powiada, że nie przyjdzie do siebie przed upływem tygodnia.

Stryj Grzegorz „nurse'a" i Ludwik dozorują go doskonale; ja spędzam przy nim wszystkie popołudnia. Wyraz zadowolenia, jaki obecność moja wywołuje na jego twarzy i pełne wdzięczności pocałunki, składane na mych rękach, sprawiają mi serdeczną radość. Przynoszę mu kwiaty, przebijam i poprawiam poduszki, „pieszczę" go, jak to robiła Koletta; różnemi sposobami staram się pobudzić jego apetyt i to jest ogromnie przyjemne. Znajduję też ogromną rozkosz w nazywaniu „swem dzieckiem" syna pani Hauterive i pana Myères..... Siadam zwykle bliziutko przy jego łóżku i, robiąc szydełkiem (jedyna robota, jaką umiem), opowiadam mu różne nowiny, staram się jak mogę rozerwać go i jestem szczęśliwa, jeżeli mi się to udaje.

Biedny chłopak jest złamany moralnie upokorzeniem, wywoływanem w takim wypadku zarówno w sercu mężczyzny, jak kobiety. Można się pocieszyć po stracie najukochańszej nawet osoby, lecz trudno pogodzić się z myślą o zdradzie z jej strony. Jest to

krzywda głęboko zapadająca w naszą duszę. Chwilami myśl o tem wywołuje rumieniec na jego twarz. O! znam to doskonale! wiem, jak on pali... Odwraca wtedy głowę, ażeby ukryć przedemną swój wstyd i cierpienie.

Zabroniłam Ludwikowi podawać panu korespondencyę, zresztą Gwidon nie pyta się o nią wcale. Pomiędzy listami są trzy, o których jestem pewna, że pochodzą od pani Maurionnes — eleganckie, dyskretnej barwy, pismo wysokie, gotyckie, doskonale charakteryzujące tę kobietę.

Jakże się boję, ażeby go znowu nie pociągnęła! Pogodzenie się wpływa zwykle demoralizująco. Lepszą jest śmierć gwałtowna uczuć, niż powolna ich agonia. Uspokaja mnie tylko wrodzona Gwidonowi godność.

Dziś, kiedy spał, przyglądałam mu się i widzę, że gdy zamknie oczy, te oczy pana Myères, pozostaje na jego twarzy dominujący wyraz energii dziadka Koletty i wszystkich Nolay'ów. Ta siła, której natura zechciała użyć na podeptanie moich praw, sądzę, że dopomoże mu do podźwignięcia się z apatyi. A co zdziała później? Kto wie!...

— Wiele dobrego zapewne — szepnęłam w duchu.

Jakiś dreszcz z zimna, czy z bólu, skierował moje kroki do kominka. Ze zwieszoną smutnie głową stałam, grzejąc się przed płomieniem. Nagle, podniósłszy oczy, zostałam jakby zahypnotyzowaną. W lustrze ujrzałam wyraźnie twarz mego męża. W pierwszej chwili nie mogłam zdać sobie sprawy z tego, że jest to odbicie dużej fotografii. Wstrzymałam oddech, ażeby nie spłoszyć zjawiska. Była to fotografia, którą oddawna pragnęłam spotkać u Gwidona. Wzięłam ją drżącemi rękami.

Szesnaście lat już nie widziałam tej twarzy, prócz tylko odbicia jej w mym własnym mózgu.

Patrzałam teraz na nią ze wzruszeniem, rozchodzącem się od serca po całej mojej istocie. Była to fotografia z ostatnich miesięcy życia pana Myères i światło ujawniło na niej to, czego nikt z nas nie dostrzegał — wyraźne piętno blizkiej śmierci... Tkwiła ona w bladości i przeźroczystości jego uszu, w pewnych rysach ust i skroni.

Ja niczego nie dostrzegałam!

Fala czułości, powstrzymywana od tak dawna, wybuchnęła wreszcie i przez łzy oczyszczające zawołałam z głębi serca:

— Moje ukochanie... moje drogie, jedyne ukochanie...

Postawiłam ostrożnie portret mego męża i zwróciłam oczy na jego syna, który spał ciągle, i uczułam się szczęśliwą, że go posiadam.

Tak, zupełnie szczęśliwą.

Więc to to obiecywał mi ów zagadkowy uśmiech? ów uśmiech pełen słodyczy i współczucia na ustach mego męża?..... Może chciał on wyrazić te słowa: wielka radość wyjdzie z twego bólu — pozwól działać Opatrzności.

Może dusza jego wiedziała o tem...

Paryż.

Gwidon szybko powraca do zdrowia. Opuścił już łóżko i przeniósł się na szezlong, a nawet parę razy przechadzał się po pokoju, wsparty na mojem ramieniu. Próbuje trochę czytać i z zaciekawieniem śledzi partyę „bridge“, graną we dwójkę przezemnie i stryja Grzegorza, a czasem zapisuje nasze punkty. Dzisiaj pozwoliłam mu przejrzeć korespondencyę — przyniosłam mu ją sama.

Jan Noël był ciekawy wrażenia, jakie sprawią na nim owe trzy listy.

Ujrzawszy je, Gwidon zbladł; widocznie oczekiwał ich, a może nawet pragnął, lecz obecnie obudziły one w nim tylko gniew i oburzenie.

Z nozdrzami rozdętemi, z ustami silnie zaciśniętemi, nie czytając, rozdarł je na ćwiartki i z jakąś bolesną rozkoszą rzucił w ogień na kominku.

Patrzałam, jak się paliły.

Spalił się papier, spaliły się małe literki, ale nie spaliły się myśli.....

Co stanie się z temi myślami, które nie osiągnęły celu?

— Od Roberta — odezwał się Gwidon po chwili, rozrywając kopertę innego listu rękami jeszcze drżącemi.

Serdeczne słowa brata uspokoiły go.

Następny list ucieszył go widocznie.

— Z Dawson City, mateczko, — powiedział, podając mi go — z krainy złota, to zajmie ciebie.

— Więc znasz tam kogoś?

— Tak, mam tam jednego z najlepszych moich przyjaciół, Maksa Rennes.

— Maks Rennes! — zawołałam — to górnik, który mi przysłał „brawo" z Klondike po przeczytaniu mego drugiego romansu.

— To mnie nie dziwi. Jest to dusza młoda, pełna entuzyazmu, temperament śmiały, awanturniczy. To Francuz starej daty. Utrzymuje on, że nie mamy wyobrażenia o bogactwie Alaski i rozpacza, że eksploatują je towarzystwa cudzoziemskie — a nie francuzkie. Namawia, ażebym się z nim połączył, ażebym się sam przekonał i rozwinął propagandę Pojadę! pojadę! Zostanę poszukiwaczem złota! Żebym lepiej znał życie, od tego bym rozpoczął.

Serce moje ścisnęło się. Widocznie nie na żarty rozbudziła się we mnie miłość macierzyńska.

— Zdaje mi się, że jesteś dość bogatym, ażeby być szczęśliwym — powiedziałam.

Młody człowiek wybuchnął przykrym śmiechem.

— Tak sądzisz, mateczko! Ależ miłość, złudzenia i szczęście są to rzeczy, za które się drogo płaci!

— Gwidonie! Gwidonie! czy to ty tak mówisz?

Gwidon wstał i, chodząc po pokoju, mówił:

— Tak, to ja. Mówię to z całą znajomością życia, mężczyzn i kobiet. Ileż prawdy mieści w sobie bajka, pouczająca nas, że wszystko można posiąść „za odrobinę złotego proszku". Tak, wszystko można! Pójdę go szukać. Z zapałem będę wiercił góry, stanę się znakomitym górnikiem. W drogę! do Alaski!

Z temi szalonemi słowami chrześniak mój rzucił się na fotel; policzki jego pałały, oczy błyszczały ogniem. Usiadłam przy nim.

— Jestem pewna, przynajmniej, że jeżeli zdobędziesz złoto, zrobisz z niego dobry użytek — powiedziałam, ażeby go uspokoić.

— Nie można być pewnym niczego, ani nikogo — odpowiedział Gwidon tonem ostrym.

— Czyż nie jesteś pewnym stryja Grzegorza, naprzykład, albo mnie?

Twarz jego w jednej chwili złagodniała.

— Przepraszam! przepraszam! — zawołał nawpół wstając — jestem brutal!

A potem głosem złamanym dodał:

— Ty nie wiesz, mateczko, jak strasznie boli zdrada, jak ona robi człowieka dzikim....

— Niestety! wiem — odrzekłam, — siląc się na uśmiech.

— Ty?

Skinęłam głową.

Gwidon popatrzył na mnie, a ja pod tym wzrokiem oblałam się rumieńcem.

Ach! ten rumieniec upokorzenia!

— Biedna mateczka! — szepnął — i, ująwszy moją rękę, złożył na niej pocałunek pełen czułości i szacunku.

Uczułam się szczęśliwą i dumną.

— Widzisz — powiedziałam — tego rodzaju doświadczenia podobne są do operacyi hartowania stali. Dusza, rozgrzana uczuciem do najwyższej temperatury, zostaje brutalnie ochłodzoną przez ból, ale za to nabywa nadzwyczajnej siły. Kilka dni temu byłeś jeszcze dzieckiem.....

— Dzieckiem! powiedz raczej głupcem, idyotą!

— Nie, dzieckiem..... a dziś jesteś mężczyzną. Istota, która nigdy nie cierpiała, nie ma dla mnie żadnej wartości.

— A więc ja będę wiele wart, mateczko, bo bardzo cierpiałem — powiedział biedny chłopak szczerze.

Widzę teraz, że pieniądze odegrały ważną rolę w tej walce Gwidona między życiem a śmiercią. Z jakąś kobietą nieuczciwą było by to dla mnie zrozumiałe, ale z panią Mauriennes?.....

Może chciał ją poślubić, a ona wybrała księcia K.....?

Paryż.

Wiele liczyłam na stanowczość mego chrześniaka, lecz nie tak wiele, jak się okazało możliwem.

Dziś, kiedy Gwidon spał na szezlongu w swoim pokoju, a ja

siedziałam z robotą w jadalnym, wszedł Ludwik i, z miną tajemniczą, oznajmił mi, że jakaś pani pani chce się ze mną widzieć.

— Cóż to za pani?

— Nie wiem, jakaś dama — odrzekł lokaj, a potem rumieniąc się i kręcąc róg fartucha, dodał:

— Lepiej by było, żeby pan jej nie widział.

Odgadłam, kim była „dama".

— Naturalnie — odrzekłam — gdzie ona jest? pójdę do niej sama.

— W bibliotece.

— Dobrze.

I wzruszona wyszłam do sąsiedniego pokoju.

Jakaś postać w długim płaszczu, w gęstej kropkowanej woalce, zakrywającej całkowicie jej twarz, oczekiwała mnie stojąc. Kiedy weszłam, podniosła woalkę a ten akt zaufania i odwagi podobał mi się bardzo.

— Jestem margrabina Maurionnes — powiedziała prosto.

Skłoniłam się i poprosiłam ją siedzieć.

— Sądzę, że..... panu Hauterive nie grozi już niebezpieczeństwo..... — zaczęła głosem wzruszonym. — Powiedziano mi wczoraj, nastąpiło pogorszenie....

— Nie, Gwidon ma się coraz lepiej, tylko doktor nakazuje mu zupełny spokój.

Odgadła moją myśl.

— Niech pani będzie spokojną... nie zakłócę mu go — odpowiedziała. — Ja przyszłam do Jana Noël.... jak do spowiednika. Mało chyba kobiet było tak wzruszonych ostatnią powieścią pan jak ja. Pani posiada znajomość nietylko serc ludzkich, ale i życia samego. Pani więc powinna rozumieć, że zdarzają się w tem życiu powikłania, których człowiek nie może uniknąć.

— Rozumiem.

— Oto przyszłam prosić panią o wytłómaczenie Gwidonowi, ażeby mnie mniej nienawidził.... bo on mnie nienawidzi, wszak prawda?

— Nie zwierzał mi się wcale i nie zrobi tego nigdy, ponieważ tu chodzi o kobietę.

— Prawda, że doznał on wielkiego zawodu.....

— Którego o mało nie przypłacił życiem.

Rumieniec wystąpił na twarz pani Maurionnes. Przymknęła powieki, a kiedy je po chwili podniosła, miała oczy napełnione łzami.

— Myśl o tem powiększa moje cierpienie i wyrzuty sumienia — mówiła. — Obawiam się szczególniej o stan jego duszy. Boję się być niedyskretną, ale chciałabym zapytać, jakie ma zamiary na przyszłość?.....

— Owładnęła nim gorączka złota — powiedziałam podstępnie.

Margrabina zbladła.

— Ach! — jęknęła, gniotąc w ręku chusteczkę, ruch nerwowy zupełnie „moderne“ mówiąc nawiasem.

— Chce zostać wspólnikiem swego przyjaciela Maksa Rennes i wyjechać do Dawson City.

— Pani! — krzyknęła margrabina. — Pani! nie można mu na to pozwolić. Za wszelką cenę trzeba temu przeszkodzić!

— Zrobię wszystko, co będę mogła. Przebojem wszedł on w moje życie, a teraz trudnoby mi było stracić go.

— Pani jedna ma wpływ na niego, pani tylko może go zatrzymać. Mówił mi tak często o swojej „mateczce“. Opowiadał, jak odnalazł panią w Bagnoles. Może przeznaczeniem pani jest czuwać nad nim, ratować go.

— Wszystko jest w ręku Opatrzności.

— W tym wypadku Opatrzność odpowiedzialną jest za rzeczy okropne!

— Które nam wydają się okropnemi, bo nie znamy ani początku ich, ani końca, a które wcale może nie są takiemi.

— A więc pani wierzy w to, co pani mówi, że „wszystko dla wszystkich będzie dobrem“?

— Inaczej Bóg nie byłby sprawiedliwym.

Młoda kobieta ciężko westchnęła.

W tej chwili drzwi się otworzyły i my obie, wiedzione jednem uczuciem, powstałyśmy z miejsc.

Gwidon!

Tak, to był Gwidon, obudzony i pociągnięty bezwiednie prawdopodobnie obecnością pani Maurionnes. Dziwna bladość jego twarzy zatrwożyła mnie. Zrobiłam parę kroków naprzód w jego kierunku. Gwidon oparł się na mem ramieniu i, myśląc, że chcę wyjść, powiedział:

— Zostań, mateczko, ja i pani Maurionnes nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Nie — powtórzyła głosem dumnym, obudzającym mój podziw, margrabina Maurionnes. — Przyszłam do Jana Noêl.

— Przypuszczam — odparł chłodno Gwidon — i przepraszam, że przeszkodziłem.

Mówiąc to, ścisnął mocno moje ramię, skłonił się i wyszedł.

Młoda kobieta poszła za nim oczami i duszą, a gdy drzwi zamknęły się, upadła ciężko na fotel.

— Okropnie zmieniony... Boję się, czy to nowe wzruszenie nie zaszkodzi mu..... Nie starałam się spotkać go.....

A potem, dostrzegłszy na mej twarzy wyraz niedowierzania, dodała z właściwym sobie bladym uśmiechem:

— Pani mi nie wierzy; ma pani słuszność. Zdawało mi się, że tylko Jana Noêl chciałam widzieć.... teraz zrozumiałam, że i jego także..... i jego.....

Tyle było prawdziwego bólu w słowach młodej kobiety, że przejęta litością wzięłam ją za rękę.

— Przypisuje mi pani znajomość życia, więc proszę mi wierzyć, że wszelkie uczucie, prócz tego, które stwarza ognisko rodzinne, jest dziką płonką, nie przynoszącą żadnej korzyści, wysysającą soki z jednostki.

— Wiem o tem, ale czyż nie jestem skazana na istnienie bez owego ogniska? Czyż nie wykoleił mnie rozwód?... przez straszne złamanie? — powiedziała margrabina, śmiejąc się nerwowo.

— Ktoś, czy coś wprowadzi panią na właściwą drogę i natura zużytkuje te wielkie siły, któremi panią obdarzyła.

— Mnie obdarzyła wielką siłą? O! tym razem Jan Noêl jest w błędzie.

— Nie sądzę. Będzie temu dwa lata, kiedy w hotelu Ritz zwróciłam na panią uwagę, przyczyną tego było prawdopodobnie przeczucie wypadków dzisiejszych, ale głównie wybitna indywidualność osoby pani. Za zjawieniem się pani wszystkich myśli kierowały się ku niej.

— Doprawdy? Jak przyjemnie jest słyszeć coś dobrego o sobie! — powiedziała z prostotą pani Maurionnes,

— Szczególniej, jeżeli ktoś mówi zupełnie szczerze.

— Dziękuję.....

Pani Maurionnes wstała i przez kilka chwil patrzała na mnie.

— Nie będziemy mogły nigdy spotykać się — powiedziała drżącemi ustami, — czuję to i mocno żałuję..... z całego serca żałuję..... Niech pani pisze dużo, ażebym przynajmniej czytać ją mogła.....

— Nie, jeden tylko cudowny temat pociąga mnie obecnie — jest to powieść życia, lecz zabraknie mi czasu na napisanie jej. Ktoś inny będzie miał ten honor.

— Powieść życia! — powtórzyła pani Maurionnes.

— Tak, chciałabym uwidocznić wszystkie jego tkanki. Proszę, niech pani zastanowi się nad tem wszystkiem, co doprowadziło panią do mnie, do tego mieszkania przy ulicy d'Agnesseau.

Margrabina zamyśliła się i fale wzruszenia zaróżowiły jej twarz, a wyraz podziwu zajaśniał w oczach.

— To prawda, nigdy nie patrzyłam na rzeczy z tego punktu.

— A niech pani spróbuje śledzić następstwa nieraz jednego słowa, jednego spotkania, wtedy cudowność faktów każe pani zapomnieć o wszystkich zmartwieniach. Tylko obawiam się, że jest pani jeszcze za młoda do takiej pracy. Dzisiaj sieję ziarnko w pani umyśle, kiedyś ono wejdzie, przyniesie owoce i bytność pani u Jana Noël nie będzie straconą.

— O! nie! nie zapomnę jej nigdy, niech pani będzie pewną.

Wyciągnęłam rękę. Młoda kobieta ścisnęła ją mocno, wolno, potem obejrzała się dokoła, popatrzyła dłużej na portret matki Gwidona, spuściła woalkę i skierowała się ku drzwiom. Ale przed przestąpieniem progu zwróciła się raz jeszcze i szepnęła głosem ciepłym, wzruszonym:

— Nie pozwól mu odjechać!.....

Stałam oczarowana jej pięknością, głosem i prześlicznem ułożeniem. Obecnie znałam dwie panie Maurionnes — tę z restauracyi Ritza kobietę sztuczną, wyrafinowaną kokietkę i tę drugą rozkochaną, która przyszła do mnie. Która z nich jest prawdziwą? sądzę, że ta ostatnia. Świadczy mi o tem jej obawa o Gwidona, ażeby nie popełnił szaleństwa, jej pragnienie zatrzymania go.

Przed wyjściem z biblioteki oczy moje skierowały się na portret Koletty — zdało mi się, że się uśmiechała — zazdrosna matka!

Zastałam Gwidona wpółleżącego na fotelu przed kominkiem z rękami podłożonemi pod głowę.

Nie dawał mi żadnych pytań, lecz całe popołudnie przyglądał mi się badawczo, chcąc odgadnąć wrażenie.

Wizyta pani Maurionnes była balsamem na jego zranioną dumę. Ani na chwilę nie wierzył, że przyszła ona tylko do Jana Noël. Bytność jej podniosła go w jego własnych oczach — widziałam to w jego ruchach i w tonie głosu.

Baczność przed reakcyą!

Paryż.

Doświadczam wrażeń po końce pulsów.

Odprowadziłam Gwidona na dworzec Lioński — pojechał ze stryjem Grzegorzem do Algieru, Tunisu i Hiszpanii. Jedynie zmiana atmosfery fizycznej i moralnej może go całkowicie uleczyć. Znając piękność i dobroczynny wpływ Afryki, doradziłam tę podróż, lecz gdyby nie polecenie Koletty czuwania nademną, byłby z pewnością pojechał do Alaski. Nie śmiał mnie opuścić, a ja w głębi duszy cieszyłam się z tego.

Kiedy pociąg ruszył i zaczęła znikać ta postać, stojąca we drzwiach wagonu, serce moje ścisnęło się, a kiedy zniknęła mi z oczu, doznałam uczucia ogromnej pustki.

Oto są cierpienia matek francuzkich! To dla uniknięcia tych cierpień trzymają one swych synów przy sobie, nie pozwalając im gdzieś daleko zdobywać cenne siły. Gdyby ćwiczyły się w wychowywaniu dzieci dla społeczeństwa — a nie dla siebie, były by zdolniejsze do ofiar. Sądzę, że miłość macierzyńska u ludzi zaczy-

nać się powinna od zaparcia się siebie, bo inaczej niczem nie będzie się różnić od zwierzęcej. Zresztą, cokolwiek mówią, jest ona najbardziej egoistyczną ze wszystkich uczuć. Czyż nie było mi przykro, że Gwidon nie potrzebuje więcej mojej opieki? Jego powrót do zdrowia dawał mi tysiące drobnych przyjemności i pragnęłam, ażeby stan ten trwał jak najdłużej.

W ciągu ostatnich ośmiu dni wszystkie popołudnia spędzałam przy ulicy d'Agnesseau z nim i stryjem Grzegorzem — piliśmy razem herbatę, jedliśmy obiad, czytaliśmy, dysputowali, graliśmy w bridge. Pani Myères była zupełnie szczęśliwą — znalazła się w swoim żywiole; Jan Noël był mniej zadowolony i co chwila ciągnął ją za suknię.

Dziś wieczorem za to uczuł jakby oswobodzenie się z więzów — usiadł radośnie przy biurku, na którem leżały pierwsze arkusze romansu, mającego wkrótce wyjść z druku, i przerzucał z zadowoleniem kartki rękopisu książki o Anglii. Zdawało się, że wziął w posiadanie „mateczkę“ Gwidona i nie myślał puścić jej prędko,

Dobrze zrobi!

Paryż.

Lady Randolphe od czasu do czasu donosi mi o zdrowiu swego męża. — Niestety! — Wiadomości nie są dobre!

„Struny jego głosu są tak porażone, że prawie nie słychać go“ — pisała do mnie. — „Nigdy nie mogłam stanąć na jednym z nim poziomie umysłowym, a teraz doznaję smutnej nadziei, że tylko ja jedna mogę go zrozumieć.“

Czyż nie jest to uczucie wyrazem prawdziwej, dobrej kobiecości?

Paryż.

Dzisiejsze popołudnie będzie może zaliczone do ważnych. Co to było?... Jedna chwilka tylko.

Od grudnia już moja mała przyjaciółeczka Józefina bierze lekcye ślizgania się i ogromnie jest zapaloną do tego sportu.

Wyraziłam chęć ocenienia jej postępów i te panie zabrały mnie z sobą do Pałacu Lodowego. Przybyłyśmy dość wcześnie.

Pani Lusson i ja siadłyśmy przy stoliku, a Józefina poszła

kazać założyć sobie łyżwy. Było jeszcze mało osób. Przyglądałam się z ciekawością jaśniejącej arenie. Jakaś postać kobieca, ubrana zupełnie czarno, zwróciła moją uwagę. W krótkiej spódniczce, w małym okładanym futrem żakieciku, z rękami w malutkim zarękawku, czyniła wrażenie cudownej harmonii. Gęsta woalka zakrywała jej twarz. Sposób jej ślizgania się był więcej niż sportem — było tam uczucie, namiętność, jakieś pragnienie szału i zapomnienia. Ta czarna postać, przelatująca samotnie po lśniącej, białej przestrzeni, jakby jakiś wielki ptak nocny, miała w sobie coś smutnego, tragicznego prawie.

Panna Lusson, wróciwszy z ubieralni z dobrze przymocowanemi łyżwami na nogach, wpadła w jednej chwili na ślad moich myśli.

— Ach! to cudowne! ona jest tu!

— Kto?

— Margrabina de Maurionnes, ta dama w czerni, która płynie, płynie i znika — odrzekła Józefina, śmiejąc się.

— Margrabina de Maurionnes? — zawołałam. — Jesteś tego pewną?

— Najzupełniej. Jest ona tu zwykłym gościem i doprowadza mnie do rozpaczy. Obok niej czuję się niezgrabną jak drwal. Ciekawam, o czem ona myśli, że tak może uniknąć strachu, ażeby nie upaść, a ja jestem nim skuta jak żelazem.

Gdy to młoda dziewczyna mówiła, podszedł do niej nauczyciel i podawszy rękę, poprowadził na lód.

Ślizganie się Józi było to zręczne, śmiałe ćwiczenie fizyczne. Kiedy wróciła, powinszowałam jej z serca.

— Niech pani patrzy na nią — powiedziała do mnie, wskazując na margrabinę. — Jaka zachwycająca zręczność! A! cóżbym dała, gdybym umiała tak ślizgać się.

— Nie pragnij tego — powiedziałam gwałtownie.

— Dlaczego?

— Bo byś nie była tą młodą dziewczyną, którą jesteś, a byłaby tego szkoda.

Józefina, oparta o poręcz krzesełka do ślizgania się, patrzyła ciągle na panią de Maurionnes.

— Czy pani ją zna? — spytała nagle.

— Trochę.

— Nie mogę się nią dosyć nazachwycać. Olśniewa mnie i drażni. Myślę, że gdybym była mężczyzną, zakochałabym się w niej do szaleństwa.

Nauczyciel znowu zabrał swą uczenicę.

— Pani dobrze trafiła — odezwała się pani Lusson — dziś są tu najlepsi łyżwiarze: baron B... i uczony łyżwiarz M. R... Nie znam się bardzo na tem, ażebym mogła ocenić to, co Józefina nazywa „ich pracą“, ale zdaje mi się, że dokazują oni cudów.

Ślizgawka powoli zapełniała się.

Byli tam mali chłopcy, młode dziewczęta i tłuste damy, ślizgające się dla schudnięcia. Bawiłam się porównywając poprawne, suche ruchy Anglików z pełnymi wdzięku i fantazyi ruchami Francuzów. Pod pierwszymi zdawało się, że lód popęka, drudzy jakby go głaskali tylko.

Każdy sport jest potrzebą natury. Ciekawam, do czego ten służy? Przyglądając się mniej lub więcej geometrycznym poruszeniom tych istot ludzkich, zapytywałam siebie, jakiego rodzaju przyjemności doświadczają oni?

W tej chwili Józefina podbiegła do nas i jakby w odpowiedzi na moje pytanie, zawołała:

— Ach jakie to cudowne! Łyżwy są jak skrzydła przy nogach.

Wypiliśmy wcześnie herbatę, ażeby wyjść przed przybyciem „lekkiej kawaleryi“.

Pani Lusson poszła do bufetu uregulować rachunek, a ja z Józefiną udałyśmy się do garderoby. Przy wejściu do niej spotkałyśmy się z panią de Maurionnes, która wychodziła z podniesioną woalką na twarzy.

Oczy jej spojrzały bystro na panią Lusson, potem na mnie, usta jej zadrgały i ze spuszczoną głową przeszła dalej... trwało wszystko chwilkę...

A ten wzrok jej chciwy, zazdrosny, zdał się mówić:

— Czy to dla Gwidona ta młoda dziewczyna?

Dla Gwidona?... Józefina?...

Suggestya, pochodząca od pani de Maurionnes, przeszyła mnie jak strzała.

Jej wzrok rzucił mi przed oczy dziwny obraz: długa, uciążliwa droga, a na końcu jej małe światełko... Co to ma znaczyć? Nie wiem, lecz tymczasem jestem mocno wzruszona.

Paryż.

Moja powieść ukazała się na pułkach księgarskich. Józia obeszła wszystkie bulwary i główniejsze ulice, ażeby ją zobaczyć w wystawach sklepowych, i z błyszczącemi radością oczami przybiegła do mnie.

— Pani! — wołała — jest u Achille'a i wszędzie, wszędzie!

Wiem, przez jakiś czas będzie wszędzie. Tytuł jej i moje nazwisko będą jaśniały w oknach wszystkich księgarń, we wszystkich dziennikach, będą o nich mówić, będą się spierać. Po parę razy dziennie będę otrzymywała żółte koperty z „Kuryera prasy", listy od przyjaciół i znajomych. Będzie to bardzo podniecające, jak mówią Amerykanie. Później szum ten, doszedłszy do punktu kulminacyjnego, zacznie uciszać się, a dłuższe lub krótsze trwanie jego zależy od powodzenia książki.

A od czegoż zależy to powodzenie? Czy od jej wartości? Nie, nie zawsze. Zależy głównie od rodzaju poruszanych kwestyj.

Powodzenie jakiegoś dzieła świadczy niechybnie o nastroju mas. Lecz twórcy jego są zwykle skazani na niebranie udziału we własnych tryumfach. Opatrzność, która ich wybrała dla prostowania dróg swoich, daje im tylko wewnętrzne zadowolenie.

Monticelli, sławny malarz impresyonista, musiał uciekać z Paryża od prześladowań krytyków i, nieznany, jak sama natura, zagrzebał się w jakimś kąciku Marsylii, swego miasta rodzinnego. Malował małe obrazki, wystawiał je na ulicy pod pierwszem lepszem drzewem i sprzedawał po piętnaście franków, a często nie mógł znaleźć nabywcy.

Pewnego dnia, popychany samopoczuciem swego talentu, pobiegł do jednego z kupujących, który się z artystą haniebnie targował, i powiedział:

— Pamiętaj, przyjacielu, że nie dla ciebie pracuję, tylko dla Francyi.

A właściwie wielki artysta pracował dla życia, dla wszechbytu...

U nas prawdziwa krytyka nie istnieje już, a u Amerykanów nie istnieje jeszcze.

Tam wydawcy przysyłają nowe książki do „reviwer'ów“ na ręce młodych dziewcząt, które, niedojrzałe na umyśle, piszą niewiadomo jak i niewiadomo o czem.

Z naiwnością oczekiwałam rad i wskazówek z artykułów literatów, którzy zajęli się krytykowaniem moich utworów. Z wyjątkiem dwóch, wszyscy ograniczyli się na podaniu mniej lub więcej dokładnego streszczenia moich powieści, a dla zaokrąglenia dodali kilka banalnych pochwał pod moim adresem.

Krytykowanie utworów literackich i dzieł sztuki nie powinno być dozwolonem pierwszemu lepszemu. Sąd, wypowiedziany przez takiego pana, nieznającego się na rzeczy, może od razu zrujnować lub zabić człowieka.

Ażeby uzyskać prawo cenzury, krytycy, tak samo jak członkowie magistratu, powinni zdawać egzaminy „ad hoc“, powinni udowodnić, że posiadają potrzebny zapas wiadomości, że zdolni są do oceniania innych. Dobrym krytykiem według mnie będzie ten, kto zadowolni się rozbiorem budowy i stylu dzieła, a uszanuje koncepcyę autora; ten, kto zrozumie, że w najsłabszym nawet utworze znajdzie się coś dobrego i potrafi to „coś“ na światło wyprowadzić; ten w końcu, kto nie będzie pisał krytyki na gorąco, nie będzie sądził pod pierwszem wrażeniem dzieła, którego stworzenie kosztowało może wiele miesięcy pracy. Toby była sprawiedliwość!

Sprawiedliwość!

Niestety! nie posiądzie jej ziemia, dopóki nie wkroczy w swój „wiek złoty“, dopóki rozwój jej nie dojdzie do szczytu swej potęgi.

Z przerażeniem i zachwytem patrzę na te tomy, przysłane mi przez księgarzy. Biedne książeczyny w żółtych okładkach! Przeznaczeniem ich jest rozsiewać wszędzie, jak najdalej myśli, wyobrażenia i uczucia, zrodzone pod moją czaszką — muszą odbić je w innych mózgach. Po co? Nie wiem.

Na świecie istnieją obecnie trzy małe akumulatory, które energię swoją przelały w moją duszę.

Daj Boże, aby zrodziła ona dużo życia, dużo dobrego...

Paryż.

Z każdą pocztą przychodzą listy od Gwidona i są one dla mnie jakby promykami słońca. Palce moje wyczuwają je doskonale. Jest w nich tyle czułych, ciepłych słów.

Czułych słów!

Nie przypuszczałam, że będę je miała jeszcze zwrócone ku sobie kiedykolwiek.

Gdyby mi rok temu powiedziano, że znajdzie się ktoś, nazywający mnie „drogą, ukochaną mateczką" i że tym kimś będzie syn pana Myères, wybuchnęłabym oburzeniem. Tymczasem niewidzialne siły Opatrzności pracowały nad zrobieniem mi tej niespodzianki.

Gwidon w listach swych stara się być wesołym, lecz nie oszuka mnie.

O! znam dobrze obecny stan jego duszy!

Patrzy na morze, na góry, na piękne widoki, a wciąż widzi tylko ją, panią Maurionnes, widzi jej zagadkowe oczy i miłosne usta.

Wspomnienie zdrady rani jego serce, mrozi wszelkie porywy i z pewnością biedny chłopak zadaje sobie te straszne trzy pytania: gdzie? kiedy? jak?

Dzięki rozpaczliwemu wysiłkowi wyobraźni widzi i słyszy wszystko... W gardle mu wysycha, a ogień pali serce. Z każdej wycieczki wraca do hotelu z tem przeświadczeniem, że natura jest oszustwem, że życie nie posiada nic, dla czegoby warto było żyć.

O! jak to boli!

Co do mnie, rozumiejąc to wszystko, nie przestaję jednak myśleć o jego małżeństwie z Józefą.

Co za wspaniała byłaby z nich para!

Chciałabym połączyć te dwie siły, wlać w nie życie.

Lecz czy Gwidon jest w stanie pokochać dzisiaj kogo?

Może.

Boleść robi człowieka bardziej uczuciowym, a w dwudziestym szóstym roku kocha się miłość.

Kobieta zdolniejszą jest wyjść za mąż w pierwszym roku wdowieństwa, niż po wielu latach.

Czyż Chopin nie zakochał się w George Sand od pierwszego

wejrzenia w sześć miesięcy po rozłączeniu się z dziewczyną, którą ubóstwiał?

Ten fakt psychologiczny, czy fizyologiczny, dodaje mi otuchy.

Paryż.

Randolphe'owie wyjechali z Torquay i wrócili do siebie. Na prośbę sir Williama posłałam mu rękopis mojej nowej książki — pragnął przeczytać ją „przed odjazdem". Obecnie przysłał mi jej ocenę, która sprawiła mi wielką przyjemność.

Między innemi mówi: „You have been quite fair" — jesteś pani cudownie sprawiedliwą, a to tem dziwniejsze, że przymiot ten rzadko posiadają kobiety. Naturaliści przez grzeczność prawdopodobnie przemilczają o tym rysie ich charakteru; ja jestem mniej dyskretny i podkreślam go.

„Niektóre rozdziały z pani utworu zostały napisane tylko dzięki jej pobytowi w Simley Hall — jestem tego pewien. Czyż ja byłbym jednym z czynników? Myśl ta napawa mnie szczęściem i dumą.

„Poglądy pani mają wiele dobrego".

Później, kończąc list, pisze:

„Jak pani wiadomo, nie posiadam już wcale głosu, co ogromnie niepokoi Freddy'a. Bez ustanku spogląda na mnie pytającemi oczyma, jakby chciał odgadnąć, czy się nie gniewam — muszę uspokajać go pieszczotami. Niemy pan — to musi być smutne dla psa — jak pani myśli?"

Biedny Sir William!

Zawezwał do siebie syna, córkę i wnuki — zgromadzili się wszyscy na jego żądanie.

Czyżby czuł, że zbliża się godzina apelu?...

Paryż.

Możnaby sądzić, że Opatrzność przemyśliwa nad urządzaniem niespodzianek Janowi Noël.

Wczoraj byłam na obiedzie u państwa Lusson.

Kiedyśmy zjedli zupę, ojciec Józefy zapytał mnie nagle:

— Czy państwo Myères, byli właścicielc zamku Chavigny w Chez, są pani krewnymi?

Pytanie to spadło na mnie tak niespodziewanie, że wypuściłam z rąk widelec.

— Bardzo blizkimi — odrzekłam, siląc się na uśmiech — bo byli to mój mąż i ja. W Chavigny przemieszkaliśmy lat piętnaście.

Gospodarze moi wydali okrzyk zdziwienia.

— Przepraszam najmocniej — zaczął pan Lusson z zażenowaniem — powinienem się był pierwej dowiedzieć.

— Niech pan będzie spokojny, nie stało się nic złego. Ale dlaczego się pan o to pyta?

— Nic, nic.

— Proszę, chcę wiedzieć koniecznie, zaciekawił mnie pan.

— A więc dobrze. Zamek Chavigny jest znowu do sprzedania. Właściciele obecni, ludzie prości, jak się zdaje, nie potrafili zżyć się ze swymi sąsiadami i chcą sprzedać i wyjechać z kraju. Tej jesieni zaproponowano mi kupno. Pojechaliśmy obejrzeć i Józia tak się zachwyciła, że prosi mnie, abym jej posag ulokował na tych dobrach.

— Pani droga! — odezwała się nieśmiało dziewczyna — nie mogłam tego przewidzieć...

Wzięłam ją za rękę i, uścisnąwszy serdecznie, powiedziałam:

— Nie obawiaj się przykrości dla mnie. Szesnaście lat już upłynęło, jak wyjechałam ztamtąd, i obecnie mam zupełnie „nową" duszę. Miejsce to jest dla mnie pustem gniazdem, w którem noga moja nigdy nie postanie. Po za tem nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, jak żebyś ty została właścicielką tego kąta. Z tysiąca wybrałabym ciebie.

Twarz dziewczęcia zajaśniała radością.

— Słyszysz ojcze? — zawołała.

— Słyszę — odparł pan Lusson z żartobliwym uśmiechem.

— Więc bardzo ci się podoba Chavigny? — spytałam.

— Podoba się, to za mało. Pokochałam od pierwszej chwili te stare aleje bukowe, ten las nadający tło, ten prześliczny ganek!

Ganek! Wyraz ten przypomniał mi spowiedź Koletty... oblałam się rumieńcem... tak, zarumieniłam się jeszcze...

— Nie przestaję o niem marzyć — mówiła dalej Józefa.

— I mówić — dodała pani Lusson.

— Dziś rano otrzymałem list od mego notaryusza — powiedział pan Lusson. — Zdaje się, że będzie można dokupić trzy fermy w okolicy i w ten sposób zrobić prześliczną całość.

— Niech pan to zrobi, niech pan to zrobi koniecznie — zawołałam z ożywieniem. — Będę czuć za to szczególną wdzięczność.

— Postaram się. Może zresztą pragnienie zamieszkania w Chavigny zachęci pannę Józię do wyjścia za mąż, a wtedy mielibyśmy ją bliziutko siebie.

Młoda dziewczyna przyłożyła dwa palce do ust i posłała ojcu pocałunek.

Po obiedzie długo jeszcze rozmawialiśmy o zamierzonem kupnie i sądzę, że dojdzie ono do skutku, tem bardziej że pan Lusson ma syna z pierwszego małżeństwa, któremu chciałby zostawić Commanderie de Rouziers. Gniew mój zrobił mnie obojętną dla Chavigny...

Obojętną? Nie, pamiętam, jak ucieszyła mnie wiadomość, że dostanie się ono w ręce ludzi ciemnych, którzy nie potrafią ocenić jego piękna, a nawet może oszpecą je. Zdawało mi się, że tym sposobem zrobi się przykrość panu Myères.

Byłam wstrętną!

Obecnie małżeństwo Gwidona z Józefą wprowadziłoby syna pana Myères do rodzinnego gniazda.

Czy spełni się ta cudowna rzecz?

Niestety! nieznane siły, którym ulegamy, pchają często naszą łódź ku upragnionemu brzegowi, lecz często także, bez widocznej przyczyny, zmieniają raptownie kierunek i prowadzą ją w stronę przeciwną.

Paryż.

Biedny Gwidon!

Poznałam przyczynę jego zerwania z panią Maurionnes.

Przypadek, nie, nie przypadek, lecz jak zwykle Opatrzność — zawsze ona — odkryła mi tę tajemnicę, której on wyjawić nie mógł.

Dziś po południu poszłam sama na herbatę do Ritza.

W pierwszej sali było tylko jedno miejsce wolne pomiędzy drzwiami i kominkiem. W braku innego — zajęłam je

Przy sąsiednim stoliku siedzieli dwaj starzy, znani światowcy.

— Powodzenie! — mówił starszy, zapalając cygaro — co za blaga! Nie istnieje ono i nie istniało nigdy... I ja nie byłem kiedyś gorszym od innych...

— Byłeś nawet lepszym.

— Nie! Ale w końcu wyobrazić tylko... E, mój drogi! płaciłem słono za wszystko nawet wtedy, kiedy suknie nie kosztowały dwustu luidorów. Dzisiaj, kiedy kobiety przystrajają się biżuteryami jak bizantyńskie imperatorowe, budżet tych dam stał się tak samo chwiejnym, jak tamtych z półświatka, a i jedne i drugie w ten sam sposób pokrywają deficyt. Cóż chcesz, nie mają wyboru.

W tej chwili margrabina de Maurionnes przeszła przez halę.

Książę D... oczami pokazał ją swemu towarzyszowi i powiedział przyciszonym głosem:

— Książę K... musi wiedzieć, ile go kosztuje to „powodzenie".

— Czy naprawdę sądzisz, że ona się puszcza?

Ten żargonowy wyraz, tak dosadnie malujący rzecz, zastosowany do osoby, którą znałam, zrobił mi ogromną przykrość.

— Nawet galopem! — odrzekł zapytany. — Mąż jej wypłaca rentę z sześćdziesięciu tysięcy franków, a ona wydaje co najmniej trzysta tysięcy rocznie. Patrz, w tej chwili ma na sobie kołnierz z czarnych lisów, który mógłby być posagiem dla przeciętnej mieszczki i którego zazdroszczą jej najbogatsze damy. Jest to podarunek księcia.

— No! gdyby cię słyszał Hauterive! Ten ma szczęście!

— Ba! Świat nasz jest tak zepsuty, że trudno znaleźć miejsce do postawienia nogi, ażeby uniknąć błota. Doprawdy i mnie i innych mógł już chyba słyszeć — wszyscy przecież o tem mówią.

— Kto wie, może właśnie dowiedzenie się o tem było przyczyną choroby mózgowej, jaką przebył.

Książę D. ścisnął ramionami.

— Poznał życie, jak myśmy je poznali; daje ono często zbyt bolesne lekcye.

Powiedziawszy to, obaj ci panowie wstali i wyszli z sali.

Biedny Gwidon! Jakąż straszną burzę musiało w nim wywołać podobne odkrycie!

Oto dlaczego o mało nie owładnęła nim gorączka złota — widok kołnierza z czarnych lisów nie dawał mu spokoju.

Margrabina była jego pierwszą miłością — kochał w niej nie tylko kobietę, lecz także wielką damę; wierzył w nią silniej niż w Boga. Czyż nie mówił:

— Jeżeli bogini, którą ubóstwiam, jest fałszywą — nie ma prawdy na świecie.

Co do margrabiny — nie mogłam nie żałować jej.

Po rozwodzie z mężem przez ambicyę i brawurę żyła dalej na tej samej stopie, jak kiedy była księżną Longwy. Zupełnie samotna musiała stawić czoło światu, w końcu walka ją zmęczyła i wpadła w powikłania, o których mówiła. Honor, szczęście i spokój opuściły ją na zawsze.

Teraz musi bardzo cierpieć. A może nie jedna kobieta uboga, patrząc na nią, przejeżdżającą we wspaniałym powozie, myśli z goryczą w sercu:

— Oto jedna z tych, którym się wiedzie na świecie...

Paryż.

Po dniach smutku przychodzą zwykle dni wesela — wieczna gra światła i cieniów.

Pani Lusson oddała powóz do rozporządzenia swej córce i Józefa zabrała mnie do lasku.

Jazda powozem z osobą blizką i sympatyczną ma dla mnie dziwny urok. Wązki przedział napełnia się elektrycznością, oczy szukają się wzajemnie, głos nabiera miękkości, słowa płyną głębsze i szersze. Ma się wrazenie idealnego sam na sam, a że ma się je na ulicy, wśród gwaru i zgiełku, sprawia to prawdziwą przyjemność.

Im bardziej zbliżaliśmy się do Łuku Zwycięstwa we mnie wstępowało jakieś ożywienie, jakgdyby moja towarzyszka udzieliła mi nieco siły swej młodości.

— Lubię tak mieć panią tylko dla siebie — mówiła — przynajmniej możemy porozmawiać.

I rozmawiałyśmy.

Uczyłam ją patrzeć na życie niezależnie od wszelkich formułek, z tego punktu, na którym sama stałam.

Widziałam w jej oczach blaski zachwytu i z lubością słyszałam słowa:

— Nigdy tak nie myślałam... teraz widzę... widzę...

Lasek wydał mi się dzisiaj cudownym. Jakaś siła biła od pączków na drzewach, a dokoła królowała cisza, przerywana tylko trwożliwemi nutami miłości.

Lekki, łagodny wietrzyk muskał gałęzie i źdźbełka trawy, jakby chcąc przyśpieszyć zmartwychwstanie.

Dobrze jest być drzewem na wiosnę — myślałam.

Natura posiada także swoje momenty psychologiczne — ten był jednym z takich.

Cieszyłam się, że go podpatrzyłam.

Od wspomnień z mych przejażdżek, odbywanych nieraz z Gwidonem, przeszłam do myśli o pannie Lusson.

— Dlaczego nie mówisz mi nieco o Chavigny? — zapytałam. — Czy cała ta sprawa utonęła?

— O nie, przeciwnie, jest na bardzo dobrej drodze, z czego się cieszę ogromnie.

A potem ciszej dodała:

— A może nie powinnam okazywać tego wobec pani?

— Ależ owszem, moje dziecko. Gdyby kto inny miał je dostać, byłabym bardzo zmartwiona.

— A ja! — wykrzyknęła dziewczyna szczerze.

Nagle twarz jej przybrała wyraz poważny.

— Boję się bardzo, że nie będę mogła wyjść za mąż, a rodzice tak tego pragną.

— Czy myśl o małżeństwie nie jest ci sympatyczną?

— Przeciwnie, pragnęłabym bardzo mieć dozgonnego przyjaciela, ale chciałabym, żeby on był przyjemny.

— To rozumiem.

— A ci wszyscy, których mi przedstawiono, są wprost antypatyczni.

— Bo żaden z nich nie jest „the right man“ —twoim przeznaczonym.

— Więc po cóż Opatrzność zadała tyle trudu tym wszystkim starym damom?

— Ażeby je rozruszać. Tkanina życia jest gęstą i wierz mi każde jej włókno ma swoje przeznaczenie. Gdy przyjdzie ten, który ma zostać twoim mężem, pokochasz go, chociażby nie posiadał ani jednego z upragnionych przez ciebie przymiotów.

Tego się obawiam. A zresztą, kto wie, może sądzono mi, jest pozostać starą panną.

— Nie wyglądasz na to.

— Tem lepiej — powiedziała dziewczyna ze szczerością która robi ją takiem miłem, jedynem stworzeniem. — A jednak nawet to wydało by mi się mniej przykrem, niż zostać żoną któregokol wiek z tych znajomych panów.

— Sądzę, że nie szukasz jakiejś doskonałości?

— Broń Boże! Istoty mniej doskonałe są zwykle bardziej interesujące.

— Wybornie!

— Pragnę przedewszystkiem, ażeby mąż mój był człowiekiem eleganckim w całem znaczeniu tego wyrazu, człowiekiem światowym, ale wcale nie światowcem, ażeby miał postawę szczerą i umiał zwalczać przeciwności.

— To bardzo rozsądnie — powiedziałam, uśmiechając się.

— Ażeby miał usposobienie wesołe, ażeby posiadał zamiłowanie do życia szerokiego, czynnego; ażeby czuł potrzebę stania się użytecznym bliźnim i ojczyźnie. Czyż to tak bardzo wiele?

— Bynajmniej... a cóż dalej?

— Chciałabym, ażeby był obdarzony wielką intuicyą, ażeby posiadał poczucie natury i sztuki i ażeby interesował się wszystkiem... wszystkiem...

Tryumfowałam!

Zdawało mi się, że Gwidon odpowiadał wszystkim tym wymaganiom.

— Są to niezbędne pierwiastki szczęścia — szczęścia zdrowego — powiedziałam zachwycona. — Możesz je znaleźć.

— Ale nie pomiędzy tymi z naszego świata. Ci wszyscy panowie są źle wychowani, niezgrabni, odbierają nawet ochotę do tańca. Wróciwszy z balu, powtarzam sobie zawsze: jakie to było nudne!

Roześmiałam się.

— A wie pani — niedawno jeden z młodych ludzi mówił ze mną o pannach i powiedział to samo. Co do mnie, ja panien nie potępiam, bo to nie ich wina. Wychowanie dzisiejsze uczy je odczuwać życie, ale nie pozwala przyjmować w niem udziału. Wiele z nich posiada szlachetne popędy, pragnie robić dobrze, lecz na wszystko odpowiadają im jedno: poczekaj, jak wyjdziesz za mąż? Tym sposobem dziewczęta nasze zmuszone są zajmować się tylko gałgankami, albo niczem. Próżnowanie zabija je. A wszystko to, widzi pani, pochodzi stąd, że matki boją się zerwać z rutyną. Mogę mówić to śmiało, bo i moi najbliżsi robili w tym kierunku tylko tyle, ile na to pozwalały nasze zwyczaje. Dwa lata temu, będąc w Simley Hall zazdrościłam dziewczętom angielskim ich życia czynnego, ich koleżeńskich stosunków z prawdziwymi młodymi ludźmi. Wszystkie one mają szkoły, kluby, jakieś zajęcie. Wszystkie robią coś.

— A dlaczegoż nie naśladujesz ich?

Józia popatrzyła na mnie, zawahała się chwilę, a potem powiedziała z miłym uśmiechem:

— Powierzę pani tajemnicę — jest nas sześć obecnie, które „coś“ robimy.

— No! jakaż to przyjemna nowina! A cóż wy robicie?

— Tak. Moja najlepsza przyjaciółka, Janka Montfort, starsza odemnie — straciła ojca. Otrzymawszy swój dział, stworzyła sobie wspaniałą rodzinę, przygarniając do siebie dwanaście biednych dziewcząt, biednych, opuszczonych kociaków. Wychowuje je swoim kosztem, ulokowawszy w małym domku w ogrodzie, który wynajęła w Neuilly. Pewna dama szkocka ofiarowała jej swoje współpracownictwo i jest dozorczynią tych dzieci. Przy pomocy jednej bony, pani Ardoch, daje sobie rady doskonale. Nie może pani wyobrazić sobie nic milszego nad owo home. Od dołu do góry czuć tutaj upodobanie i kierunek dwóch ladies.

— A któż uczy te dzieci?

— Chodzą do szkoły. O ósmej rano dziewczątka te dostają śniadanie i robią w domu porządek pod kierunkiem bony. Moja przyjaciółka nie zaniechała niczego, ażeby zrobić im miłem to ognisko rodzinne. Pani Ardoch nazywa się mamą Mary, a panna Montfort mama Janką. Cztery inne panienki i ja jeździmy do Neuilly we czwartki i w niedziele i dajemy lekcye gimnastyki i śpiewu. Prócz tego przeglądamy bieliznę i ubrania, ażeby się przekonać, czy czego nie braknie. Potem chodzimy do Bon Marché i kupujemy resztki, jak jakie praktyczne mieszczki. To takie zabawne! A drą porządnie te małe okruszyny! — dodała Józia z macierzyńskiem zadowoleniem. — I wie pani — mówiła dalej — ile razy szyjemy coś dla nich, palce nasze dziwnie się rozgrzewają; a może to tylko złudzenie.

— Nie, nie! doznaję tego samego, robiąc swoje nędzne szaliki dla biednych. Jest to rodzaj elektryczności, może fluidu braterstwa — któż to wie! Kiedyś uczeni odkryją wiele jeszcze ciekawych zjawisk. A jak przyjęły to wasze rodziny?

— Jak najgorzej. Panna Montfort musiała dużo walczyć. W końcu zwyciężyłyśmy i musiano uznać, że robimy dobrze. Obecnie nasze matki są nawet dumne z nas, a co najzabawniejsze, to, że szczycą się swym liberalizmem i naszą emancypacyę poczytują za swoją zasługę. Panna Montfort była rzeczywiście pionierką — za nią poszły inne. A wie pani, ja mam także czterech chłopaków w Pouziers — dodała Józia, rumieniąc się.

— I nigdyś mi o tem nie mówiła, ty skryte stworzenie?

— Nie warto było.

— Któż się nimi opiekuje?

— Moja stara guwernantka, Angielka. Opuściła mnie dla nich i wychowuje ich znakomicie. Jak wyjdę za mąż — dodała młoda dziewczyna żartobliwie — będę miała dwunastu. Potem ja i Janka pożenimy nasze dzieci. Jedna z moich koleżanek chce spróbować wychowywać chłopców i dziewczynki razem. O! my mamy świetne projekty!

— Sądzę, że wprowadzicie je w czyn, zostawszy mężatkami — powiedziałam wesoło.

— Ale może nie znajdziemy mężczyzn, mających odwagę

ożenić się z filantropkami. W każdym razie dałyśmy sobie słowo wychodzić tylko za takich, którzy potrafią zainteresować się naszem dziełem. Postanowiłyśmy nie dać się oderwać od niego. Żona oddana tylko mężowi — to za mało!

Uśmiechnęłam się przez łzy, które napełniły mi oczy. Czy równocześnie z tym widokiem wiosny widzę także ewolucyę, mającą nam dać prawdziwe matki? Daj Boże!

Nie dzieci potrzebuje dziś Francya, lecz matek...

Paryż.

Powrót Gwidona i stryja Grzegorza sprawił mi taką przyjemność, o jakiej już nie marzyłam na tym świecie.

Od czternastu lat już nie oczekiwałam na nikogo, zapomniałam o rozkoszy witania.

Rano, w dzień ich przyjazdu, poszłam na ulicę d'Agnesseau, ażeby przekonać się, czy wszystko jest w porządku i zanieść bukiet kwiatów. Byłam zdumiona widokiem życia, panującego w ogródku, który przed dwoma miesiącami zostawiłam cichym i ponurym. Na sykomorach były liście i ptaki, lilie rozwinęły swe cudowne kielichy, krzaki różane jaśniały pączkami, a dokoła murów, obrośniętych bluszczem, tuliły się fiołki i pierwiosnki. Na ganku owiało mnie świeże, pełne aromatu powietrze.

Rzecz dziwna, jak ja lubię wiosnę! Zdawało by się, że jest pierwszą lub ostatnią ta, na którą patrzę. Zdaję sobie sprawę, że to nagromadzenie sił przeróżnych służy do odżywiania ludzi, a życie ludzkie zasila życie wszechświata. Mam przeświadczenie, że rzeczywiście udziałem naszym jest wieczność.

Ludwik oprowadził mnie po całem mieszkaniu i musiałam go pochwalić za porządek, jaki w niem panował. Dnia poprzedniego przyniesiono bieliznę stołową, zamówioną przezemnie; przeglądałam ją z dziecięcą radością, a zapach surowego płótna, przypominający gospodarstwo, sprawiał mi prawdziwą rozkosz.

Tu i ówdzie porozstawiałam przyniesione przezemnie kwiaty.

Obudzało we mnie zazdrość to małe mieszkanko parterowe, tak wesołe w tej porze roku, a wygodne w zimie, oświetlone blaskami zachodu. Pragnęłabym w tej jego ciszy dokonać żywota.

Ludwik wtajemniczył mnie w niespodziankę, jaką przygotował swemu panu. Oto przez cały czas nieobecności jego chodził do Pauharda i kształcił się na kierownika samochodu — nie chciał siedzieć bezczynnie, kiedy pan jego przebywał tak daleką drogę. Zamiłowanie do mechaniki ułatwiło mu zadanie i wkrótce poznał rzemiosło dokładnie.

Sprawiłam mu wielką radość, zaproponowawszy, ażeby wstąpił po mnie, jadąc na wybrzeże d'Orsay. Popychany niecierpliwością, zjawił się o pół godziny za wcześnie.

Przechadzając się po peronie, byłam dumną, że i ja na kogoś czekam. Dokąd nie sięga próżność ludzka! Kiedy pociąg przybył na stacyę, szukałam chciwie moich podróżnych; nagle poczułam, jak czyjeś ręce objęły mnie za szyję, a niezapomniany głos odezwał się:

— Dziękuję ci mateczko — ciebie widzieć pragnąłem najbardziej.

Niestety! to nie mnie, biedne dziecko!

Stryj Grzegorz przywitał się ze mną tak serdecznie, jak to on tylko umie. Chrześniak mój ucieszył się bardzo, ujrzawszy swój samochód, a jeszcze bardziej, widząc Ludwika w roli kierującego.

— Byłeś zazdrosny o mego palacza, co? — powiedział, uśmiechając się.

— Ma się rozumieć — odparł sługa, czerwieniąc się.

— Łotr!

Ton, jakim był wymówiony ten epitet, uczynił go zupełnie przyjacielskim.

Naturalnie obiad zjedliśmy razem przy ulicy d'Agnesseau, a potem do późna rozmawialiśmy. Miłe są te wylewy serca i umysłu po dłuższem niewidzeniu się.

Gwidon wrócił zupełnie zdrów, ale zmienił się ogromnie. Znikł z jego twarzy ów piękny kwiat młodości! Zeszczuplał — przez co wydał mi się jeszcze wyższym —i zestarzał się o lat dziesięć. Rysy jego, jakby pod dotknięciem dłuta, wykończyły się i wycieniowały. Usta, na których uśmiech pojawiał się teraz rzadko, miały wyraz stanowczości i uporu. Cała postać nabrała

więcej charakteru. I oto zmianę tę wykonała natura przy pomocy sił niewidzialnych, zwanych boleścią! Wszystko to zrobiło go jeszcze bardziej podobnym do pana Myères — co chwila doznawałam silnego wrażenia.

Staram się o ile mogę zmniejszyć jego cierpienia, tłumacząc mu, stosownie do życzenia pani Maurionnes, że zdarzają się czasem w życiu powikłania, trudne do zwalczenia. Rozmowa, której byłam świadkiem, pozwalała mi być zupełnie szczerą.

Gwido garnie się do mnie jak dziecko. Prawie codziennie przychodzi na obiad do hotelu Castiglione. W każdą niedzielę wozi mnie na spacer samochodem, a potem zabiera do siebie na herbatę.

Wczoraj, gdy byłam u niego, pokazał mi dwie fotografie, moją i pana Myères, stojące obok siebie.

Zarumieniłam się ogromnie.

— Zkąd wziąłeś te fotografie? — wybąknęłam.

— Zdobyłem je nie bez trudu od stryja Grzegorza i to pod warunkiem, że każę odbić.

Ja w trzydziestym ósmym roku życia! — włosy ciemne, gęste, czesane do góry; oczy pełne szczęścia, na ustach tryumfujący uśmiech, twarz bez zmarszczek, owal zupełnie czysty!

Fotografia ta przedstawiała moje popiersie i dzięki temu, a z drugiej strony dzięki mistrzowskiemu krojowi Worth'a, uwydatniającemu doskonale klasyczne linie figury, nie wyglądałam wcale na starożytność. I rzecz dziwna! pomimo natłoku myśli i wspomnień, nie omieszkałam zauważyć tego i ucieszyć się.

— Zkąd ci przyszła taka fantazya? — zapytałam wzruszona.

— Ojciec chrzestny był taki osamotniony! Złączyłem was tak jak jesteście złączeni w moich uczuciach. Czyż nie zrobiłem dobrze? — zakończył młody człowiek, patrząc na mnie badawczo.

— Bardzo dobrze — odrzekłam głosem pewnym.

Gwidon wziął fotografie, które mu podałam, i pocałował mnie w rękę.

On nas połączył! On!

O! wielka, słodka, okrutna ironio!

Paryż.

Od wczoraj zamek Chavigny jest własnością mojej przyjaciółeczki Józi.

Jan Noël jest tem zachwycony.

Kiedy dziś wieczorem powiedziałam o tem Gwidonowi, podskoczył na fotelu i zmienił się na twarzy.

— Chavigny było do sprzedania i nic mi o tem nie powiedziałaś mateczko! — wykrzyknął z wyrzutem.

Opowiedziałam mu, w jak dziwaczny sposób dowiedziałam się o tem.

Młody człowiek przebiegał salon cały wzburzony.

— Chavigny do sprzedania! Gdybym był wiedział... byłbym napewno kupił!

— Po co? — zapytałam, ulegając jakiejś przewrotnej chęci

Gwidon stanął przedemną i spojrzał z wyrazem, który mnie zatrwożył.

— Jakto, po co, mateczko? po to, ażeby nie wpadło w ręce obce.

— Czyż je pamiętasz?

— Czy pamiętam! Miałem przecie dziesięć lat, kiedy byłem tam ostatni raz i wtedy ojciec chrzestny uczył mię strzelać w lasku nad rzeką.

Momentalnie wyobraźnia przedstawiła mi obraz pana Myères z tym młodym chłopcem, który był jego synem. Wzruszenie ścisnęło mi gardło.

— Ach!... nigdy mi o tem nie mówiłeś!

— Nie... bo to miała być wielka tajemnica pomiędzy nami dwoma—powiedział Gwido, śmiejąc się. — Będzie temu cztery lata, bawiąc w Chavigny, chciałem odwiedzić zamek, krążyłem dokoła niego jak złodziej. Wyglądał opuszczonym, źle utrzymanym, odrazu można było poznać, że ci, co w nim zamieszkiwali, byli intruzami... i wtedy dałem sobie słowo odkupić go, jeżeli tylko to będzie możliwem.

— Ale przecież nie mógłbyś mieszkać tak samotnie, a ponieważ nie myślisz żenić się...

Gwido wyjął cygaro z ust i zaczął się śmiać.

— Ja żenić się. Niecho Bóg broni. Wyrzekł bym się raju dla uniknięcia tego ryzyka... Ty, mateczko, mieszkałabyś ze mną w Chavigny. To wyrwało by ciebie z tego życia hotelowego. W okolicy są tam tysiące i tysiące hektarów ziemi, z których można wybrać coś pięknego. Sądzę, że udało by się stworzyć wspaniałą siedzibę. Co za cudowne marzenia!

— Marzenia dziecinne, mój przyjacielu. Żadna siła nie zmusiłaby mnie do przyjęcia gościny w domu, w którym sama przez tyle lat świadczyłam ją innym. A zresztą, nie ma o czem mówić — Opatrzność inaczej rozporządziła.

— Opatrzność! Opatrzność! nie dziękuję jej wcale. Mogła by więcej pamiętać o mojem istnieniu i moich prawach.

— Twoich prawach? — powtórzyłam drżąca.

Gwidon zaczerwienił się.

— No tak, jest to sposób wyrażania się. Ponieważ szwagierka twoja, mateczko, umarła bezdzietnie i nie ma nikogo więcej z rodziny, ja, jako syn chrzestny i kuzyn, mógłbym być spadkobiercą. Jestem pewny, że ojciec chrzestny pragnął tego. On kochał mię bardzo... bardzo... ty wiesz...

— Wiem, wiem — odrzekłam szorstko.

— Powiedz, mateczko, — odezwał się po chwili Gwidon, — czy pan Lusson nie odstąpił by mi swego kupna, gdybyś go o to poprosiła?

— To niepodobna, tem bardziej że interes jest bardzo korzystny. A nawet gdyby on się zgodził, córka zaprotestowałaby. Ona jest zachwycona Chavigny i nie dawała rodzicom spokoju, dopóki nie ulokowali na niem jej posagu. Co do mnie, cieszę się, że dostało się ono w takie ręce jak jej. Ona się na niem pozna i wróci mu dawną piękność.

— Ale może poślubić jakiegoś kretyna, który się tem wcale nie zajmie.

— Jestem o to spokojna, wiem, że nie poślubi kretyna.

— Czy lubi wieś?

— Ogromnie.

— To jakiś fenomen!—powiedział Gwido ironicznie.

— Nie, ale panna Lusson ma w sobie krew angielską i ir-

landzką i ztąd czuje potrzebę fizycznego czynu i świeżego powietrza. Czyż nie jest to cudownem, że sir Randolphe, cudzoziemiec, wprowadził mnie w stosunki z przyszłymi właścicielam-Chavigny?

— Było by mniej cudownem, lecz sprawiedliwszem, gdybym ja został tym właścicielem — odrzekł młody człowiek widocznie zgnębiony. — Panna, kupująca majątek ziemski! Czy można to sobie wyobrazić! — dodał przez zaciśnięte zęby.

Rasa!

Głęboka, święta rzecz ta dusza duszy! Widzę ją! ona to cierpiała w synie pana Myères, ona protestowała, ona wreszcie występuje obecnie w obronie gniazda rodzinnego.

Zmartwienie, jakiego doznał Gwidon, może wprowadzi go na na drogę szczęścia — kto wie! Pomimo woli będzie teraz myślał o dziedziczce Chavigny, może ze złością, ale będzie myślał. Niepodobieństwem jest, ażeby go nie zaciekawiła.

Przed wyjazdem zostawił kartę u państwa Lusson, dziękując im za pamięć o nim podczas choroby. Muszę ich bliżej zaznajomić, za dobrze jestem z tym domem, ażebym dłużej mogła zwlekać.

Kiedy mówię o moim chrześniaku — a zdarza się to często — Józia słucha z przejęciem; słowa moje robią na niej wrażenie.

A może to tylko złudzenie!....

Wiele zależy od pierwszego spotkania się.

Jeżeli bogowie pragną tego małżeństwa, to potrafią wskazać mi godzinę i miejsce najodpowiedniejsze.

Paryż.

Znowu grób na mej dredze!..... Było ich już tyle!....

Sir William Randolphe nie żyje.....

Czuję z oddali boleść jego blizkich, nawet Freddy'a, czuję pustkę, wytworzoną jego nieobecnością w tym domu, który on wypełniał całkowicie. A nadewszystko czuję, że straciłam kogoś.

Czy te dwa krótkie spotkania mogły nas złączyć tak silnie?

Czy, kiedy zeszłego roku podszedł do mnie na werendzie z żartem na ustach, to było pierwsze nasze spotkanie? Kto wie Ach! kto wie!

W wilię śmierci przechadzał się po parku i ostatni wieczór spędził w obserwatoryum w towarzystwie syna. Ostatnia noc była ciężka, bez snu. Rano nie mógł wstać o zwykłej godzinie — czuł się zmęczonym.

O musiał nim być!

Zaraz po śniadaniu lady Randolphe przyszła do niego. Leżał z oczami otwartemi, nieruchomy, ciepły jeszcze, ale dusza jego już odleciała... Odeszła cicho, bez pożegnania, jak istota, która ucieka.

Tego samego ranka poczta z Anglii przywiozła mi list — żywe myśli tego umarłego, które tu zapisuję:

„Kilka słów pożegnania, dopóki knot tli się jeszcze. W chwili, gdy je Pani odbierze, pan Freddy'a nie będzie już na tym świecie Świat nie odczuje tego, ale w dwóch zakątkach globu, w Simley i w pewnem mieszkaniu hotelu francuskiego, będą go trochę żałować i myśleć o nim z uczuciem. To przeświadczenie sprawia mi ogromną przyjemność.

„Cierpienia moje doszły do tego stopnia, że śpieszno mi już opuścić to ciało rozbite, nie mogące ani oddychać, ani mówić. Robi ono na mnie wrażenie wstrętnej szmaty i chwilami mam pokusę „to kiek it away" — pozbyć się go. Śmierć jest o wiele straszniejszą zdaleka, niż zblizka. Nie ulega wątpliwości, że natura przygotowuje nas do niej. Chciałbym w Panią wlać to przekonanie w zamian za to, co od niej dostałem. Twoja wiara wyrozumowana, oświetlona tą odrobiną wiedzy, jaką posiadamy, wzmocniła moją słabą, chwiejną duszę. Przyznaję się do tego bez trudu. I oto pomoc ta przyszła dla mnie od Francuzki, od grywaczki w „bridge"... Jest czem zasilić humor nawet umierającego Britscher'a! to mój ostatni żart... Przyjmij go Pani z taką samą dobrocią, z jaką przyjmowałaś inne.

„Pragnę, ażebyś co roku przyjeżdżała do Simley na odpoczynek — zapraszam Panią uroczyście. Wszyscy moi mali i duzi będą szczęśliwi, widząc ją tutaj. Klaudyusz zastąpi mnie w obserwatoryum.

„Jak Pani będzie w Simley, proszę się spytać Freddy'a, gdzie jest jego pan — ręczę, że wzniesie oczy ku niebu, które tak często w jego obecności badałem. Dusza psa nie jest tak ciemną, jak się to nam wydaje.

„Legenda o Pandorze, ukazującej nam nadzieję na dnie pudełka (zapewne mózg ludzki), wzięła początek swój od Boga. Nadzieja nieśmiertelności i powrotnego spotkania się zastąpiła u mnie nadzieję na wyzdrowienie. W miarę zbliżania się do przegrody potęguje się ona we mnie i dzięki temu przesadzę tę ostatnią bez trwogi, jeżeli nie bez żalu.

„Zasyłam przez Panią pozdrowienie państwu Lusson i naszej wspólnej przyjaciółeczce Józi.

„Wiadomość o nabyciu przez nich dawnej pani siedziby zachwyciła mnie. Czuję, że i ja odegrałem malutką rólkę w życiu pani. Mam nadzieję, że kiedyś odegram jeszcze większą...

„Teraz... czekam wezwania do apelu i sądzę, że nie długo ono przyjdzie.

„Niech przychodzi! ze wschodem zorzy porannej, z gwiazdą wieczorną, w południe, lub o północy — jestem gotów!

„God bless you!“...

Ileż myśli odczułam i odgadłam, czytając te twarde, spokojne na pozór wiersze!...

Państwo Lusson żałują bardzo sir Williama. Będziemy często o nim mówić. Pokazałam jego list i Józia czytała go z oczami pełnemi łez.

— Po tem wszystkiem, ojcze — powiedziała, składając papier ze czcią — jest to rzecz wielka mieć wiarę.

Pan Lusson zarumienił się zlekka i odwrócił głowę.

Paryż.

A więc poznanie się Gwidona z Józią jest faktem dokonanym a stało się to bez mego udziału.

Jan Noël nie wymyślił by piękniejszego pierwszego spotkania. Powinien być zadowolony.

Wczoraj po południu zostałam wezwana do telefonu. To Józia zapytywała mnie, czy nie chciałabym pojechać z nią na konferencyę do Uniwersytetu ludowego na przedmieściu św. Antoniego. Naturalnie zgodziłam się najchętniej, i o ósmej wstąpiła po mnie wraz z ojcem.

W drodze pan Lusson opowiedział mi, że bywa tam dwa

razy tygodniowo i daje lekcye gry w szachy. Wysiedliśmy z powozu przed jakimś ciemnym domem i przeszedłszy podwórze weszliśmy do ogromnej hali, przy której drzwiach stał gipsowy posąg, reprodukcya jakiejś starożytności.

Kilku panów z inteligencyi rozmawiało z robotnikami.

Pan Lusson skierował się ku sali, przeznaczonej na szlachetne gry.

My z Józią weszłyśmy do biblioteki.

Dokoła długiego stołu siedzieli czytelnicy i czytelniczki tak zajęci czytaniem, że na nas nie zwrócili najmniejszej uwagi.

Pomiędzy nimi zauważyłam młodą panienkę, ubraną skromnie lecz z dystynkcyą, w towarzystwie służącej w starszym wieku.

Ujrzawszy nas powstała i zbliżyła się z uśmiechem. Odgadłam, że to była Janina Montfort.

Jej piękna twarz brunetki z matową cerą, pełne wyrazu oczy i drobne usta, zachwyciły mnie — podałyśmy sobie ręce i ja uścisnęłam ją serdecznie.

Weszłyśmy razem do sali zgromadzeń. Była prawie pełna. Publiczność składała się z robotników i robotnic, z kobiet z odkrytemi głowami, które przybyły widocznie gdzieś zblizka, i ze staryeh, ubogich artystów. Usiadłyśmy w ostatnim rzędzie.

Dokoła na ścianach wisiały obrazy, fotografie i mapy.

Mowca, jakiś sympatyczny akademik, zajął miejsce na podniesieniu.

Tuż obok niego, po prawej stronie estrady, ku wielkiemu memu zdziwieniu, ujrzałam Gwidona w jego własnej osobie.

Gwidon zajęty w Uniwersytecie ludowym wywoływaniem obrazów na ekranie!

Obecność jego tu w tem miejscu była dla mnie prawdziwą niespodzianką. Nigdy nie mówił ze mną o swym udziale w tej instytucyi. A przecież tyle razy poruszałam myśl o potrzebie pomagania maluczkim, o pracy nad postępem ludzkości.

Zadowalniał się zwykle odpowiedzią:

— Masz słuszność mateczko.

Czyżby to był skutek moich słów?

Czy może szukał zapomnienia w pracy dla innych?

Jeżeli tak, to zdrada pani de Maurionnes przyczyniła się do dobrego dzieła.

Zwróciłam się do Józefy.

— Przy tablicy stoi pan Hauterive — powiedziałam.

Ciemność, panująca na sali, nie pozwoliła mi dojrzeć wyrazu twarzy, ale czułam magnetycznie, że słowa moje zrobiły na niej silne wrażenie.

Za chwilę zostałam całkowicie pochłonięta wykładem, którego treścią była: „sztuka i ludy egipskie".

Zapytywałam siebie, w jaki sposób mogło to interesować ludzi z najbardziej elementarnem wykształceniem? A jednak sztuka i ludy egipskie zajmowały bardzo tych maluczkich, słuchali z uwagą jakiej jeszcze nigdy nie widziałam, z całem natężeniem wzroku i słuchu. Poprzednie wykłady musiały ich przygotować do tego, bo z całą swobodą śledzili bieg myśli swego mentora.

W miarę pojawiania się na białem płótnie obrazów, olbrzymich świątyń, ruin, fresków, bogów starożytnych, zdawałam sobie sprawę, że były one fragmentami olbrzymich akumulatorów, pozostawionych przez Egipcyan. Przy pomocy fotografii, tego pomocnika natury, wszystkie te linie, te kształty po wielu wiekach przybyły z nad brzegów Nilu nad brzegi Sekwany, ażeby się odbić w mózgach robotników francuskich i rzucić w nie nasiona sztuki.

Czyż nie jest boską taka praca?

Ten wykład historyi, taki jasny, taki przystępny, sprawił mi ogromną przyjemność. Zachwycona byłam, słysząc, jak młody mówca starał się obudzić zainteresowanie i wdzięczność względem tych ludów starożytnych, jak wykazywał łączące nas z nimi węzły, wskazując na bogactwo siły i światła, jakie po nich odziedziczyliśmy.

Braterstwo przeszłości jest krokiem naprzód ku braterstwu przyszłości. Po skończonym wykładzie poszłyśmy do hali oczekiwać na pana Lusson. Z trwogą spoglądałam na drzwi, pragnąc i obawiając się pojawienia się Gwidona i zapytywałam siebie, czy godzina poznania się już nadeszła. W chwili, kiedy zadawałam sobie to pytanie, on wszedł w towarzystwie prelegenta i zatrzymał się przy grupie robotników.

Już pan Lusson przyłączył się do nas i zabieraliśmy się ku wyjściu, kiedy Gwido spostrzegł mnie i natychmiast podszedł:

— Mateczka!

Zatrzymał się zażenowany. W swojem zdziwieniu nie zauważył, że nie jestem sama.

Nie było czasu na wahanie się — przedstawiłam mego chrześniaka i pan Lusson uścisnął go za rękę i ujął kilkoma serdecznemi słowami. Przez parę minut rozmawialiśmy bardzo przyjemnie, stało się to, co przewidziałam.

Gwidon patrzał na dziedziczkę Chavigny, a ona na chrześniaka pani de Myéres.

Światło padało na ich młode twarze, na których odbiło się złe czy dobre, w każdym razie wyraźne wrażenie.

Wróciłam do siebie zbita z tropu, jak sternik, co nagle stracił kierunek, którego się dotąd trzymał.

Dziś jestem zdenerwowana, a wiem z pewnością, że Gwidon zechce mówić ze mną o wczorajszym wieczorze.

Naturalnie przyszedł, a co najzabawniejsze, to że starał się tłumaczyć z tego.

— Pragnienie twego towarzystwa, mateczko, i dobra kuchnia hotelu Castiglione, robią mnie niedelikatnym — aż pewnego pięknego dnia poprosisz mnie o nienudzenie cię tak często swoją osobą.

— Może być — odrzekłam żartobliwie. — A dzisiaj prócz dobrego obiadu zachciało ci się, jak widzę, komplementów.

Gwidon zarumienił się.

— Janie Noel, jesteś okrutnym — powiedział wesoło.

— Nie poskąpię ci ich wcale. Obecność twoja w Uniwersytecie ludowym sprawiła mi wielką przyjemność. Zajmować się innymi, to jest najniezawodniejszy środek na stłumienie swego zmartwienia. Mam nadzieję, że i sam także będziesz tam miał parę wykładów?

— Na przyszłą zimę — tak.

— Byłam bardzo rada, że mogłam zapoznać cię z panem Lusson. Jak ci się podobał?

— Bardzo sympatyczny.

— Teraz jesteś winien wizytę jego żonie, zaprowadzę cię do nich w tych dniach.

— Kiedy zechcesz — zgodził się łagodnie mój chrześniak — A propos! co robiły tam te młode dziewczyny? — dodał niby od niechcenia, choć z pewnością miał to pytanie na ustach od początku rozmowy.

— Są członkami tej instytucyi, interesują się gorąco jej rozwojem, i zajmują się biblioteką. Przez całą zimę uczęszczały też na wykłady.

— Są to więc małe działaczki?

— A dlaczegoż by nie. Panna Monfort ma rodzinę składającą się z dwanaściorga dzieci biedaków i wychowuje je swoim kosztem.

— Bagatela! A kasztelanka z Chavigny ile ich posiada? — mówił Gwido tonem coraz bardziej drwiącym.

— Czworo — odrzekłam spokojnie.

— To jakaś nowa moda widać. A może to sposób, nowy „truc“ do wyemancypowania się?

— Oto, jacy wy jesteście, wy mężczyźni! — zawołałam oburzona — uskarżacie się na pustotę młodych dziewcząt, a później, kiedy która stara się zająć czemś pożytecznem swój umysł i serce, niedowierzacie im. Chcecie, ażeby dalej wychowywano wam lalki salonowe. Nie chodzi wam o czystość, o uczciwość, popieracie tylko nieuctwo. I ażeby dogodzić tym waszym barbarzyńskim wymaganiom, nie pozwalają naszym dziewczętom przyjmować udziału w życiu społecznem i pozostawiają bezczynnemi te świeże siły, których ludzkość potrzebuje. Później, kiedy mężowie przestaną im się podobać, szukają te młode żony kochanków, bo tylko takie szczęście nauczono je znać. Rzeczywiście macie kobiety takie, na jakie zasługujecie.

— Mateczko! Czyżbyś była feministką? — spytał Gwido uśmiechając się.

— Nie, nie należę do feministek, głoszących nienawiść do płci silniejszej, lecz należę do tych, którzy propagują udział kobiet w sprawach ogólno-ludzkich. Nikt może tak jak ja nie podziwia umysłu mężczyzny. Widząc go przerzucającym mosty, rozsadzającym góry, odkrywającym jednę po drugiej tajemnice natury, czuję

się bardzo małą. Trudność jego zadania obudza nawet we mnie jakieś współczucie macierzyńskie. Ale widzę także, że on sam nie może podołać wszystkiemu. Jeżeli kobieta potrzebną jest dla dopełnienia jego życia, potrzebną jest także dla dopomożenia mu w pracy. Zdolną jest ona do pomagania mu w zwalczaniu gruźlicy, alkoholizmu, w stwarzaniu mieszkań hygienicznych, gdzie biedne małe dzieci mogą znaleść przytułek. Pod panowaniem wyłącznie mężczyzny wielu ludzi cierpi chłód i głód, za wiele jest występków, za wiele brudów moralnych. W kraju naszym dobroczynność jest zorganizowana w ten sposób, że na pięć franków danych dwa tylko dochodzą do rąk potrzebujących... słyszysz? dwa tylko! Już jest wielki czas, ażeby kobiety przyjęły udział w tem wszystkiem, do czego są zdolne, przedewszystkiem dla tego, że są matkami. One jedyne są powołane do podnoszenia rannych na polu walki. One jedne powinny otwierać sakiewkę dla biednych. Czyż nie mam racyi?

— Owszem.

— Widzisz, drogie dziecko, — mówiłam dalej — wszystkiego trzeba się uczyć. A więc i nauka kobiet powinna być uzupełnioną Kiedyś dojdziemy do tego. Natura użyła kobiet rasy saksońskiej do torowania nam drogi; obecnie potrzebuje ona ciepła, idealizmu, kobiecości rasy łacińskiej i słowiańskiej i z pewnością nie omieszka te piękne siły zapędzić do czynu. Jeżeli się nie mylę, początek już zrobiony. W Paryżu spotyka się kobiety w lecznicach lub przytułkach.

— I w uniwersytetach ludowych — dokończył Gwido drwiąco.

— I w uniwersytetach ludowych, jak widziałeś — odparłam chłodno.

— Jest to objaw conajmniej niepokojący.

— Zachowaj swoje obawy dla innych, a nie dla panny Montfort i panny de Lusson. Pierwsza z nich skończyła już dwadzieścia pięć lat i nigdy jeszcze nie użyła na złe swojej swobody, druga jest uczciwa i czysta jak dzień.

— Mateczko! ja naprawdę stanę się zadrosnym o tę młodą osobę. Jesteś nią oczarowana. Pozbawiła mnie już Chavigny, a teraz tylko patrzeć, jak pozbawi mnie ciebie.

Słowa te, wypowiedziane żartobliwie, zakończyły naszą rozmowę.

Wstrzymałam się od zapytania, jak mu się podobała Józia. Gdyby mu była antypatyczną, nie omieszkałby mi tego powiedzieć. Milczenie jego upewnia mnie w czem innem.

Paryż.

Państwo Lusson dali hasło do odlotu — pierwsi wyjechali z Paryża. Stosunek nasz tak się zacieśnił w ostatnich miesiącach, że nieobecność ich wytwarza dokoła mnie wielką pustkę. Mamy się spotkać w Aix-les-Bains. Po odbyciu kuracyi mamy zamiar pojechać razem do Turenii. Co do mnie pojadę naprzód do moich znajomych, do Vouvray, a potem do Rouzieres. Taki jest program naszych wakacyj.

Gwidon spędzi jakiś czas w Rocheilles, a potem przyjedzie do mnie na swojej „maszynie". Będziemy robić wycieczki po Sabaudyi i Szwajcaryi. Dawniej jazda samochodem napełniała mnie strachem, obawiałam się katastrofy, przejechania dziecka lub jakiego zwierzęcia; obecnie jestem zupełnie zdolna do tej lokomocyi współczesnej. Ale i dawniejszych swych obaw nie okazywałam nigdy Gwidonowi, ażeby mu nie popsuć przyjemności, a przedewszystkiem przez próżność starej kobiety. Teraz znam się na całej manipulacyi samochodów i lubię je, jak coś żywego. Ta ślepa siła, której duszą jest kierownik, wydaje mi się zawsze cudowną. Wiem, kiedy można rozmawiać, a kiedy trzeba cicho siedzieć. Często też odbierałam za to pochwały. Obecnie zwiedzamy okolice Paryża i jest jeszcze mnóstwo miejscowości, które bym chciała zobaczyć: Chantilly, Enghien, la Malmaison, Fontainebleau. Lasek jest mi zawsze najmilszym. Z dziesięć lat temu podczas dłuższego pobytu w hotelu „Ville de Lyon", przebiegałam go wzdłuż i wszerz i po każdej przechadzce czułam się zawsze zdrowszą. Dziś, przypominając sobie ówczesne swoje osamotnienie, doznaję przyjemności, myśląc, że znowu jestem kochaną i nie pozbawioną opieki.

Czy to syn, czy ojciec czuwa nademną — chwilami nie zdaję sobie sprawy z tego i czuję się nad wyraz szczęśliwą. Czasem obawiam się zbudzić nagle i znaleść się znowu w osamotnieniu. Pomimo to przynaglam Gwidona do opuszczenia jak najprędzej Paryża. Wiele rzeczy tutaj przypomina mu to, o czem powinien zapomnieć. Twarz jego ciągle jeszcze jest smutna i poważna

ożywia się tylko dla mnie. Kiedy przejeżdżamy przez lasek, ciągle się obawiam spotkać panią Maurionnes a z drugiej strony prawie że pragnę tego. Czy on ją kocha jeszcze, czy tylko cierpi z powodu urażonej dumy? — oto, co interesuje Jana Noël. Radby był zobaczyć razem tych dwoje. Jakże nielitościwą jest ciekawość powieściopisarza!

Paryż.

Życzenie Jana Noël spełniło się i jak zwykle w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Pewnego popołudnia przyjechał Gwidon po mnie i udaliśmy się na naszą ostatnią przejażdżkę — jutro chłopak mój wyjeżdża.

— Jest jeszcze trochę za gorąco — powiedziałam — wstąpmy do Ritza na herbatę.

— All right! mateczko — nie byłem tam w tym roku ani razu.

Mówiąc to, skierował samochód na plac Vendome. Ogród hotelu Ritza przypomina wiek dziewiętnasty i doskonale harmonizuje z jasnemi toaletami kobiet. Ten kącik zieleni pomiędzy ulicami la Paix i Castiglione jest prześliczny. Rano jest w nim pełno ciszy i ptaków. Później powoli goście się schodzą, gromadzą w kupki i rozpoczyna się gwar ludzki, który, według mnie jest bardzo brzydki i dziwię się, że może tyle pięknych myśli wyrażać. Kiedyśmy przybyli, zgromadzenie było już dość liczne. Usiedliśmy przy ulubionym moim stoliku i kazaliśmy podać herbaty.

Nagle nawprost nas ujrzałam panią Maurionnes w towarzystwie trzech innych dam, hrabiego A... i margrabiego C...

Oczy jej i Gwidona spotkały się jak dwa sztylety.

Chwilowa bladość pokryła czoło i wargi mego chrześniaka, a nozdrza jego lekko zadrgały.

Margrabina spuściła oczy.

Zrozumiałam, że w sercu Gwidona był już tylko gniew oszukanego samca — w sercu pani Maurionnes tlała jeszcze miłość.

Podano herbatę.

Dotknęłam ręki Gwidona i poczułam, że lekko drżała, chociaż twarz jego była zupełnie spokojna.

— Piękny widok! — powiedział, wodząc oczami dokoła.

— Podwieczorek wieku XX — odrzekłam — nie brak mu piękna.

— Fałszywe oczy, farbowane włosy, malowane usta! I powiedz, mateczko, ty, która jesteś fizyonomistką, czy znajdziesz tu choć jednę kobietę, choć jednę — podkreślił — któraby była zdolną do głębszego uczucia.

— Nie sądzę, ażeby ujawnianie swych uczuć było potrzebnem na tym five o'clock'u. Opatrzność nie trwoni tak skarbów,

Gwidon roześmiał się.

— O! mateczko! cóż to za pogląd na życie!

— Bardzo dobry, moje dziecko, — odrzekłam poważnie. — Grzechem jest chcieć się kłócić z naturą i z ludźmi w tak piękny czas.

— A więc powiedzmy z Candidem: „wszystko jest piękne na tym pięknym świecie“ — powiedział młody człowiek z ironią.

Wszczęłam rozmowę o Rocheilles, aż udało mi się trochę go uspokoić. Nie mogłam jednak od czasu do czasu nie spojrzeć na panią Maurionnes.

Była prześliczną w blado różowej sukni i kapeluszu ogarnirowanym anemonami tej samej barwy.

Rozmawiała na pozór wesoło, lecz na twarz jej wystąpiły dwa silne rumieńce.

Oczy nasze spotkały się kilkakrotnie i ja wzrokiem swym starałam się wyrazić jej macierzyńskie współczucie.

— Skończyłaś herbatę? — zapytałam Gwidona — jeżeli chcesz, możemy już jechać.

— Nie nas nie nagli, mateczko, tak tu dobrze — istny raj!

Zapalił papierosa. Zrozumiałam, że nie ustąpi pierwszy.

Twarz jego opalona miała w tej chwili wyraz prawdziwej męzkości. Kontrast, wywołany czarnymi włosami, niebieskiemi oczami i rudawym zarostem, robił go bardzo interesującym. Nie dziwiłabym się, gdyby miał świadomość tego nie gorzej od każdej kobiety.

Było mi bardzo przykro.

Zdawało mi się, że jestem wspólniczką tej męskiej zemsty.

W końcu pani Maurionnes skończyła herbatę i z dumnie podniesioną głową przeszła obok nas z margrabią A.

Gwidon przeprowadził ją wzrokiem, wyrażającym pewne zdziwienie, a kiedy znikła za drzwiami, rzucił cygaro i wstał.

— Teraz jestem na twoje usługi, mateczko, — powiedział.

Strasznym jest widok zranionego człowieka!

VIII.

Aix-les-Bains. Palace-hotel.

Z przykrością opuszczam zwykle tę dość wygodną gałąź, jaką zajmuję w Paryżu.

Hotel Castiglione nie ma ani banalności, ani chłodu, charakteryzujących wszystkie „domy dla podróżnych“.

Ten, w którym obecnie mieszkam, posiada atmosferę francusko-włoską. Właściciel jest Włochem, a jego żona Francuzką.

Gospodarz bezwiednie wprowadza do swego otoczenia cechy swojej rasy. Nie tylko jest właścicielem hotelu, ale i gospodarzem. Pomijając interes osobisty, chodzi mu o to, żeby goście czuli się tu dobrze. Już zaraz od wejścia do hotelu, zaczynając od odźwiernego, a kończąc na dyrektorze — wszyscy starają się okazać wiele uprzejmości.

W restauracyi usługujący chłopcy, przeważnie Włosi, odznaczają się grzecznością i słodyczą, właściwą ich narodowi. Lokaje i pokojówki, po większej części Francuzi, lubią swoich panów i swoje zajęcie.

Ludwik i Eugenia, usługująca mnie para, nie są zwykłemi maszynami do czyszczenia i zamiatania, lecz mają także serce i uczucie i zarówno umieją cenić dobre słowo, jak i suty napiwek. To uzewnętrznianie się duszy łacińskiej wytwarza atmosferę, jakiej nie spotykamy w hotelach niemieckich, angielskich lub szwajcarskich, a którą odczuwają doskonale cudzoziemcy, mieszkający dłużej we Włoszech; jest to coś nieuchwytnego, zapewne ciepło jakieś, które pociąga ku sobie i którego się potem żałuje.

Nigdy z taką przykrością nie rozstawałam się z hotelem Castiglione, jak teraz. W ostatniej chwili wróciłam się, niby pod pozorem przekonania się, czym czego nie zapomniała, a właściwie,

ażeby raz jeszcze pożegnać się z tak dobrze znanymi kątami. Zdawało mi się, że ściany mojego pokoju pragnęły mnie zatrzymać. Czyż nie powrócę tu, żeby umrzeć?

Drzwiczki powozu, którym odjeżdżałam, zatrzasnęły się za mną z takim łoskotem, że zrobiło to na mnie przykre wrażenie.

Odźwierny odprowadzał mnie na kolej.

Zeszłego roku, kiedy odjeżdżałam do Anglii, a on towarzyszył mi do przystani, powiedziałam śmiejąc się:

— Henryku, nadejdzie kiedyś dzień, w którym odprowadzicie mnie nie do wagonu, ale na karawan.

— Oby jak najdłużej trzeba było czekać na to — odpowiedział mi — w tym dniu nie będę taki wesoły jak dzisiaj.

Człowiek światowy nie znalazłby się lepiej.

Z powodu upałów wyjechałam na noc, ale już o wschodzie słońca przyglądałam się tym łagodnym chociaż dzikim widokom Sabaudyi, które mnie pociągają ogromnie.

Ludzie spali jeszcze i ten brak ich dodawał jakiejś powagi całemu krajobrazowi. Na widok jeziora Bourget wydałam okrzyk zachwytu. Spokojne, jakby w jakiemś uśpieniu, z tą nadzwyczajną barwą lazurową, dzięki której powierzchnia podobną jest do wielkiej tafli błyszczącej światłem elektrycznem, zdaleka nawet daje wrażenie przepaścistej głębi. Nie znam bardziej zmiennego i dziwniejszego jeziora. Poprostu posiada ono wyraźną fizyognomię, pełną namiętności i zdrady. Pod jego spokojem wyczuwa się gwałtowność, a pod gwałtownością spokój i nigdy widok jego nie jest nudnym.

Doznałam silnego wzruszenia ujrzawszy Aix-les-Bains. W ciągu ostatnich pięciu lat życia pana Myères, spędzaliśmy tu zwykle połowę lipca i cały sierpień. Nigdy potem nie mogłam się odważyć zajrzeć tu.

Dlaczego miejscowość ta była dla mnie boleśniejszą od innych? Nie mogę sobie tego wytłumaczyć.

Stosownie do rady państwa Lusson, stanęłam w hotelu „Palace“, jednym z najporządniejszych w mieście.

Pokój, który mi dano, podobał mi się. Jest zaopatrzony we wszystko, czego potrzeba do życia wygodnego. Jedno jego okno

wychodzi na dolinę i widniejące w oddali szczyty, drugie na „Willę kwiatów“.

Pierwsze moje wyjście było istną pielgrzymką. Chciałam zobaczyć willę, w której niegdyś mieszkaliśmy z panem Myères, a którą pewien nasz przyjaciel odnajmował nam co roku.

Stanąwszy przed domem poczułam brak tchu w piersiach i drżenie w nogach. Ręką chwyciłam się żelaznego ogrodzenia i przyglądałam się całą duszą. Drzewa rozrosły się, winograd pokrył ściany domu zupełnie.

Oczy moje skierowały się ku werendzie, gdzie niegdyś Gwidon i ja... inny Gwidon... spędzaliśmy miłe wieczory. Księżyc oświetlał dolinę i szczyty, a muzyka, przygrywająca w oddali, wtórowała naszej cichej rozmowie.

W istocie w mieszkaniu tem nie pozostało już z nas nic, a jednak pod niewytłumaczonym wpływem zdawało mi się, że otacza je jakaś żywa atmosfera. Pomiędzy mną a murami tego domu przepływały jakieś prądy magnetyczne, które dawały mi żywe wrażenie minionego szczęścia. I milczenie jest wymownem, jeżeli odkrywa nam boskie tajemnice naszego życia.

Sądzę, że miłość jest tysiąc razy piękniejszą i głębszą, niż nam się wydaje. Cieszyłam się, że przez kilka dni będę zupełnie samą. Absolutne izolowanie się było dla mnie niemożliwem, lecz nie mogę sobie odmówić korzystania z chwilowej samotności i samodzielności.

Aix-les-Bains.

Zabawnem jest zobaczyć od razu zmiany, które dokonywały się przez całe lata. Aix-les-Bains nie straciło czasu podczas tych ostatnich lat szesnastu.

Pierwszym nowym rysem, który mnie uderzył, jest nadzwyczajny porządek. I mer i rada municypalna zasługują w tym wypadku na uznanie, tem bardziej że czystość nie jest wcale właściwością tego kraju. Gości jest obecnie znacznie więcej, jak również eleganckich dam i przeróżnych zabaw, pomimo to jednak Aix straciło coś wielkiego; pewna klasa ludzi opuściła je zupełnie i dziś nie posiada ono tego charakteru arystokratycznego. W marcu lub kwietniu przybycie pierwszych gości obudza ruch, który potęguje się coraz

bardziej, dochodzi do kulminacyjnego punktu w sierpniu, poczem zaczyna się zmniejszać i w październiku ustaje zupełnie. I w Aix, w tej spokojnej dolinie, podobnej do przewróconego ula, w ciągu czterech lub pięciu miesięcy wrą namiętności, jakiś radosny zapał do życia, wywołany pięknością kobiet, cudownemi toaletami, blaskiem drogich kamieni i mnóstwem rzeczy, któremi najuczciwsi ludzie napawają się, nie wiedząc o tem wcale. Miłość obudza się na jednę godzinę, na jeden dzień, lub noc. Nienawidzą się, zazdroszczą sobie, grają z przejęciem, bogacą się, lub rujnują.

Przyjemności następują po przyjemnościach, obiady, kolacye, wycieczki, pikniki, iluminacye, teatr, muzyka, ognie sztuczne — wszystko to zwiększa jeszcze ten zamęt, który największym jest w salach gry w „Willi kwiatowej". Widok czarnych i czerwonych znaczków na kartach wywołuje istną burzę pod temi ludzkiemi czaszkami. Damy z półświatka dodają jak zwykle pokusy, powietrze staje się przeciążonem żądzą i pragnieniem. Słyszy się słowa obudzające dreszcz politowania, tak, politowania, i coraz więcej czuje się potrzebę odetchnięcia świeżem powietrzem. Jeden z takich domów gry znajduje się naprzeciwko mojego hotelu. Któregoś rana dziki rytm ich muzyki i towarzyszący jej gwar i hałas wstrząsnął mną głęboko. Wykrzyknęłam na cały głos:

— Ależ to istna „bambula".*)

Coś jakby znajomego odezwało się we mnie i nie byłam z tego dumną. Czy nie jest to środek, którego używa natura do podniecenia życia na pewnych punktach tak samo u nas jak u murzynów afrykańskich? Czy to zjawisko, zwane „sezonem", powtarzające się stale w stolicach i w miejscach kąpielowych, nie jest „bambulą" białych? Boję się, że tak jest. Mówiąc prawdę, mają one u nas więcej elegancyi, zawierają więcej wyższych pierwiastków, lecz charakter ich pozostał ten sam. A obok muzyki klasycznej posiadamy także swoje „katarynki" przypominające doskonale klany koczownicze.

Jaki cel mają owe „bambule"? Nie wiem. Może bylibyśmy

*) Taniec murzyński.

zdumieni, poznawszy go, to też powtarzam z Maeterlinckiem: „zło jest dobrem, którego nie umiemy zrozumieć."

Aix-les-Bains, Trouville, Biaritz, Monte-Carlo są może tylko siłami rozpędowemi.

Aix-les-Bains.

Państwo Lusson są tutaj od dziesięciu dni. Mieszkamy na tem samem piętrze i codziennie jadamy wspólnie w restauracyi. W tej zażyłości coraz lepiej poznaję charakter Józi i coraz bardziej zachwycam się nią. Jestem uderzona ogromną ilością rysów angielskich i irlandzkich, jaką ona posiada, a czego braknie jej matce. Właściwości rasy, jak właściwości choroby, ujawniają się czasem w trzeciem pokoleniu. Panna Lusson lubi być komuś potrzebną, robić dobrze innym, a wypełnia to prędko i chętnie.

Codziennie o pół do szóstej biorę kąpiel i Józia wstaje o piątej, ażeby przyrządzić mi filiżankę herbaty z cytryną i przynosi ją sama z całą uprzejmością. Jest zachwycającą w swym białym, lekkim szlafroczku, z rozrzuconemi trochę bezładnie włosami nad jasnem, czystem czołem i śladami przerwanego snu na twarzy. Będzie miał za co dziękować Bogu ten, komu ona jest przeznaczoną!

Z naiwnością prawdziwie dziecięcą stąpa ona po tej otchłani, w jakiej żyjemy. Jednakże posiada już trochę ciekawości Ewy. Elegancya w ubraniu i bogactwo klejnotów dam z półświatka intrygują ją. Nazywa je „kobietami o smutnych oczach". Nie rozumie ich roli i stara się ją odgadnąć. Patrząc na nie, mróży oczy, jakby chcąc rozwiązać jakieś ważne zadanie. Na szczęście nie ma czasu zastanawiać się nad tem głębiej. Rano chodzi pływać do pływalni, a potem robi przejażdżkę na bicyklu. Popołudniu, po skończonym koncercie, udaje się na tenis do Splendide. Jest wyborną artystką w tej grze. Mam nadzieję, że ten tenis opatrznościowy wytworzy między nią i Gwidonem stosunek koleżeński, który tak często bywa początkiem miłości. Wieczorem, kiedy sztuka jest odpowiednia, chodzi z nami do teatru. Podczas antraktów rozmawiamy przechadzając się po tarasie, a jej świeże, młodzieńcze wrażenia zachwycają mnie. Trzeba być starą, ażeby módz odczuć młodość!

Zbliżyłam się do ludu okolicznego, dla którego zawsze mia-

łam wielką sympatyę. Nie zmienił się wcale. Jest obecnie mniej sabaudzkim, ale nie jest jeszcze francuzkim.

Sabaudczycy mają indywidualność bardzo wybitną. Są łagodni, jak ich góry, dumni, podejrzliwi, uparci, i opierający się wszelkiemu postępowi. Jest to krzak cierniowy, który trzeba podnieść, ażeby dojrzeć duszę szlachetną, pełną idealizmu, intuicyi, i naturę delikatną. Rysami tymi odznaczają się wybitnie kąpielowi i kąpielowe w Aix. Kiedyś te ostatnie były to proste chłopki, nie znające wcale mocy swoich palców, robiły niemi tylko przez instynkt, przez atawizm. Dzisiaj mogłyby być profesorkami w tym kierunku. Ten masaż pod wodą jest doprawdy czemś jedynem. Obce nie zdają sobie sprawy z tej sztuki, polegającej na delikatnem, głębokiem naciskaniu, wzmacniającem muskuły. Czuję wdzięczność względem Opatrzności i względem tych maluczkich, będących jej narzędziem, którzy dają mi nieco ze swych sił i ze swego życia.

Prawie wszystkie kąpielowe mają inteligentne twarze. Nie obchodzi ich tylko napiwek, a kiedy polubią swego pacyenta, wkładają w swój masaż coś więcej. W chwilach wolnych od pracy noszą one długie, czarne sukmany wieśniacze, które same sobie szyją, a które dziwnym zbiegiem mają fason ostatniej mody.

Zakład kąpielowy jest obecnie wspaniały. Mieści się w nim cała armia dozorców, a na czele ich stoi bardzo elegancki odźwierny, mówiący po angielsku!

Nie mogłam się wstrzymać od uśmiechu, zauważywszy, że mieszkańcy Aix poćwiartowali swoje ulice, ażeby módz przybić więcej tabliczek z nazwiskami ich. Co dziesięć metrów spotykamy teraz nową nazwę. Jest naturalnie ulica Pierpont, Georges I., Morgan. Milioner amerykański i król Grecyi cieszą się tu wielką popularnością nie dlatego, że zostawiają dużo pieniędzy w kraju, lecz dzięki temu, że potrafili pozyskać sobie sympatye tłumu. Sabaudczyk nie naśladuje Włochów — nie płaci miłością za miłość, lecz kocha tylko tych, którzy posiedli jego własną sympatyę.

W Aix les-Bains są także, naturalnie, herbaciarnie. Odkryłam właśnie nową na placu Carnota. Jest ona utrzymywana przez dwie panny angielskie. Stoły, zastawione zieloną porcelaną, wyplatane krzesła i ogromna czystość dają wrażenie pewnej oryginalności

i purytanizmu brytańskiego, który nie jest pozbawiony wdzięku. Mnóstwo kwiatów dodaje uroku. Herbatę i świeże maślane ciasteczka dają tu doskonałe! „My boy" pochwali je.

„My boy!" często teraz nazywam tak Gwidona. Nazwa ta, oznaczająca dosłownie „mój chłopak", wyraża doskonale uczucie macierzyńskie, jakie mam dla niego. Pragnęłabym jak najprędzej go zobaczyć. W jakiem też usposobieniu przyjedzie?...

Oczekuję też z niecierpliwością jego samochodu, ażeby jeżdżąc w nim, brać kąpiele świeżego, górskiego powietrza. Powietrze w Aix, rozdzierane dźwiękami muzyki z willi kwiatowej, krzykami z domu gry i świstem lokomotywy, męczy mnie strasznie.

Wczoraj jedna z moich znajomych, którą tutaj spotkałam, zaprowadziła mnie do Chante-Merle, wioski leżącej w górach. Panująca tam cisza sprawiła mi tyle dobrego, że nie chciało mi się powracać.

Widocznie „bambulasy" nie są już odpowiednie dla mego wieku.

Aix-les-Bains.

Gwidon przyjechał prędzej, niż myślałam. Kiedy mu wyraziłam moje zdziwienie, odpowiedział, obejmując mnie za szyję:

— Nie mogłem już dłużej wytrzymać bez ciebie, mateczko.

A później, cofnąwszy się trochę, ażeby lepiej widzieć moją twarz, dodał:

— Nie gniewasz się, że przyjechałem?

— Nieobecność twoja była mi ciężką — odrzekłam nie bez wzruszenia.

— To dobrze!

Nagle twarz jego posmutniała.

— Tak teraz zimno w Rocheilles! Ani ślicznych czarnych oczu, ani czułych uśmiechów, ani ładnych strojów nie ma tam więcej... Brakuje matki, brakuje kobiety — dodał pobladłszy nieco. — Nie miałem siły być tam dłużej i przyjechałem.

Przyjechał samochodem przez „Jura", we dwa dni bez odpoczynku, naturalnie z Ludwikiem. Poradziłam mu stanąć w hotelu Splendide, bo ze względu na obecność Józi, nie wypadało zamieszkać pod jednym dachem z nami.

Naturalnie wszedł natychmiast do naszego koła. Ogromne podobieństwo pani Lusson do jego matki uderzyło go tak samo jak mnie i obudziło natychmiastową sympatyę do matki Józefy.

Pierwsze lody pomiędzy Gwidonem a państwem Lusson zostały od razu przełamane, dzięki memu odezwaniu się, które mi przyszło do głowy niewiadomo skąd.

— Józiu, jest tu ktoś, kto ma do ciebie wielką pretensyę — powiedziałam.

— Pretensyę? do mnie? — zawołała młoda dziewczyna, patrząc wielkiemi oczami na Gwidona.

— Tak, za to, że zostałaś dziedziczką Chavigny. Gwidon, jako chrzestny syn pana Myères i do tego kuzyn jego, czuje, że ma do tego większe prawo niż ty i powiada, że ścięłaś mu trawę pod nogami.

— Przykro mi bardzo, że nie mogę wzbudzić w sobie żadnego żalu — odrzekła panna Lusson złośliwie.

— Jednakże, jeżeli kiedykolwiek zapragniesz pozbyć się tego zakątka, będziesz wiedziała, gdzie szukać nabywcy i dasz mu pierwszeństwo.

— Pozbyć się! Nigdy!

Z zadowoleniem dojrzałam figlarność w oczach „my boy", kiedy odpowiedział:

— Kto wie! nie tracę jeszcze nadziei.

— Tego panu nie zabraniam.

— Pani jest bardzo uprzejma.

Słowa te, wymówione tonem żartobliwym, wywołały wesołość, która wydała mi się dobrym znakiem.

Pierwszy raz widziałam mego chłopca pomiędzy obcymi — nie jest ani niezręcznym, ani nieśmiałym. Zawsze pewny siebie i ma doskonałe ułożenie. Sądzę, że w tym kierunku zawdzięcza wiele wpływowi pani Maurionnes. Pomiędzy stoma można odróżnić mężczyznę, który był w bliższych stosunkach z kobietą rasową.

Gwidon jest bardzo wesół i stara się mnie przekonać, że jest zupełnie wyleczony. Ale ja nie dam się oszukać pozorami. Przedwczoraj obserwowałam go dobrze. Wyciągnięty na fotelu, stojącym na tarasie, z gazetą, której nie czytał, na kolanach, z odrzuconą

w tył głową i przymkniętemi oczami, siedział, pogrążony w myślach, a twarz jego i cała postać wyrażała tyle smutku i zniechęcenia, że byłam wzruszona do głębi serca. Przez delikatność przeszłam cicho, nie zbliżając się do niego, bo wiem, że nie szuka banalnych słów pocieszenia. Widzę, jak piękne kobiety z willi kwiatowej krążą dokoła niego i nawet w mojej obecności ciągną go ku sobie, lecz on na wszystko pozostaje zupełnie obojętnym. Miłość, podawana w czarze pospolitej, nie przynęci ust, które ją piły ze złotego puharu. Usposobienie, w jakiem się obecnie mój chłopak znajduje, zmieniło go zupełnie. Obawiam się teraz, że Józefa może się nim zająć, a on niezdolnym będzie pokochać ją. Niech Bóg zachowa, ażebym stała się narzędziem zmartwień mojej przyjaciółeczki — byłabym wtedy niepocieszoną. Myśląc o tem, nie mogłam zasnąć całą noc.

Czy spostrzeże on jej cudowne włosy, jej irlandzkie oczy i piękne młode ciało?... Czy spostrzeże?

Wszystko jest „tam".

Aix-les-Bains.

Co za subtelność w pracy naszych przeznaczeń. Dziś popołudniu ulewny deszcz przeszkodził grze w tenisa. Ja i mój chrześniak piliśmy herbatę na tarasie.

— Czy wiesz — powiedziałam, patrząc na grupy ludzi na prawo i na lewo — że nie widziałam tutaj ani jednego Francuza z książką, lub gazetą w ręku.

— Aix nie usposabia do lektury.

— Zgoda, ale spojrz na tych Anglików, pogrążonych w swoich „novels". Sądzę, że po Włochach i Hiszpanach jesteśmy narodem najmniej czytającym. To trochę zniechęcające dla pisarza. Pewnego dnia jednak miałam miłą niespodziankę, oto ujrzałam młodego człowieka, czytającego, zgadnij co?

— Powieść Jana Noël.

— Ależ nie, „silly boy" — odrzekłam, śmiejąc się. — Czytał „Jocelyn" Lamartine'a. „Jocelyn" tuż obok willi kwiatowej, niedaleko domu gry, w otoczeniu pięknych kobiet! Badałam, czy czytający nie był garbatym lub kulawym, lecz nie. Był to ładny młody chłopiec z czołem poety, z oczami marzyciela, z białemi

długiemi rękami. Palił wolno cygaro, a na ustach jego widziałam wzruszenie, którego sama doświadczałam. Chętnie byłabym go ucałowała.

Gwidon cofnął się. W oczach jego błysnęła figlarność.

— Mateczko! kupuję sobie natychmiast „Jocelyn“ — powiedział.

— To jeszcze nie wszystko kupić — trzeba być zdolnym odczuć.

— A więc sądzisz, że nie posiadam odpowiednich zdolności, że ręce moje są zamało delikatne?

— Może i nie — odrzekłam, śmiejąc się.

— A więc dobrze! zobaczymy.

— Żart na bok, ale nie znam książki, któraby dawała tak silne wrażenie prawdziwej miłości.

— Wrażenie prawdziwej miłości! — powtórzył Gwidon z ironią. — O drogo gotów jestem zapłacić! Gdzież można znaleźć tę cenną starzyznę?

— U księgarza Carlier'a, przy ulicy Bains.

— Biegnę tam.

I odszedł Gwido, pozostawiwszy mnie w zdumieniu nad efektem, wywołanym memi słowami.

„Jocelyn!“

O boski akumulatorze! Dzięki tobie czułam miłość, nie znając jej jeszcze! Za każdym razem, nawet zeszłego roku, kiedy czytałam tę książkę, doświadczałam takiego samego silnego wzruszenia.

Czy Opatrzność nie zechce użyć jej jako środka do otworzenia i rozczulenia serca Gwidona?

Nic nie jest za małem dla jej wielkości!

Aix-les-Bains.

„E toto il miracolo!“ Cud stał się! Gwidon zdaje się spostrzegł i „piękne włosy, i irlandzkie oczy, i cudowne ciało“ mojej przyjaciółki. Zachwyt kogoś drugiego otworzył mu oczy. Sposób to klasyczny jak sama natura, ale nie bez pewnych zmian w każdej okoliczności. Udało mi się pochwycić to zjawisko i znajduję, że było ono pięknem.

Gwidon, nie cierpiący na reumatyzm jak młody bożek, kąpie się codzień w jeziorze na otwartem powietrzu, poczem około dziesiątej, po wypiciu herbaty, przyjeżdża samochodem i zabrawszy mnie i państwo Lusson, wiezie nas na przejażdżkę po okolicy.

Józefina, której matka chętnie ustępuje swego miejsca, coraz bardziej zapala się do tego sportu, znajduje go „more exciting“ niż jazda rowerem. Nie kryje się też z wyrażeniem swej radości przed Gwidonem. „My boy“ uśmiecha się tylko poważnie. Kierownik zanadto jest zajęty swoją maszyną, ażeby mógł zwrócić uwagę na coś innego. Zresztą jest zawsze mniej lub więcej pjiny szybkością i powietrzem.

Poobiednich wycieczek robić już nie chciałam, wyprawiając moich młodych na tenis. Dzięki znakomicie dobranym siłom kobiecym i męzkim partye są mniej fantastyczne obecnie.

Przedwczoraj poszłam z Józią sama. Na tle porośniętej winem siatki, otaczającej plac tenisowy, prześlicznie się odbija i świeża młodość i biała sukienka.

Usiadłszy w cieniu, przyglądałam się partyi z zajęciem.

Jakże wyraźnie uwydatnia się rasa i charakter przy sportach! Francuzka, czy to podrzuca piłkę w górę, czy goni za nią na prawo lub na lewo, czy ją podnosi z ziemi — nigdy nie traci cudownych linij swych ruchów, jak Angielka. Jej suknia, doskonale dopasowana, tworzy jeden rytm z jej ruchami. Podczas przerw jest ona żywym poematem najróżnorodniejszych ponętnych póz. Jak w tenisie, tak samo w życiu Francuzka jest kobietą, umiejącą doskonale korzystać z każdej okoliczności.

Panna Lusson była partnerką mego chrześniaka. Z jednej i z drugiej strony grą była zręcznie prowadzoną, lecz zwycięztwo zostało w końcu przy Gwidonie. Ładnie mu było „in h-is flannels“, w ubraniu z białej flaneli z wyrazem podniecenia i tryumfu na twarzy.

O kilka kroków od nas stało dwóch „Britschers'ów“, którzy z minami znawców przyglądali się grze.

„Dammed pretty girl there over, holding her racket behind her back. Plays a straight game t-o. Englisch I bet.“ Ładna dziewczyna ta, trzymająca rakietę za plecami, doskonale gra, założę się, że jest Angielką! — powiedział jeden.

— „Oh! she is French enough! Where are your eyes old boy? Look at her dress, her figure. Parisian made I dare say-o!“ jest to z pewnością Francuzka! Gdzie pan masz oczy?... Spojrz na jej suknię... zrobiona prawdopodobnie w Paryżu — odrzekł drugi.

— „Well if she is not Englisch, she ought to be... damned pretty girl — a więc jeżeli nie jest Angielką, powinnaby nią zostać. Dyabelnie ładna dziewczyna!

Po wypowiedzeniu tych komplementów dwaj „Britschers“ oddalili się. Odegrali swoją malutką rolę zapewne. Pod wpływem ich suggestyi oczy Gwidona skierowały się na pannę Lusson i zaiskrzyły się nagle jakby olśnione jakiemś światłem wewnętrznem. Wszystko to trwało jedną małą chwilkę.

— Słyszałeś? — zapytałam mego chrześniaka. — Czy nie jest to zabawne, że ten młody John Bull poznał swoją rasę w pannie Lusson?

— Z jej sposobu trzymania się zapewne. Często zakłada ręce w tył, jak to robią dziewczęta angielskie. Brałem to za pewną przewrotną kokieteryę, a jest to widocznie tylko atawizm.

— Niewątpliwie. A oczy jej czyż nie są zupełnie irlandzkie?

— Tak sądzisz?

Skinęłam na Józefę, która podbiegła ku mnie. Gwidon przyglądał się jej z zaciekawieniem, chcąc dojrzeć, co było irlandzkiego w jej oczach.

— Jedźmy! — powiedziałam — jest już późno, zaledwie wystarczy nam czasu na przebranie się.

Mój chrześniak odprowadził nas kilka metrów, potem zatrzymał się, chcąc się pożegnać.

— Chwała zwyciężonym! — zawołał złośliwie, uchylając kapelusza przed Józefiną.

— Zwycięzcom jutra! — odparła dziewczyna wesoło.

Podniosłam oczy i drgnęłam: staliśmy właśnie przed domem, zamieszkiwanym niegdyś przezemnie i pana Myères; te słowa nadziei, wypowiedziane w atmosferze jego wspomnień, wydały mi się proroczemi. Wzruszona do głębi i zachwycona zeszłam z pagórka, powtarzając w duchu: „E fato il miracolo!“

Aix les-Bains.

Nie omyliłam się. Wszystko zdaje się potwierdzać, że dzieło, do którego zastałam powołana — spełniło się.

Czy doprowadzi ono do związku?

— „Chi lo sa?"... jak mądre i głębokie są te słowa włoskie!

Gwidon szuka widocznie towarzystwa panny Lusson.

Wyciąga ją na rozmowy i zmusza do wywnętrzania się. Sądzę, że przez to zyskała tylko w jego oczach. Wyrażał mi swoje zdziwienie z odkrycia w niej instynktu altruistycznego, który rozszerza horyzonty życia.

— Małżeństwo sprowadzi ją prędko do poziomu pospolitości — powiedział. — Po dwóch latach małżeńskiego pożycia kobiety z najwyższem wykształceniem zapominają wszystkiego. Nie ja pierwszy przyszedłem do tego przekonania.

— Nie jest to winą małżeństwa, tylko męża. Pewien Amerykanin wyraził mi swoje zdziwienie, że kobiety nasze nie przyjmują żadnego udziału w życiu społecznem i dotąd jeszcze są własnością męża — „his chattel". Nie mogłam temu zaprzeczyć. Mam nadzieję, że moja przyjaciółeczka znajdzie sobie towarzysza, który nie zabije jej indywidualności, lecz przeciwnie pozwoli jej się rozwinąć.

— Amen, mateczko — powiedział Gwidon z zagadkowym uśmiechem.

We wtorek zaszło coś ciekawego.

Ja i pan Lusson z córką pojechaliśmy samochodem do Annecy. Przechadzaliśmy się nad brzegiem jeziora, czekając na śniadanie, które nam przygotowywano w hotelu. Nagle Gwidon przyspieszył kroku, Józefina pod wpływem jakiejś niezwalczonej siły, jestem tego pewna — poszła za jego przykładem i ze sto metrów szli tak obok siebie, jakby dążąc do wspólnego celu. Widziałam, jak pan Lusson zmarszczył brwi i patrzał za niemi z niezadowoleniem. Na moją pociechę młoda dziewczyna zatrzymała się raptownie i odwróciwszy się, czekała na nas.

— Wygląda, jakbyśmy chcieli od was uciec — powiedziała z miłem zakłopotaniem.

— Sądzę, że żywość jest zaraźliwą — odezwał się Gwidon,

także zmieszany. — Wysiadłszy z samochodu, czuje się potrzebę biedz a nie iść.

— Na nas samochód nie wywiera takiego wpływu, prawda pani Myères? — powiedział mój towarzysz tonem drwiącym.

— Niestety nie! — odrzekłam z westchnieniem.

Ani jedno ani drugie z tych młodych nie zdawało sobie sprawy z tego, jaka siła popchnęła ich do tego chwilowego odosobnienia się; ja odgadłam ją doskonale.

We czwartek urządziłam herbatkę w małym angielskim domku przy placu Carnot i zaprosiłam na nią wszystkich moich znajomych, a w tej liczbie państwo Lusson i Gwidona. Józię zawezwałam do pomocy w zajęciu się gospodarstwem, a zrobiłam to gwoli swej ciekawości psychologicznej. Obowiązek swój spełniała ze zwykłym sobie wdziękiem. Widziałam, że nalewając herbatę dla pana Hauterive'a, robiła to wolniej, jakby jej to sprawiało większą przyjemność. Kiedy podawała mu filiżankę, patrzała na niego z pewnem zdziwieniem, a w kącikach jej ust przemknął uśmiech wzruszenia. Nie wytłumaczyła sobie naturalnie tego zjawiska. Będzie miała jeszcze więcej niespodzianek moja mała przyjaciółeczka! Tymczasem ja badam stan jej serca.

Co do Gwidona, to zdaje mi się, że twarz mu się rozjaśniła i soki młodości, wstrzymane chwilowo, zaczynają w nim wzbierać powoli.

Ponieważ odrzuciłam propozycyę mego chrześniaka udania się z nim w podróż do Szwajcaryi, postanowił sam wypełnić swój zamiar i pojechać do „Dauphiné". Pragnąc go wciągnąć w to koło, w którem, według mego mniemania, mógł znaleźć szczęście, prosiłam, ażeby w końcu października przyjechał do Tours, skąd po zwiedzeniu zamku de la Loire powrócilibyśmy razem do Paryża.

Twarz jego rozjaśniła się radością.

— Mateczko! jesteś studnią cudownych pomysłów. Nie znam ani Loches, ani Chenonceaux, ani Amboise.

— To dobrze, zwiedzimy je razem, a ażeby wrażenie było silniejsze, radzę ci przeczytać o tej epoce z „Historyi Francyi" Henryka Martin.

— Przeczytam! przeczytam! — wołał Gwidon z zapałem. —

Wiesz przecie mateczko, że to przeczytanie „Jocelyn" natchnęło mnie myślą zrobienia wycieczki do Delfinatu. Zabieram ją ze sobą. Jeżeli gdzie skręcę kark w drodze, będą ludzie zdziwieni, znalazłszy w kieszeni automobilisty ten poemat Lamartine'a. Masz racyę, mateczko, zawiera on w sobie wino miłości.

— Najczystszą miłość... Naturalnie napój ten nie byłby dobrym dla pensyonarki, ale dla dorosłego człowieka zupełnie odpowiedni

— A widzisz, chociaż nie posiadam „czoła poety i delikatnych wydłużonych rąk", potrafiłem jednak poznać się na nim.

— Tem lepiej, moje drogie dziecko — odrzekłam śmiejąc się na przekorę jego próżności.

Tak, pojechał w góry Delfinatu, a niewidzialna siła, która go popchnęła do zrobienia tej wycieczki, jest bezwątpienia promykiem duszy Lamartine'a.

Czyż nie jest pięknem życie!

Poszliśmy wszyscy do hotelu Splendide, ażeby być przy jego odjeździe. Był tem bardzo wzruszony. Po serdecznem pożegnaniu ruchem gwałtownym wskoczył na swoją ziejącą maszynę, ujął lewą ręką ster, prawą przesłał nam pożegnanie i pomknął, rzucając ostatnie spojrzenie nie na „mateczkę", lecz na Józefinę!

Biedna mateczka zeszła na plan drugi!... Jeszcze kilka zwrotów i odejdzie ona, jak odeszło już tyle... tyle...

A jednak pięknem jest życie!

Aix-les-Bains.

Aix zmieniło swój wygląd zupełnie. Ptaki drapieżne odleciały w kierunku Biaritz, bogate dziedziczki popowracały do swych włości, lub do swych pałaców. Z niemi znikły jasne fale przepychu obraz stał się bardziej ponurym, ruch zmniejszył się. Pozostał jeszcze gwar, ale nie ma już hałasu. Jedna Amerykanka powiedziała do mnie wczoraj ze szczerością, która mnie zawsze bawi:

— „Aix has become disgustingly respectable." — Aix stało się do znudzenia godnem szacunku. —To prawda. Ludziom poważnym brak elektryczności, nie posiadają oni rezweselających cech szampana, za to mają moc wina burgundzkiego. Kiedy ludzie nauk potrafią rozłożyć pierwiastki narodowe, będące naszymi składnikami znajdą przytem zajęciu wiele niespodzianek.

Jadę dzisiaj wieczorem nie wprost do Turenii, lecz pierwej zboczę do Normandyi, skąd w tych dniach otrzymałam serdeczne zaproszenie. Upały, gwar i wysiłek umysłowy zmęczyły mnie porządnie, czuję potrzebę odetchnięcia prawdziwie wiejskiem, spokojnem powietrzem.

Państwo Lusson chcieli zabrać mnie ze sobą, wstępując po mnie z Thonon, dokąd pojechali na krótką wizytę, lecz oparłam się temu stanowczo.

Stosownie do swego zwyczaju przed odjazdem żegnałam się ze wszystkiemi rzeczami i miejscami, które mi sprawiały jakąkolwiek przyjemność.

Posłałam serdeczne pożegnanie drogiej willi na pagórku, poszłam na bulwary des Cotes i Roche de Ruy, ażeby jeszcze raz spojrzeć na małą dolinkę i napaść wzrok swój tem cudownem światłem, które jej górom i jeziorom daje duszę, daje jakiś wdzięk, jakiego nigdzie nie spotkałam. Wracając, zatrzymałam się chwilkę przed grupą z bronzu, stojącą u wejścia do parku. Wyobraża ona lwa rozciągniętego leniwie; obok lwica zachęca go do swawoli, podsuwając mu swą głowę, którą on liże z przymkniętemi ze szczęścia oczami.

Czy tylko zwierzęcym jest ten pocałunek drapieżców. Nie wiem, ale bije stąd uczucie tak głębokie, taka siła miłości, że codziennie, idąc tamtędy do kąpieli, ja stara kobieta czułam gorąco i rozrzewnienie w sercu.

Czyż nie mam racyi, mówiąc, że przeznaczeniem każdego dzieła sztuki jest utrzymywać i propagować życie na ziemi?

Wieczorem pożegnam się z hotelem Palace, z kilkoma osobami, z któremi zbliżyłam się i z Franciszką, moją miłą pokojówką.

Ileż to razy w ciągu tych szesnastu lat żegnałam się i byłam żegnaną!...

IX.

Porte Joie.

Malutka wioska ze stu pięćdziesięcioma mieszkańcami, położona na lewym brzegu Sekwany, w pięknej, żyznej dolinie, w cu-

downem otoczeniu; wioska o dwie i pół godziny drogi od Paryża, w której nie spotyka się ani żebraków, ani włóczęgów, ani spacerujących, którą znają tylko malarze i gdzie Daubigny*) rozbił swój namiot.

Przed rokiem nie wiedziałam jeszcze o istnieniu tej miejscowości. Wola, która uczyniła moje przeznaczenie tak fantastycznem, zapragnęła, ażebym weszła w stosunki z właścicielką jedynej willi w tym zakątku i oto jej serdeczne zaproszenie przywiodło mnie tutaj. Nie umiem wyrazić, jak bardzo przyjemnie mi było, kiedy przyjechawszy na stacyę, nie zastałam ani samochodu, ani omnibusu, tylko zwykłą bryczkę, zaprzężoną rosłą oślicą z probostwa.

Natychmiast w tej bezmiernej przestrzeni prawdziwej wsi poczułam się nad wyraz dobrze. Domek obrośnięty winem i znajdujące się przed nim tak zwane podwórze normandzkie, rodzaj łączki, zasadzonej jabłoniami — i mała weranda, zrobiły na mnie jak najlepsze wrażenie. Wewnątrz jest także bardzo sympatycznie.

Nie ma tu pretensyonalnego salonu, za to mam wspaniałą, jasną pracownię z oknami wychodzącemi na Sekwanę. Tu i owdzie jakiś kawałek rzeźby, jakiś obraz, dywan, lub wiązanka kwiatów zdradzają smak artystyczny.

W moim pokoju, długim jak galerya, mam słońce wschodnie, południowe i zachodnie. Przez pięć okien wzrok mój ogarnia cały widnokrąg od pięknego wybrzeża d'Herqueville, aż do pagórków po drugiej stronie rzeki, okalających dolinę.

Pod oknami mam ogródek pełen róż, przed sobą dzwonicę starego kościółka, a tuż bliziutko rozłożyste drzewo, na którem gnieździ się mnóstwo jemiołuszek, wróbli, dzięciołów, sprawiających mi prawdziwą uciechę swojem małem życiem. Z dziecięcą radością przyglądam się też statkom, płynącym wzdłuż Sekwany, i podziwiam czystość ich załogi. Dawno już nie miałam takiej uczty.

Moja gospodyni bardzo delikatna, a przytem ogromnie zajęta, pozostawia mi zupełną swobodę. Odbywam więc długie przechadzki po wybrzeżu i po dolinie i wciągam to ożywcze, świeże powietrze, jakby umyślnie przyrządzone dla moich płuc. Często też wdaję się

*) Sławny pejzażysta.

w rozmowę z wieśniakami i zauważyłam, że zwierzęta są przez nich dzisiaj o wiele lepiej traktowane niż dawniej. Czasem zatrzymuję się przy pięknych krowach normandzkich, albo jagniętach i widzę, że są one wrażliwe na słowa pieszczoty. Jestem też w bardzo dobrych stosunkach ze stadem gęsi, które codziennie biorą kąpiel w Sekwanie, a potem robią swoją toaletę na trawie na wybrzeżu. Pierwszego dnia patrzyły one na mnie z przerażeniem, drugiego już tolerowały moją obecność, a teraz znają mnie doskonale.

Jakże to wszystko jest dobrem i uspokajającem po sezonie w Aix-les-Bains. Muszę jednak przyznać, że Porte-Joie nie odpowiada swej nazwie... Jest ono bardzo ładne, ale nie ma w sobie nic wesołego, a nawet wieje dziwnym chłodem. Pobudowane nad brzegiem rzeki, ciągnie się tylko wzdłuż i nie daje wrażenia głębokości. Jego fermy nie mają w sobie wieśniaczości starych mieszkań chłopskich. Są to domy nowe, budowane po miejsku, z kominami i podwórzami.

Budynek szkolny jest banalny i brzydki jak wszędzie.

Porte-Joie nie odznacza się głęboką wiarą i gorliwą praktyką religijną.

Ostatniej niedzieli było na mszy pięć osób, to też nie ma tu stałego księdza. Plebanię wynajmuje zarząd kolei, a stary kościół, zwrócony wieżą ku Sekwanie, przez cały tydzień bywa zamknięty. Jego stary milczący dzwon nie dzwoni na Anioł Pański, ani zwiastuje święta. Zdawałoby się, że w tym zakątku świata ludzie nie rodzą się, nie żenią i nie umierają.

Wieśniacy mają wyraz twarzy surowy, nieuprzejmy niemal, nigdy nie witają się z obcymi, jak to czynią mieszkańcy Turenii.

Po drogach tej równiny normandzkiej spotyka się ładnych chłopaków z niebieskiemi oczami, o rysach klasycznych, przypominających Anglików wyższej rasy, którzy prawdopodobnie mają z nimi wspólnych przodków.

Większy pociąg do zbytków i do dobrobytu daje się tu zauważyć tak samo jak i wszędzie. Małe dziewczynki i mali chłopcy mają zawsze kawałeczek kolorowej wstążeczki we włosach. Wczoraj na spacerze spotkałam czternastoletnią może dziewczynkę, ubraną bardzo porządnie, która w jednej ręce trzymała książkę, a drugą

prowadziła na powrozie trzy krowy. Wydało mi się to bardzo charakterystycznem dla nowej epoki. Uśmiechnęłam się do postępu, który przesuwał się przed memi oczami. Słońce przed zniknięciem za górami rzuca kilka promieni na rzekę, kładzie złote i srebrne pasy na powierzchnię wody, muska ostatnim pocałunkiem samotne skały, a wszystko to wytwarza obraz nad wyraz smutny.

Dlaczego?...

Sekwana, podzielona wyspami na kilka odnóg, ma tutaj wygląd starej rzeki i podczas nocy księżycowych jest wprost porywającą. Porośnięte lasem pagórki przeciwnego brzegu rzucają na nią tajemnicze cienie. Ma się wrażenie, że lada chwila na którymś z zakrętów ukaże się nie statek nowoczesny, lecz jakaś łódź z czasów zamierzchłych. Ileż razy patrząc przez okno odczuwałam jakiś dreszcz bardzo dawnej przeszłości.

Nie, Porte-Joie nie jest wesołem. A jednak te dwa tygodnie, które spędziłam tutaj, wydały mi się nad wyraz uspakajającemi i zanadto krótkiemi. Niestety! Jutro już muszę opuścić to ustronie!

Teraz dopiero czuję całkowicie zmęczenie tego ciężkiego ostatniego roku, jaki przeżyłam.

Moje czoło i dusza są ciągle pod naciskiem jakiejś wyższej siły, i zmęczone, zaczynają błagać litości.

Chwilami czuję potrzebę powrócić do Paryża i zamknąć się bez wyjścia w swojem mieszkanku w hotelu Castiglione. Pozornie nic nie stoi temu na przeszkodzie, a jednak wiem doskonale, że moi przyjaciele z Vouvray, państwo Lusson, Józefa, Gwidon, wreszcie moje własne pragnienie ukończenia rozpoczętego dzieła, wszyscy ci wysłannicy Opatrzności zmuszą mnie do pojechania do Turenii. Czuję w sobie chwilami jakiś niemy opór. Ta podróż przeraża mnie, nie jestem dość wypoczętą. Prócz tego żal mi mojej miłej gospodyni, żal mego dużego, zalanego słońcem pokoju. Żal mi „Jasia“ małego kotka i „Żanetki“ poczciwej oślicy, która tak ostrożnie woziła mnie na spacery, i witała zawsze przyjacielskiem beknięciem. Lecz po cóż zdadzą się żale. Do tworzenia życia, przypuszczam. A więc twórzmy je!...

Jeżeli wieczory w Porte-Joie są smutne, za to poranki są bajecznie radosne. Chciałam nacieszyć się jednym z takich po raz

ostatni. Otworzyłam okno przed szóstą rano i zostałam uderzona cudowną panoramą, jaka się oczom moim ukazała. Słońce ukazywało się właśnie ponad wzgórzem d'Herqueville, niebo było idealnie czyste, a powierzchnia Sekwany stała nieruchomo. W przeźroczystem powietrzu uwijały się setki jaskółek, zataczały koła nad ogrodem, dokoła drzew i starej dzwonicy i otwierały dzióbki, jakby dla wydania jakiegoś rozkazu. Ten taniec ptasi trwał parę minut, potem wszystkie wzbiły się ku górze, zostawiając zupełną ciszę po za sobą.

Kochane małe siostrzyczki! Są one posłane daleko, miejsce ich posłannictwa jest tam... w Afryce i Australii. Mają one zapewne w jakiejś komórce swych małych mózgów wyznaczoną sobie drogę. Ich drobne ciałka i nerwowe skrzydełka wykonywają ruchy zrozumiałe dla nas, ale śród burz i zawiei podtrzymuje je ta siła wyższa, nieznana... ich przeznaczenie... One, jak my... my, jak one... Nie obawiają się niczego, bo nie wiedzą nic, my się boimy, bo wiemy za mało...

X.

Turenia — Vouvray.

Oto już jedenasty rok z rzędu powracam do Vouvray i zawsze pod ten sam dach. Zaznajomiłam się z mymi gospodarzami w Vichy w sposób dość zabawny.

Pewnego wieczora po obiedzie siedziałam na ławce przed hotelem Ambasadorów, czekając na godzinę otwarcia kasyna, kiedy jakiś wysoki pan zatrzymał się tuż obok mnie, chcąc zapalić cygaro. Dziewczyna, sprzedająca kwiaty, myśląc, że stanowimy jedno towarzystwo, podeszła do niego i, stosownie do swej zwykłej taktyki, która udaje się dziewięć razy na dziesięć, powiedziała:

— Niech pan kupi te piękne róże dla pani.

Zarumieniłam się z gniewu i niezadowolona kazałam jej odejść.

Pan A... na widok mego zakłopotania, zapragnął zwiększyć je jeszcze, kupując kwiaty i zwracając się do mnie z uprzejmem zdjęciem kapelusza.

— Nie mam prawa ofiarować je pani — powiedział z po-

czciwym uśmiechem na twarzy — ale pomimo to proszę przyjąć, choćby dla wyprowadzenia mnie z kłopotu.

Nie mogłam wstrzymać się od uśmiechu i rozbrojona komicznością sytuacyi, wzięłam do rąk podany mi wspaniały pęk kwiatów.

W kilka minut potem nadeszła pani A... i widząc męża, zajętego rozmową z jakąś nieznajomą, obrzuciła mnie wzrokiem, który do dzisiejszego dnia jest przedmiotem moich żartów. Pośpieszyłam opowiedzieć jej zabawną historyę, co wywołało u niej nieudaną wesołość.

— Dziwię się — powiedziała żartobliwie do męża — że przyszła ci do głowy tak szczęśliwa myśl.

— I ja także — odparł pan A... śmiejąc się.

Nuta komiczna, która zadźwięczała w końcowym dyalogu małżonków, wpadła mi do ucha i ubawiła serdecznie.

Dalej popłynęła rozmowa, przełamująca coraz bardziej lody pierwszego poznania się.

A więc dziewczyna, sprzedająca kwiaty z Vichy, była bezwiedną przyczyną naszego zbliżenia się... Ten drobny frazes, który wywołał gniew z mej strony, był przeznaczony do dania mi pary dobrych przyjaciół. To on był przyczyną tylokrotnego mego powrotu do Turenii i wpływ jego trwa dotąd jeszcze.

Oto piękny kawałek tkaniny na kanwie życia!...

Vouvray.

Z pomiędzy wszystkich stacyj, wyznaczonych mi Opatrznością do odpoczynku, ta w Vouvray należy do najmilszych. Dom moich gospodarzy mieści się przy wejściu do miasta. Przed nim roztacza się dziedziniec, przyciągający nas wszystkich swoją „wiejskością", swemi obrośniętemi powojem murami, rozłożystemi sykomorami i starą studnią, kryjącą się w zieleni. Kiedy otwiera się przedemną jego furtka, doznaję wrażenia niezmiernej zaciszności i gościnności.

Miło mi jest spotykać się tu z dawno znajomemi twarzami służby i słyszeć przyjacielskie mruczenie kotki Miretty, która zna doskonale mój głos.

Zachwyca mnie mój pokój niebieski z wyszywanemi meblami,

nad któremi pracowały trzy pokolenia kobiet. Cały dom jest ogromnie miły — w miarę prowincyonalny, ażeby dać wrażenie partykularza i dość nowoczesny, ażeby dostarczyć zupełnego komfortu.

Z ciekawością śledziłam przeszczepianie się i rozwój nowych upodobań w jego wnętrzu. Wyrażają się one w tysiącu drobnostek, nadających wygląd mniej surowy... między innemi w wielkiej ilości kwiatów i światła.

Ogród, ogromnie ciekawy, jak wszystkie w tej okolicy, znajduje się po drugiej stronie ulicy, lecz z domem połączony jest przejściem podziemnem. Jest w nim wspaniały taras, porośnięty kasztanami i innemi drzewami, a dołem rosną przeróżne jarzyny, drzewa, owocowe i rozmaite kwiaty. Bawi mnie przyglądanie się czynnościom gospodarskim, bo to przypomina mi dom rodzinny. Każę sobie nieraz pokazywać szafy pełne bielizny, i piwnice zaopatrzone w bogate zapasy owoców i starego wina. Odwiedzam też śpichrz — ubóstwiam go! Często powracając z przechadzki, wstępuję do kuchni, połyskującej mosiądzem i miedzią, ażeby powiedzieć dzień dobry poczciwej Konstancyi, najsympatyczniejszej kucharce, jaką kiedykolwiek znałam. Zbliżam się do komina i przyglądam się palącemu się drzewu, mięszam w garnkach lub obracam rożen. Wszystkie te rzeczy prozaiczne, stanowiące niezbędną część „ogniska domowego“, zajmują mnie teraz bardzo. Nabierają nawet w mych oczach pewnej poezyi, bo sprowadzają moje myśli do wspomnień o dawnej, dobrej przeszłości. I dzisiaj ta przeszłość, która do niedawna była truciznę mojej teraźniejszości, obecnie jest kojącym balsamem — dla mojej duszy. Czy człowiek nie jest zwierzęciem, dla którego potrzeba cofnąć się wstecz, ażeby poznać sprawiedliwość?

Vouvray.

W Porte Joie odczuwałam więcej piękno tej okolicy, zraszanej Loirą.

Vouvray nie jest „klerykalnem“. I jakże mogłoby niem być wobec tego cudownego nieba Turenii, w tej atmosferze drgającej światłem, z tym pięknym zamkiem de Moncontour, który zachował cały urok przeszłości, ze szlachetnemi winnicami swoich pagórków, z tą piękną, delikatną rasą?

I co za wspaniałość!

Porośnięte winem skały mają wydrążenia z drzwiami i oknami i są zamieszkałe jak za odległych czasów, a u ich stóp ciągną się małe wiejskie domki i eleganckie wille. Tutaj mieszka się w skale i pod skałą. Murarze i architekci potrafili obudzić szacunek dla tych przyrodzonych budowli. Zamiast burzyć i niszczyć, potrafili oni zużytkować te nierówności ziemi. Porobili nieregularne drogi, oryginalne ogrody, dziwaczne schody. Konfiguracya tej miejscowości daje wiele niespodzianek, i czyni przechadzki niezmiernie urozmaiconemi. Nierzadko z pomiędzy gęstych krzaków, porastających jakiś szczyt, wystrzela komin mieszkania ludzkiego, dzwonica kościółka zdaje się wyrastać z ziemi. Widzialny z ogrodu moich przyjaciół posąg Matki Boskiej, umieszczony nad głównem wejściem do kościoła, wydaje się, jakby pływał w lazurze. Nawet dziedziniec przy świetle księżyca wydaje się czemś fantastycznem. Wielu właścicieli ma w skałach izby, gospodarskie schowania lub piwnice, jakich nie powstydziłby się bohater Rabelais'go i w których wino ma potrzebny spokój, ażeby się dobrze zestarzeć.

Arystokratyczna część miasta mieści się na górze. Ulica tam otoczona jest z jednej strony przepięknemi willami i kościołem, a z drugiej ogromnemi ogrodami, spuszczającemi się w tarasach aż do drogi. Nigdzie nie widziałam murów tak dziwacznych i tak ukwieconych. Patrząc na nie, czuje się potrzebę przesadzić je i wyjść na równinę. Wtedy ma się przed sobą nieskończoną przestrzeń, oddycha się pełnem powietrzem i idzie się wśród winnych latorośli z uczuciem wesela w duszy. Wspaniała brama prowadzi do de Moncontour, wojennego zamku z XV wieku, wznoszącego się na wysokości. Z jego wież nie strzeże się dziś kraju, lecz się go podziwia, o czem nie marzyli nasi ojcowie. Stamtąd ma się czarujący widok na zamierającą rzekę Loirę, przysypywaną fioletowym piaskiem, od którego żadna siła nie może jej oswobodzić. Zamiera z godnością, jakby jakaś wielka dama. To nie są już prawie żyjące fale, tylko jakieś martwe lazury, na które kładzie swe blaski zachodzące słońce. Któregoś wieczora doznałam przykrego wrażenia, przyglądając się tej biednej rzece. A jednak nie wiem, czy wolałabym widzieć na jej powierzchni płynące statki towarzystw żeglugi.

Odpowiedniejsze są one dla demokratycznej, handlowej Sekwany. Być może, że natura jest tego samego zdania.

W moich przechadzkach turystycznych nie zapomniałam też o moście Cisse, tak drogim Balzacowi, lecz najbardziej pociągającem dla mnie miejscem jest bez wątpienia tutejszy cmentarz. Nie znam mu równego. Jest on literalnie skąpany w świetle słońca i sądzę, że na nim zupełnie umarłym być nie można. Wiatr, którym on wieje, wydaje jakieś dziwne dźwięki, to też często chodzę mu się przysłuchiwać.

Odwiedziłam też szczęśliwie klasztor Ofiarowania N. M. P. Bałam się, żeby ten piękny kawałeczek preryi nie został zniszczony. Jest to skromny budynek z ogrodem i szkołą w podwórzu. Wychyliwszy się przez mur można zobaczyć snujące się tu i ówdzie białe i czarne postacie zakonnic i, dziwnym trafem, tej samej barwy przebiegające koty. Zdawałoby się, że kotki-rodzicielki podległe są także regułom zakonnym. Czasem słychać stamtąd rozbrzmiewające głosy — dzieci, które śpiewają jakąś modlitwę, lub starą francuską piosenkę. Wczoraj przechodząc, usłyszałam zwrotkę z „Rycerzy z Marjolaine". Machinalnie powtarzałam słowa pięknego tego utworu i drobne łzy zrosiły moje oczy.

Vouvray, tak samo jak cała Turenia, ma nastrój melancholijny; w nabożnej jego atmosferze czuć wielką słodycz, lecz dusza jego nie jest klerykalną. Sądzę, że klerykalizm ma swoją racyę bytu, lecz nie jest on ani pięknym, ani sympatycznym.

Już blizko dwa tygodnie jestem tu i nie rachuję ani godzin, ani dni. Nie mam nawet ochoty udać się do Tours. To życie wiejskie na prowincyi ma dla mnie wiele uroku. Lubię te obfite śniadania i obiady — dumę mojej gospodyni — przy których pojawia się złociste stare wino. Staruszek pastor wnosi wesołość i pogodę, i ożywia wesołą, poufałą gawędą te skromne uczty. Grywamy w karty, pracujemy, pijemy herbatę pod kasztanami i rozmawiamy bez końca. Ta nuta żartobliwa, która uderzyła mnie przy pierwszem spotkaniu się z panią A..., dźwięczy co chwila, zasilona dowcipem, cechującym umysły wszystkich mieszkańców Turenii. Miewam gwałtowne napady wesołości. Śmieję się jak „dwudziestolatka" i to służy mi bardzo. Mówiłam kiedyś moim gospodarzom, natu-

ralnie nie wymieniając powodu, o zerwaniu stosunku z panią Hauterive, jedyną moją krewną. Teraz opowiedziałam im o mojem spotkaniu w Bagnoles i o pogodzeniu się. Opowiedziałam im o mej przyjaźni dla mego pseudo-chrześniaka, potem o sposobie poznania się z państwem Lusson, właścicielami zamku w Commanderie, tego zamku, który mi kiedyś pokazywali, gdyśmy wracali z Rochefort.

— To uderzające! — wykrzykiwała pani A... z wyrazem wielkiego zainteresowania w oczach.

— Gdybyśmy umieli patrzeć na życie, bylibyśmy o wiele częściej uderzeni cudownością jego — powiedziałam, uśmiechając się.

— W takim razie wolę już nie przyglądać się wcale — odrzekła prędko moja wielce prozaiczna przyjaciółka.

Uderzającym jest naprawdę ten epilog mego życia.

Uderzającem jest to uczucie, które żywię dla syna pana Myères i dla Koletty. Zapytuję siebie nieraz, cobym robiła obecnie, gdyby mi zabrakło widoku tego dużego chłopca, pełnego władz i siły młodości...

Gwidon odbył teraz wspaniałą podróż i chciałabym jak najprędzej usłyszeć z ust jego opowiadanie o niej.

W tej chwili bawi w Rocheilles, i przysyła mi listy, z których wieje nowy jakiś przypływ junactwa i miłości. Czuję to zdaleka. Z niecierpliwością oczekuje chwili połączenia się ze mną, lecz mam przeczucie, że to nietylko „mateczka" go tu przyciąga. Tem lepiej! o! tem lepiej!

Nie jestem prawdziwie matką, dopóki nie zaznałam bolu ofiary.

Commanderie de Rouziers.

„Budynek w stylu Ludwika XIII. dość dobrze sklecony" — temi słowy określił mi kiedyś pan A... ten dom, w którym kilka lat później znalazłam tak uprzejmą gościnność. Do niego wprowadzili mnie państwo Lusson tydzień temu. Spotkali mnie w Tours, gdzie z omnibusu moich przyjaciół z Vouvray musiałam się przesiąść do ich powozu.

Jakież serdeczne przyjęcie urządzili mi! Na mój widok twarzyczka Józi pokryła się rumieńcem.

Czy wywołała go pani Myères, czy chrzestna matka Gwidona? Wszystko jedno, zawsze to było ładne.

Commanderie położone jest o dwanaście wiorst od Tours i o pół godziny drogi od miasteczka Rouziers.

Dom nie wygląda na zamek, lecz solidna jego budowa ma w sobie coś starożytnego. Kiedyś otrzymał prawdopodobnie chrzest wojenny.

Bluszcze obrastające lewe jego skrzydło i kwiaty, rosnące dokoła, nadają mu wygląd nad wyraz przyjemny. Niewielki park jest prześlicznie położony.

Wszystko to stanie się kiedyś prawdopodobnie dziedzictwem przyrodniego brata Józi, który rok temu ożenił się z córką kanadyjskiego hankiera i mieszka obecnie w Montrealu.

Dom mieszkalny w Commanderie jest dobrze „skleconv“ nie tylko zewnętrznie, bo i w wewnętrznem urządzeniu sztuka i komfort nowoczesny podały sobie ręce. Jest tu ciepło i sympatycznie, „gemütlich“, jak powiedzieliby Niemcy. Atmosferę taką zawdzięcza się nie tylko meblom staroświeckim, pięknym dywanom i relikwiom familijnym. Na każdym kroku spotyka się tu ślady życia umysłowego, i nie są one, jak to często bywa, akcesoryami teatralnemi. Wyrabia się tu ciepłe ubrania z włóczki, znajdującej się w dużym staroświeckim koszyku w jednem z okien salonu, wyszywa się dywany na kanwie. Jest tu pianino, które nie stoi milczące, na stole leżą „Przeglądy“, które są czytane, jest biblioteka otwarta dla wszystkich, jest kominek, na którym często pali się ogień, są całe klomby kwiatów, układanych inteligentną ręką. Jest jednem słowem życie we wszystkiem i to się czuje. Niektóre mieszkania, jakkolwiek zamieszkałe, robią wrażenie pustych, inne, puste, wydają się zamieszkałemi. Dom państwa Lusson należy do ich liczby.

Mnie dano apartament z oknami wychodzącemi na park — jest to to samo mieszkanie, w którem niegdyś stali Randolphe'owie podczas swego pobytu w Commanderie. Zajmuję pokój dawniej pana Williama i doświadczam smutnej radości, myśląc, że jego oczy patrzyły kiedyś na otaczające mnie przedmioty.

Są tu portrety przodków, które parweniusze wyrzuciliby na

strych, jest staroświecka komoda, olbrzymie biurko, zachwycająca mnie toaleta w stylu Ludwika XV. i szklana szafa ze staremi szpargałami, w których tak lubię grzebać się.

Łóżko moje stoi w alkowie zawieszonej kotarą. W salonie, wybitym tapetami z Beauvais, czuję się wielką damą. Moja mała przyjaciółeczka przystroiła go różami i chryzantemami. Pani Lusson uprzedziła mnie, że Józia wzięła na siebie opiekę nad memi wygodami i trzeba widzieć, jak troskliwem okiem dziewczę to przygląda się, czy czego nie braknie.

Wkrótce po przyjeździe zapragnęłam zobaczyć chłopaków Józi. Zaprowadziła mnie do „Chałupki“ — tak się nazywa schronisko tych małych. Jest to długi, nizki dom, otoczony owocowym i warzywnym ogrodem. Kanadyjskie wino oplata go aż pod dach. Małe okienka z biało-różowemi firankami i obrośnięte są całe zielenią. Na każdej z ławek, stojących po obu stronach drzwi, siedział biały kot i robił swoją toaletę. Na progu spał duży pies pasterski. Cały widok był dziwnie śmiejący się i wesoły. Królowa angielska chętnie by się zatrzymała przed tem.

Miss Jones wyszła na nasze spotkanie i została mi przedstawioną. Włosy niegdyś blond, a dziś czerwonawo-rudawe i zadarty nos, nadawały jej twarzy szpetotę prawdziwie saksońską, lecz dobre, niebieskie oczy i pogodny wyraz twarzy robiły ją pociągającą. Dla panny Lusson była ona rodzajem władzy. Kiedy dwa lata temu Józefa stworzyła sobie tę małą rodzinę, ta stara nauczycielka zwróciła się do niej z propozycyą objęcia opieki nad dziećmi i po otrzymaniu zaproszenia natychmiast przeniosła się na wieś. Jedna z „siostrzyczek“ pewnej kongregacyi pełni obowiązki służącej i pracuje za dziesięć.

Wnętrze „chałupki“ zachwyciło mnie. Wchodzi się naprzód do dużej sali o dwóch oknach, z której drewniane schody prowadzą na pierwsze piętro. W tej hali dzieci jedzą, bawią się i uczą. Pośrodku stoi duży stół, a dokoła dwanaście krzeseł i dwa wyplatane fotele. W dużych szafach mieszczą się książki i zabawki, wielki ścienny zegar wybijania godziny, a olbrzymi piec ogrzewa pokój w zimie.

Równolegle do tej sali ciągnie się ogromna kuchnia z oknami na ogród, a obok duży pokój kąpielowy. Każdy pokój dziecinny ma dwa łóżeczka, dwie komódki z lusterkiem, dwa pulpity i dwa krzesła. Umywalnia ogólna zaopatrzona jest we wszystko najpotrzebniejsze. Miss Jones ma bardzo ładne mieszkanko: na dole gabinet do pracy, a na górze pokój sypialny, urządzony z komfortem. Prócz tego ma ona jeszcze pokój gościnny, ażeby mogła przyjmować swe przyjaciółki.

Pomimo wielkiej prostoty we wszystkiem czuć dobry smak Józi. Na ścianach wiszą obrazy, ogromne wazony napełnione są kwiatami. W całym domku panuje ruch i porządek — porządek bez ruchu jest martwotą. Otwarte książki, naprężone krzesła i tysiące rzeczy zagadkowych zdradza obecność dzieci, a staroświeckie meble, pochodzące ze składów w Commanderie de Rouziers, nadają całości wygląd familijny.

Malcy byli w głębi ogrodu. Panna Lusson przyłożyła do ust małą świstawkę, którą nosi zwykle przy zegarku, a gdy dzieci na odgłos jej nadbiegły z okrzykiem: mama chrzestna! mama chrzestna! — zwróciła się do mnie:

— Widzi pani! i ja jestem także matką chrzestną!

Chrześniaki otoczyły ją dokoła, całowały po rękach, a dopiero gdy mnie spostrzegły, stanęły zażenowane. Przemówiłam do nich parę słów i małe twarzyczki rozjaśniły się. Dwaj starsi mają ośm i dziewięć lat, dwaj młodsi siedm i sześć.

Jeden z nich wyjął z kieszeni pudełeczko, otworzył je ostrożnie, jakby zawierało coś drogocennego, i zwróciwszy się do młodej dziewczyny, powiedział:

— Patrz, mateczko chrzestna, to mój ząb, sam go sobie wyrwałem.

— Wybornie! pokaż usta.

Dziecko było posłuszne i Józia z pieczołowitością obejrzała mu dziąsła.

— Drugi już rośnie na jego miejscu, a ten oddasz mnie?

— O tak! i wszystkie inne.

Wzruszona „mateczka“ przycisnęła do piersi czarną główkę dziecka.

Otwarte, szczere fizyognomie malców zachwyciły mnie. Dzięki czystości, która sama w sobie mieści cechy elegancyi, robili wrażenie pochodzących z wyższej klasy.

— Dwaj starsi byli pokryci warstwą brudu, kiedy przyszli do mnie — odpowiedziała Józia na moją uwagę — a obecnie brzydzą się nim. Kilka dni temu Miss Jones usłyszała jakieś przenikliwe krzyki. Przybiega i widzi, jak Paweł gwałtem myje pod studnią córeczkę fermera.

— Czy wszyscy oni są sierotami?

— Tak. Ojciec kazał mi obiecać, że będę przyjmowała tylko dzieci bez rodziny. Teraz, jak już są u mnie, drżę na myśl, jakim mógł być ich los. Biedne kociaki! Prawda, że teraz mają miny szczęśliwe.

— Szczęśliwe! ależ oni promienieją zdrowiem i zadowoleniem — odrzekłam ze szczerością.

Podczas całej tej wizyty obserwowałam moją młodą przyjaciółkę i nie zauważyłam w niej ani cienia pozy lub afektacyi. Jestem przekonana, że nie ma siły, która by ją zmusiła do opuszczenia tych małych. Po macierzyńsku cieszy się ich zdrowiem, stara się odgadnąć ich uzdolnienie, myśli o ich przyszłości. Oto, jakiem być może czyste i gorące serce młodej dziewczyny.

Życie wiejskie jest w Rouziers doskonale pojęte. Rano gospodarze i goście należą całkowicie do samych siebie. Śniadanie jest o jedenastej, herbata o czwartej, obiad o ósmej. W ten sposób popołudniu mamy dużo czasu na „bridgé“, rozmowę lub przechadzkę. W okolicy dużo jest sąsiedztwa i nie ma dnia, żeby nie przyjechał ktoś samochodem.

Gdyby los mój nie obrócił się w sposób tak tragiczny i ja, tak samo jak pani Lusson, miałabym w Chavigny taki miły kącik. Myśl ta przeniknęła mój mózg dziś rano, kiedy czytałam „Figaro“, siedząc pod drzewem w parku. Gazeta wypadła mi z ręki i wśród tego ogólnego spokoju pogrążyłam się w głęboką zadumę. W Chavigny Jan Noël nie byłby się wtedy usadził. Jan Noël, towarzysz mojej starości! Opatrzność odjęła mi wiele, lecz sądzę, że dała jeszcze więcej.

Commanderie de Rouziers.

Jeździliśmy wszyscy do Tours i ja wróciłam ztamtąd z duszą pełną niepokoju. Sobota jest dniem tego miasta. W dniu tym okoliczni obywatele dają sobie „rendez-vous“ tutaj; po ulicach snuje się mnóstwo break'ów, faetonów, wspaniałych powozów i samochodów. Pani Lusson jeździ tam regularnie i, wynająwszy salę w Hotelu Wszechświatowym, przyjmuje swych przyjaciół.

Przed herbatą, zakupiwszy trochę zabawek dla chrześniaków Józi, przechadzałam się w mniej ludnej części miasta, którą najlepiej lubię. Pomimo wybitnej cechy prowincyonalizmu i wielkiej ilości księży i dewotek, jaką się na ulicach spotyka, Tours nie jest wcale ponurem. Jest to miasto arystokratyczne, otwarte, i zachowało wiele cech lekkiej, eleganckiej duszy przeszłości.

Czarne i piwne oczy kobiet mają wyraz wesoły i trochę wyzywający, a u mężczyzn śmiały i hardy. Panuje tu z pewnością wielki rozchód na miłość i pieniądze.

Spóźniłam się trochę na przyjęcie pani Lusson. Kiedy przyszłam, w salonie było już kilkanaście osób: kilka dziedziczek-wdów w czarnych sukniach i kapeluszach, wiązanych pod brodę, o cerze żółtej, zdradzającej złą hygienę, kilka młodych mężatek bardzo rzucających się w oczy, dobrze ubranych, lecz nie posiadających wrodzonej elegancyi, kilka „panien na wydaniu“ sztywnych i niezgrabnych, oficerowie i młodzieńcy wiejscy.

I tym razem miałam sposobność podziwiać grę ogólnych idei, właściwych mniejszości. Kobiety, znajdujące się tam, nie posiadały wysokiej kultury, były mało oczytane, ich umysły były tak „zapiaszczone“ jak łożysko Loary, a jednak znakomicie potrafiły prowadzić rozmowę. Paplanina była prowadzona świetnie, dobrym językiem i z delikatną przyprawą soli. Słuchając tych rozmów, myślałam sobie, jak o wiele więcej prowincya Francyi mogłaby być użyteczną i przyjemną, gdyby przesądy i nieuctwo nie zrobiły jej zacofaną, i dodałam sobie w duchu, że Opatrzność ożywi i użyje tych wszystkich umysłów, jak przyjdzie na to pora. Może tworzą one potrzebną przeciwwagę ruchowi „Biegu rzeczy“.

Jakaś wdowa po jenerale bawiła mnie przesadnem wychwalaniem swego zięcia.

— Gdyby zięciowie — mówiła — zmieniali się jak prezydenci republiki i byli wybierani co lat siedm, ja powtórnie wybrałabym Roberta.

Oburzyłam się na taki despotyzm matki.

— W tym wypadku córka pani musiałaby decydować — odezwała się jakaś pani ze złośliwą twarzą.

— Moja córka — zawołała jenerałowa, jakby zapomniawszy o tym dodatku — o! ona robi zawsze co ja chcę, i jest zresztą, z tem bardzo szczęśliwą.

W tej chwili dostrzegłam błyskawice w oczach Józi. Ona z pewnością nie pozwoliłaby nikomu rządzić tak swoim losem.

I znowu miałam sposobność przekonać się, jak pierwiastki cudzoziemskie jej charakteru wyróżniają ją od jej otoczenia. W jej ruchach i słowach czuć było silną indywidualność. Posiadała ona w całej pełni wolność słowa i myśli, lecz nie nadużywała jej. To też po za oznakami przyjaźni, jakiemi darzono młodą dziedziczkę, krytykowano z pewnością surowo jej sposób bycia i wychowanie.

Józia wzięła się do przygotowania herbaty i czekolady. Jakiś porucznik z pułku strzelców, bardzo ładny chłopak, ofiarował się jej pomagać, roznosząc filiżanki i ciastka. W jednej chwili ogarnął mnie jakiś niepokój — czułam małżeństwo w powietrzu. Józia wydała mi się zażenowaną. Matka młodego człowieka mówiła do niej czule i poufale.

— Czyżbym szła fałszywą drogą? — pomyślałam i serce mi się ścisnęło.

Pragnęłam jak najprędzej módz wybadać dziewczynę.

Zaraz w drodze powrotnej Józia odezwała się z oburzeniem:

— Słyszała pani tę obrzydliwą jenerałową? Ażeby mieć córkę przy sobie, wydała ją za swego sąsiada, człowieka dobrego i dobrze wychowanego, ale nudnego jak mgła.

— O są jeszcze, chwała Bogu, dziewczęta, które pozwalają się wydawać za mąż — odezwała się pani Lusson, starając się przybrać surowy wyraz twarzy.

— I są już rodzice, którzy nie są egoistami — odrzekła młoda dziewczyna, podnosząc do ust rękę matki.

Rozmowa ta uspokoiła mnie na chwilę, lecz przypomnienie pięknej twarzy porucznika zaniepokoiło znowu. Przypomniałam sobie spojrzenia wszystkich, skierowane na tych dwoje — byłam przekonaną, że cały świat ich żeni...

Przed udaniem się do snu Józia przychodzi zwykle do mnie na krótką pogawędkę; przychodzi w szlafroczku i w ładnych sandałkach na gołych nogach. Siada zwykle na niziutkiem krzesełku przed kominkiem, na którym pali się ogień i, rozmawiając, szczotkuje sobie włosy. Jest to zwyczaj angielski. Po wiejskich domach dziewczęta odwiedzają się wzajemnie ze szczotkami w rękach.

W naszych gawędkach unikam zwykle rozmowy o moim chrześniaku, lecz ona zawsze znajdzie sposób zaczepić o niego. Czasem trzeba bardzo kołować i ja śmieję się w duchu z jej zręczności. Tego wieczora zaczęła rozmowę o naszej wyprawie samochodem na „Koci ząb".

— Ale, ale — powiedziałam niby od niechcenia — kto jest ten młody człowiek, który pomagał ci przy herbacie?

— Hrabia Morziers, protegowany mamy — dodała, potrząsając buntowniczym ruchem swą czupryną.

— Ależ on jest bardzo miły — odrzekłam podstępnie.

Przy tej nieoczekiwanej aprobacie z mej strony, która jakby wykreślała zupełnie barona Hauterive, twarz Józi nagle zachmurzyła się. Nie spotkałam nigdy twarzy, uwidoczniającej tak wyraźnie smutek — widać było na niej literalnie chmurę. Oczy jej, pełne zdziwienia, spojrzały na mnie, a potem zwróciły się do kominka.

— Tak, on jest bardzo... ładny i do tego jest to najlepsza partya w okolicy, Lecz, niestety, zanadto kocha swój zawód żołnierski, a ja nie zgodziłabym się nigdy pędzić życie obozowe. Ja pragnę mieć siedzibę stałą, z której mogłabym wyjeżdżać tylko z własnej woli.

Tym razem obawy moje rozproszyły się zupełnie. Robiłam sobie wyrzuty, że wlałam bolesne zwątpienie w to młode serce. Widziałam, jak szczotkowała swe włosy ruchem coraz wolniejszym, jak gdyby opanowało ją jakieś zniechęcenie. Rozmowa urwała się, a w pożegnaniu odczułam pewien chłód.

Poklepałam ją po przyjacielsku po ramieniu.

— Miejmy nadzieję, że Opatrzność zeszle do Chavigny takiego dziedzica, jakiego my obie pragniemy.

— Miejmy nadzieję... — odrzekła Józia poważnie.

Commanderie de Rouziers.

Kiedy ja się niepokoiłam, mój protegowany pospieszał do nas z szybkością swoich „piętnastu koni", aż pewnego popołudnia spadł jak meteor pomiędzy nas.

Państwo Lusson pojechali właśnie na jakąś wizytę, a ja i Józia byłyśmy w „Chałupce". W oczekiwaniu podwieczorku, który przyrządzała dla nas miss Jones, Józia grała w palanta z dwoma starszymi swymi chrześniakami. Siedząc w wygodnym fotelu w ogrodzie, z kotem na kolanach, przyglądałam się tym synom „dziewicy", bawiącym się w słońcu, i po raz setny zadawałam sobie pytanie: skąd oni pochodzą? Czas był prześliczny, powietrze czyste, a dokoła zupełna cisza.

Nagle wielki pies podwórzowy Top, i dwa małe fox-teriery z zaciekłem szczekaniem rzuciły się w głąb ogrodu.

— Jakaś wizyta — powiedziałam.

Józia odwróciła się i ze zdziwieniem obie ujrzałyśmy postać Gwidona pomiędzy skaczącymi i łaszącymi się psami.

Kot zeskoczył z mych kolan i nastawił grzbiet. Wstałam z miejsca i, zanim się obejrzałam, znalazłam się w objęciach mego chrześniaka.

— Skąd się wziąłeś? — wołałam.

— Z mego samochodu, mateczko. Przybywam z Tours.

Mówiąc to, Gwidon zbliżył się do panny Lusson i ręce ich złączyły się, oczy spotkały się, a po twarzach przemknęło niewidzialne światło. Wszystko to trwało parę sekund, lecz dostatecznie długo, ażeby Jan Noël zdołał pochwycić wspaniały obraz: mała chatka, oblana promieniami słońca, miss Jones, zbliżająca się z czajnikiem w jednej i tacką ciastek w drugiej ręce, pod topolą stół, ubrany kwiatami, dzieci, psy, obwąchujące przybysza, a na pierwszym planie młoda dziewczyna, nerwowym ruchem ręki głaszcząca złotowłosą główkę jednego ze swych chrześniaków, Józia, wyglądająca prześlicznie w krótkiej, szarej kortowej, spodniczce,

w obcisłym staniku, z kremową krawatką na szyi i w kapeluszu z szerokiemi skrzydłami. Doprawdy Opatrzność umie doskonale scenizować swój personal, tylko my nie umiemy tego dostrzedz.

— Wytłumaczże mi raz, w jaki sposób znalazłeś się w Turenii dziesiątego października, kiedy miałeś być dopiero dwudziestego piątego? — zwróciłam się do Gwidona.

— Nie mogłem się doczekać dwudziestego piątego, oto wszystko — odparł mój chrześniak.

— Bardzo piękna przyczyna — odrzekłam rozbrojona.

— I prawdziwa — powiedział „my boy".

— Gdzie pan zostawił swój samochód? — odezwała się Józia' ochłonąwszy ze wzruszenia.

— W Rouziers. Powiedziano mi, że państwo Lusson wyjechali z wizytą i że panie mogę zastać tutaj.

— Zasługiwałbyś na to, ażebyśmy także były nieobecne.

— Jako gospodyni protestuję przeciwko temu i z przyjemnością ofiaruję panu Hauterive filiżankę herbaty — odrzekła młoda gosposia.

— Kto wie, może przynęcił go tutaj zapach „scones'ów", tych gorących ciastek, które kiedyś z takim apetytem zjadał w małej herbaciarni w Aix-les-Bains — odrzekłam, śmiejąc się.

— Z pewnością przyciągnęło mnie coś — powiedział młody człowiek odważnie — inaczej nie odbywałbym całej drogi tak pośpiesznem tempem.

W jaki sposób te proste słowa wywołały rumieńce na twarz Józi, nie wiem, jest to tajemnicą natury.

Jakże obecność mężczyzny wypełnia życie! W jednej chwili wesołość zwiększyła się o dziesięć razy. Nigdy moja przyjaciółeczka nie wydała mi się tak pociągającą, a skromny kostyum angielski dodawał jej tylko wdzięku. Szerokie brzegi kapelusza, podniesione z przodu, pozwalał widzieć jej piękne czoło i nad niem aureolę, złocistych włosów. Dostrzegłam zaniepokojony wzrok miss Jones, przenoszący się z jednego na drugie tych dwojga młodych. Wzrok ten nasunął mi myśl, że niedyskrecyą było ze strony Gwidona przychodzić aż tutaj. Co pomyślą państwo Lusson?

W tej chwili usłyszeliśmy turkot powozu.

— Rodzice jadą! — zawołała wesoło Józia — ich także znęcił zapach „scones'ów“. Miss Jones, proszę prędko świeżej herbaty.

Wstałam pośpiesznie i w towarzystwie Gwidona poszłam na spotkanie moich gospodarzy.

Z okrzykiem zdziwienia oboje państwo Lusson wyciągnęli ręce do gościa. Jednakże pomimo serdeczności dostrzegłam w ich obejściu się pewien cień. To bardziej jeszcze rozgniewało mnie na winowajcę.

— Przypuszczam, że nie przyjeżdża pan po swoją „mateczkę“ — zapytała pani Lusson. — Do końca tego miesiąca należy ona do nas i nie darujemy z tego ani jednego dnia.

— Sądzę, że mateczka nie dałaby się stąd zabrać — odparł Gwido. — Będę czekał. Mam znajomych w Tours, w Orleanie, w Sologne — wystarczy mi cierpliwości.

— Mogłeś zdobywać się na nią, siedząc w Rocheilles — powiedziałam podrażniona.

— No proszę! i po to robiłem sześćdziesiąt na godzinę, ażeby usłyszeć te słowa!

Patetyczny głos, jakim mój chrześniak wypowiedział to rozśmieszył nas wszystkich.

Po herbacie Gwidon prosił miss Jones, aby go oprowadziła po „Chalupce“. Z oględzin wrócił widocznie wzruszony, co starał się pokryć żartami.

— Czy pani się nie obawia, ażeby panna Józefa nie zaciągnęła się z czasem do Armii Zbawienia? — zwrócił się do pani Lusson.

— Pan się śmieje, a wie pan, że jedna z takich „zbawicielek“ o mało nie wciągnęła Józi naprawdę do tego stowarzyszenia. Ileż to razy musiałam jej towarzyszyć na konferencye przy ulicy Auber. Tylko dzięki brzydocie stroju, jaki noszą te stowarzyszone, moja dziewczyna oparła się temu.

Józia zarumieniła się, a twarzyczka jej sponsowiała.

— Niepotrzebnie się ojciec obawiał — odrzekła — jestem niezdolną do takiej abnegacyi, jakiej wymaga tego rodzaju życie.

— Chwała Bogu! — westchnęła pani Lusson z komicznym zapałem.

— Poznałam wiele rodzin tych „zbawicielek“ i „zbawicieli“.

Po większej części żyją oni we wzruszającej biedzie, a w każdej chwili i mąż i żona muszą być gotowi do niesienia pomocy innym. W istocie są oni prawdziwymi zbawcami. Najbardziej upośledzonym jednostkom potrafią znaleźć miejsce na świecie. W ich szeregach dochodzą one nieraz do wielkiego nawet znaczenia. Stowarzyszenie to sieje siłę dobrego i wszyscy powinniśmy im pomagać w tej ciężkiej walce ze złem.

— Widzi pani — odezwał się pan Lusson żartobliwie — moja córka urządza propagandę bez habitu.

Józia wzięła ojca pod rękę.

— Zasługujesz na to ojczulku, ażebym go włożyła.

W tej chwili pożegnaliśmy się z miss Jones i udaliśmy się do zamku.

Gwidon zachwycał się starym domem, parkiem i jego stuletniemi drzewami.

Państwo Lusson zaprosili go na śniadanie na jutro, tymczasem ja, pod pretekstem pokazania swego apartamentu, zabrałam Gwidona do siebie.

— Wiedz o tem, że nie pozwolę ci zostać w Tours — powiedziałam, zamknąwszy drzwi.

— Dlaczego? — zapytał Gwidon z udaną niewinnością.

— Bo państwo Lusson, przez wrodzoną gościnność, będą musieli wprowadzić cię do swego domu, a pamiętaj, że oni mają córkę. Widząc twoje częste odwiedziny, wszyscy będą sądzili, że masz jakieś zamiary.

Twarz mego chrześniaka zajaśniała złośliwą radością.

— A więc, mam zamiary.

— Ach! — wykrzyknęłam wzruszona.

Gwido wziął mnie za ramiona — to także ruch pana Myères — posadził na sofie i zaczął mówić poważnie.

— Mateczko, siedm miesięcy temu widziałaś mnie blizkim śmierci z powodu zdrady kobiety; cobyś powiedziała, gdybym ci wyznał, że dziś kocham pannę Lusson? Czy nie osądzisz mnie źle?

— Zanadto dobrze znam życie — odrzekłam szczerze. — Pani Maurionnes była namiętnością zmysłową twojej młodości.

Gwidon wstał.

— Nie mateczko, było to uczucie głębokie.

Ten lojalizm mego chrześniaka względem jego pierwszej miłości podobał mi się bardzo.

— I dziwię się — mówił dalej — że jeszcze kochać mogę.

Westchnął głęboko.

— Ach! jak dobroczynnem jest to ciepło i światło! Od chwili pojawienia się ich w mem sercu, nie wierzyłem mym zmysłom.

— A kiedyż zjawiły się one? — zapytałam z uśmiechem.

Gwidon usiadł przy mnie i, przytuliwszy mnie prawą ręką do siebie, powiedział:

— Kiedy? Po odjeździe moim z Aix-les Bains. Jak tylko znalazłem się sam, poczułem brak tych oczu szaro-niebieskich, irlandzkich oczu panny Lusson. Pragnąłem, ażeby one patrzyły także na te krajobrazy, które ja widziałem. Zdawało mi się, że moich własnych jest za mało, ażebym mógł wszystko podziwiać. Czyż nie jest to ciekawe?

— O! bardzo! — powiedziałam tonem żartobliwym. — To już nie towarzystwa „mateczki" potrzeba ci było, co?

— Nie jesteś chyba zazdrosną, mateczko? wiesz przecie, jak cię kocham.

— Tak, tak, opowiadaj dalej.

— Jej obraz bez mojej wiedzy odbił się w mym mózgu, a był tak cudownie żywym i pociągającym. W Rocheilles przeżywałem tylko wspomnienia z ostatniego tygodnia pobytu w Aix-les-Bains. Przypominałem sobie wszystkie jej słowa, każdy jej ruch. Pragnienie zobaczenia jej znowu ogarnęło mną całkowicie — wtedy wsiadłem na swoją maszynę i puściłem się w drogę. A! mateczko! ty nie wiesz, co to za rozkosz pędzić tak po sześćdziesiąt na godzinę i lecieć do ukochanej kobiety. Jest to sensacya godna XX. wieku... boska!...

— No, teraz poznałam wrażenia automobilisty zakochanego... Jan Noël dziękuje ci za to, moje dziecko — powiedziałam, śmiejąc się.

Gwidon przeszedł się parę razy po pokoju, a potem usiadł i objąwszy mnie znowu ramieniem, zapytał:

— Czy sądzisz, że mi ją dadzą?

— Przypuszczam. Od pierwszego razu podobałeś się panu i pani Lusson, a twoje nazwisko i fortuna mogą ich tylko zadowolnić.

— A ona?... tak dużo rozmawiałyście ze sobą. Jestem pewien, że w myślach jej czytasz jak w książce. Powiedz mi...

— Ani słowa — to byłoby zdradą. A zresztą jestem pewna, że sam wiesz, co masz sądzić o jej uczuciu.

Chrześniak mój zarumienił się.

— Mogę tylko przypuszczać, a chcę wiedzieć na pewno.

— Jeżeli jest ci przeznaczoną, możesz się uznać za szczęśliwego. Jest to stworzenie najzdrowsze i najprzyjemniejsze, jakie spotkałam.

— Gdyby mi nie była przeznaczoną, byłoby to ohydną niesprawiedliwością. Przecież wiesz, że zapłaciłem już porządną daninę złemu losowi.

Wstałam. Gwidon zrobił to samo.

— Jak tu u ciebie przyjemnie — powiedział, wodząc oczami dokoła. — Kochane stare meble! I czyż nie lepiej w takiem miłem zacisznem mieszkaniu, niż w hotelu? O! ale teraz nie będziesz już więcej „na gałęzi", jak powiadasz, weźmiesz moje mieszkanie kawalerskie z ogródkiem. Mieszkanie kawalerskie nie jest krępujące, będziesz się w niem czuła zupełnie wolną mateczko.

— Dobrze, dobrze! — odrzekłam nerwowo. — Nie róbmy żadnych projektów, bo to przynosi nieszczęście, a teraz idź sobie już. Śniadanie jadamy o jedenastej, nie przyjdź czasem o dziewiątej.

— Postaram się.

Pozostałam na miejscu na środku salonu i zadrżałam przed grożącem mi widmem cienia i samotności. Machinalnie zbliżyłam się do ognia i wyciągnęłam ku niemu ręce, lecz płomień jego nie rozgrzał ich... sądzę, że to w sercu rozgościł się ów chłód...

Commanderie de Rouziers.

Ofiara spełniona! Państwo Lusson oddali córkę, ja oddałam mego chrześniaka i dotąd nie możemy ochłonąć ze wzruszenia. W chwilach stanowczych, bez względu na to, czy jesteśmy do tego przygotowani, opanowuje nas zwykle jakaś siła wyższa, która zdaje się poddawać nam słowa, jakie wówczas wymawiamy. Czujemy się

porwani jakimś wirem, potem fakt się spełnia, przytomność powraca, a z nią radość lub smutek. To samo odbyło się z nami. Od tego pozostała we mnie jakaś trwoga wewnętrzna, którą tylko pióro zaspokoić może. Najpotężniejsze wypadki wydają się małymi, kiedy je przelejemy na papier.

Wczoraj rano mój chrześniak przybył tu wcześniej niż był powinien w nadziei możności rozmówienia się z panią Lusson, lecz spotkał go zawód. Na śniadaniu były obecne dwie panie z sąsiedztwa. Pomimo ludzi obcych i bardzo ożywionej rozmowy, czułam wyraźnie ten prąd magnetyczny, jaki przebiegał pomiędzy młodymi. Słabe organy moje niezdolne były odczuć jego fal, lecz doskonale widziałam wrażenie, jakie wywierał. Potężna siła zapalała ciepłe światło w oczach Gwidona, robiła ciemniejszym błękit ich źrenic i kładła delikatne rumieńce na twarz Józi, a głos jej brzmiał nutą wzruszenia i radości. Przez cały czas doznawałam wrażenia, że działa coś z zewnątrz. Miłość, pojmowana jako zjawisko natury, wydaje mi się silniejszą, bardziej boską.

Na poobiedzie ułożona była wycieczka do Stawów — jestto wzorowo prowadzona ferma, własność kuzyna pani Lusson. Czterej panowie pojechali samochodem. Rozumiałam, że to opóźnia spełnienie się życzeń Gwidona i w duszy cieszyłam się z tego, tak, cieszyłam się.

Po herbacie poszłam do siebie, chcąc napisać kilka pilnych listów. Po skończeniu tego zajęcia podeszłam do okna i drgnęłam, ujrzawszy Gwidona i Józię, przechadzających się krokiem miarowym po gazonie. Ujrzałam, jak nagle zatrzymali się wśród krzewów róż pod starym cedrem, zwanym „dziadkiem". Mój chrześniak wolnym ruchem lewej ręki zdjął kapelusz z głowy i żywy ten obraz tchnął miłością, tak jak się ją czuje w modlitwie „Angelus" Milleta. Widok tego szczęścia młodości nie wzbudził we mnie ani żalu, ani zazdrości. Zdało mi się tylko, że stoję na jakimś wysokim szczycie, gdzieś bardzo daleko i, dumna ze swej czystości, usunęłam się dyskretnie. Po upływie kwadransa usłyszałam radosne pukanie do moich drzwi. Gwidon jak huragan wpadł do pokoju i chwycił mnie drżącą całą w objęcia.

— Mateczko! mateczko! — wołał — ona mnie kocha!

Wysunęłam się z jego objęć.

— To nie racya, ażeby mnie dusić — powiedziałam, starając się złapać oddech.

— O! przebacz mi! jestem tak szczęśliwy, nogi uginają się podemną.

Rzucił się na fotel, ja stałam przy kominku.

— A więc powiedziała ci, że ciebie kocha?

— Nie, ja to odczułem i to jest jeszcze piękniejsze. Przed chwilą, przechadzając się po parku, powiedziałem, że chcę wyjechać do Saumur. Nie protestowała, lecz twarzyczka jej zachmurzyła się nagle. Nie spodziewałem się nigdy, ażeby marne słowa moje mogły sprawić takie wrażenie. To mateczka wysyła mnie stąd — powiedziałem. — Utrzymuje ona, że siedząc w Tours, będę ciągle przebywał w Commanderie, a tego nie można... dopóki nie mam do tego prawa...

— Mateczka jest dla pana bardzo pożyteczną, jak widzę — powiedziała ona.

— Bardzo — odparłem z odpowiednim wyrazem oczu. — Panna Lusson zrozumiała. Twarz jej rozjaśniła się. Powiedziałem, że pragnąłbym bardzo posiąść to prawo, lecz pierwej muszę uzyskać jej pozwolenie. Wtedy ona stanęła i, patrząc mi prosto w oczy, spytała poważnie: a czy byłby pan bardzo nieszczęśliwym, gdybym go nie dała? Odgadujesz, mateczko, moją odpowiedź.

— A więc nie chcę robić pana nieszczęśliwym, pani Myères nie przebaczyłaby mi tego nigdy — to były jej własne słowa.

— Mała filutka! — zawołałam, śmiejąc się.

— Słysząc to, chciałem ją chwycić w objęcia i ucałować, jak to robią zakochani w romansach angielskich, lecz kultura łacińska przemogła — i tylko odkryłem z szacunkiem głowę.

— Cała ta scena oświadczyn była doskonale przeprowadzona — powiedziałam — Jan Noël dziękuje wam za nią.

— Aż mi się nie chce wierzyć, że ja jestem jednym z bohaterów tej sceny. Wyobraź sobie, że nie powiedziałem nic z tego, com sobie pierwej przygotował. Słuchałem własnych słów i nie wiem, czy to wpływ twoich poglądów, lecz po raz pierwszy czułem wyraźnie, że jakaś siła wyższa kieruje mną. Zresztą mniejsza o to,

w każdym razie doszedłem tam, gdzie chciałem. A teraz — dodał powstając — chodźmy do państwa Lusson.

— Tak zaraz? bez żadnych przygotowań, pójdziesz ich prosić o córkę? Młodość jest bez litości! Pozwól, niech ich przygotuję do tego. Pomówię z nimi dziś wieczorem i w razie zgody z ich strony, jutro rano przeszlę ci telegram, a wtedy przyjedziesz, jak będziesz mógł najprędzej.

— Masz słuszność, mateczko, tak będzie stosowniej. I wiesz, zdaje mi się, że akt małżeństwa nie jest wcale tak banalnym, za jaki go uważają. Kiedy pomyślę, że ta młoda, czysta dziewczyna, której dziś nie śmiem pożądać, będzie może kiedyś moją żoną... moją żoną... ach! dostaję zawrotu głowy! I to tobie, mateczko, będę ją zawdzięczał — dodał, całując mnie w rękę.

— Wiele rzeczy i wielu ludzi pracowało dla skojarzenia waszego małżeństwa, jeżeli ono zostanie zawartem. Czy wiesz, kto pierwszy natchnął mnie tą myślą połączenia was?

— Nie.

— Pani Maurionnes.

Gwidon wziął mnie za rękę i spojrzał pytająco. Opowiedziałam mu zdarzenie w Pałacu Lodowym.

— Ty byłeś tak dalekim od małżeństwa, a Józia tak blizką, że nawet nie przyszło mi do głowy łączyć was ze sobą. Spojrzenie margrabiny było dla mnie wskazówką, jakby suggestyą. Widziałam w niem uczucie kobiety zazdrosnej i to mi dodało odwagi.

— Pani de Maurionnes nauczyła mnie także cenić prawdziwą miłość — powiedział mój chrześniak tonem poważnym. — Wiesz, mateczko, ona wychodzi za mąż?

— Za księcia K...?

Krew trysnęła do twarzy Gwidona.

— Więc wiesz o wszystkiem! — powiedział, śmiejąc się nerwowo. — Tak, za niego, ma on kopalnie złota i drogich kamieni, wszystko, co jest potrzebnem dla szczęścia pewnych kobiet.

— Żałujmy ich, moje dziecko, że nie znają innego.

— Żałujmy.

Znowu ujął mnie za ręce,

— A więc ułożone: jutro raniutko telegram, co?

— Jak można najwcześniej i mam nadzieję, że napełni on duszę twoją radością.

— Mateczko! ty jesteś aniołem!

Z temi słowy „my boy“ wziął kapelusz i skierował się ku drzwiom. Z progu przesłał mi jeszcze pocałunek i, jakto robił jego ojciec w chwilach uniesienia, zawołał:

— Ubóstwiam cię.

Kiedy pozostałam sama, chmury zwątpień i obaw owładnęły mną. Przecież państwo Lusson mogli mieć inne widoki dla swojej córki. Wiedziałam, że nie sprzeciwią się jej wyborowi, lecz czy nie sprawi to im zmartwienia? Hrabia de Morziers był w istocie świetną partyą. Co, jeżeli zamiast zadowolenia przyniosę im smutek? Przypominałam sobie pierwsze wejrzenie, jakiem pan Lusson obrzucił Gwidona, kiedym mu go przedstawiła w Uniwersytecie ludowym. Było ono pełne przyjaźni. A w ostatnim tygodniu pobytu w Aix-les-Bains czułam, że między nimi nastąpiło większe jeszcze zbliżenie się. To mnie trochę uspokoiło. Jan Noël przygotowuje piękną przemowę, lecz nie do niego należy ostatnie słowo. W gruncie rzeczy dumną byłam z tej roli matki i zachwycałam się tym nowym rodzajem wzruszeń.

Pomiędzy szóstą a siódmą moi gospodarze zbierają się zwykle w bibliotece i tam przynoszą im herbatę i pocztę. Chwila wydała mi się odpowiednią. Im więcej zbliżałam się ku nim, tem bardziej krok mój stawał się wolnym, a serce biło tem gwałtowniej. Wszedłszy zastałam pana Lusson czytającego głośno „Figaro“, a panią robiącą jakąś szydełkową robótkę. Na biurku, na złożonych arkuszach jakiegoś starego manuskryptu, spał czarny kot. Cały salon oświetlony był jasnym płomieniem ognia palącego się na kominku. Rozumiałam, że słowa moje spadną jak grom nieoczekiwany w tę idealną ciszę, i znowu straciłam odwagę.

Przyjęto mnie jak zwykle z wyrazem wielkiej życzliwości.

Usiadłam na fotelu z drugiej strony biurka, i wziąwszy do rąk ruchem nerwowym nóż do rozcinania gazet, spytałam:

— Jakże się udała wycieczka do Stawów?

Pytanie które postawiłam, chcąc odsunąć to, co zrobić miałam, przeciwnie wpłynęło na przyśpieszenie.

— Bardzo dobrze — odpowiedział pan Lusson. — Mój kuzyn zachwycony był możnością pochwalenia się swem dziełem — bo jest to dzieło w istocie — przed uczniem szkoły w Grignon. Wie pani, że jestem winien satysfakcyę honorową baronowi Hauterive.

— No?

— Miałem go dotąd za dyletanta na polu agronomii, tymczasem dziś popołudniu przekonaliśmy się, że jest on prawdziwym znawcą w tym kierunku. Czuć w nim potrzebę tworzenia, ulepszania. Widać, że kocha ziemię, bo jest ona polem do doświadczeń. O! ten młody człowiek zrobi coś na świecie z pewnością.

— Jakże mi przyjemnie słyszeć to z ust pana. Zdaje mi się, że ma pan maleńką słabość do mego chrześniaka — dodałam chytrze.

— To prawda.

— A więc niech mi pan powie, — powiedziałam, ściskając mocniej nóż w ręku — czy, gdybyście mieli córkę, oddalibyście ją jemu?

Jak mi przyszło do głowy postawić tak pytanie — nie wiem.

Państwo Lusson spojrzeli na siebie a szkiełka w binoklach pana mignęły żywszym blaskiem.

— Jak myślisz Ludwiko, — zwrócił się on do żony z komiczną powagą. — Gdybyśmy mieli córkę, czy oddalibyśmy ją panu Hauterive?

Matka, wzruszona, uśmiechnęła się tylko.

— Sądzę, że tak — szepnęła po chwili.

— A ja jestem tego pewien — dodał ojciec gorąco.

— Ależ czy to na seryo — zauważyła pani Lusson trochę zażenowana.

— Zupełnie. Wczoraj chrześniak mój miał odwagę powiedzieć mi, że przyjazd jego do Tours o dwa tygodnie zawcześnie nie był wcale dla mnie, tylko dla panny Józefy; a dzisiaj przysyła mię do państwa w roli ambasadora, ażeby się dowiedzieć, czy jutro będzie mógł osobiście prosić państwa o rękę ich córki — wypowiedziałam prędko, odrzuciwszy zbyteczny już teraz nóż.

Jakby instynktownie, przygotowując się do wielkiego aktu, wstaliśmy wszyscy troje jednocześnie. Pani Lusson uściskała mię

tak, jak to umiała robić tylko Koletta. Wyciągnęłam rękę do gospodarza — on uścisnął moją i podniósł ją ze czcią do ust.

— Niechże pan Hauterive przybywa — powiedział prosto.

— Dziękuję za niego i za siebie — odrzekłam wzruszona do głębi serca. — Daleko łatwiej jest pisać romanse, niż je przeżywać — dodałam, upadając prawie na fotel.

— Biedna pani Myères! — zawołał pan Lusson z uśmiechem.

— Jestem szczęśliwy, że mogłem pracować dla szczęścia tych dwojga dzieci. Józia jest skarbem wśród kobiet.

— Czy słyszysz Ludwiko? — powiedział pan Lusson, zacierając radośnie ręce.

— A Gwidon jest zdrów na ciele, na duszy i na umyśle — dodałam.

— Nie wątpię, poznałem to od pierwszego wejrzenia... i, wie pani, że już nieraz myślałem o nim, jako o pożądanym mężu dla Józi... Mówię z panią szczerze, bo się nie jest panem tych rzeczy. Wystudyowałem go doskonale. Umyślnie też trzymałem się z nim na stopie koleżeńskiej, ażeby lepiej się wypowiedział, i prędko poznałem, że ma on to, co Anglicy nazywają *a clean mind*, umysł czysty, naturę *gentleman'a* pod względem moralnym i fizycznym. Pani mnie rozumie..... Zdaje mi się, że dla małżeństwa są to rzeczy najważniejsze.

— Naturalnie!

Pani Lusson i ja wymówiłyśmy to słowo jednocześnie.

— Bywają mężczyźni, którzy po bliższem poznaniu są wstrętni. Nieraz zdarzało mi się patrzeć ze łzami w oczach na oblubienicę, o której można było powiedzieć: jutro przestanie ona być panną, lecz stanie się męczennicą. I postanowiłem sobie wszelkiemi siłami bronić córki mojej od takiego losu. Takie to biedne, małe, nie znające życia! Pod tym względem byłem zupełnie pewny pana Hauterive. Czy wie pani, co dziś kuzyn mój powiedział do mnie, wskazując pani chrześniaka? — Oto chłopak, którego pragnąłbym na męża dla Józi.

— A więc widocznie są oni stworzeni dla siebie — odrzekłam z uśmiechem. Opowiedziałam też moim gospodarzom o swoich obawach co do hrabiego Morziers, który się tak kręcił koło Józi.

Pan Lusson roześmiał się.

— Od roku już rodzina jego *obrabia* moją żonę, a ta nie chciała go całkowicie zniechęcić. Matki lubią mieć zawsze jakiegoś zięcia w odwodzie. Zresztą widzieliśmy doskonale, że serduszko Józi było tknięte pani chrześniakiem. I to nas trochę niepokoiło, bo przecież mógł on być już związanym z kimś innym.....

Czułam, że w tych ostatnich słowach tkwiło jakieś pytanie.

— I było tak w istocie — powiedziałam; — Opatrzność uwolniła go od tych więzów w sam czas, lecz w sposób tak gwałtowny, że o mało nie przypłacił życiem. I nic innego ponadto nie mogło go lepiej przygotować do stanu małżeńskiego. A gdybym nie była pewną, że jest on dziś zupełnie wolnym, nie wprowadzałabym go do domu państwa.

W tej chwili usłyszeliśmy jakiś szmer w przedpokoju.

— Idzie ta młoda osoba, to się będziemy śmiać! — powiedział pan Lusson tonem żartobliwym i trochę złośliwym. Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadły dwa jamniki, darząc nas gwałtownemi pieszczotami. Jeden z nich skoczył na stół i poturbował śpiącego czarnego kota, który w zamian odpłacił się porządnem drapnięciem po pyszczku napastnika. Za nimi weszła Józia.

— Dzień dobry wszystkim! — zawołała, kładąc kapelusz na krześle.

Rzuciła wzrokiem po nas, i, jakby odgadując ważność chwili, nie poszła, jak zwykle, do ojca, lecz usiadła poważnie na poręczy fotelu matki.

— Czy jest co nowego w „Figarze"? — spytała głosem niepewnym.

— Nie, nie w „Figarze" — odparł pan Lusson, który stojąc przed kominkiem górował nad całą sceną — tylko pani Myères zakomunikowała nam pewną rzecz bardzo interesującą.

— A!

W tym małym wykrzykniku czuć było już wzruszenie.

— Tak, przychodzi ona z propozycyą świetnej partyi dla ciebie. Jest to margrabia, chłopak ładny, trzydzieści lat, wspaniały zamek w Anjou, trzysta tysięcy franków renty i wielkie nadzieje... To pociągające, co?

Słowa te wymówione były głosem tak naturalnym, że Józia, pomimo rozmowy z Gwidonem, dała się złapać. Twarzyczka jej zachmurzyła się, biedne dziecko rzuciło na mnie wzrokiem zdziwionym i pełnym wyrzutów, i po chwili powiedziała tonem pogardliwym:

— Pociągające? Chyba nie dla mnie. Nie mam najmniejszej ochoty zostać margrabiną. Zamku niepotrzebuję, bo mam Chavigny i nie pragnę wcale, ażeby mój mąż swoją fortuną tak bardzo przewyższał moją — odpowiedziała, potrząsając nogą w powietrzu — co wyrażało jej gniew wewnętrzny.

Pan Lusson żartował dalej:

— Ależ nieszczęsna! — czy chcesz pozostać przy nas jako remanent?

— Nie pożałujecie tego.

— No nie, ale w końcu będzie to upokarzającem.

Zdało mi się, że żart trwa trochę za długo.

— Chodź do mnie dziewczyno, — powiedziałam z uśmiechem

Józia posłusznie zbliżyła się do mego krzesła. Wzięłam ją serdecznie za rękę.

— Uspokój się, ten, w imieniu którego posłuję, jest tylko zwykłym baronem, a nie żadnym margrabią — powiedziałam. — Kocha ciebie i nie widzi szczęścia bez ciebie. Przyjmiesz go, prawda?... choćby dlatego, ażeby zostać moją chrześniaczką.

Już przy pierwszych moich słowach fala krwi udarzyła do twarzy dziewczyny, kąciki ust jej lekko zadrgały, a oczy napełniły się łzami.

— Chciałabym ukarać was wszystkich, odmawiając — powiedziała — ale... nie mogę...

— Tra ta ta... Otóż to! — zawołał śmiejąc się pan Lusson. — Więc tak?

Józia wstała i, rzuciwszy nam w uszy radosne „tak“, uciekła z pokoju.

— A więc mamy odpowiedź! — powiedział pan Lusson. — Nie wątpiłem w nią ani chwili.

— Gwidon musi tam mieć porządną gorączkę — obiecałam mu telegram jutro rano.

— Niech go pani napisze natychmiast — odezwała się dobra pani Lusson — każemy odnieść do Rouziers jak najwcześniej.

Napisałam:

„Serdeczne życzenia — czekają ciebie.

Mateczka".

— Czy dobrze tak?

— Doskonale!

Wstałam z miejsca, wtedy gospodarz zbliżył się do mnie i, biorąc za ręce, powiedział:

— Nie potrzebuję pani mówić o naszej wdzięczności, czuje ją pani sama. Małżeństwo to zachwyca mnie jeszcze tem bardziej, że zacieśni ono węzeł naszej przyjaźni. Biedna pani Myères! chciała żyć samotnie, a oto spadła jej na głowę cała rodzina! Będziemy żyć dalej razem, będzie pani pracować nad mojem nawróceniem. Będziemy grywali w bezika, w „bridgea" z dziadkiem, będziemy miewali chrzciny.... Pani napisze powieść, wykazując, w jaki sposób można starość przepędzić przyjemnie i będziemy bardzo szczęśliwi pomimo wieku i reumatyzmu.

— Amen! — odrzekłam wesoło!

„Mur, po za którym coś się odbywa, zaciekawia nas". — Nie pamiętam, kto to zaobserwował, lecz sądzę, że istota ludzka, w której duszy dzieją się rzeczy nadzwyczajne, jest podobną do niego. Gra sił przeznaczenia obdarza ją osobliwym magnetyzmem i robi świętą prawie. Przez cały obiad Józia sprawiała na mnie to dziwne wrażenie. Oczy moje chciwie zatrzymywały się na jej twarzy. Czyż by miała ona jakąś dziwną aureolę? A co ciekawsze, że i rodzice przyglądali się jej z równem zainteresowaniem. W sukience koloru kości słoniowej z szerokiemi, przezroczystymi rękawami i różą przy piersiach, wyglądała dziwnie uroczo. Chwilami uczucie, rozpierające ją wewnątrz, wybuchało w prędkich gorączkowych słowach, wymawianych jakimś dziwnym głosem. Jak zwykle przyjmowała udział w rozmowie i starała się okazać zajęcie. Później grała w „bridge" z natężoną uwagą. Odczuwałam tajemniczą siłę, która z łona oddziaływała na nią. Na sekundę poddawała się jej zupełnie, potem siłą woli zbierała myśli i, ściągnąwszy brwi dla lepszego skupienia, zastanawiała się, czy ma dublować,

czy też wyjść bez atu. Żal mi się zrobiło biednej dziewczyny i udałam zmęczenie, chcąc ją oswobodzić i oddać ją jej samej i Gwidonowi.

— Jutro — szepnęłam jej na ucho przy pożegnaniu — włóż swoją sukienkę angielską, tę, w której byłaś w niedzielę.

Odpowiedziała mi mrugnięciem powiek. Założyłabym się, że sama już o tem myślała.

Po takim dniu nie mogłam usnąć w nocy i nazajutrz wstałam bardzo późno. Zaledwie skończyłam ubierać się, kiedy wszedł mój chrześniak. Chwycił mnie w ramiona i uścisnął, nie jak rozbawiony chłopak z dnia wczorajszego, lecz poważnie, jak dojrzały mężczyzna.

— A więc „tak“ — powiedział wzruszony.

— Tak. Nie zasługujesz nawet na to, ze względu na twą dotychczasową odrazę do małżeństwa i niechęć do dziewcząt.

— Masz słuszność, mateczko, byłem idyotą!

— Opatrzność psuje ciebie, dając ci taką żonę, jak panna Lusson.

— Psuje! o, sam to rozumiem i nie zapomnę o tem nigdy.

Posadził mnie na małej kanapce.

— A teraz opowiedz mi, jak to było.

Nie opuszczając nic, opowiedziałam całą scenę wczorajszą.

Gwidon wstał i zaczął przebiegać salon, targając się za wąsy.

Zauważyłam, że był ogromnie zgrabny i wyglądał bardzo elegancko w tym rannym wizytowym stroju, i w myśli widziałam, jak piękną stanowić będzie parę z tą angielską sukienką mojej przyjaciółeczki.

Nagle stanął przedemną z miną śmiesznie zakłopotaną.

— Mateczko, co ja mam powiedzieć państwu Lusson?..... Jak to się prosi o rękę córki? Czy jest jakaś formuła?

— Nic nie wiem o tem — odrzekłam, śmiejąc się — twoje szczere uczucie natchnie cię odpowiedniemi słowami.

Wstałam. Gwidon wziął moją rękę i przycisnął do piersi.

— Posłuchaj, jak tam bije — szepnął.

— Pięknym jest ten rytm mocny i miarowy — powiedziałam.

„My boy“ usmiechnął się.

— Mateczko, jesteś zadziwiająca z tem swojem wiecznem badaniem życia!

— Nie dziw się, to Jan Noël temu winien. Chodźmy teraz na dół — dodałam, biorąc go pod rękę.

Gospodarze moi czekali na nas w bibliotece.

— Oto jest mój sławny chrześniak — powiedziałam zaraz na wstępie, chcąc przełamać pierwsze lody — chce on prosić państwa o to, co macie najcenniejszego, co macie najdroższego.

Pan Lusson wyciągnął obie ręce do Gwidona.

— O naszą dziewczynę? — powiedział z wyrazem czułości.

— Dobrze, mój przyjacielu, jesteśmy szczęśliwi, że ci ją dać możemy. Czujemy, że kochasz ją tak, jak na to zasługuje. Charakter twój jest dla nas pewną rękojmią jej szczęścia, którego gorąco oboje pragniemy.

Purpurowa fala zalała twarz Gwidona — instynktownie zwrócił się ku matce.

— Jakże podziękuję wam za to — wyszeptał. — Nie znajduję słów.....

— Nie potrzeba nam słów, moje dziecko, — odrzekła pani Lusson. — Znamy wasze uczucia i to nam wystarcza. I uprzedzam cię, że nie pragniemy zięcia, tylko syna — dodała z cudownym uśmiechem Koletty. — Zawsze o tem marzyłam.

— Nie trudno mi będzie stać się synem pani, która tak bardzo przypomina mi moją matkę — odrzekł Gwidon, przyciskając do ust podaną sobie rękę pięknej kobiety.

— Powiem ci, młodzieńcze, kiedyś, dlaczego ciebie wybraliśmy z pomiędzy stu innych — odezwał się pan Lusson, po przyjacielsku klepiąc Gwidona po ramieniu. — A teraz idź, odszukaj swoją narzeczonę, jest zapewne w parku, albo w „Chałupce" — zwykła panieńska taktyka, kazać siebie szukać. Ale przedewszystkiem nie zapomnijcie o śniadaniu.

Pozostawszy we troje, przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Wzruszająca cisza, następująca zwykle po spełnieniu się jakiegoś faktu doniosłego, zapanowała wśród nas. Ja pierwsza przerwałam milczenie, zaczęliśmy rozmawiać i dobrze nam było czuć się bliskimi, serdecznymi przyjaciółmi.

Około jedenastej ujrzeliśmy młodą parę, idącą wolno po gazonie.

— Chryste! cóż za piękna para! — zawołał pan Lusson — aż się pragnie zostać dziadkiem!

Zakochani wolnym krokiem zbliżali się ku nam. Mała kokietka do swego angielskiego kostyumu dodała białą kamizelkę i takąż krawatkę. Była naprawdę zachwycającą!

Na progu szklanych drzwi Gwidon wziął rękę Józi i, wsunąwszy ją sobie pod ramię, powiedział:

— Oto moja narzeczona.

— Oto mój narzeczony — dodała Józia, uśmiechając się.

Przez te słowa, swawolnie prawie wypowiedziane, przebijało głębokie wzruszenie. Józia ucałowała matkę i mnie, poczem zbliżyła się do ojca. Pan Lusson popatrzył na nią przez chwilę, potem wziął jej obie ręce i ucałował z wyrazem szacunku.

— Pielęgnujemy te rączki dziecięce, ażeby je potem komuś oddać — powiedział. — To jest życie! Dziś ja płacę dług, a kiedyś ty swój zapłacisz córuchno. Tymczasem rad jestem, że ktoś zastąpi mnie przy tobie.

— Nikt ciebie nie zastąpi, ojcze — odrzekła młoda dziewczyna.

— Ta, ta, ta!

— Pan Hauterive nie zajmie niczyjego miejsca.

— Bo ma swoje, sądzę.

Józia zarumieniona skinęła głową.

— Ach! pani Myères! jakże wdzięczni pani jesteśmy! gdyby pani nie miała chrześniaka, ta panna włożyłaby z pewnością czepek św. Katarzyny!*)

W tej chwili oznajmiono śniadanie. Pan Lusson oddał Gwidonowi rękę Józi, którą dotąd trzymał.

— Prowadź swoją narzeczoną do stołu, a idźcie pierwsi, ażeby zrobić wrażenie na Franciszku i dać mu możność rozgadania wesołej nowiny.

Podczas reszty dnia dotychczasowa przyjemna atmosfera w Commanderie stała się wprost boską. Szczęśliwa miłość, nasze własne zadowolenie, dobry humor gospodarzy, oznaki szczerej ży-

*) Zostałaby starą panną.

czliwości służby. wywoływały fale radości. Czułam to wyraźnie. Psy i koty, szczególniej te ostatnie, dostały napadu wesołości i w wesołych podskokach biegały dokoła gazonu. Bezwątpienia pewne uczucia wydzielają promienie ciepła. Kiedy człowiek pozna lepiej samego siebie, wtedy będzie je produkował dla własnej wygody.

Gwidon wysłał Ludwika do Tours po ubranie i bukiet, do którego własnoręcznie wybrał każdy kwiatek dziś rano. Pomimo nowości sytuacyi obiad przeszedł zupełnie swobodnie i wesoło. Miss Jones była promieniejąca, radość biła nawet z jej rudych włosów. Odchodząc od stołu, uścisnęła mnie za rękę i szepnęła:

— Pan Hauterive będzie dobrym chrzestnym ojcem.

Była spokojną o los swoich wychowanków.

Gwidon miał takt usunąć się dość wcześnie. Jutro jedzie do Paryża po pierścionek zaręczynowy.

Wiedziałam, że Józia pragnęłaby pomówić ze mną. Oczy jej wiele razy szukały moich. Zamieniłyśmy nawet parę razy znaki porozumienia. A Jan Noël chętnie by posłuchał tych zwierzeń zakochanej.

O pół do jedenastej delikatne pukanie, delikatniejsze niż zwykle, dało się słyszeć u moich drzwi. Porównałam je w duchu z pełnem tryumfu uderzeniem, zwiastującem przybycie mego chrześniaka wczoraj, Józia przyszła jak zwykle w białym szlafroczku i ze szczotką w ręku. Z głębi salonu, w którym się znajdowałam, dojrzałam wyraźnie jakąś jasność nad jej czołem. Poszłam naprzeciwko niej, wtedy ona objęła mnie obu rękami za szyję i przytuliła twarz swoją do mojej.

— I cóż, maleńka, czy jesteśmy szczęśliwi? — zapytałam, delikatnie wysuwając się z jej objęć.

— Szczęśliwi! — powtórzyła. — Sądzę, że pani dobrze rozumie, co ja w tej chwili czuję.

— O tak! i ja miałam w życiu swoją sielankę szczęścia, wielkiego szczęścia!

— A! tem lepiej. Byłoby mi przykro, gdybym wiedziała, że pani nigdy nie była szczęśliwą... A zresztą przynajmniej pani mnie dzisiaj lepiej zrozumie...

— O tak! zrozumiem się doskonale!

Józia usiadła na swojem nizkiem krzesełku przy kominku, ja obok na fotelu.

— Widzi pani, są rzeczy, o których trudno mówić z matką. Sama nie wiem, dlaczego, ale tak jest. A w ogóle kobiety zamężne nie są dobre dla nas dziewcząt. Zamiast wtajemniczyć nas po bratersku w życie i udzielić nam coś ze swego doświadczenia, one mówią nam: „dowiecie się wszystkiego i zrobicie tak jak my". Mają przytem miny tak tajemnicze, że pozwalają nam domyślać się najstraszniejszych rzeczy. Kilka z nich obudziło w mej głowie porządny niepokój. Wobec tego musimy mówić o małżeństwie tylko między sobą, co też robimy, rozprawiając o tem, jak ślepy o kolorach.

— Tak bywa rzeczywiście.

Józia objęła rękami kolana, nie rozstając się przytem ze szczotką, i patrzyła na mnie przez chwilę wzrokiem wzruszonym.

— Janie Noël! — szepnęła cichutko.

— No co? — zapytałam głosem zachęcającym do szczerości.

— Czy można kochać kogoś, kogo się nigdy nie widziało?

— Ja myślę. Można pokochać kogoś z opowiadań osoby drugiej.

— Widzi pani, ja tak kochałam.

— Doprawdy?

— Tak. Kiedy pani po raz pierwszy powiedziała „mój chrześniak", słowa te dziwnie zadźwięczały w moich uszach. Od tej chwili z zajęciem słuchałam wszystkiego, co pani mówiła o Gwidonie. Imię jego podobało mi się więcej od wszystkich innych.

— Czułam to.

Panna Lusson spojrzała na mnie wielkiemi oczyma.

— Nie! doprawdy, jak to niebezpiecznie stykać się z powieściopisarzami!

— Bardzo niebezpiecznie.

— Ale nie pomyślała pani chyba, że ja jestem w okresie poszukiwania męża? Prezentowano mi ich już najrozmaitszych barw.

— Ta myśl nigdy mi nie przyszła do głowy. Ale mów dalej, maleńka, Jan Noël jest bardzo ciekawy.

— Pani żartuje ze mnie?

— Wcale nie.

Silny rumieniec oblał twarz dziewczyny.

— Kiedy pani „boy" zachorował, martwiłam się i byłam bardzo niespokojna. To ja telefonowałam zawsze, dopytując się o jego zdrowie, a serce tak mi przytem biło!... Widzi pani, czy to nie dziwne?

— Nam się wydaje dziwnem, bo nie znamy dokładnie wszystkiego, co otacza człowieka. Może w bliskiej przyszłości wiedza pozna dokładniej tkaninę życia i wykryje wiele pięknych tajemnic natury.

— Oby już to prędzej nastąpiło! Przecież to głupio, że właściwie nie znamy ani jednej z tych sił, które nas zmuszają do działania.

— A czy, ujrzawszy „chrześniaka", nie rozczarowałaś się?

— O nie, bynajmniej. Tylko wyobrażałam go sobie mniej czarnym i nie tak wysokim. Byłam szalenie kontenta z tego, że miał przyjechać do Aix-les-Bains. Widzi pani, mówię pani wszystko...

— Jesteś bardzo miłą penitentką.

— Ale miałam też wiele zmartwień. Zdawało mi się, że nie jestem dla niego. Naprożno zmieniałam suknie i kapelusze — Gwido nie widział mnie wcale. Była z jego strony jakaś przeszkoda, która jak mur stała między nami. Zazdrościłam pani zawsze tych herbat na tarasie z nim we dwójkę. Wyglądaliście na zupełnie szczęśliwych — dodała Józia poważnie.

— W rzeczywistości nie byliśmy. A powiedz mi — badałam dalej nielitościwie — czy ten mur nie zniknął czasem w ostatnim tygodniu naszego pobytu w Aix?

Dziewczyna zarumieniła się, a cudowny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Tak, wtedy dzieliła nas już tylko siatka tenisa.

— Musimy postawić tablicę pamiątkową na tym błogosławionym placu tenisowym w Splendide.

— Rzeczywiście błogosławiony... — powtórzyła Józia półgłosem.

— A więc wiedziałaś, że to dla ciebie Gwidon przyjechał tutaj, kiedy się zjawił tamtej niedzieli?

Panna Lusson zrobiła znak głową, a potem dodała z miłem zażenowaniem:

— Jak gdyby mi powiedział...

— Doskonale rozumieliście się, jak widzę — powiedziałam tonem drwiącym.

Moja przyjaciółka zacisnęła mocniej ręce dokoła swych kolan i wpatrzyła się w płomień na kominku, lecz widocznem było, że patrzy w głąb swej duszy.

— Jakie to jest cudowne, to porozumiewanie się bez słów dwóch istot! — mówiła wolno. — Ze zdumienia przechodzi się w zdumienie. Sama dla siebie stałam się jakąś dziwną zagadką. Może wydaje się pani śmieszną ta moja autopsychologia? — dodała, spojrzawszy na mnie trwożliwie.

— Śmieszną! — wykrzyknęłam. — Nie wiesz, dziecko, ile słowa twoje sprawiają mi radości. My kochałyśmy instynktownie, nie wiedząc dla czego i jak; wy, z wieku XX, zaczynacie analizować wasze uczucia, chcąc zgłębić tajemnicę. Świadczy to o wielkim kroku naprzód.

— Moja skromna wiedza, nasze rozmowy, te cudowne odkrycia — wszystko pomimowoli zmusza mnie do zastanawiania się.

— Ty podlegasz także wpływowi nowych myśli, nowych prądów, które są w powietrzu. Wiedza idzie naprzód i kto wie, czy za promieniami Roentgena, promień N nie wykryje promienia A, promienia miłości...

Coś jakby przestrach odmalowało się na twarzy Józi.

— O!... — wykrzyknęła — może to byłoby złe. Pamięta pani bajkę o Psyche? Chciała koniecznie zobaczyć miłość i ta znikła.

— Tak, bo Psyche wtedy była jeszcze dzieckiem i nie mogła patrzeć na światło. Ale przypominasz sobie, że wróciła do niej miłość w wieku dojrzałym, a nawet obdarzyła ją nieśmiertelnością.

— Prawda! prawda! zapomniałam o tym radosnym końcu bajki.

— Twoje pokolenie przeżyje prawdopodobnie ten koniec. Nie obawiaj się niczego, moje dziecko, dzieła boskie w nas i po za nami są większe, niż sobie wyobrażamy; i my także jesteśmy wielkimi. Wiedza nauczy nas lepiej znać życie i Tego, kto je stworzył, a nadewszystko kochać Go więcej.

— Co za szczęście!

Przy tych słowach, wymówionych z prawdziwym zachwytem, Józia zaczęła szczotkować swe włosy złociste, połyskujące w bla-

skach płomieni, potem nagle, przerywając swe ładne zajęcie, powiedziała głosem trwożliwym:

— Pani Myères, jak pani myśli, czy pan Hauterive bardzo by się zmartwił... ale czy bardzo... gdybym go nie kochała?

— Bardzo, moje dziecko, bo w tobie położył wszystkie nadzieje swego szczęścia.

Panna Lusson złożyła ręce.

— O! sądzę że nie zawiodę ich!

— Jestem tego pewna.

Józia wstała.

— Nie byłaś rada wczoraj — dodałam — kiedy twój ojciec oznajmił ci, że ja proponuję jakiegoś margrabiego na kandydata do twojej ręki, zamiast mego chrześniaka, prawda?

— To było obrzydliwe ze strony ojca — musiał mnie za to przepraszać.

Młoda dziewczyna objęła mnie za szyję i ja przez cienką tkaninę szlafroczka poczułam młode jej ciało, drgające życiem.

— Pani jest aniołem! — szepnęła.

— Słyszałam już to od Gwidona, wymyśl coś innego.

Józia odchyliła się trochę, popatrzyła na mnie z miłym uśmiechem w kątach ust i szepnęła cicho, wzruszona:

— Mateczka...

— To, właśnie to pragnęłam usłyszeć. Wyspowiadałaś mi się doskonale, moja droga chrześniaczko. Jan Noël daje ci zupełne rozgrzeszenie. A teraz idź spać i niech cię Bóg błogosławi... swem „wielkiem błogosławieństwem", jak powiadają nasi włościanie.

Temi słowy pożegnałam kochaną dziewczynę i patrzyłam za nią wzrokiem zadowolenia, jakie się pomimowoli odczuwa, kiedy się zrobi kogoś szczęśliwym.

Commanderie de Rouziers.

Zaręczyny panny Lusson z baronem Hauterive zostały ogłoszone przyjaciołom i znajomym. Bukiet, którym Ludwik upiększa samochód, ile razy Józia wsiada do niego, nie dziwi teraz nikogo. Moja przyjaciółeczka nosi obecnie na palcu arcydzieło sztuki nowoczesnej: dwa rubiny, oprawione w złotą obrączkę prześlicznej roboty.

Pan Lusson ucieszył nas wszystkich, odstępując Gwidonowi dobra Chavigny. Naturalnie zrobił to za zgodą Józi. Stryj Grzegorz, którego powiadomiłam o wszystkiem, jest zachwycony.

Nasi narzeczeni są pełni taktu i dyskrecyi — nie unikają nas, przechadzają się i rozmawiają pod naszem okiem i tworzą naszą partyę „serca“ — amerykańska gra w pięć osób — która w zupełności zastąpiła nam „bridge“. Sądzę, że mój chrześniak nie gniewa się na nas za to, że stoimy tak pomiędzy nim a żywą pokusą, jaką musi być dla niego ta młoda dziewczyna.

Pani Lusson jest szczerze zadowolona z losu córki. Myśli już po trochu o wyprawie i o ceremonii weselnej. U ojca reakcya jest mniej wesołą. Naprzód już czuje on tę pustkę, jaka się wytworzy w ich domowem ognisku. A zresztą córkę swoją, dawniej dziecko, wczoraj dzieweczkę, a dziś dziewicę, oddać tak mężczyźnie!... Protestuje przeciwko temu w skrytości ducha, jestem tego pewna, i powtarza sobie:

— To jest prawo!

To prawo rani jego uczucia nieskończenie delikatne, jakie wielu ojców zna zapewne.

Co do mnie, doznaję zadowolenia z dobrego wywiązania się z zadania i czuję się jakby pewniejszą, jakbym uniknęła jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Patrzę na szczęście Gwidona i wszystkiemi fibrami macierzyństwa, które drgnęły mi pod sercem, napawam się radością.

Chwilami jednak robi mi się smutno, że już mu nie jestem więcej potrzebną. A potem to łudzące podobieństwo do ojca, spotęgowane jeszcze przez miłość, sprowadza mi czasem dziwne halucynacye. Kiedy tak patrzę na niego, przechadzającego się pod rękę z Józefą, doznaję przykrego uczucia opuszczenia i zdaje mi się, że ostrze noża ktoś mi wbija w serce. Nie mogę wtedy zapanować nad sobą.

Jakże pełnym tajemnic jest ten biedny atom ludzki!

Piękna pogoda pozwoliła nam tego popołudnia pić herbatę na dworze.

Pani Lusson z córką miały pojechać samochodem do Tours dla załatwienia sprawunków z powodu zapowiedzianych telegraficznie gości na obiad.

Pan Lusson powiódł wzrokiem dokoła stołu i uśmiech zajaśniał w szkiełkach jego binokli.

— Czy pani wie, panno Józefo, że gdybyśmy nie byli w Cannes, nie miałabyś dziś na palcu tego pięknego pierścionka? Uprawiam filozofię indukcyjną, jak pani Myères.

— Niech pan sobie kpi, a jednak do tego, aby stało się to, co jest, musieliśmy spotkać pana Randolpha. On to nalegał usilnie, ażebym zawarła znajomość z państwem.

— A pani się broniła od tego, za to ręczę.

— To prawda. Zdawało mi się, że już jest za późno na robienie nowych znajomości... Później, kiedy zobaczyłam panią Lusson i tę młodą osóbkę...

— I mnie — dorzucił gospodarz.

— I pana, naturalnie, cały mój upór znikł. Rezultat tego... oto jest! — dodałam, wskazując na narzeczonych.

— Ach! Gwidonie! żałuję, że nie znałeś sir Williama. Chciałabym módz mówić z tobą o nim — zawołała Józia.

— Możesz mówić. Już to, że dzięki jemu jestem dziś tutaj, wystarcza, ażebym słuchał z zajęciem. I powiedzieć, że wy wszyscy pracowaliście dla mego szczęścia, bez mojej wiedzy... a ja...

Urwał nagle, twarz jego pokryła się rumieńcem.

— Kiedy zatrzymujemy się dla spojrzenia w życie, musimy za to płacić. No, zjem tę tartinkę z większem skupieniem i wdzięcznością — dodał wesoło, składając kromkę chleba nasmarowanego masłem.

— Nie, nie! trzeba się śpieszyć, kucharka czeka — powiedziała pani Lusson. — Mój mąż i pan nie lubi objadów spóźnionych. Innym razem będziesz filozofować.

Młodzi ludzie skończyli prędko podwieczorek. Samochód odjechał i ja z panem Lusson zostaliśmy sami. Ja piłam herbatę, on zapalił cygaro.

— Smutno mi, — powiedziałam — że sir William nie będzie widział małżeństwa tych dzieci! Według mnie on jest głównym działaczem w całej tej sprawie.

— A co jest ciekawe, to to pokrewieństwo, jakie się wykryło pomiędzy jego żoną i moją. Bez kwestyi należy widzieć w tem przeznaczenie.

— Rozkaz.

— O, nie zmusi mnie pani nigdy do uwierzenia, że jestem tylko narzędziem.

— Współpracownikiem Boga, czy to stanowisko nie wydaje się panu dość wysokiem? — dodałam, śmiejąc się.

— Nie o to chodzi, ale w tej walce świadomej, w wysiłkach woli naszej, w pewnej samodzielności, jest godność jakaś, której ja się nigdy nie wyrzeknę. Przez tak długi czas ludzkość mniemała, że jest panią swego losu!

— Mniemała ona także, że słońce obraca się koło naszej planety, że gwiazdy są po to, ażeby rozjaśniać nam noce, że ziemia jest centrum wszechświata. Złudzenie znikło i od tego nie czujemy się nieszczęśliwszymi. Zresztą ta wiara w wolną wolę, w dzieła naszej samodzielności, była potrzebna wówczas, kiedy ludzkość była w stanie niemowlęctwa.

— Czy pani sądzi, że jest ona dzisiaj w wieku, w którym można się obejść bez tego?

— Szczerze mówiąc, nie.

— To przynajmniej uczciwie.

— Dzisiejszy stan dojrzałości ludzi nie pozwala nam jeszcze rozpoznawać we wszystkiem ręki Boga, czuć duszę tych sił, kierujących nami. Chętnie przypisujemy wszystko ślepemu fatalizmowi lub wypadkowi. W ogólności zaś ludzie nie wierzący w nic, po większej części ludzie słabi, wierzą w samych siebie. I to coś jest. Co do mnie i do tych, którzy dzielą moje przekonania, my jesteśmy ludźmi jutra, oto wszystko...

— Pojutrza, zdaje mi się — powiedział mój gospodarz z odcieniem ironii. — Ja pani przebaczam, bo pani z idei swoich nie tworzy dogmatu.

— Rozumiem doskonale, że jak wszystkie ciała, tak samo wszystkie umysły nie mogą odżywiać się tym samym pokarmem.

— A więc według pani my nie mamy żadnej zasługi — mówił dalej pan Lusson, chcąc mnie wybadać do głębi.

— Żadnej zasługi! ależ mamy ogromną!

— Jaką, jeżeli łaska?

— Zasługę życia i cierpienia. A jest ona tem większą, że

nie przychodzimy na świat z własnej woli, nie wyznaczamy sobie ról i musimy przyjmować udział w dziele, którego dobrze nie znamy. Ja posiadam tak silne poczucie tego, że jestem narzędziem Opatrzności, że w pewnych, odpowiednich okolicznościach, powtarzam sobie te słowa: mam nadzieję, że jesteś zadowolony ze swej pracownicy, mój Boże. A kiedy gorąca radość napełni mą duszę, biorę to za Jego odpowiedź. O! zna On dobrze zasługi swoich pracowników i wynagradza hojnie, szczególniej dobrą wolę, bo ona ułatwia działanie tym siłom, które mają doprowadzić nas do światła, do szczęścia.

— Piękna hypoteza! czy pani nawróciła sir Williama?

— Niezupełnie.

Pan Lusson westchnął — było to prawdziwe westchnienie duszy.

— Wie pani, często zazdrościłem naszemu przyjacielowi jego wiary absolutnej. Rasa saksońska ma o Bogu wyższe pojęcie niż łacińska. Pomiędzy nim a nami za wiele jest przesądów.

— Ale co jest ciekawem, to że wszystkie narody wielkie, jak Anglicy, Niemcy, Rosyanie, poddają się pod protektorat Boga, i wyznają to głośno w swych hymnach narodowych. U nas zaś republika ignoruje go zupełnie. To jest brzydkie. Ani się domyśla, jak ją to robi trywialną, śmieszną.

— Bo trzeba przyznać, że Saksończycy posiadają uczucie religijne, my zaś mamy po prostu religię. We Francyi zaczynamy opuszczać katolicyzm, ale bo też trzeba przyznać, że jest on okropnie dziecinny.

— Katolicyzm, dziecinny?

— Tak, tak, pani Myères.

— Tak nie jest. Jest to religia posiadająca wielkie rytuały i wraz z buddyzmem należy do najgłębszych. Niech pan tylko pomyśli. Katolicyzm przerzucił most ponad wszystkiem, on zmusił do czynu siły duchowe, o których nie wiedziano, i z ich pomocą ulżył cierpieniom ludzkim, on wydał arcydzieła sztuki. On codziennie przez usta kapłanów zsyła promień boski, zawarty w hostyi, tym symbolu życia cielesnego.

— Ale czy promyk ów schodzi? oto co trzebaby wiedzieć.

— Schodzi. Widziałam, jak pod wpływem jego zmieniały się nędzne kreatury i nabierały niezwykłej odwagi. Że istnieje on w kościołach katolickich, nie można o tem wątpić. Czuje się go. Kiedyś ciekawa byłam zajrzeć do katechizmu i nie uwierzy pan, jakie wrażenie sprawiła treść jego na mnie po trzydziestu czterech czy pięciu latach. Te dogmaty, których nieświadomy, dziecięcy umysł nie mógł był pojąć, teraz wydały mi się czystą filozofią. Tajemnice teologiczne wydały mi się dalszym ciągiem tajemnic natury. Jestem przekonaną, że katolicyzm przechodził wszystkie rewelacye, jakie tylko ludzkość przenieść może. Wiedza będzie kiedyś jego tłumaczem. Ona nauczy nas, jak „chodzi się po powierzchni wód".

— Wiedza? Ależ kościół obawia się wiedzy.

— Bo dzisiaj nie jest ona jeszcze dość silną. Czy czytał pan listy ojca Didona?

— Parbleu! Cóż to za polot posiadał umysł tego biednego mnicha! Cóż za bogata intuicya ruchu współczesnego!

— Tak, on pragnął, ażeby katolicyzm stanął w nim na czele.

— Co mnie tylko niemile uderzyło, to jego niefortunny wybór osoby na powiernicę swych myśli i pragnień. Znaliśmy ją wszyscy w Tours.

— A! więc teraz rozumiem. Była to zapewne chora kobieta, przeżywająca jakiś kryzys fizyologiczny czy też psychologiczny. Taki stan uduchowia nas zwykle i zbliża do księży. Ojciec Didon widział w niej tylko duszę... i duszę jej ukochał. Kryzys minął i panna Z... stała się znowu tem, czem była dotąd, osobą praktyczną i bardzo rozsądną. Najlepszym dowodem tego jest umiejętność, z jaką potrafiła wyciągnąć dla siebie korzyści z aureoli, jaką ją otoczył ten kapłan. Jestem przekonaną, że ona sama w głębi duszy dziwi się, że została tą, którą ów dominikanin nazywał „swoją jedyną córką". Wspaniałe jest to wyrażenie!

Pan Lusson zsunął kapelusz na tył głowy i, patrząc na mnie wzrokiem trochę szyderczym, powiedział:

— W jaki sposób, na Boga, odgadła pani to wszystko? Pani zna każdy kącik życia i... kobiecości.

— I dlatego te listy nie oburzyły mnie. Ich głęboka filozofia

z podkładem czystego, dziewiczego uczucia sprawiła mi ogromną przyjemność.

— A mnie się zdaje, proszę pani, że takich ojców Didonów należy trzymać pod kluczem.

— Ilość ich tak się zwiększy, że trudno będzie wszystkich pozamykać. Pozwólcie działać Opatrzności, ona potrafi zużytkować cenne elementy, znajdujące się w katolicyzmie. Na bokach nawy kościelnej utworzył się gruby osad, lecz kościół oczyści się z niego. I kto wie, czy ci, którzy młotem walą dziś w jego ściany, nie pracują w tym kierunku.

— Dobrze, ale gdzie jest prawda? — powiedział mój towarzysz z odcieniem desperacyi w głosie.

— Rozsypana wszędzie, jak ziarnka, przypuszczam. Znajduje się ona w kopertach, które my musimy rozerwać; w dogmatach, w legendach, nawet w bajkach. Widzi pan, nawet w tem nieszczęsnem, tak krytykowanem Genezis, ja odnalazłam dowód niezwykłej intuicyi.

— Jaki?

— Natchniony poeta kusicielowi nadaje postać węża, a jak panu wiadomo, zarodek ludzki ma w rzeczywistości głowę węża. Chyba nie mikroskop dostarczył mu tego symbolu? I jakiego symbolu!

Pan Lusson odrzucił cygaro i patrząc na mnie:

— Ach! to już za wiele! — zawołał, śmiejąc się. — W jaki sposób myśl taka mogła przyjść pani do głowy?

— Było to w Simley Hall. Pewnej niedzieli siedziałam sama w bibliotece. Naczytawszy się „Genezis" wyciągnęłam rękę do półki i na chybił trafił wzięłam jakiś gruby tom. Była to anatomia. Otworzyłam książkę i trafiłam na stronicę, gdzie była mowa o zarodkach. W jednej chwili w mózgu moim wytworzyło się pokrewieństwo tych dwóch rzeczy i wyrwało z mych ust okrzyk zdziwienia. Usłyszał go sir William, który właśnie wszedł. Musiałam powiedzieć przyczynę i nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Zdziwienie rozszerzyło jego oczy, a wrodzony mu nerw humorystyczny zadrgał śmiechem wewnętrznym dokoła tych biednych wycienionych nozdrzy: „Ewa, odkrywająca tajemnicę raju ziem-

skiego“ — powiedział. Lecz prędko twarz jego stała się znowu poważną. Kilka razy poprowadził ręką po biblii, jakby ją chciał głaskać, i mówił: „Widzi pani, jest tam więcej światła, niż przypuszczamy.“ I ja tak samo myślę. Tak mało wiemy o świecie i o nas samych. Człowiek stworzony był na ostatku, na ostatku też będzie poznanym. Znamy tylko jego ciało i to niedokładnie. A nic nie wiemy o jego promieniowaniu, o jego siłach niewidzialnych, o jego duszy — ta ostatnia zawsze jest źle rozumianą.

— Tak pani sądzi? — odrzekł pan Lusson tonem drwiącym.

— Tak, nawet święty, najczystszy człowiek nie odsłoni jej nigdy całkowicie. Pochlebiam sobie, że żyłam jak lady, a jednak jest wiele myśli, instynktów, porywów, których nie odkryłabym nikomu, a które mogłyby dostarczyć cennych wskazówek dla biologii.

— Niech pani je wypisze.

— To niepodobna!

— Zaciekawia mnie pani ogromnie.

— Niech pan zbada dobrze sam siebie i proszę mi powiedzieć, czy nie znajduje się pan w takim samym stanie?

Pan Lusson wpatrzył się w stół wzrokiem zwróconym wewnątrz. Po paru sekundach podniósł na mnie oczy z wyrazem zażenowania, prawie wstydu.

— Zgadzam się z panią — powiedział.

— Tylko jedna wiedza może dać człowiekowi odwagę do szczerej spowiedzi.

— Wiedza! za wiele pani od niej wymaga. Nie dała nam ona jeszcze ani jednego dowodu naszej nieśmiertelności, a to zaczyna mnie niepokoić. Czy pani wierzy w nieśmiertelność?

— Całą istotą moją wierzę.

— Na jakiej zasadzie? Nie jest pani przecież kobietą, której wystarczą obietnice. Czy wie pani, co my robimy na tym świecie?

— Robimy po prostu życie.

Gospodarz mój poprawił binokle, co u niego jest znakiem niepokoju, i spojrzał na mnie prawie nieprzytomnym wzrokiem.

— Robimy życie!... — powtórzył.

— Tak, życie widzialne i niewidzialne. Czy sądzi pan, że ten, co posiada taką moc, może zginąć?

— Biorąc logicznie — nie.

— A więc to jest podstawą mojej wiary. Według mnie ci, którzy stwarzali życie złe, lub nieszczęśliwe, będą stwarzać potem tryumfujące, lepsze. Wszyscy jesteśmy w rękach sprawiedliwości... sprawiedliwości boskiej...

— Ta koncepcya pani jest jakby kluczem do wszystkiego.

— Kluczem, dopomagającym do czytania tajemniczego pisma, jakiem jest człowiek. Niech pan spróbuje. Pozwala on mi rozumieć nieskończenie wiele rzeczy. Ja do absolutnej wiary doszłam inną drogą, niż sir William. Chrystus powiedział: „w domu mojego ojca jest wiele mieszkań" — jest także wiele dróg zapewne, ażeby dojść do nich.

Wstaliśmy oboje. Wyciągnęłam rękę do pana Lusson, on ją wziął, podniósł wolno do ust i powiedział, jakby przeniknięty nową myślą:

— Będziemy robili nowe życie...

Commanderie de Rouziers.

Wracam z Chavigny!

Klęczałam na grobie mojego męża, wprowadziłam jego syna do rodzinnego gniazda i boski spokój wszedł do mej duszy. Przypuszczam, że taki spokój wytwarza się tylko wtedy, kiedy zapanuje harmonia pomiędzy siłami przeznaczenia i duszy ludzkiej. Walka była ciężką i trwała szesnaście lat! Czuję dziś jeszcze wpływ tej myśli, która pracowała nademną. Wszystkie fakty, któremi chciałam przekreślić przeszłość, zrobiły ją jeszcze żywszą, każdy krok, postawiony przezemnie w celu odsunięcia się od niewiernego, zbliżał mnie ku niemu. Do rozmnożenia się rasy rodziny Myères'ów, pomimowoli przyczyniłam się i ja także. Co za ironia! Kiedyś wydałaby mi się ona monstrualną, dziś jestem zachwycona, że to ja właśnie dałam jej najsilniejszy impuls — to ją usprawiedliwia. Od kilku miesięcy już czułam potrzebę zaniesienia memu mężowi przebaczenia i żalu, jaki noszę w sercu. Coś jednak wstrzymywało mnie jeszcze. Bóg raczy wiedzieć: co? Wiem tylko, że z chwilą pozyskania ręki panny Lusson dla jego syna poczułam nieprzepartą chęć być przy nim. Pierwsza zaproponowałam wycieczkę do Cha-

vigny. Narzeczeni, którzy nie śmieli sami występować, teraz byli uszczęśliwieni i „mateczka“ musiała znieść namiętne objawy tej radości.

W poniedziałek rano w cudowną pogodę, kiedy powietrze zdaje się pieścić i zwiastować szczęście, wyjechaliśmy do Chez. Przez całą drogę — trzy godziny koleją i trzy kwadranse końmi — robiłam rozpaczliwe wysiłki, ażeby zapanować nad coraz bardziej potęgującem się wzruszeniem. Towarzysze moi, nie znając rzeczywistości, myśleli tylko o przykrem przejściu, jakiem będzie dla mnie bytność w Chavigny. O! nie troszczyłam się wcale o to! Myślałam tylko o tym biednym, dobrowolnie przezemnie opuszczonym grobie, do którego miałam się zbliżyć po raz pierwszy. Widziałam go w myśli osamotnionym, zarośniętym. Mąż mój zakupił kiedyś teren po za kaplicą familijną i tam był pochowany. Chcieliśmy leżeć obok siebie pod otwartem niebem. Po jego śmierci zadowolniłam się tylko zakomunikowaniem jego siostrze ostatniej woli brata i wysłaniem pewnej sumy do probostwa w R... na utrzymywanie grobu w porządku. Czy spełniono to wszystko? Podczas gdy powóz toczył się prędko, przedemną stanęła żywo cała ohyda mego postępowania i twarz oblała mi się rumieńcem. Zaniepokojony mojem milczeniem Gwidon, który siedział na koźle, odwrócił się do mnie i zapytał z uśmiechem, wziętym z ust jego ojca:

— Czy dobrze się czujesz, mateczko?

Mogłam mu odpowiedzieć tylko przytwierdzającem, przyjacielskiem mrugnięciem oczu.

Kiedyśmy się już zbliżali do Chavigny, pan Lusson położył swoją rękę na mojej i, pokrywając żartem swoje rozrzewnienie, powiedział:

— Robimy życie, pani Myères.

— O tak! — odpowiedziałam poważnie.

Ani się domyślał, co ja robię w tej chwili!

Chciałam naprzód udać się na cmentarz. Moi towarzysze wysiedli przy wejściu do alei, wiodącej do dworu, a ja pojechałam dalej. Miałam tylko kilka minut czasu. Kiedy pozostałam samą, owładnęło mną przeszywające, słodkie wzruszenie — wzruszenie miłości. Miałam wrażenie, że pan Myères oczekuje mnie i za każdym obrotem kół serce i tętna moje biły gwałtowniej.

Stanąwszy przed ogrodzeniem, machinalnie otworzyłam furtkę i weszłam na cmentarz. Jakby w śnie jakimś skierowałam się ku kaplicy rodziny Myères i wkrótce znalazłam się nad grobem mego męża. Upadłam na kolana i, oparłszy się rękami o ogrodzenie, mogłam tylko wyszeptać:

— Mój biedny, ukochany, przebacz mi!...

Innych słów nie znalazłam.

Czy myśl moja w jakiś cudowny sposób doszła do niego? Nie wiem, lecz zdało mi się, że porozumiałam się z nim i, że zawarliśmy „wielki pokój" jak powiadają dzieci. Powstałam z ziemi dziwnie szczęśliwa. Bogu dzięki, proboszcz z R... wywiązał się sumiennie ze swego obowiązku. Wszystko było tak, jak tego mąż mój chciał. Mogiła ogrodzona wysokiemi sztachetami, a żelazny krzyż z wyrytą naszą dewizą: „do światła!" ocieniał olbrzymi krzak róż. Wspaniały powój pokrywał powierzchnię grobu i po kątach, pnąc się do góry, tworzył gęste bukiety. Miejsce, przeznaczone dla mnie, porośnięte było trawą. Moje miejsce! Patrzyłam na nie z radością, którą ja tylko mogę pojąć. Przypomniały mi się moje samotne przechadzki, które odbywałam po cmentarzach Paryża, w poszukiwaniu miejsca dla siebie. Zwiedziłam wszystkie, lecz nigdzie nie znalazłam dość przestrzeni i powietrza. Jakiś instynkt ostrzegał mnie zawsze, że tylko tu, obok mego towarzysza życia, było miejsce moje. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak głębokiem może być zespolenie się dwóch istot ludzkich. Oczami i sercem przyglądałam się mogile męża. Delikatnie głaskałam kwiaty, które były zmartwychwstaniem jego, a pod memi drżącemi ze wzruszenia rękami nabierały one więcej życia. Zaczęłam zbierać zeschłe liście, obłamywać obumarłe gałęzie i doznawałam wielkiej przyjemności w tem pielęgnowaniu kochanego grobu. Straciłam zupełnie rachubę czasu i siedziałabym nie wiem jak długo, gdy nagle w bramie cmentarza ujrzałam naszych narzeczonych, którzy, zaniepokojeni, przyszli po mnie. Przywołałam ich ku sobie.

— Drogi ojcieo chrzestny! — powiedział Gwidon w szczeremrozrzewnieniu. Może ten głos jego serdeczny dotrze do duszy ojca...

Patrzyłam z błogą radością na tę młodą parę. Czyż ta ich

obecność tutaj nie była dla mnie nagrodą? Bezwarunkowo tak nie była ona dziełem przypadku!

Kiedy, przesławszy ostatnie pożegnanie drogiemu nieboszczykowi, chciałam już odejść, moja suknia zahaczyła się o jakąś gałęź. Chciałam się wyplątać i nie mogąc dać sobie rady, wezwałam na pomoc Gwidona. „My boy“ zbladł nagle i spojrzał na mnie z dziwnym niepokojem.

— Ojciec chrzestny chce mnie zatrzymać — powiedziałam wesoło — byłoby to sprawiedliwem — tak długo pozostawał sam!

Pojechaliśmy do dworu.

Widok domu uderzył mnie więcej niż kiedykolwiek harmonią swoich staroświeckich linij, ciepłym tonem swych szarych kamiennych ścian i cudownem tłem otoczenia. Zaledwie zasługuje na miano zamku, a jednak tak go wszyscy nazywali i nie dziwię się, że wywarł on tak silne wrażenie na wyobraźni mojej młodej przyjaciółeczki.

Wjechawszy na dziedziniec, przedewszystkiem spojrzałam na ganek i w jednej chwili wspomnienie przeżytej tu niegdyś zniewagi oblało rumieńcem moją twarz.

Gwidon zeskoczył pierwszy i, unosząc mnie w swych męskich ramionach, zawołał:

— „Home“, mateczko.

Nie mogłam powtórzyć za nim tego świętego słowa — wiedziałam, że dla mnie nie ma już „home“ na tym świecie...

Śniadanie mieliśmy jeść na folwarku, gdzie czekali już na nas państwo Lusson. Posłałam do nich młodą parę, bo chciałam samotnie obejść te stare, kochane kąty. Z dławiącem mnie niemal wzruszeniem przebiegłam wszystko od dołu do góry. Pomimo otwartych okien i snopów promieni słonecznych, wpadających do pokojów, wszystko zrobiło na mnie wrażenie pustego, dawno wyziębionego gniazda. Czułam, że byłabym już niezdolną ogrzać je i cieszyłam się, że komu innemu przypadnie to w udziale. W duszy mej nie było cienia żalu. Krokiem lekkim, swobodnym, skierowałam się na folwark. Gwido i Józia patrzyli badawczo w mą twarz, chcąc odgadnąć, jak przeniosłam tę próbę losu.

— Jan Noël zrobił nowe doświadczenie — powiedziałam we-

soło. — Tak zwany „stan duszy“ jest najcudowniejszą rzeczą, jaką natura stworzyła. Gdyby mi dziś ofiarowano Chavigny z dodatkiem dwustu tysięcy renty rocznej — nie przyjęłabym. Trzeba bardzo wiele serca i wiele ciepła, ażeby je rozgrzać i jedynie ta młodość — dodałam, wskazując na narzeczonych — będzie do tego zdolną. Ja ze siebie mogę dać tylko tyle, ile potrzeba na wypełnienie małego pokoiku w hotelu Castiglione.

Józia objęła mnie za szyję, przytuliła się do mej twarzy i dodała:

— I na zrobienie wszystkich szczęśliwymi.

Podczas śniadania mówiłam zupełnie spokojnie o różnych zmianach, jakie według mnie należałoby w zamku zaprowadzić.

Kiedy po kawie przechadzaliśmy się po folwarku, dostrzegłam w odległości stu metrów jakiś pusty dom, którego pierwej nie znałam. Widocznie jakiś poczciwina wybudował go dla pewnego przedsiębiorstwa, które mu się nie powiodło.

— To będzie doskonałe pomieszczenie dla chrześniaków — powiedział Gwido.

Józia zarumieniła się z radości.

— Ja to samo mówiłam, prawda ojcze?

— Rzeczywiście — odrzekł pan Lusson. — Sądzę, że Opatrzność uważała za stosowne dodać ojca chrzestnego tej młodej osobie, która miała odwagę porywać się sama na wychowywanie ludzi.

— Jestem szczęśliwy, że wybór jej padł na mnie — powiedział „my boy“, patrząc z czułością na narzeczoną. — Na sześciu chłopcach będziemy mogli doskonale nauczyć się wychowywać ludzi.

— Brawo, moje dzieci! Ja byłam tu egoistycznie szczęśliwą, wy będziecie w sposób szlachetniejszy. Stanowczo ludzkość idzie naprzód.

Nocowaliśmy w R..., małem miasteczku, które dzięki klubowi turystów posiada czyściutki hotel.

Moje pogodzenie się z mężem było tak głębokie, że śmiało mogłam „wejść w przeszłość“. Odwiedziłam proboszcza i z przyjemnością witałam różnych dawnych znajomych. Zapytywano mnie na prawo i na lewo: „pani podróżowała? pani była zagranicą?“ Byłam wzruszona pamięcią, jaką ci dobrzy ludzie zachowali dla mnie i dla

mego męża. Nie, ani czyny drobne, ani słowa przyjazne, które siejemy po drodze życia, nie są straconemi.

Wycieczka nasza sprawiła przyjemność nam wszystkim. Lecz dla nikogo nie była ona tak wielka jak dla mnie. Czułam się odmłodzoną i kochaną, jak dawniej — było to zapewne złudzenie mojej wyobraźni. Cóż to szkodzi! w każdym razie jest mi przyjemnie, teraz rozumiem wartość daru Chrystusa, kiedy mówił: „pokój wam!“

Commanderie de Rouziers.

Posłannictwo moje tutaj skończone... Jutro wyjeżdżam do Paryża. Lecz nie wrócę już do mego pokoiku w hotelu Castiglione, tylko do mieszkania Gwidona przy ulicy d'Agnesseau. Jest to jeszcze jedna rzecz, która mi się wydawała nieprawdopodobną: Przeznaczenie spełnia się. Zdarzyło się, że pokój mój wynajął, ni mniej, ni więcej, tylko „król na wygnaniu“. Proponowano mi tymczasem inny i wzięłabym go chętnie, gdyby Gwidon, pałający chęcią „zadomowienia“ mnie, nie zaproponował gościny u siebie. Utrzymuje on, że po spędzeniu pięciu tygodni w ciepłej atmosferze Commanderie życie w hotelu będzie nie do wytrzymania. Prócz tego wysypał jeszcze tysiące mniej mądrych argumentów. Do niego przyłączyli się państwo Lusson i Józia i w końcu musiałam ustąpić.

I cóż pozostało z mojej niezależności!

Wyprawiono Ludwika naprzód, a jego siostra, bawiąca obecnie w Paryżu, ma prowadzić moje gospodarstwo.

Postanowiliśmy odbyć podróż samochodem. Cieszę się jak dziecko na myśl o przelatywaniu z niezwykłą szybkością tych szerokich przestrzeni i, chociaż Gwido robił mi uwagę, że pora jest trochę spóźniona, że mogę się przeziębić, ja sprzeciwiałam się wszelkiemi siłami i w końcu powiedziałam, że tylko w takim razie zamieszkam przy ulicy d'Agnesseau, jeżeli powiezie mnie samochodem. Teraz „my boy“ musiał ustąpić, zastrzegając się jednak, że w razie wielkiego chłodu od Orleanu pojedziemy koleją. Prawda, że mamy już 10 listopada, lecz w tym roku św. Marcin nie przypomniał nam wcale o sobie i pogoda ciągle jest prześliczna. Dziś wyjadę do Tours, tam przenocuję w hotelu Wszechświatowym, a jutro o ósmej ruszymy w drogę.

Serce mi się ściska, jakbym miała odjechać gdzieś bardzo daleko. To dziwne!

Państwo Lusson przyjadą do Paryża za dwa tygodnie, a w kwietniu, po ślubie dzieci, wrócimy wszyscy do Commanderie.

Będę wtedy oglądać kwitnące drzewa i żywopłoty i cieszyć się prawdziwą wiosną. Jak to będzie dobrze i uspokajająco!...

To dziwne! od kilku miesięcy spokój stał się mojem najwyższem szczęściem. Czyżbym tak nagle postarzała? Czy jestem już tak znużona?...

XI.

Paryż, ulica d'Agnesseau.

„Córko! próżność twoja zgubi ciebie!" Przyszły mi na myśl te słowa, które tak często powtarzała moja matka w czasie mego dzieciństwa i młodości. Może były one proroczemi...

Nie chciałam uznać się starą i wrócić rozsądnie koleją. Chciało mi się odbyć tę ostatnią podróż z Gwidonem samochodem i oto dostałam straszliwego kataru. Lecz jakiekolwiek będą następstwa mego uporu — nie żałuję tego. Ta podróż z Tours do Paryża była zachwycającą. Otulona długim płaszczem, podbitym futrem, z gazą, złożoną w kilkoro, na twarzy a butelką gorącej wody w nogach, siedziałam dumnie obok „my boy'a" i rozkoszowałam się nadludzkiem wrażeniem przelatywania bezbrzeżnych przestrzeni. Zdawało mi się chwilami, że przelecimy tak całą powierzchnię ziemi i dotrzemy do zapadającego za horyzont słońca. Chwilami oddech zatrzymywał mi się w piersiach.

Prosiłam Gwidona, żeby jechał jeszcze prędzej, lecz on sprzeciwił się stanowczo i robił tylko pięćdziesiąt na godzinę.

Przyjechawszy do Paryża, byłam zupełnie odurzona powietrzem i mój chrześniak wniósł mnie do domu jak jaki pakunek.

Atmosfera tego kawalerskiego mieszkania, ogrzanego, jasnego i na moją cześć przystrojonego kwiatami, wydała mi się niezwykle miłą.

W bibliotece urządzono mi gabinet do pracy, a tuż obok mam swoją sypialnię.

Przed udaniem się do stołu poszliśmy pozdrowić portret Koletty. Dzięki grze światła z palącego się ognia na kominku wydawała się ona zupełnie jak żywa i oboje mieliśmy wrażenie, że się uśmiechnęła.

Obiad był wspaniały.

Gospodarz mój troszczył się o mnie, jakbym była najcenniejszym jego skarbem. Rozmawialiśmy do późna w nocy.

Przemagałam ogarniającą mnie senność, ażeby dłużej napawać się tem miłem uczuciem ciepła serdecznego i z żalem udałam się w końcu na spoczynek.

Dziś rano o siódmej zbudził mnie jakiś niemiły dreszcz. Poczułam raptownie dziwny upadek sił i ból w prawym boku, poczem chwycił mnie atak silnego kaszlu. Z wielkim trudem skończyłam swoją toaletę.

Zawstydzona i upokorzona musiałam wyznać Gwidonowi, że jestem zaziębiona.

— Niestety! — powiedziałam między dwoma napadami kaszlu — jestem już starą kobietą, nie chciałam temu wierzyć, ale na przyszłość będę musiała pamiętać o tem i być ostrożniejszą.

— W każdym wieku można się zaziębić, mateczko kochana — odparł mój chłopak ze swym najlepszym uśmiechem. — Gniewa mnie to, że masz tak silny katar, lecz kontent jestem, że mogę cię pielęgnować. Za nic w świecie nie pozwoliłbym ci dzisiaj wrócić do hotelu.

Strzegłam się pilnie, ażeby nie dać mu poznać, że wolałabym cierpieć w samotności.

. . . . . .

Zapalenie płuc! Nic więcej! Kiedy dr. M... podniósł głowę po zbadaniu mnie, dostrzegłam w jego oczach wyraz przerażenia i niepokoju. Musiano powiadomić go, że przyjechałam z Tours otwartym samochodem.

— Ach! pani Myères! — powiedział do mnie — są rzeczy, które można robić w czterdziestym roku, lecz które są już niebezpieczne w pięćdziesiątym ósmym.

Ostro, lecz sprawiedliwie.

A jednak jestem pewna, że w tym stanie, w jakim jestem,

najzwyklejszy spacer do lasku byłby mi zaszkodził. Ta nagła choroba jest tylko spełnieniem się przeznaczenia.

Od owej gorączki rozpaczy, jaką przebyłam po śmierci mego męża, nigdy ani jednego dnia nie pozostawałam w łóżku, bo przy pomocy doktora M... nawet z reumatyzmem, tym jedynym moim nieprzyjacielem, walczyłam dzielnie. A jednak od dłuższego już czasu słyszałam jakieś szmery w płucach. Nie zdawałam sobie sprawy, że to moje kanały oddechowe zamierają. Byłam starym nieukiem! Uczą nas badać własne sumienie przed udaniem się do księdza, a nie uczą poznawać swoje ciało przed zaprezentowaniem go doktorowi.

Doktor! powinien by on być inżynierem-mechanikiem naszego organizmu, a nie tylko naprawiaczem jego. Powinien on odwiedzać jak najczęściej tych, którymi się opiekuje, powinien śledzić badawczo, czy wszystkie organy funkcyonują prawidłowo. Wtedy nie byłoby ani bronchitów, ani zapaleń płuc, ani może nawet suchót. A my cóż robimy? dopiero w chorobie staramy się dopomódz naszemu organizmowi. Dziś wydaje mi się to potwornem. Nie umiemy kochać naszego ciała. Żaden palacz nie postępuje tak ze swoją maszyną.

Rozmawiałam o tem z Gwidonem — trzeba, żeby skorzystał z lekcyi. Widziałam, jak twarz jego rozjaśniła się, to znaczy, że poznał prawdę.

— Ani ja, ani ty, ani samochód nie jesteśmy tutaj winni — dodałam. — Zapalenie było tam i musiało wybuchnąć. Nie wiedzieliśmy o tem i prawdopodobnie nie powinniśmy byli wiedzieć. Teraz pozostaje nam tylko mieć odwagę. Miejmy ją oboje. Ręce nasze połączyły się na chwilę i została zawarta pomiędzy nami niema umowa, która zrobiła nas silnymi i szczęśliwymi.

. . . . . .

Czyż nie mówiłam kiedyś sir Williamowi, że w ostatniej chwili znajdzie się jakaś poczciwa siostra miłosierdzia, która mi odda ostatnie posługi? Jest ona już przy mnie. Nazywa się siostrą Anną. Zachwycają mnie jej delikatne, miękkie ręce i twarz uduchowiona. W najdrobniejszych szczegółach widzę, że jest ona „a lady". Doskonale też dopomaga jej w pracy Rózia, siostra Ludwika.

Czuję, że jestem otoczona sympatyą i przywiązaniem ludzkiem i to dodaje mi sił. Opatrzność, ta potęga nieznana, dała mi bardzo wiele. Kazała mi ona otworzyć serce dla syna mego męża, to prawda; ale czyż za to ten syn nie dopomaga mi dzisiaj do przesadzenia baryery? Czyż przez niego nie dała mi ona jakby odbicia miłości ojca?... Kochany Gwidon! On tak serdecznie kocha tę istotę kaszlącą, rozgorączkowaną, jaką ja jestem. Z trudnością przychodzi mi zmusić go do opuszczenia mego pokoju i odetchnięcia świeżem powietrzem. Chciałam, żeby przejechał się samochodem, lecz uparł się jak dziecko i nie dał się namówić. Przykro by mi było, gdyby znienawidził tę niczemu niewinną maszynę, która dała mi tak wiele przyjemności. Opieram się, jak mogę, leżeniu w łóżku i spędzam dnie w bibliotece, leżąc na szezlongu, ubrana w elegancki szlafrok, który sprawiłam sobie przed wyjazdem do Aix-les-Bains. Lubię być pod okiem Koletty. Zdaje mi się, że jej twarz na portrecie ciągle zmienia wyraz.

Mam tu książek, ile tylko zechcę, mam mnóstwo kwiatów i jasny ogień na kominku. Przez ramy szklanych drzwi widzę mały, drzemiący ogród i kontury jego drzew. Pełno w nim wróbli i raszek, które Ludwik sumiennie żywi. Wszystko to jest lepsze, niż szpital... tajemna zmora moja... Bądźmy wdzięczni — tak... lecz jakże bardzo cierpię!... Jakaż to bolesna choroba zapalenie płuc!

. . . . . .

. . . . . .

Zastrzyknięcie morfiny!... Pod cudownem działaniem tego środka cierpienia zmniejszają się i umysł staje się rzeźwiejszym. Tyle może dla mnie wiedza — obawiam się, że nie więcej. Mniejsza o to! Niech będzie błogosławioną i za to! Dzięki jej mogę stawić czoło śmierci i Jan Noël aż do ostatniej chwili nie rzuci pióra, którem tyle kartek zapisał. Kochane pióro! Ma ono złoty dziobek, a przyjemny w dotknięciu trzonek napełniony jest wewnątrz atramentem. Jest to najcenniejsza z posiadanych przezemnie rzeczy. Niepokoiłam się długo, komu zostawię je umierając, teraz cieszę się, że weźmie je „my boy". Będzie je przechowywał z czułością, jestem tego pewna, a może zrobi zeń lepszy użytek, niż ja.

Ponad zbolałą klatką piersiową, gdzie zdaje się ani jednego

organu nie ma zdrowego, góruje jasna i zupełnie przytomna jeszcze głowa. Ale po raz pierwszy dopiero zauważyłam teraz, z jaką szybkością przesuwają się obrazy w naszym mózgu. W przeciągu kilku sekund widziałam postać osoby, której od czterdziestu lat nie spotykałam, widziałam oczy dalszej przyjaciółki, jakąś suknię, zrobioną po krawiecku, posąg św. Franciszka z Asyżu z kościoła w Foligos, jakiś grymas Fotit'ego, deseń, jaki miała suknia mojej lalki: biały romb na niebieskiem tle, jakieś wierzchnie ubranie — wstrętną kombinacyę z dziurami do wsuwania rąk, którą nazywano wizytką. I czy nie jest to śmieszne? Zdaje mi się ciągle, że komórki mego mózgu podobne są do zwiniętych płatków stokrotki, że za dotknięciem odpowieniego nerwu otwierają się one i wyrzucają ze siebie swoją zawartość: obraz, myśl lub wspomnienie.

Ciekawam, co porusza taki lub inny nerw? nie wiem tego naturalnie!

„My boy" stara się pokazać, że wcale nie uważa mnie za kandydatkę do śmierci, i powiadamia o wszystkiem, co się dzieje w świecie politycznym i innym. Dziś rano opowiadał mi o „radium" i o jego ciekawych własnościach. Jakiś promyk nadziei i radości wszedł do mojej duszy. Nareszcie wykryto elementy nieśmiertelności. A czyż nieśmiertelność sama nie jest wiecznym ruchem duszy? O! wiedza dojdzie z czasem do odkrycia radio-czynności istot. Czy pani Curie, siedząc nad wyliczeniami, nad formułami, podejrzywała istnienie tego dziwnego ciała? Założę się, że nie. I sądzę, że nie przypadek tylko zrobił ją czynnem narzędziem w tem olbrzymiem odkryciu; przypuszczam raczej, że Opatrzność chciała przez to okazać swój szacunek dla emancypacyi kobiet. Jak tylko wyzdrowieję, pójdę złożyć mój hołd i „radium" i tej, która je na światło dzienne wyprowadziła. O! muszę przyjrzeć się tej cudownej soli! Czyż nie powiadano zawsze, że sól jest mądrością ziemi?

. . . . . .

. . . . . .

Jak wyzdrowieję! Hm! zróbmy tymczasem testament. Moją kochaną przyjaciółeczkę obarczę rozdzieleniem mego skromnego mienia koczowniczki. Nie jest ono zbyt ciężkie, jednakże może

uszczęśliwić parę osób. Starą walizę, moją wierną towarzyszkę, każę spalić — należą jej się honory tego auto-da-fe. Część mego funduszu przeznaczam na wynagrodzenie kilku serc życzliwych, które mi sprawiły wiele przyjemności, resztę każę użyć na kupienie kilku sznurów pereł na podarek ślubny dla Józi. Kiedy palce jej będą się pieścić drobnemi paciorkami, w duszy odbije się obraz „mateczki“ i wywoła życzliwe o niej wspomnienie.

A może myśl ludzka dochodzi aż t a m! O! po odkryciu radium wierzę we wszelkie niemożliwości. Moje prawa autorskie przeznaczam na wychowanie sześciu chrześniaków — będzie ich wtedy dwanaścioro w „Chałupce“. W ten sposób istnienie moje na ziemi przetrwa jeszcze długo. A cóż może być piękniejszego nad to?

Myśl, że mnie umarłą będą wieźć na karawanie przez ulice Paryża, wydawała mi się zawsze upokarzającą, i dlatego żądam, ażeby przewieziono mnie wprost do R.. Tam kochany proboszcz spotka mnie i odprowadzi do mego ostatniego mieszkania. Nie chcę żadnych anonsów z czarnemi obwódkami. Na mych biletach wizytowych napisałam litery: p. p. c. — Gwidon położy na nich datę i wyszle tym osobom, które mu wskażę. Nie są one liczne, lecz każda z nich odczuje szczery żal po mnie.

Wszystkie te przygotowania robię jakby we śnie. Jeden raz tylko poczułam jakiś żal nad sobą i łzy nerwowe zapełniły oczy moje.

Czyż naprawdę w głębi mej duszy wierzę w swój koniec? Być może, że nie...

. . . . . .

. . . . . .

Chciałam się zobaczyć z mym wydawcą. Zawsze łączyły nas dobre stosunki. Wszelkie interesy prowadzi on tak czysto, że nie przeszkadzają one wcale przyjaźni i sympatyi.

Widziałam, jak się stropił, ujrzawszy mnie. Przez cały czas rozmowy próbowałam żartować, ażeby go rozruszać, lecz długo bezskutecznie. Dopiero kiedym powiedziała, że uważam powieści, i w ogóle wszystkie książki, za akumulatory, a księgarnie za składy energii umysłowej, zaczął się śmiać i nasze wzruszenie znikło. Poleciłam mu swoje dwa ostatnie utwory i jestem pewna, że jeżeli sama już ich nie ujrzę, to on tembardziej będzie dbał o ich po-

wodzenie. Upewniał mnie o tem jak mógł najgoręcej a przez pocałunek, złożony na mej ręce, czułam ciepło szczerego uczucia.

Stosunek pomiędzy wydawcą i autorem powinien być najbardziej wzniosłym, a składową częścią jego prócz uczciwości powinien być także honor. Wydawca źle oceniający świętą pracę myśli albo niesumiennie wyzyskujący autorów, jest zwykłym handlarzem niższego rzędu.

Po wyjściu mego gościa uśmiechnęłam się. Przypomniało mi się nasze pierwsze spotkanie. Dla odniesienia rękopisu na ulicę A... wybrałam, naturalnie, jeden z mych szczęśliwych dni, pomimo to jednak byłam bardzo niespokojna. Wolniutko wchodziłam na schody sławnego „domu wydawniczego". Oddawszy swoją kartę wizytową, usiadłam w poczekalni nawprost ogromnego zegaru i natychmiast zdało mi się, że ten drwi ze mnie. Powietrze wydawało mi się duszne, denerwujące.

Weszłam do gabinetu wydawcy. Nie mogę powiedzieć, żebym była przyjęta z otwartemi rękami — dla kobiety starej, przynoszącej swój pierwszy rękopis, byłoby to za wiele — ale obejście się mego wydawcy nacechowane było delikatnością i grzecznością. Obiecał pracę moją przeczytać — nie spodziewałam się niczego więcej. Krótko mówiąc, przeczytał, przyjął, i Jan Noël podpisał swój pierwszy kontrakt, w pięćdziesiątym drugim roku życia — to niezbyt wcześnie! Powodzenie wytworzyło pomiędzy nami naprzód dobry humor, a potem serdeczną przyjaźń. Dom przy ulicy A... stał się dla mnie blizkim i drogim. Wielu z jego pracowników zrobiło coś dla mego utworu. Jedni robili korektę, inni pakowali i rozsyłali, to też dla nich wszystkich czuję gorącą wdzięczność. Nie mogłabym się obejść bez nich. Patrząc głębiej na życie, z łatwością poczuwamy się do solidarności i braterstwa.

Jakże dalekim wydaje mi się ten pierwszy mój debiut! To ciekawe! jak aeronauta doznaje wrażenia, że ziemia odsuwa się od niego, tak ja czuję wyraźnie, że przeszłość mnie opuszcza... Może to działanie morfiny...

. . . . . .

. . . . . .

Dwadzieścia cztery godziny spokoju, potem nowe silne dre-

szcze, delikatne ukłócie w lewym boku i drugie płuco zajęte... Czemże będę oddychać? Sir William, bez używania morfiny, przez cały rok znosił ten stan duszenia się. Dzisiaj ja, tak jak on, błagam: powietrza! tlenu!

Przypomniałam sobie, że zapalenie płuc bywa czasem zaraźliwe i prosiłam doktora, ażeby zrobiono ścisłą dezynfekcyę w moim pokoju i w bibliotece. Widziałam, że był z tego zadowolony i ma zamiar użyć jakiegoś nowego środka. Ta myśl, że wniosłam zarazę w to świeże zdrowe mieszkanko, że mogę być niebezpieczną dla otaczających, dręczy mnie więcej niż perspektywa śmierci.

Śmierć! Prawdę powiedział sir William, że im bardziej zbliżamy się do niej, tem mniej straszną wydaje się ona — mogę to dziś potwierdzić. Musimy oddać sprawiedliwość naturze — przygotowuje ona nas doskonale.

Tej nocy myślałam o miłości, o młodości, o powodzeniu w świecie, o dalekich podróżach, w końcu o wiście i „bridge'u“ i żadna z tych rzeczy nie obudziła żalu we mnie. O! nie, dziękuję! jestem już zanadto zmęczona! Możność uniknięcia zgrzybiałości i niedołęztwa byłaby dla mnie dostateczną pociechą nawet gdybym umierała w dwudziestym roku życia. Próżność może stać się siłą. Gdyby śmierć nie była nam daną — szukalibyśmy jej sami. Dziś ludzkość jest jeszcze w stanie dziecięctwa, lecz gdy dojdzie do wieku dojrzałego, będzie oczekiwała śmierci z pogodą i spokojem. Widziałam kiedyś w oknie wystawowem przy ulicy Auber kwiaty, które, umaczane w pewnej substancyi, mogły trwać do nieskończoności. Pozornie i kształty i barwy ich nie straciły nic ze swej urody, lecz brakło im już owego delikatnego tajemniczego wdzięku, jaki posiadają rośliny żyjące. Niech umierają kwiaty, niech umierają ludzie: śmierć nadaje cenę życiu.

. . . . . .

. . . . . .

Uszczęśliwiłam poczciwą siostrę Annę. Dziś rano, kiedy krzątała się koło mnie, patrząc mi w oczy z wyrazem przerażenia, przywołałam ją do siebie i poprosiłam z uśmiechem o zawezwanie księdza. Odgadłam, że tego właśnie pragnęła ona. Twarz jej rozjaśniła się jakąś radością duchową, świadczącą o uczuciu wzniosłem, bez-

interesownem. Niepokoiła się o moją duszę i pragnęła jej zbawienia. Oto prawdziwe braterstwo, jakiego dotąd nie znałam! Przez intuicyę, właściwą ludziom wierzącym, wątpiła o mej gorliwości religijnej, a może miała mnie za heretyczkę. Niech Bóg zachowa! Potępiam dzieci japońskie, które po skończeniu szkoły obtłukują nosy bogom-lisom, których czcili ich rodzice. Każde wierzenie, każdy przesąd nawet jest etapem na drodze postępu ludzkości. Kiedym przyszła na świat, pobłogosławiono mnie według rytuału katolickiego, dziś, schodząc ze świata, pragnę tego samego. Zresztą, rzecz dziwna, ogarnęło mnie nieprzeparte pragnienie przyjęcia komunii. Nasienie tego pragnienia zapadło w mą duszę temu lat trzydzieści.

Pewnej niedzieli, podczas sezonu w Trouville, udałam się do kościoła na mszę dla kąpielowców, chcąc zaprezentować swoją ładną, modną, niebieską suknię — cóż chcecie, byłam kobietą! Tego dnia właśnie w kościele była muzyka i kazanie z powodu jakiegoś dzieła filantropijnego. Kazanie, o Eucharystyi, wygłosił pewien dominikanin. Jego głos męzki, silny, zmusił uszy moje do słuchania. Słowa jego przeszywały mnie. Bezwiednie, a może pod wpływem cudownej intuicyi, mówił on o dogmacie w sposób bardziej naukowy niż teologiczny. Powiedział, że komunia jest prawem natury, że, jeżeli przez przyjaźń i miłość stykamy się ze światłem, ze wszystkiemi siłami istnienia, to, biorąc logicznie, musi stąd wypłynąć potrzeba zetknięcia się z Bogiem, tem wiecznem źródłem życia. Byłam zachwycona: „bo i dlaczegożby nie“ — szepnęłam. Moje niedowiarstwo po raz pierwszy zostało zachwianem. Czterysta lat temu podobne kazanie zaprowadziłoby dominikanina na stos. Uważnie przyglądałam się jego twarzy, chcąc ją dobrze zapamiętać. Była to ładna maska człowieczą, pełna energii, inteligencyi, jaśniejąca wiarą. Przed wyjściem z kościoła wstąpiłam do zakrystyi, aby się dowiedzieć o nazwisku kaznodziei.

— Ojciec Didon — odpowiedziano mi.

Wyjaśnienie tajemnicy Eucharystyi, które do tego czasu nie wydawało mi się godnem zastanowienia, odtąd pozostało wyryte w mej pamięci na zawsze. Później, ucząc się przez nabytą wiedzę lepiej poznawać naturę, często powtarzałam sobie: dlaczegożby nie?

Lecz wśród tysiąca istot ludzkich, przystępujących do stołu pańskiego, jakże niewielu łączy się naprawdę z Bogiem! Sądzę, że do tego potrzeba być zdolnym wzdychać głęboko do ideału, do boskości, trzeba posiąść odrębny stan duszy. Zdaje mi się, że ja dzisiaj doszłam do tego. Oto dlaczego zapragnęłam księdza. I przyszedł. Rozmowa szła nam dość trudno. Ksiądz badał mnie wzrokiem sędziego śledczego i traktował jak osobę, potrzebującą świadectwa o spowiedzi w przeddzień ślubu. Widziałam też, że rozgrzeszenie dawał ze szczególnem przejęciem. W końcu jednak moja wiara w Boga i w nieśmiertelność uspokoiły go i dał mi to, co się nazywa „chlebem życia“ — piękna to nazwa dla ucha umierającego! Chleb ten wlał do mej duszy radość głęboką i dziwnie błogie uspokojenie. Doprawdy wierzę, że połączyłam się z Bogiem.

. . . . . .

. . . . . .

Od pięciu lat przechowuję starannie w jednej z przegródek mojej walizy suknię, przeznaczoną na śmierć. Myślałam, że sądzono mi będzie „spaść z gałęzi“ wśród obcych i nie chciałam pozostawiać im wyboru. Może Bóg wie w jakiem straszydle pochowaliby mnie. Obstalunek tej toalety wywołał w swoim czasie ogromne przerażenie w pracowni mojej krawcowej, a nawet jedna z młodszych pracowniczek płakała rzewnemi łzami. Dopiero przy pomocy dwudziestofrankówki udało mi się zakłóconą wesołość przywrócić. Dziś rano przyszła mi fantazya przymierzyć tę suknię. Jest ona z wełny koloru kości słoniowej, podbita cała jedwabiem, ułożona w piękne, klasyczne fałdy, z długim trenem i szerokiemi rękawami. Ma także mały kapiszonik ogarnirowany szerokiemi, staroświeckiemi koronkami. Strój ten jest prawdziwem arcydziełem — wyglądam w nim jak kapłanka. Tak się czułam dobrze w tej sukni, że nie chciało mi się znów przebierać, lecz, niestety, zapomniałam, że pokazywałam ją kiedyś Gwidonowi i teraz biedny mój chłopak poznał ją. Nagłe wzruszenie odjęło mu zwykłe panowanie nad sobą. Z oczami pełnemi łez rzucił się na kolana obok mego łóżka i zawołał głosem pełnym boleści:

— Mateczko! mateczko! jeszcze nie nadeszła godzina...

Przez chwilę napawałam się tym widokiem serdecznego zmar-

twienia, którego przyczyną byłam ja. U syna mego męża i Koletty miało ono dla mnie szczególny urok. Później widok ten dotknął nerwu macierzyńskiego i serce moje zadrgało czułością i politowaniem.

Zaczęłam mówić jak do dziecka, które pragniemy pocieszyć:

— Nie, nie, „my boy“, jeszcze nie nadeszła godzina — i pod wpływem jakiegoś natchnienia, dodałam:

— Jesteśmy oboje zdenerwowani, ja cierpieniem, ty niepokojem. Potrzeba nam koniecznie państwa Lusson i Józi. Obecność ich doda nam nowej energii i wrócimy do równowagi. Zatelegrafuj do nich, niech przybędą nam na pomoc.

Gwidon nie dał się oszukać — widziałam to z jego wzruszenia. Cóż robić! w każdym razie czuję, że postąpiłam według jego tajemnego życzenia.

Wzięłam kilka róż, które mi dziś rano ofiarował, i przypięłam do sukni, ażeby ją trochę ożywić. „My boy“ uśmiechnął się z zadowoleniem. Tak niewiele potrzeba nam dla obudzenia nadziei!

Obecność Józi złagodzi zmartwienie z powodu rozstania się ze mną, jeżeli to ma nastąpić — chcę, ażeby podzielała jego ból. Łzy łączą bardziej, niż śmiech. Jeszcze jeden raz poczułam w sobie to serce wnętrzności, którem matki kochają i przywiązują się do dzieci. Zdaje mi się, że to dodaje mi wielkości.

. . . . . .

. . . . . .

Są wszyscy zebrani... pan i pani Lusson, Józia, Gwidon, stryj Grzegorz... Jakież miłe ciepło rodzinne wytwarza się koło mnie! A jeszcze rok temu myślałam, że umrę zupełnie samotna. Jednakże, rzecz dziwna, pomimo przyjemnego uczucia, chwilami sprawiają mi przykrość te starania, jakiemi mnie otaczają. Dla natury niezależnej, jak moja, przykrzej jest brać niż dawać.

Odgadłam dobrze, że ręce Józi są inteligentne — nikt tak jak ona nie potrafi mi poduszek poprawić. Nikt nie ma tyle intuicyi w przyniesieniu mi ulgi, w robieniu mi przyjemności. Tysiącznemi sposobami umie ona zmniejszyć moją niechęć do jedzenia, która rośnie coraz bardziej. Kochana dziewczyna wzięła się z zapałem do walki z zapaleniem i chwilami uczuwam pragnienie, ażeby zwycięstwo było po jej stronie.

Wszyscy zresztą trzymamy się dzielnie — najmniej może pan Lusson. Często widzę, jak wśród ożywionej rozmowy oczy jego zachodzą łzami. Nie może pogodzić się z myślą o stracie swojej partnerki do wista i bridge'a.

Żart na bok, lecz te długie rozmowy nasze w Commanderie złączyły nas więcej, niż przypuszczaliśmy. Nasza przyjaźń, bez wiedzy naszej, robiła po sto czterdzieści na godzinę. Opowiedziałam mu o wynalezieniu „radium". Odrzekł mi na to, że w chwili obecnej zadowolony będzie z nauki tylko wtedy, jeżeli ja wyzdrowieję.

Jeżeli posłannictwo moje na tym świecie spełniło się — zostanę odwołaną. Niema wiedzy, która by mogła z tem walczyć.

Z radością patrzę na rodzącą się sympatyę pomiędzy stryjem Grzegorzem, a jego przyszłą bratanicą. Jestem pewna, że tych dwoje zostanie przyjaciółmi.

Wyraziłam życzenie, ażeby ślub młodej pary odbył się trzeciego kwietnia we trzy dni po Wielkiejnocy. Wszyscy się na to zgodzili. Kochane chrześniaki!

Jestem pewna, że często kroki ich skierują się na cmentarz w R... Chociaż w życiu widziałam wiele wypadków zapomnienia — w ich pamięć wierzę.

Będą kwiaty i zieloność na moim grobie. Przylecą pszczoły po miód i ja dopomogę im do życia — ta myśl raduje mnie. Naturalnie, Gwidon i Józia nie pozwoliliby zamienić „mateczki" w garść popiołu.

A więc jest ktoś, komu szczątki moje nie będą obojętne. Prawdę mówił sir William:

— Nic pani nie wie jeszcze.

Tak, nie wiedziałam nic!

Moje dzieci mają wielkie zmartwienie. Nie śmieją czuć się szczęśliwymi, a jednak są nimi — ja to widzę i to mnie pociesza. Przed chwilą byli oboje przy mnie. Patrzyłam na ich cerę rumianą bogactwem i czystością krwi, na ich gęste włosy, na błyszczące oczy! O! te oczy młodości! te oczy zorzy porannej, a potem te ich zęby zdrowe i usta soczyste! Przyglądałam się z zachwytem, lecz bez zawiści tym oznakom pełni życia. Czułam, jak ku memu

słabemu, prawie martwemu ciału płynęły od nich fale miłości — tego wiecznego zwycięzcy!

Przez chwilę miałam widzenie ciągłości rzeczy i Jan Noël, nie zważając na panią Myères, powtarzał w zachwyceniu:

— Pięknem jest życie... pięknem jest życie...

. . . . . .

Ostatnia noc była złą i ciężką. Zdaje mi się, że miałam malignę. Gorączka obudziła całą masę bolesnych wspomnień.

Po co to?

Przeżyłam znowu tę straszną chwilę, kiedy, jako kobieta zdradzona, miotałam gniewem w obliczu śmierci. O! ta straszna niemoc wobec próżni! Znowu zerwałam z palca obrączkę pana Myères, i, jak w rzeczywistości, ciało moje zatrzymywało ją, co mi sprawiało wielki ból.

Czarne oczy Koletty, scena na ganku — wszystko z bezwzględnem okrucieństwem odtworzyło się w mej pamięci.

Później zdało mi się, że Gwidon... ojciec, klęczał obok Józefy. Chciałam się rzucić ku niemu, lecz jakieś pęta więziły mi nogi i tylko zbudziłam się oblana potem przerażenia.

Nigdy chyba komórki mego mózgu nie otwierały się jeszcze z taką błyskawiczną szybkością. Mnie umierającą wtrącały one w dnie młodości i dzieciństwa. Przeszłość jest już daleką, bez daty, lecz obrazy jej pozostały zupełnie jasnymi.

Widziałam długą sylwetkę pana Grey, tego biednego profesora, który ucząc mnie angielskiego, uczył równocześnie badać duszę saksońską i pisać moje przyszłe romanse! Pierwsze zdanie z gramatyki Robertsona tak się wysunęło na pierwszy plan w mej pamięci, jakbym się go wczoraj uczyła: „We are told that the Sultan Mahmoud“ i t. d. — mówię wam, że sułtan Mahomed... Czterdzieści cztery lata nie zdołały wykreślić tych słów! Jakże doskonałemi maszynami do pracy są ludzie!

Nad ranem o pół do czwartej, zbudziwszy się ze snu ciężkiego, spojrzałam na siostrę Annę. Siedziała na fotelu w nogach mego łóżka, wyprostowana jak figura symboliczna, w czarnym welonie i czepku nieposzlakowanej białości. Ani śladu znużenia nie było w jej postawie. Z wyrazem skupienia i łagodności czytała swą małą

książeczkę, oprawną w czarne sukno pod tytułem: „O naśladowaniu Chrystusa“. Czy to jest akumulator, z którego czerpie ona siłę podtrzymującą ją i przywiązanie, jakiem mnie obdarza? Droga siostra! jestem pewna, że jej nadzieja na nagrodę nie zostanie zawiedziona, tak samo jak wszystkie inne nasze nadzieje. Przyszłość nasza jest piękniejszą, niż sobie wyobrażamy. Co do mnie, nie pociąga mnie błogi stan bezczynności — zawsze jeszcze pragnęłabym „robić życie“, walczyć, cierpieć, nawet umierać, ażeby się odrodzić i rodzić się, ażeby umrzeć...

. . . . . .

Na jakiej drodze i kiedy spotkam się „tam“ z panem Myères? Gdyby dusza jego posiadała usta, jakiż dobry pocałunek otrzymałabym od niego! Spotkanie się nasze na tym świecie było cudownem — „tam“ będzie ono boskiem.

Tego samego wieczora w dzień naszego ślubu przyjechaliśmy do Chavigny. Dom, pełen kwiatów, światła i miłego ciepła był istnym kącikiem raju ziemskiego. Przebrawszy się do obiadu ze swej sukni panny młodej z białego atłasu z bukietem kwiatów pomarańczowych, poszłam do biblioteki, gdzie oczekiwał na mnie mój pan i władca. Kiedy weszłam, mąż mój zbliżył się do mnie z rękami rozpostartemi. Wpatrzona w jego oczy, jakby we śnie uroczym... przytuliłam się do jego piersi i poczułam wyraźnie pełne harmonijnego rytmu bicie dwóch serc... jednego z lewej, drugiego z prawej strony. Wtedy po raz pierwszy miałam wrażenie całkowitej pełni życia. W nieziemskiem zachwyceniu przetrwaliśmy tak kilka sekund. Nagle ramiona nasze zmęczone opadły, spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem, jakby dopiero teraz spostrzegając się wzajemnie. Oto taką chwilę pragnęłabym przeżyć raz jeszcze! Tej chwili pragnę! Widzenia się! Ludzie tak po dziecinnemu odtwarzają je sobie. Zostawmy Bogu starania o nich. On posiada tajemnicę nagród i radości, których my nie jesteśmy w stanie pojąć. Jestem szczęśliwą, że mogę „złożyć duszę moją w jego ręce“.

. . . . . .

„Pokój pani czeka na panią“ — takie zawiadomienie przysłano mi z hotelu Castiglione. Co za ironia! Myślę, że będzie na mnie czekał długo! Czyż, opuszczając go w lipcu, nie miałam przeczucia,

że nie wrócę doń więcej? O! pamiętam ten przykry trzask drzwiczek powozowych — mam go jeszcze w uszach.

Kochany mały pokoik, miejsce urodzenia Jana Noël! Gdyby wybór zależał odemnie, tam pragnęłabym skończyć.

Gwidon odkupi zegar, który wydzwaniał mi godziny pracy i samotności, i stół, przy którym zrodziło się w mej głowie tyle myśli pocieszających. Prosiłam, ażeby rzeczy te umieścił w bibliotece w Chavigny; jakiś dziwny instynkt obudza we mnie pragnienie wejścia tam. Wiem, jakiem czułem staraniem otoczą tam te moje sprzęty. Zgotowałam dobry los mym starym towarzyszom... los, godzien zazdrości.

. . . . . .

Czarne koła pod oczami, nos wydłużony, na twarzy żółtawe plamy, usta blade, spieczone — oto okropny obraz, jaki odbija obecnie moje ręczne lusterko...

Wszyscy mają wiele zmartwienia ze mną. Pomiędzy innymi stryj Grzegorz ma wyraz rozpaczy. Wczoraj wieczorem, chcąc mnie podtrzymać, wyznał mi swoją miłość, którą tak starannie ukrywał. Czyż jej nie odgadłam już oddawna! Czyż w skrytości nie byłam z niej dumną? Był to hołd tak wielkiego serca! I czy uwierzycie, to ostatnie wyznanie sprawiło mi wielką przyjemność. Moja kobieca próżność jest jeszcze mocno żywotną!

„My boy“ mnie martwi. W oczach jego widać nieme błaganie, które przejmuje mnie do głębi duszy. A gdybym mogła pozostać, czy pragnęłabym tego? Nie... o! nie! Coś mi mówi, że odchodzę w czas. Odejść w czas, to najlepszy sposób zostawienia po sobie żalu.

. . . . . .

Kończy się ostatni romans Jana Noël!... Czuję, że umieram... Nie mogę myśli zebrać... Chwilami słabnę zupełnie... Morfina nie pomaga już więcej... Gałąź gnie się... Gnie się okropnie... Nawet trzeszczy... Nie obawiam się... nie obawiam się wcale... Jak ptak o którym mówi poeta: „wiem, że mam skrzydła!...“

. . . . . .

Spadła z gałęzi!

KONIEC.

Biblioteka Śląska